KOLEKCJA LITERATURY KLASYCZNEJ

Herman Melville

Moby Dick

TOM I

Herman Melville

MOBY DICK

CZYLI BIAŁY WIELORYB

Tom 1

Konwersja:

ROZDZIAŁ I
MIRAŻE

Imię moje: Izmael. Przed kilku laty — mniejsza o ścisłość jak dawno temu — mając niewiele czy też nie mając wcale pieniędzy w sakiewce, a nie widząc nic szczególnego, co by mnie interesowało na lądzie, pomyślałem sobie, że pożegluję nieco po morzach i obejrzę wodną część świata. Taki mam właśnie sposób odpędzania splinu i regulowania krwiobiegu. Gdy tylko stwierdzę, że usta wykrzywiają mi się ponuro, gdy tylko do duszy mej zawita wilgotny, dżdżysty listopad, gdy złapię się na tym, że mimowolnie przystaję przed składami trumien albo podążam za każdym napotkanym pogrzebem, a w szczególności, gdy moja hipochondria tak mnie opanuje, iż potrzeba mi silnych zasad moralnych, by się powstrzymać od rozmyślnego wyjścia na ulicę i metodyczmego strącania ludziom z głów kapeluszy — wtedy uznaję, że już wielki czas udać się na morze jak najrychlej. To jest moja namiastka pistoletu i kuli. Katon z filozoficzną oracją rzuca się na ostrze swego miecza; ja spokojnie siadam na okręt. Nie ma w tym nic zdumiewającego. Gdyby tylko zdawano sobie z tego sprawę, okazałoby się, że niemal wszyscy ludzie, każdy na swój sposób, w takiej czy innej chwili, żywią wobec oceanu niemal te same co ja uczucia.

Oto macie wyspiarski gród manhattańczyków, opasany przystaniami, jak indyjskie wyspy rafami koralowymi. Otaczają go zewsząd spienione nurty handlu. Z prawej i lewej strony ulice wiodą was ku wodzie. Najdalszym skrajem miasta jest plac Battery, kędy wspaniałe molo obmywają fale i chłodzą

bryzy, które jeszcze kilka godzin temu nie widziały lądu. Spójrzcie na tłumy wpatrzone tam w wodę.

Powędrujcie wokół miasta w zadumane niedzielne popołudnie. Przejdźcie od Corlears Hook do Coenties Slip, a stamtąd przez Whitehall ku północy. Cóż ujrzycie? Rozstawieni wokoło całego miasta jak milczące szyldwachy, tkwią tysiącami i tysiącami śmiertelnicy zatopieni w oceanicznych marzeniach. Jedni wsparli się o pale, drudzy zasiedli na skrajach pomostów, ci wyglądają przez burty statków przybyłych z Chin, inni wdrapali się wysoko na olinowanie, jak gdyby usiłując zyskać jeszcze lepszy widok na morze. Ale przecie to wszystko ludzie lądu, w powszedni dzień uwięzieni wśród desek i tynku — przywiązani do kontuarów, przygwożdżeni do ław, przytwierdzeni do biurek. Jakże więc to się dzieje? Czyżby zniknęły łany zielone? Co oni tu robią?

Lecz patrzcie! Oto napływają nowe tłumy, zmierzając wprost ku wodzie, najwyraźniej gotując się do nurkowania. Dziwne! Nie zadowoli ich nic prócz najdalszego skraju lądu. Nie wystarczy im wałęsanie się w cienistym zaciszu magazynów. Nie. Muszą przedostać się tak blisko wody, jak to tylko możliwe bez wpadnięcia do niej. I tam oto stoją — milami całymi, długimi milami. Wszystko to ludzie lądu; przybywają z uliczek i zaułków, ulic i alej — z .północy, wschodu, południa i zachodu. A przecie tu jednoczą się wszyscy. Powiedzcie mi, czyżby przyciągała ich tutaj magnetyczna siła iglic kompasów wszystkich tych okrętów?

Albo znowu: jesteście, powiedzmy, na wsi, w jakiejś wyżynnej krainie jezior. Pójdźcie którąkolwiek ścieżką, jaka wam się spodoba, a stawiam dziesięć przeciw jednemu, że zaprowadzi was ona w dolinę i pozostawi nad utworzonym przez strumień jeziorkiem. Są w tym jakieś czary. Pozwólcie najbardziej roztargnionemu z ludzi pogrążyć się w głębokiej zadumie — postawcie go na nogi, wprawcie jego stopy w ruch, a niechybnie zaprowadzi was do wody, jeśli w tej okolicy wodę znaleźć można. Gdybyście kiedykolwiek cierpieli z pragnienia na wielkiej amerykańskiej pustyni, popróbujcie tego

eksperymentu, o ile tak się zdarzy, że karawana wasza wyposażona będzie w wyznawcę metafizyki. Tak, wszystkim to wiadomo, że medytacja i woda poślubione są sobie na zawsze.

A oto artysta. Pragnie on namalować wam najbardziej rozmarzony, najbardziej cienisty, najspokojniejszy i najczarowniejszy pejzaż romantyczny w całej dolinie Saco. Cóż będzie głównym elementem tego dzieła? Tu stoją drzewa, każde o pniu wydrążonym, jak gdyby wewnątrz siedział pustelnik z krucyfiksem; tam drzemie łąka, ówdzie cpi bydło, a z tamtej chaty wznosi się sennie dym. W głąb odległych borów wije się kręta ścieżyna zmierzając w stronę spiętrzonych ostróg szczytów skalnych o zboczach skąpanych w modrości. Lecz choć widzimy obraz tak urzekający, choć drzewo otrząsa na głowę pasterza swe westchnienia jak liście, wszystko to byłoby daremne, gdyby jego oczy nie były utkwione w czarodziejski strumień, który ma przed sobą. Odwiedźcie w czerwcu prerie, gdzie dziesiątkami mil brodzi się po kolana wśród lilii — jakiegoż jedynego uroku tu brak? Wody — nie ma tu ani kropli wody! Gdyby Niagara była jedynie kataraktą piasku, czyż przebywalibyście tysiąc mil, by ją zobaczyć? Czemuż to ów ubogi poeta z Tennessee, otrzymawszy nagle dwie garście srebra, deliberował, czy kupić sobie płaszcz, tak srodze mu potrzebny, czy też obrócić te pieniądze na pieszą wędrówkę do Rockaway Beach? Dlaczego niemal każdy krzepki, zdrowy chłopak o krzepkiej i zdrowej duszy prędzej czy później dostaje bzika, żeby wyruszyć na morze? Z jakiejże to przyczyny wy sami, w czasie waszej pierwszej morskiej podróży, odczuliście tak tajemnicze drżenie, gdy oznajmiono wam po raz pierwszy, że wy i okręt wasz straciliście już ląd z oczu? Czemuż to starożytni Persowie uważali morze za świętość? Czemu Grecy przydali mu osobne bóstwo i to brata samego Jowisza? To wszystko z pewnością nie jest pozbawione znaczenia. A głębsze jeszcze znaczenie ma historia Narcyza, który nie mogąc pochwycić dręczącego, zwiewnego obrazu, dostrzeżonego w źródle, skoczył w nie i utonął. Ale my sami widzimy tenże obraz

we wszystkich rzekach i oceanach. Jest to obraz nieuchwytnego zwidu życia — i to jest klucz do wszystkiego.

Kiedy jednakże powiadam, że mam zwyczaj wyruszać na morze, gdy tylko oczy ćmić mi się zaczną, a płuca ciążyć — nie należy stąd wnioskować, że kiedykolwiek udaję się na taką wyprawę jako pasażer. Albowiem na to, aby być pasażerem, potrzeba koniecznie sakiewki, a sakiewka jest tylko łachmanem, jeżeli nic się w niej nie posiada. Prócz tego pasażerowie cierpią na morską chorobę, stają się swarliwi, nie śpią po nocach — na ogół nie spędzają czasu zbyt przyjemnie. Nie — nie pływam nigdy jako pasażer ani też, mimo że jestem po trosze człowiekiem morza, nie wyruszam nigdy na nie jako komodor czy jako kapitan, czy jako kucharz. Pozostawiam chwałę i znakomitość takich stanowisk tym, którzy to lubią. Jeżeli o mnie idzie, mam odrazę do wszelkich zaszczytnych i szacownych trudów, znojów i udręczeń jakiegokolwiek rodzaju. Wszystko, na co się zdobyć mogę, to dbałość o samego siebie, bez doglądania okrętów, bark, brygów, szkunerów i czego tam jeszcze. Co zaś się tyczy wyruszenia w charakterze kucharza — acz przyznaję, iż znaczna jest w tym chwała, jako że kucharz to na pokładzie statku ktoś w rodzaju oficera — jednak nigdy nie odczuwałem upodobania do przypiekania drobiu; choć gdy jest on już upieczony, należycie omaszczony, roztropnie osolony i posypany pieprzem, nie znajdzie się nikt, kto by wyrażał się o nim z większym ode mnie respektem, a nawet rewefencją. Toć właśnie dzięki bałwochwalczemu uwielbieniu, jakie żywili starożytni Egipcjanie dla pieczonego ibisa i smażonego hipopotama, oglądacie mumie tych stworzeń w owych olbrzymich piekarniach — piramidach.

Nie, kiedy wyruszam na morze, to tylko jako prosty majtek, którego miejsce jest na dziobie okrętu, pod pokładem for kasztelu albo też wysoko w górze, na szczycie stengi masztowej. Co prawda, posyłają mnie to tu, to tam, każą skakać z rei na reję jak konikowi polnemu po majowej łące i zrazu rzeczy tego rodzaju są dosyć nieprzyjemne. Obraża to poczucie naszej godności, zwłaszcza jeśli się pochodzi z rodu z dawna osiadłego

w kraju, jak Van Rensselaerowie, Randolphowie czy też Hardicanute'owie. A już szczególnie jeżeli przed zabraniem się do morskiego rzemiosła sprawowało się rządy w charakterze wiejskiego nauczyciela, przed którym drżały najroślejsze chłopaki. Zapewniam was, że przeskok z nauczyciela na majtka jest gwałtowny i wymaga silnej mieszanki Seneki i stoików, by móc znosić wszystko z uśmiechem. Ale nawet to uczucie przytępia się z czasem.

Cóż stąd, że jakiś stary kutwa, szyper, rozkaże mi wziąć się za miotłę i zamieść pokłady? Cóż znaczy podobna zniewaga, jeśli się ją, powiedzmy, odważy na szali Nowego Testamentu? Czyż sądzicie, że archanioł Gabriel będzie miał o mnie gorsze mniema-' nie dlatego, że pośpiesznie i z uszanowaniem usłucham owego starego kutwy w tym właśnie przypadku? A któż nie jest. niewolnikiem? Powiedzcie tylko. Zatem więc, jakkolwiekby się starzy szyprowie mną wysługiwali, jakkolwiekby mnie szturchali i potrącali, znajduję satysfakcję w świadomości, że jest to zupełnie w porządku, że każdy w ten czy ów sposób służył w bardzo podobnych warunkach — to znaczy albo z punktu widzenia fizycznego, albo metafizycznego; tak więc owym powszechnym szturchańcem obdzielani są wszyscy, przeto każdy winien klepnąć drugiego po plecach i być zadowolonym.

Zawsze, powtarzam, wyruszam na morze jako marynarz, uparto się bowiem, żeby mi płacić za mój trud, podczas gdy — o ile słyszałem — pasażerom nigdy nie płaci się ani szeląga. Wprost przeciwnie, właśnie pasażerowie muszą płacić. Istnieje zaś olbrzymia różnica między płaceniem a otrzymywaniem zapłaty. Akt płacenia jest może najdotkliwszym dopustem, jaki na nas ściągnęło owych dwoje złodziei z rajskiego ogrodu. Ale być opłacanym — cóż się może temu równać? Wytworna gorliwość, z jaką człowiek przyjmuje pieniądze, jest doprawdy zdumiewająca, zważywszy, iż łak żarliwie wierzymy, że pieniądze są źródłem wszelkiego doczesnego zła i że bogacz żadną miarą nie może dostać się do nieba. Ach, jakże ochoczo skazujemy się sami na potępienie!

I wreszcie wyruszam na morze zawsze jako majtek z uwagi na zbawienny dla zdrowia ruch i czyste powietrze na pokładzie forkasztelu. A ponieważ na tym świecie wiatry wiejące od przodu znacznie przeważają nad wiatrami od rufy (to znaczy, o ile się nigdy nie pogwałci zasady pitagorejskdej), zatem w większości wypadków płuca komodora stojącego na mostku kapitańskim otrzymują powietrze z drugiej ręki — od majtków na forkasztelu. Jemu się zdaje, że pierwszy nim oddycha; tak jednakże nie jest. W bardzo podobny sposób pospólstwo kieruje swymi przywódcami w wielu innych sprawach i to wtedy właśnie, gdy ci przywódcy bynajmniej tego nie podejrzewają. Ale jaka była po temu przyczyna, że wielokrotnie już pokosztowawszy morza jako marynarz na statku handlowym, teraz właśnie nabiłem sobie głowę, żeby wyruszyć na wyprawę wielorybniczą — na to lepiej, niż ktokolwiek inny, odpowiedzieć może ów niewidzialny policjant Losu, który sprawuje nade mną stały nadzór, potajemnie mnie śledzi i wpływa na mnie w jakiś sposób niepojęty. I bez wątpienia moje wyruszenie na tę wyprawę stanowiło część owego wielkiego programu Opatrzności, który został nakreślony już dawno temu. Przyszło to jako coś w rodzaju krótkiego *interludium* i solo między bardziej doniosłymi występami. Przypuszczani, że ta część programu musiała wyglądać mniej wdęcej tak:

Wielka Walka Wyborcza o Fotel Prezydenta Stanów Zjednoczonych Wyprawa wielorybnicza niejakiego Izmaela Krwawa bitwa w Afganistanie

Choć nie potrafię powiedzieć, dlaczego właściwie tak się stało, że owi reżyserowie, Losy, przeznaczyli mi tę lichą rólkę w wyprawie wielorybniczej, podczas gdy inni otrzymują wspaniałe role w wykwintnych komediach lub też wesołe role w farsach — choć nie potrafię powiedzieć, dlaczego właściwie tak się stało, przecie teraz, kiedy wspominam wszystkie okoliczności, sądzę, że przejrzałem po trosze sprężyny i pobudki, które, przebiegle mi podsunięte pod różnymi postaciami, nie tylko skłoniły mnie do odegrania tej roli, ale

jeszcze wypieściły we mnie złudzenie, że wynikło to z mojej własnej nieprzymuszonej woli i bystrego rozeznania.

Główną z tych pobudek była przemożna myśl o samym olbrzymim wielorybie. Tak złowieszczy i tajemniczy potwór pobudził całą moją ciekawość. Następnie owe dzikie i dalekie morza, w których przetaczał on swe cielsko wyspie podobne; nieopisane, nienazwane niebezpieczeństwa, jakimi zagrażał, one to właśnie wraz ze wszystkimi towarzyszącymi im cudami tysiąca patagońskich widoków i odgłosów przyczyniły się do tego, żem uległ swojemu pragnieniu. Może dla innych ludzi rzeczy tego rodzaju nie stanowiłyby zachęty, ale jeśli o mnie idzie, to trapiony jestem wiecznotrwałą tęsknotą za tym, co dalekie. Lubię żeglować po zakazanych morzach i lądować u dzikich wybrzeży. Nie lekceważąc sobie tego, co dobre, umiem szybko dostrzec wszelką okropność, a jednak współżyć z nią — jeśli mi tylko na to pozwolą — jako że dobrze jest być na przyjaznej stopie ze wszystkimi mieszkańcami miejsca, w którym się przebywa.

Z tych to powodów cieszyłem się na wyprawę wielorybnicza; olbrzymie śluzy świata cudów rozwarły się przede mną, a pośród fantastycznych wyobrażeń, które skłoniły mnie do powzięcia tego zamiaru, dwa, właśnie dwa zapadły mi w głąb duszy: nieskończone zastępy wielorybów, a w samym ich środku jedno ogromne, zakapturzone widmo, podobne do śnieżnej góry wznoszącej się w powietrzu.

ROZDZIAŁ II
SAKWA PODRÓŻNA

Wsadziłem jedną czy dwie koszule do mej starej sakwy podróżnej, wetknąłem ją sobie pod pachę i ruszyłem w drogę na Przylądek Horn i Pacyfik. Opuściwszy poczciwy, stary Manhattan, przybyłem jak się należy do Nowego Bedfordu. Działo się to w sobotnią grudniową noc. Wielkiego doznałem zawodu, kiedy się dowiedziałem, że mały statek pocztowy odpłynął już do Nantucket i że nie nadarzy się żadna sposobność dotarcia do owego miejsca przed następnym poniedziałkiem.

Ponieważ większość młodych kandydatów do trudów i utrapień wielorybniczego żywota zatrzymuje się w tymże Nowym Bedfordzie, aby stąd wyruszyć w podróż morską, należy nadmienić, że ja przynajmniej nie miałem zamiaru tak postąpić. Postanowiłem bowiem nie wypływać na żadnym statku, który by nie pochodził z Nantufiket; coś świetnego i szumnego we wszystkim, co się wiązało z ową sławną, starą wyspą, pociągało mnie w zdumiewający sposób. Poza tym, mimo że Nowy Bedford w ostatnich czasach stopniowo zyskiwał wyłączność w rzemiośle wielorybniczym i mimo że w tej dziedzinie biedne, stare Nantucket pozostało już teraz mocno w tyle, było ono jednak niegdyś wielkim zaczątkiem Nowego Bedfordu — Tyrem tej Kartaginy — miejscem, w którym wyciągnięto na brzeg pierwszego ubitego amerykańskiego wieloryba. Skądże, jeśli nie z Nantucket, robili na swych czółnach pierwsze wypady w pogoni za Lewiatanem owi czerwonoskóry, 'tubylczy wielorybnicy? A skąd, jeśli nie również z Nantucket, wyruszyła ta pierwsza mała,

awanturnicza łódź, częściowo załadowana sprowadzonymi tu z lądu kamieniami, przeznaczonymi — jak powiadają — do miotania w wieloryby, ażeby sprawdzić, czy są już dość blisko, by łowcy mogli zaryzykować cios harpunem z bukszprytu?

Ponieważ miałem przed sobą noc, dzień i jeszcze jedną noc w Nowym Bedfordzie, przed odpłynięciem do mego portu przeznaczenia, wynikło więc kłopotliwe zagadnienie, gdzie mam jeść i spać w tym czasie. Noc nie budziła ufności, była zaiste wielce ciemna i ponura, przejmująco zimna i posępna. W mieście nie znałem nikogo. Niespokojnymi pazurami wysondowałem własną kieszeń i dobyłem z niej ledwie kilka sztuk srebra. „A więc dokądkolwiek się udasz, Izmaelu — powiedziałem do siebie, stojąc tak w pośrodku posępnej ulicy z sakwą na barkach i porównując mrok w północnej stronie z ciemnościami od południa — gdziekolwiek w swej mądrości postanowisz spędzić noc, mój drogi Izmaelu, nie omieszkaj zapytać o cenę i nie bądź zbytnio wybredny."

Niepewnym krokiem przemierzyłem ulice i minąłem tawernę Pod Skrzyżowanymi Harpunami — wyglądała ona jednak na zbyt kosztowną i gwarną. Nieco dalej, z jasno gorejących okien oberży Pod Rybą-Mieczem padały tak palące promienie światła, iż wydawało się, że stopiły one lód i śnieg ubity przed domem, gdyż wszędzie poza tym omrożona gołoledź leżała grubo na dziesięć cali tworząc twardy jak asfalt chodnik — raczej dla mnie przykry, kiedy stopą natrafiłem na twarde, krzemieniste wyboje, z powodu bowiem ciężkiej, bezlitosnej służby podeszwy moich butów znajdowały się w niezwykle opjakanym stanie. „Za drogo tu i zbyt gwarno" — pomyślałem *sobie* znowu, przystając na chwilę, by przypatrzeć się jaskrawerńu blaskowi padającemu na ulicę i posłuchać brzęku szklanek wewnątrz domostwa. „Idźże dalej, słyszysz, Izmaelu? — powiedziałem sobie wreszcie. — Odejdź sprzed wrót; twoje łatane buty tarasują tu drogę". Poszedłem więc dalej. Teraz już, instynktem wiedziony, ruszyłem ulicami, które prowadziły mnie w stronę wody, jako że tam niezawodnie znajdować się musiały najtańsze, jeśli nie najweselsze gospody.

Cóż za ponure ulice! Masywy czerni, nie domy, po obu stronach, a tu i ówdzie świeczka, iakby migocząca w grobowcu. O tej nocnej godzinie, w ostatnim dniu tygodnia, ta dzielnica miasta okazała się niemal opustoszała. Wkrótce jednak doszedłem do miejsca, gdzie przydymione światło dobywało się z niskiego, rozłożystego budynku, którego podwoje stały gościnnie otworem. Dom miał wygląd zaniedbany, jak gdyby był przeznaczony do publicznego użytku, wszedłem więc i pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było potknięcie się o popielnik w przedsionku. „Ha — pomyślałem, gdy wzbite w górę lotne cząsteczki omal mnie nie udusiły — czyżby te popioły pochodziły z owego zniszczonego grodu, Gomory? A skoro już widziałem Skrzyżowane Harpuny i Rybę-Miecz, tu musi być chyba oberża Pod Pułapką". Pozbierałem się jakoś i słysząc w środku donośny głos, ruszyłem dalej i otworzyłem drugie, wewnętrzne drzwi.

Wydało mi się, że to wielki Czarny Parlament obraduje w piekle. Sto czarnych oblicz obróciło się w rzędach ław, by popatrzeć; za nimi jakiś czarny Anioł Sądu przerzucał karty księgi leżącej na pulpicie. Był to murzyński kościół, a tekst odczytywany przez kaznodzieję mówił o czerni otchłani piekielnej, o płaczu, zawodzeniu i zgrzytaniu zębów, jakie się tam rozlega. „Ha, Izmaelu — mruknąłem do siebie wycofując się z powrotem — nędzne są rozrywki pod znakiem Pułapki!"

Ruszywszy dalej dotarłem wreszcie do wątłego światełka w pobliżu doków i usłyszałem rozlegające się w górze żałośliwe skrzypienie. Podniósłszy głowę zobaczyłem kołyszący się nad drzwiami szyld z białym malowidłem, niewyraźnie przedstawiającym wysoki prosty słup rozpylonych bryzgów wodnych, pod nim zaś takie słowa:

„Trumna? Wielorybnik? — To brzmi raczej złowróżbnie w tym akurat zestawieniu — pomyślałem sobie. — Mówią wszakże, iż nazwisko to jest w Nantucket pospolite i przypuszczalnie ten tutejszy Piotr musi być emigrantem stamtąd." A ponieważ światło było przyćmione, miejsce wydawało się na razie dość spokojne, sam rozlatujący się

drewniany domek wyglądał, jakby go tu przewieziono z ruin jakiejś spalonej dzielnicy, a kołyszący się szyld skrzypiał tak jakoś po nędzarsku — pomyślałem więc, że tu właśnie muszą być tanie kwatery i najlepsza kawa z grochu.

Dziwne to było miejsce — ten stary dom o trójkątnych ścianach szczytowych, z jednej strony jakby sparaliżowany i żałośnie na bok pochylony. Stał na ostrym, wietrznym rogu ulicy, gdzie ów burzliwy wiatr, Euroklidon, hulał znacznie gorzej, niż to kiedykolwiek czynił wokół skołatanej łodzi nieszczęsnego Pawła. Euroklidon może być jednak wielce miłym zefirkiem dla kogoś, kto siedzi w domu ze stopami wspartymi o brzeg kominka, spokojnie grzejąc je przed snem. W posiadaniu moim znajduje się jedyny istniejący egzemplarz dzieł pewnego starego pisarza, który powiada: *Przy osądzaniu onego burzliwego wichru, Euroklidonem zwanego, przedziwna powstaje różnica w zależności od tego, czy wyglądasz nań zza okna szklanego, na którym cały szron umieścił się od strony zewnętrznej, czyli też obserwujesz go przez owonierozsuwane okno omrożone ze stron obu, którego sama śmierć jedynym jest szklarzem*. „To całkiem prawdziwe — pomyślałem sobie, gdy mi się ów ustęp na myśl nawinął — nieźle rozumujesz, stary hieroglifie!" Tak, oczy są oknami, a to ciało moje jest domem. Jaka szkoda jednak, że nie pozatykano szpar i szczelin, że nie opatrzono ich tu i ówdzie watą. Ale już teraz za późno na jakiekolwiek ulepszenia. Wszechświat jest już ukończony, sklepienie położone, a wióry z budowy zabrano przed milionem lat. Nieszczęsny Łazarz, szczękający zębami na poduszce z kamiennego stopnia i otrząsający z siebie dreszczami swe łachmany, mógłby zatkać uszy szmatą, a w gębę wsadzić kolbę kukurydzy i jeszcze by to nie powstrzymało tego burzliwego Euroklidonu. — Euroklidon! — powiada stary bogacz spowity w czerwone, jedwabne szaty (miał później jeszcze czerwieńsze) — ba, ba! Co za piękna, mroźna noc, jakże iskrzy się Orion, jakie zorze północne! Niech sobie tam gadają o swych orientalnych letnich krainach wieczystej cieplarni; mnie

udzielcie przywileju stworzenia sobie własnego lata przy pomocy własnego węgla.

Ale cóż myśli Łazarz? Zaliż może on rozgrzać swe zsiniałe dłonie wyciągając je ku wspaniałym zorzom północnym? Czyż nie wołaliby znaleźć się na Sumatrze, miast tutaj ? Czy nie o wiele bardziej by mu dogadzało wyciągnąć się na całą długość wzdłuż linii równika, a nawet — zaiste, o bogowie! — zejść do samej otchłani piekielnej, byleby tylko uchronić się od mrozu?

Że jednak Łazarz leży tutaj na kamiennych stopniach przed wrotami domu bogacza, to wydaje się osobliwsze, niż gdyby góra lodowa została przycumowana do jednej z wysp Moluków. Jednak sam bogacz też mieszka, jak car, w lodowym pałacu zbudowanym ze zmrożonych westchnień, będąc zaś prezesem towarzystwa wstrzemięźliwości, spija jedynie ciepławe łzy sierot.

Ale dość już na razie tego (biadolenia; wyruszamy na wieloryby i wiele go jeszcze będzie. Zeskrobmy lód z naszych oszronionych stóp i zobaczmy, co to może być za miejsce, owa oberża Pod Wielorybnikiem.

ROZDZIAŁ III
OBERŻA POD WIELORYBNIKIEM

Wchodząc pod trójkątny dach oberży Pod Wielorybnikiem trafiało się do szerokiej, niskiej, odrapanej sieni o staroświeckiej boazerii przypominającej burtę jakiegoś starego, bezużytecznego już okrętu. Po jednej stronie wisiało ogromne olejne malowidło, tak gruntownie zadymione i całkowicie zamazane, że w nierównym, krzyżującym się świetle, w jakim je oglądano, można było jakoś dojść do zrozumienia, o co w nim chodzi, tylko i jedynie przez pilne studia, serię systematycznych odwiedzin tudzież staranne rozpytywanie sąsiadów. Widniały tam tak niezliczone masy mroków i cieni, iż początkowo było się już skłonnym przypuszczać, że jakiś ambitny młody artysta z okresu, kiedy w Nowej Anglii istniały jeszcze czarownice, usiłował tu odtworzyć zaklęty chaos. I przecie drogą głębokiej, a poważnej kontemplacji, częstotliwych przemyśleń, w szczególności zaś dzięki otworzeniu małego okienka umieszczonego w końcu sieni, dochodziło się nareszcie do wniosku, że podobna myśl, jakkolwiek dziwaczna, nie jest może tak zupełnie pozbawiona podstawy.

Ale rzeczą, która patrzącego najbardziej intrygowała i wprawiała w pomieszanie, była długa, gibka, złowieszcza, czarna masa czegoś, co unosiło się pośrodku obrazu ponad trzema błękitnymi, zamazanymi, pionowymi liniami skąpanymi w jakiejś nieokreślonej pianie. Bagniste, zwilgłe, doprawdy okropne to było malowidło; zupełnie wystarczające, by doprowadzić do szału człowieka nerwowego. A jednak była

w tym obrazie pewna nieokreślona, niedopowiedziana, niepojęta wzniosłość, która przykuwała doń całkowicie, aż wreszcie człowiek mimowolnie poprzysięgał sobie, iż dowie się, co oznacza to cudaczne dzieło. Raz po raz przeszywała patrzącego jakaś znakomita, jednakże, niestety, zwodnicza myśl. — To Morze Czarne w czasie nocnej nawałnicy. — To przeciwne naturze starcie czterech pierwotnych żywiołów. — To jakiś zatracony ugór. — Hiperborejska scena zimowa. — Spękanie lodów na zamarzniętym strumieniu Czasu. — Ale na koniec wszystkie te fantastyczne pomysły ustępowały przed owym czymś złowieszczym w środku obrazu. Gdyby tylko to zrozumieć — reszta byłaby już jasna. Ale chwileczkę; czyż nie ma w tym nikłego podobieństwa do jakiejś gigantycznej ryby? Może nawet do samego wielkiego Lewiatana?

W istocie takim zdawał się być zamiar artysty; oto moja własna, ostateczna teoria, po części oparta na zestawionych opiniach licznych wiekowych osób, z którymi przeprowadziłem na ów temat rozmowy. Obraz przedstawiał okręt z Przylądka Horn w straszliwym huraganie, na wpół zatopiony, zalany wodą, z widocznymi już tylko trzema odartymi z żagli masztami — oraz rozwścieczonego wieloryba zamierzającego przeskoczyć wprost nad owym okrętem, wyobrażonego właśnie w gigantycznym akcie nadziewania się na wierzchołki trzech masztów.

Przeciwległa ściana owej sieni obwieszona była iście pogańskim zbiorem potwornych maczug i włóczni. Niektóre były gęsto wysadzane błyszczącymi zębami podobnymi do kościanych pił; inne zaopatrzono w pęki ludzkich włosów; jedna miała kształt sierpa, z ogromną rękojeścią zakręconą podobnie do linii kreślonej w świeżo koszonej trawie przez długorękiego kosiarza. Człowiek drżał patrząc na to i zastanawiał się, jakiż to potworny kanibal i dzikus mógł kiedykolwiek dokonywać żniwa śmierci tak straszliwym siecznym narzędziem. Wśród owej broni widniały także zardzewiałe, stare lance wielorybnicze i harpuny, całe połamane i pokrzywione. Niektóre miały swoją historię. Tą

lancą, niegdyś śmigłą, obecnie srodze pogiętą, Natan Swain ubił przed pięćdziesięciu laty piętnaście wielorybów między wschodem a zachodem słońca. A tamten harpun — tak dziwnie teraz podobny do korkociągu — ciśnięto na morzach jawajskich w wieloryba, który uciekł z nim razem, a w wiele lat później został ubity około Przylądka Blanco. Tamten grot wszedł w pobliżu ogona i jak niespokojna igła przebywająca w ciele człowieka, przewędrował całe czterdzieści stóp, aż wreszcie odnaleziono go tkwiącego w garbie wieloryba.

Minąwszy ową mroczną sień oraz niskie, sklepione przejście — przebite przez coś, co za dawnych czasów musiało być wielkim centralnym kominem z kominkami dokoła — wchodzi się do izby ogólnej. Miejsce to jest jeszcze bardziej mroczne, belki pułapu zaś tak niskie i masywne, deski pod nogami tak stare i poorane bruzdami, iż niemal wyobrażacie sobie, że znajdujecie się w kokpicie jakiegoś starego statku, zwłaszcza w taką wyjącą wichrem noc, kiedy to owa zakotwiczona sędziwa arka wściekle się kołysze. Po jednej stronie stoi długi, niski stół, podobny do półki, cały zastawiony popękanymi szklanymi gablotami pełnymi zakurzonych osobliwości zgromadzonych tu z najodleglejszych zakątków tego szerokiego świata. W dalszym kącie izby widnieje ponury przybytek — szynkwas — ordynarnie usiłujący wyobrażać łeb wielorybi. Stoi tam bowiem ogromna, łukowato wygięta kość szczękowa wieloryba, tak szeroko rozwarta, że dyliżans mógłby niemal pod nią przejechać. Wewnątrz widnieją odrapane półki zastawione starymi karafkami, butlami i flaszkami, a między tymi szczękami grożącymi błyskawicznym unicestwieniem krząta się drugi potępiony Jonasz (którego to imieniem w istocie go nazywają), mały, zawiędły staruszek, drogo sprzedając marynarzom, za ich własne pieniądze, delirium i śmierć.

Ohydne są puchary, do których nalewa on swą truciznę. Choć z zewnątrz rzetelnie cylindryczne — wewnątrz te szelmowskie, zielone, grube jak soczewki szklanice zwężają się podstępnie ku dołowi aż po oszukańcze dno. Równoleżniki ordynarnie wyrzezane na szkle biegną w krąg ścianek tych zbójeckich

kielichów. Nalejcie sobie do *tego* znaku, a płacicie zaledwie pensa; do *tamtego* — o pensa więcej; i tak dalej aż do pełnej szklanki — miarki z Przylądka Horn, którą możecie łyknąć za szylinga.

Wszedłszy do izby zastałem tam kilku młodych marynarzy zebranych wokół stołu i zajętych oglądaniem przy wątłym świetle rozmaitych okazów skrimszanderskiej roboty . Odnalazłem oberżystę, lecz gdy mu oświadczyłem, że pragnę roztasować się w jakimś pokoju, otrzymałem odpowiedź, iż zakład jego jest przepełniony — ani jednego wolnego łóżka.

— Ale, zaraz! — dorzucił uderzając się w czoło. — Nie macie chyba nic przeciwko temu, żeby podzielić łoże z harpunnikiem, co? Tak mi się widzi, że wyruszacie na wieloryby, lepiej więc przyzwyczajajcie się do tego.

Odpowiedziałem mu, że nigdy nie lubiłem sypiać we dwie osoby; że gdybym kiedykolwiek to uczynił, uzależniłbym to od tego, kim jest ów harpunnik, i że jeśli on (oberżysta) doprawdy nie posiada innego dla mnie miejsca, harpunnik zaś nie budzi zasadniczych zastrzeżeń, to cóż robić — wolę raczej połowę kołdry jakiegoś przyzwoitego człowieka niż dalszą wędrówkę po obcym mieście w tak okropną noc.

— Takem sobie i myślał. Dobra, siadajcie. Kolację? Chcielibyście kolację? Zaraz będzie gotowa.

Przysiadłem na starej drewnianej ławie, całej pokrytej nacięciami jak ława na Battery. Z brzega siedział okrakiem jakiś zadumany marynarz i pochyliwszy się przyozdabiał pilnie kozikiem koniec ławy trzymany między kolanami. Próbował swej zręczności w wycinaniu okrętu pod pełnymi żaglami, ale pomyślałem sobie, że osiągnięcia jego nie są nazbyt wielkie.

Wreszcie czterech czy pięciu z nas zawezwano na posiłek do sąsiedniej izby. Zimno było jak w Islandii — ogień się w ogóle nie palił, gdyż gospodarz oświadczył, że nie może sobie na to pozwolić. Nic, oprócz dwóch ponurych łojówek, z których każda ociekała zastygłym tłuszczem. Nie było innego wyjścia; musieliśmy zapiąć pod szyję krótkie kurty marynarskie i na wpół zmarzniętymi palcami podnieść do ust kubki z wrzącą

herbatą. Jadło było jednak nadzwyczaj treściwe — nie tylko mięso z ziemniakami, ale i knedle — wielkie nieba, knedle na kolację! Jakiś młodzieniaszek w zielonym płaszczu podróżnym zabrał się do tych knedli w niezwykle okrutny sposób.

— Chłopie — ozwał się oberżysta — będą cię pewnikiem trapiły w nocy koszmary.

— Gospodarzu — szepnąłem — to chyba nie ten harpunnik, co?

— O, nie — odparł z miną zabawnie diaboliczną. — Tamten harpunnik to chłop o ciemnej cerze. Nigdy nie jada knedli o nie — nie weźmie do gęby nic oprócz befsztyka, a i to lubi, jak prawie surowy.

— O, do diabła! — powiedziałem. — A gdzie ten harpunnik? Czy jest tutaj?

— Niedługo tu będzie — brzmiała odpowiedź.

Mimo woli zaczęły mi się nasuwać pewne podejrzenia co do owego harpunnika o „ciemnej cerze". Na wszelki wypadek postanowiłem sobie, że jeśli się okaże, iż mamy spać razem, musi się rozebrać i wejść do łóżka przede mną.

Po wieczerzy całe towarzystwo powróciło do izby gospodniej, ja zaś, nie wiedząc, co z sobą począć, postanowiłem spędzić resztę wieczoru w charakterze widza.

Niebawem na zewnątrz dała się słyszeć gwałtowna wrzawa. Gospodarz zerwał się z miejsca i krzyknął:

— To załoga „Ork"! Dziś rano doniesiono mi, że zbliża się do lądu; trzy lata na morzu — statek wraca dobrze naładowany! Hura, chłopaki! Będziemy teraz mieli najświeższe wiadomości z Fidżi!

Tupot butów marynarskich rozległ *się* w sieni, drzwi rozwarto jednym szarpnięciem i do izby wtoczyła się dość dzika czereda marynarzy. Owinięci w kosmate płaszcze wachtowe, z głowami okutanymi w wełniane szale, wszyscy w podartej i pocerowanej odzieży, z brodami sztywnymi od sopli lodu, wyglądali jak niedźwiedzie, które wyrwały się z Labradoru. Dopiero co zeszli na ląd ze swego statku i to był pierwszy dom, do jakiego wstąpili. Nic więc dziwnego, że pożeglowali

prościutko do paszczy wieloryba — do szynkwasu — a mały, pomarszczony, stary Jonasz tamże urzędujący niebawem napełnił im wszystkim kielichy. Jeden z przybyłych uskarżał się na paskudne przeziębienie, na co Jonasz zmieszał dlań czarny jak smoła kordiał z dżinu i syropu klnąc się, iż jest to najprzedniejszy lek na wszelkie przeziębienia i katary, choćby nie wiedzieć jak zadawnione, bez względu na to, czy złapało się je u wybrzeży Labradoru, czy też na nawietrznej stronie wyspy lodowej.

Trunek szybko uderzył im do głowy, jak to się zazwyczaj dzieje nawet z najbardziej notorycznymi moczygębami, gdy świeżo zstąpią na ląd po morskiej podróży; wszczęli więc niepohamowany zgiełk.

Zauważyłem jednakże, iż jeden z nowo przybyłych trzymał się nieco na uboczu i choć znać było, że pragnął nie psuć radości towarzyszom swym trzeźwym obliczem, jednak, ogólnie biorąc, powstrzymywał się od czynienia takiego rwetesu jak inni. Człowiek ów zaciekawił mnie od razu, a jako że bogowie mórz tak zrządzili, iż miał on wkrótce zostać mym towarzyszem na statku (choć jedynie wspólnikiem łoża, jeśli idzie o niniejsze opowiadanie), popróbuję więc dać tu krótki jego opis. Miał pełne sześć stóp wzrostu, szlachetny wykrój ramion i tors jak keson. Rzadko kiedy dane mi było widzieć u kogoś podobną krzepę. Oblicze miał smagłe, ciemnobrązowe, co przez kontrast sprawiało, iż zęby olśniewały białością, a w głębokich cieniach oczu kryły się jakieś wspomnienia, które snadź nie dostarczały mu zbytniej radości. Głos jego zdradzał od razu południowca, a z pięknej postawy wnosiłem, iż musi to być jeden z owych rosłych górali ze szczytów alleghańskich w Wirginii. Kiedy rozhulanie jego towarzyszy doszło już do zenitu, człowiek ów wymknął się niepostrzeżenie i nie zobaczyłem go więcej aż do czasu, gdy został mym kamratem na morzu. Jednakże po kilku minutach współtowarzysze-marynarze zauważyli jego nieobecność, a ponieważ, jak się zdawało, był z jakichś przyczyn ich wielkim faworytem, podnieśli więc ryk:

„Bulkington! Bulkington! Gdzie jest Bulkington?" — i wypadli z gospody w pogoni za nim.

Było już około dziewiątej, a ponieważ izba wydawała się niemal nadnaturalnie cicha po owej orgii, zacząłem już sobie winszować pewnego małego planu, który mi się nasunął tuż przed nadejściem marynarzy.

Nikt nie lubi sypiać we dwie osoby. Prawdę mówiąc, o wiele bardziej wolelibyście nie dzielić łoża nawet z własnym bratem. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale ludzie lubią być samotni, kiedy śpią. A kiedy już przychodzi spać z kimś zupełnie nieznajomym, w obcym zajeździe, zaś nieznajomy ów jest harpunnikiem — w takim wypadku zastrzeżenia wasze nieskończenie się pomnażają. Nie było także żadnego na tym świecie powodu, dla którego właśnie ja, nie kto inny, będąc marynarzem, miałbym sypiać we dwóch w jednym łóżku; bowiem na morzu marynarze nie częściej śpią po dwóch, niż to na lądzie czynią nieżonaci królowie. Oczywiście sypiają oni wszyscy razem w jednym pomieszczeniu, ale każdy ma własny hamak, przykrywa się wm pasnym kocem i śpi we własnej skórze.

Im bardziej się zastanawiałem nad owym harpunnikiem, tym więcej nabierałem abominacji do pomysłu spania z nim razem. Nietrudno było przypuścić, że skoro był harpunnikiem, jego bielizna, płócienna czy też wełniana, nie będzie należała do najczystszych, a już z pewnością nie do najwykwintniejszych. Aż się cały otrząsnąłem. Poza tym robiło się późno i mój zacny harpunnik powinien był wrócić już do domu i zmierzać do łoża. Przypuśćmy teraz, iż z zwali się na mnie o północy — skądże będę wiedział, z jakiej ohydnej nory przybywa?

— Gospodarzu! Rozmyśliłem się, jeśli chodzi o tego harpunnika. Nie będę z nim spał. Spróbuję położyć się na tej ławie.

— Jak wam się podoba. Szkoda, że nie mam dla was nawet obrusa zamiast materaca, bo te deski szorstkie są jak zaraza! — tu pomacał sęki i karby. — Ale zaczekaj no, kamracie, mam tu pod szynkwasem stolarski hebel — zaczekaj, powiadam, a ja już ci zrobię przytulne leże

To mówiąc wyciągnął hebel i otarłszy najprzód ławę z pyłu starą jedwabną chustką, zabrał się żwawo do heblowania mego łoża, uśmiechając się przez cały czas jak małpa. Wióry leciały na prawo i lewo, aż wreszcie ostrze hebla zderzyło się z jakimś niepożytym sękiem. Gospodarz omal nie wywichnął sobie napięstka, powiedziałem mu więc, żeby na litość boską dał spokój — łoże jest dostatecznie miękkie jak na mój gust, a nie wyobrażam sobie, żeby nie wiem jakie heblowanie mogło przemienić sosnową deskę w puchową pierzynę. Zebrał więc wióry i znowu się uśmiechając wrzucił je do wielkiego pieca, który stał w środku izby, po czym powrócił do swoich zajęć, zostawiając mnie pogrążonego w zadumie.

Zmierzyłem teraz ławę i przekonałem się, że jest o stopę za krótka; temu wszakże można było zaradzić przy pomocy krzesła. Była jednak i o stopę za wąska, a druga ława znajdująca się w izbie była o jakieś cztery cale wyższa od tej zheblowahej — nie sposób więc było sprząc je razem. Ustawiłem zatem pierwszą ławę wzdłuż ściany, w jednym wolnym miejscu, pozostawiając nieco przestrzeni między nią a murem, by ulokować tam swoje plecy. Wkrótce jednak przekonałem się, że spod framugi okna dmie w moją stronę tak zimny wiew, iż cały plan w ogóle nie zda się na nic, zwłaszcza że drugi przeciąg dolatujący od rozklekotanych drzwi spotykał się z tamtym od okna i oba pospołu tworzyły serię małych trąb powietrznych w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, w którym zamierzałem spędzić noc.

„Niech diabli porwą tego harpunnika — pomyślałem sobie. — Ale zaraz! Czy nie mógłbym go wyprzedzić, zaryglować drzwi od wewnątrz, wskoczyć do jego łóżka i nie dać się zbudzić najgwałtowniejszym nawet kołataniem?" Ten pomysł wydawał się nie najgorszy, jednak po namyśle odrzuciłem go. Któż bowiem może wiedzieć, czy następnego ranka, ledwie wymknę się z pokoju, nie natrafię u wejścia na harpunnika, gotowego zdzielić mnie w łeb?

Rozejrzawszy się więc znowu i nie dostrzegając żadnych możliwości znośnego spędzenia nocy gdzie indziej niż w

cudzym łóżku, zacząłem myśleć, że może, bądź co bądź, żywię nieuzasadnione uprzedzenia do owego nieznanego harpunnika. „Poczekam trochę — pomyślałem sobie — chyba niedługo tu wpadnie. Nie ma co gadać; wtedy przyjrzę mu się dobrze i może mimo wszystko będziemy mogli stać się jak najlepszymi towarzyszami łoża."

Jednakże, choć inni lokatorzy powracali ciągle, bądź pojedynczo, bądź dwójkami czy trójkami, i udawali się na spoczynek, mojego harpunnika nie było ani śladu.

— Gospodarzu! — powiedziałem. — Co to za jeden? Czy zawsze tak się wałęsa po nocy? — Była już niemal dwunasta.

Oberżysta znowu się zaniósł swym cienkim chichotem i wydawał się wielce rozbawiony czymś, czego pojąć nie mogłem.

— Nie — odparł — zazwyczaj ranny z niego ptaszek. Kto rano wstaje… Tak, to taki ptaszek, co złapie robaka… Ale dziś wyszedł pohandlować, widzicie, i nie mam pojęcia, co go u licha tak długo zatrzymało, chyba że nie mógł sprzedać tej swojej głowy.

— Nie mógł sprzedać swojej głowy?! Co mi tu za bzdury powiadacie? — chwyciła mnie szewska pasja. — Czyż chcecie przez to powiedzieć, że ów harpunnik w ten przeklęty sobotni wieczór, a raczej w niedzielny poranek, kupczy swoją głową po mieście?

— Właśnie — odparł oberżysta. — A mówiłem mu, że nie będzie mógł jej tu sprzedać, bo rynek jest zawalony.

— Czym? — wrzasnąłem.

— Głowami, oczywiście. Mało to głów na świecie?

— Coś wam powiem, gospodarzu — rzekłem bardzo spokojnie. — Skończcie lepiej z takim gadaniem. Nie jestem żółtodziobem.

— Może i nie — wziął do ręki kij i odłupał zeń nożem trzaskę na wykałaczkę do zębów — ale coś mi się widzi, że pięknie by was urządził ten harpunnik, gdyby usłyszał, jak spotwarzacie jego głowę.

— Już ja mu ją rozwalę! — krzyknąłem, znowu doprowadzony do pasji nieobliczalnym bredzeniem oberżysty.

— Już jest rozwalona — odparł.

— Rozwalona? — spytałem. — Co to ma znaczyć?

— A pewnie. I coś mi się widzi, że z tego właśnie powodu nie może jej sprzedać.

— Gospodarzu — powiedziałem podchodząc do niego, a byłem zimny jak wulkan Hekla w czasie śnieżnej zawiei. — Gospodarzu, przestańcie strugać ten kij. Musimy się *ze* sobą porozumieć i to bez zwłoki. Przychodzę do waszego domu i chcę dostać łóżko; powiadacie mi na to, że możecie dać mi jedynie połowę, gdyż druga należy do pewnego harpunnika. Co się zaś tyczy owego harpunnika, którego jeszcze nie widziałem, to z uporem opowiadacie mi o nim niezwykle bałamutne i irytujące historie, usiłując wzbudzić we mnie nieufność do człowieka, którego mi przeznaczacie na towarzysza łoża — a przecie związek taki należy do najintymniej szych i w najwyższym stopniu poufałych. Teraz więc żądam od was, byście się wypowiedzieli i objaśnili mnie, kto zacz jest ten harpunnik oraz czy będę pod każdym względem bezpieczny, spędzając z nim noc. A przede wszystkim będziecie tak dobrzy i odwołacie tę historię o sprzedawaniu własnej głowy, gdyż jeśliby to była prawda, musiałbym ją uznać za najlepszy dowód, iż człowiek ten jest kompletnym szaleńcem, a ja nie mam zamiaru spać z wariatem. Wy natomiast, wy, panie gospodarzu, usiłując świadomie nakłonić mnie do tego, możecie zostać pociągnięci do odpowiedzialności karnej.

— No, cóż — ozwał się oberżysta nabierając głęboko tchu — to wcale długie kazanie, jak na chłopa, który się piekli od czasu do czasu. Ale uspokójcie się, uspokójcie; ten harpunnik, com wam o nim gadał, dopiero co przyjechał z Mórz Południowych, gdzie nakupił do licha zabalsamowanych nowozelandzkich głów (wielkie to osobliwości, trzeba wam wiedzieć) i posprzedawał je wszystkie prócz jednej, a tę jedną próbuje spuścić właśnie dziś wieczorem, bo jutro niedziela i jakoś by nie pasowało handlować po ulicach ludzkimi łbami, kiedy naród idzie do kościoła. Chciał już to zrobić zeszłej niedzieli, alem go powstrzymał, akuratnie gdy wychodził z czterema głowami

nanizanymi na sznurek jak nie przymierzając z wiankiem cebuli.

Relacja ta wyjaśniła niezrozumiałą skądinąd tajemnicę, tudzież wykazała, że oberżysta nie miał, bądź co bądź, zamiaru wystrychnąć mnie na dudka — ale z drugiej strony, cóż miałem sobie myśleć o harpunniku, który wałęsa się całą noc sobotnią aż do samej świętej niedzieli oddając się tak ludożerczym zajęciom, jak sprzedawanie głów nieżyjących bałwochwalców?

— Możecie mi wierzyć, gospodarzu, że ów harpunnik to człek niebezpieczny.

— Płaci regularnie — brzmiała odpowiedź. — No, ale już się robi diablo późno; lepiej zmieńcie kurs. Łóżko jest porządne; spałem w nim z Sally tej nocy, kiedyśmy się pobrali. Dość tam miejsca, żeby dwóch mogło sobie pobrykać, bo to okrutnie duże łóżko. Przecie do pewnego czasu Sally kładła tam w nogach naszego Sama i małego Johnny. Ale którejś nocy coś mi się przyśniło, zacząłem się wiercić i jakoś tak się stało, że Sam wypadł na podłogę i omal sobie ręki nie złamał. Po tym już Sally orzekła, że tak to nie da rady. Chodźcie no, migiem zrobię wam światło. — To mówiąc zapalił świeczkę i wyciągnął ją ku mnie proponując, że mi wskaże drogę. Ja jednak stałem niezdecydowany; wtem gospodarz, spojrzawszy na zegar, wykrzyknął: — Daję słowo, już niedziela! Nie zobaczycie tej nocy onego harpunnika. Gdzieś się musiał zakotwiczyć. Chodźcie więc, chodźcie, proszę. No cóż, pójdziecie nareszcie?

Przez chwilę rozważałem całą sprawę, po czym weszliśmy po schodach na górę i tam wprowadzono mnie do niewielkiego pokoju, gdzie zimno było jak w psiarni; umeblowanie składało się w istocie z niepospolitej wielkości łoża, niemal wystarczająco obszernego, by czterech harpunników mogło w nim spać rzędem.

— No — ozwał się oberżysta stawiając świecę na starej rozklekotanej skrzyni żeglarskiej, pełniącej dwojakie obowiązki: umywalni i stołu — no, rozgośćcie się teraz i dobrej nocy. — Oderwałem wzrok od łóżka, lecz oberżysta już zniknął.

Odwinąłem kołdrę i pochyliłem się nad łóżkiem. Choć nie należało do najwykwintniej szych, przecie przy oględzinach okazało się dość znośne. Rozejrzałem się teraz po pokoju; nie mogłem dostrzec żadnych innych sprzętów przynależnych do owego pomieszczenia prócz łóżka, stołu, topornej półki, czterech ścian oraz stojącego przed kominkiem, oklejonego papierem parawanu, na którym wymalowany był człowiek godzący oszczepem w wieloryba. Z rzeczy nie należących właśnie do umeblowania był tam hamak związany i ciśnięty w kąt na podłogę, a także duża marynarska sakwa zawierająca garderobę harpunnika i zastępująca mu zapewne lądowy kufer. Na półce nad kominkiem leżała też paczka dziwacznych, kościanych haczyków na ryby, a u wezgłowia łóżka wsparty był długi harpun.

Ale co to leży na skrzyni? Podniosłem ów przedmiot, przybliżyłem do światła, obmacywałem i wąchałem, starając się na wszelkie możliwe sposoby dojść do jakiegoś zadowalającego wniosku w tej materii. Porównać to mogę tylko do dużej słomianki ozdobionej na brzegach małymi, brzęczącymi frędzelkami, nieco przypominającymi bure kolce jeża, którymi są obszyte indiańskie mokasyny. W środku tejże maty widniał otwór czy przecięcie, takie, jakie się widuje w południowo-amerykańskich *poncho* . Ale czyż było to możliwe, żeby jakikolwiek trzeźwy harpunni'k wsadzał na siebie słomiankę i paradował po ulicach jakiegokolwiek chrześcijańskiego miasta w tego rodzaju stroju? Włożyłem ją na próbę i aż się ugiąłem, gdyż była ciężka jak waliza, niepospolicie kosmata i gruba oraz — wydało mi się — nieco wilgotna, jak gdyby ów tajemniczy harpunnik nosił ją w dżdżysty dzień. Podszedłem w tym stroju do kawałka lusterka opartego o ścianę i dalibóg ujrzałem widok, jakiego nie oglądałem nigdy w swoim życiu. Zerwałem z siebie matę z takim pośpiechem, że omal nie wykręciłem sobie karku.

Przysiadłem na brzegu łóżka i począłem rozmyślać o tym harpunniku-handlarzu głowami i o jego słomiance. Rozmyślałem czas niejaki na brzegu łóżka, po czym wstałem,

zdjąłem mą kurtkę marynarską, a następnie przystanąłem na środku pokoju, rozmyślając nadal. Z kolei zdjąłem kubrak i pomedytowałem jeszcze nieco w koszuli.

Ponieważ jednak zacząłem teraz odczuwać dotkliwe zimno, jako że byłem na wpół rozebrany, ponieważ przypomniałem sobie, że oberżysta powiedział, iż harpunnik w ogóle nie wróci do domu tej nocy, i ponieważ było już tak bardzo późno, więc nie robiąc dłużej ceregieli wyskoczyłem ze swoich pantalonów i butów i zdmuchnąwszy świecę padłem na łóżko polecając się opiece niebios.

Trudno orzec, czy materac był wypchany kaczanami kukurydzy, czy też tłuczoną porcelaną, ale po wielekroć przewracałem się z boku na bok i długo nie mogłem zasnąć. Na koniec zapadłem w lekką drzemkę i prawie już odżeglowałem w krainę snu, kiedy usłyszałem ciężkie stąpanie na korytarzu i dojrzałem błysk światła przenikający do pokoju przez szparę pode drzwiami.

„Boże, miej mnie w swojej opiece — pomyślałem — to musi być ten harpunnik, ten piekielny handlarz głów." Leżałem wszelako bez ruchu i postanowiłem nie odzywać się ni słowem, dopóki do mnie nie zagada. Ze świecą w jednej ręce i tąże właśnie nowozelandzką głową w drugiej nieznajomy wszedł do pokoju i nie patrząc w stronę łóżka ustawił świecę w kącie, na podłodze, w sporej ode mnie odległości, a następnie począł rozsupływać poplątane sznurki ogromnej sakwy, która, jak już wspomniałem, znajdowała się w izbie. Pałałem ochotą ujrzenia jego twarzy, lecz przez czas jakiś trzymał ją odwróconą, zajęty rozwiązywaniem worka. Potem obrócił się jednak — i, wielkie nieba! Co za widok! Co za gęba! Ciemnej, żółtoszkarłatnej barwy, tu i ówdzie znaczona dużymi, czarniawymi kwadratami. No, oczywiście! Właśnie tak, jak myślałem; straszliwy z niego towarzysz łoża; musiał brać udział w jakiejś bójce, pokaleczono go okropnie i oto teraz wraca prosto od chirurga. W tejże jednak chwili przypadkiem obrócił twarz w stronę światła i najwyraźniej dojrzałem, iż te czarne kwadraty na jego policzkach w żadnym razie nie mogą być plastrami. Były to

jakieś plamy takiego czy innego rodzaju. Początkowo nie miałem pojęcia, co o tym myśleć, ale wkrótce zaświtał mi przebłysk prawdy. Przypomniałem sobie historię pewnego białego — również łowcy wielorybów — który dostawszy się między ludożerców został przez nich wytatuowany. Doszedłem do wniosku, że tego harpunnika musiała spotkać podobna przygoda podczas jego dalekich wypraw. „I cóż to, mimo wszystko, ma za znaczenie — pomyślałem sobie. — To tylko jego strona zewnętrzna; człowiek może być uczciwy niezależnie od rodzaju skóry." Ale co sądzić o nieludzkiej barwie jego twarzy — to znaczy tej jej części, która znajduje się między tymi kwadratami tatuażu i jest od nich całkowicie niezależna. Może to być, oczywiście, tylko porządna warstwa tropikalnej opalenizny; jednakże nigdy nie słyszałem, żeby promienie gorącego słońca przerobiły człowieka białego na purpurowożółtego. Z drugiej strony, nie przebywałem nigdy na Morzach Południowych; może tamtejsze słońce działa na skórę w sposób tak niezwykły?

Podczas gdy wszystkie te przypuszczenia przelatywały mi przez głowę jak błyskawice, harpunnik w ogóle mnie nie spostrzegał. Otworzywszy nie bez trudności swoją sakwę począł w niej szperać i niebawem dobył coś w rodzaju tomahawka oraz mieszek z foki wywrócony włosem na wierzch. Ułożył te przedmioty na starej skrzyni stojącej pośrodku pokoju, wziął ową nowozelandzką głowę — przedmiot dość upiorny — i wepchnął ją do sakwy. Zdjął teraz swój kapelusz — nowy bobrowy kapelusz — i omal znów nie wrzasnąłem ze zdumienia. Na głowie nie miał włosów — a przynajmniej miał ich tak niewiele, iż nie warto o tym wspominać — nic, oprócz małej kępki skręconej nad czołem. Jego naga, czerwonawa głowa wyglądała teraz kubek w kubek jak czaszka porośnięta pleśnią. Gdyby nie stał między mną a drzwiami, byłbym się znalazł za nimi susem szybszym niźli przełknięcie kęska strawy.

„Ale nawet w tym stanie rzeczy — pomyślałem — warto by się wymknąć przez okno." Było to jednakowoż pierwsze piętro. Nie

jestem tchórzem, ale zupełnie nie miałem pojęcia, co myśleć o tym purpurowym łajdaku kupczącym głowami. Nieświadomość jest rodzicielką lęku, a jako że byłem zupełnie zbity z pantałyku i stropiony przez owego nieznajomego, wyznać muszę, że napadł mnie teraz taki strach przed nim, jak gdyby był on samym szatanem, który wtargnął do mego pokoju w środku nocy. W istocie tak się go bałem, iż zbrakło mi ducha, by doń przemówić i żądać zadowalających wyjaśnień w sprawie tego, co wydawało się w nim niezrozumiałe.

On zaś tymczasem był nadal zajęty rozbieraniem się i nareszcie ukazał tors i ramiona. Jak mi życie miłe, te zazwyczaj osłonięte części ciała pokratkowane były takimi samymi kwadratami, jak i twarz; plecy miał także pokryte identycznymi ciemnymi kwadratami, zupełnie jak gdyby brał udział w jakiejś wojnie trzydziestoletniej i dopiero co się z niej wyrwał, okryty istną koszulą z plastrów. Nie dość na tym; nawet nogi miał poznaczone, co wyglądało, jak gdyby zgraja ciemnozielonych żab wdrapywała się na pnie młodych palm. Stało się już całkiem jasne, że musi być jakowymś obrzydliwym dzikusem, który zabrał się na pokład okrętu wielorybniczego na Morzach Południowych i w ten sposób wylądował w tym chrześcijańskim kraju. Na samą myśl aż zadrżałem. „I to jeszcze handlarz głowami — może głowami swych własnych braci. A nuż nabierze upodobania do mojej? O Boże! Spójrzcie tylko na ten tomahawk".

Nie 'było jednak czasu na dreszcze, gdyż dziki zabrał się teraz do czegoś, co całkowicie przykuło moją uwagę i przekonało mnie, że to w istocie musi być poganin. Podszedł do swego ciężkiego płaszcza czy opończy, czy tam burki, którą uprzednio zawiesił na krześle, poszperał po kieszeniach i wreszcie wydobył osobliwy, mały, niekształtny posążek z garbem na plecach, dokładnie tego samego koloru co trzydniowe niemowlę z Konga. Pomny owej zabalsamowanej głowy, zrazu niemal pomyślałem, że ten czarny manekinek jest prawdziwym dziecięciem zakonserwowanym w jakiś podobny sposób. Widząc jednakże, iż to coś nie jest bynajmniej giętkie, a

połyskuje wcale podobnie do polerowanego hebanu, doszedłem do przekonania, iż musi to być nie co innego, jak drewniany bożek, co się w samej rzeczy okazało prawdą. Bo oto teraz dziki podszedł do pustego kominka, odsunął papierowy parawanik i zatknął ów mały, garbaty posążek między żelaznymi rusztami na kształt kołka. Boczne ścianki kominka oraz wszystkie cegły wewnątrz były mocno usmolone sadzami, pomyślałem więc sobie, że tworzy on wielce odpowiednią małą świątyńkę czy kapliczkę dla owego bożyszcza z Konga.

Czując się dość nieswojo, wbiłem wzrok w na wpół zasłonięty posążek, by zobaczyć, co z kolei nastąpi. Przybysz, dobywszy, z kieszeni opończy około dwóch garści wiórów, ułożył je starannie przed bałwankiem, umieścił na wierzchu kawałek suchara okrętowego i zbliżywszy do wiórów ogień świecy, wzniecił płomień ofiarny. Niebawem, po licznych pośpiesznych próbach wyciągnięcia ręką suchara z ognia i jeszcze szybszym cofaniu palców (przy czym, jak się zdaje, mocno je sobie poparzył) udało mu się nareszcie wyciągnąć suchar; zdmuchnął zeń nieco popiołu i żaru, a następnie uprzejmie zaofiarował go małemu Murzynkowi. Jednakże mały szatanek najwyraźniej nie gustował w tak suchym pożywieniu; nie poruszył nawet wargami. Wszystkim tym dziwnym cudactwom towarzyszyły jeszcze dziwaczniejsze gardłowe odgłosy wydawane przez gorliwego czciciela, który zdawał się zanosić monotonne modły, czy też śpiewać jakowąś pogańską psalmodię, przy czym wykrzywiał twarz w najniezwyklejszy sposób. Wreszcie ugasił ogień i podniósłszy bałwanka całkiem bezceremonialnie, wetknął go na powrót do kieszeni opończy, równie niedbale, jak gdyby był myśliwcem wsadzającym do worka ubitą słonkę.

Te cudaczne czynności wzmogły mój niepokój, widząc więc, iż wszystko wskazuje na to, że dziki ma zamiar zakończyć swoje urzędowe funkcje i wskoczyć do łóżka, w którym się znajdowałem, pomyślałem, że już czas najwyższy — teraz albo nigdy, zanim światło zgaśnie — przełamać czar, który tak długo mnie obezwładniał.

Jednakże chwila, którą poświęciłem na zastanawianie się, co . powiedzieć, okazała się fatalna. Dziki wziął ze stołu swój tomahawk, oglądał przez chwilę jego głowicę, a następnie zbliżył się do świecy i przytknąwszy usta do rękojeści *począł* z niej dobywać ogromne obłoki dymu tytoniowego. W następnej chwili światło zgasło i dziki kanibal z tomahawkiem w zębach wskoczył do mnie do łóżka. Wrzasnąłem — nie mogłem się już powstrzymać — on zaś wydawszy pomruk zdumienia jął ręką macać w ciemnościach.

Wyjąkałem coś, sam nawet nie wiem co, i odsunąłem się od niego aż do ściany, następnie zaś zacząłem go zaklinać, by leżał spokojnie, kimkolwiek albo czymkolwiek jest, oraz pozwolił mi wstać i zapalić znowu światło. Lecz jego gardłowe odpowiedzi przekonały mnie od razu, że bardzo źle pojmuje, o co mi idzie.

— Kto być ty? — powiedział wreszcie. — Ty mówić wcale, diabła, ja ciebie zabić. — To rzekłszy począł w ciemnościach wywijać nade mną gorejącym tomahawkiem.

— Gospodarzu! Na litość boską! Piotrze Trumno! — krzyknąłem. — Gospodarzu! Na pomoc! Trumno! Ratujcie mnie, anieli!

— Gadać. Mówić, kto być ty, albo, diabła, ja zabić ciebie! — warknął znowu kanibal, a podczas tego straszliwego wywijania tomahawkiem sypnął na (mnie gorący popiół; przyszło mi do głowy, iż może się odeń zająć moja bielizna. Ale, Bogu dzięki, w tej chwili wszedł do pokoju oberżysta ze światłem w ręku; dałem więc susa z łóżka i skoczyłem ku niemu.

— Nie 'bójcie się niczego — powiedział wykrzywiając twarz w uśmiechu. — Ten tutaj Queequeg nie tknie wam włosa z głowy.

— Przestańcie się śmiać! — krzyknąłem. — Czemuście mi nie powiedzieli, że ten piekielny harpunnik jest kanibalem?

— Myślałem, że sami wymiarkujecie — albom wam nie gadał, iż handluje po mieście głowami? Ale zwińcie żagle i idźcie spać. Uważaj, Queequegu, ty znać mnie, ja znać ciebie; ten człowiek spać z tobą, wiesz?

— Ja wiedzieć dużo za bardzo — mruknął Queequeg zaciągając się dymem z fajki i siadając na łóżku.

— Ty wejść — dodał i skinął na mnie tomahawkiem odrzucając na bok kołdrę. Uczynił to doprawdy w sposób nie tylko uprzejmy, ale ogromnie miły i życzliwy. Przez chwilę stałem spoglądając na niego. Mimo wszystkich swoich tatuaży, był właściwie schludnym i przyjemnie wyglądającym kanibalem. „Po co podnosiłem cały ten rwetes — pomyślałem sobie — ten człowiek jest istotą ludzką jak i ja; ma akurat tyle samo powodów, by lękać się mnie, co ja, by lękać się jego. Lepiej spać z trzeźwym kanibalem niż z pijanym chrześcijaninem."

— Gospodarzu — rzekłem — powiedzcie mu, żeby dał pokój z tym swoim tomahawkiem czy fajką, czy jak tam to nazywacie; krótko mówiąc, każcie mu przestać palić, a położę się z nim razem. Nie lubię jednak mieć przy sobie w łóżku człowieka, który pali. To bardzo ryzykowne. W dodatku nie jestem ubezpieczony.

Kiedy oberżysta oświadczył to Queequegowi, ten zaraz zastosował się do mego życzenia i znowu grzecznie zaprosił mnie gestem do łóżka odsuwając się na bok, jak gdyby chciał powiedzieć: „nawet nie dotknę twojej nogi".

— Dobrej nocy, gospodarzu — rzekłem. — Możecie już odejść.

Wsunąłem się do łóżka i zasnąłem tak smacznie jak nigdy w życiu.

ROZDZIAŁ IV
KOŁDRA

Zbudziwszy się następnego dnia o świcie ujrzałem ramię Que-equega zarzucone na mnie w niesłychanie czuły i miłosny sposób. Można było niemal pomyśleć, że jestem jego żoną. Kołdra uszyta była ze skrawków tkanin, pokryta dziwacznymi, małymi, pstrokatymi kwadracikami i trójkątami, a ramię dzikiego, całe wytatuowane w nie kończący się kreteński labirynt ornamentów, ramię, które nie miało dwóch części tej samej barwy — a to, jak sądzę, z tej przyczyny, że będąc na morzu trzymał je jak popadło, raz w słońcu, raz w cieniu, zawijając rozmaicie i o różnych porach rękawy od koszuli — to więc ramię jego, powiadam, wyglądało kubek w kubek jak kawałek tejże właśnie pstrokatej kołdry. I rzeczywiście, gdy tak częściowo na niej spoczywało w chwili mego przebudzenia, ledwo mogłem je odróżnić od kołdry, tak dalece barwy ich zlewały się ze sobą; tylko więc czując ciężar i nacisk, pojąłem, że Queequeg mnie utula.

Dziwnego doznałem uczucia; pozwólcie mi je wytłumaczyć. Pamiętam dobrze, iż dzieckiem jeszcze znalazłem się w nieco podobnej sytuacji; nigdy nie potrafiłem ostatecznie ustalić, czy była to rzeczywistość, czy też sen. Okoliczności były następujące: Wyprawiałem kiedyś jakieś brewerie— bodaj że usiłowałem wydrapać się kominem na dach, podobnie jak to uczynił kilka dni przedtem w moich oczach mały kominiarczyk, a macocha moja, która zawsze znajdowała powód, by mnie wychłostać lub posłać na górę bez kolacji, wyciągnęła mnie z komina za nogi i zapakowała do łóżka, mimo że była to dopiero druga po południu, dnia dwudziestego pierwszego czerwca,

najdłuższego w roku dnia na naszej półkuli. Czułem się okropnie. Nie było jednak rady; udałem się więc na górę, do mej małej izdebki na drugim piętrze, rozebrałem się jak najwolniej dla zabicia czasu i z gorzkim westchnieniem wlazłem pod kołdrę.

Leżałem tak, obliczając ponuro, że musi upłynąć pełne szesnaście godzin, zanim będę mógł mieć nadzieję na zmartwychwstanie. Szesnaście godzin w łóżku! Aż mnie krzyż bolał na samą myśl. A było tak widno; słońce świeciło w okno, z ulicy dolatywał donośny turkot pojazdów, a cały dom rozbrzmiewał wesołymi głosami. Czułem się coraz gorzej i gorzej — wreszcie wstałem, narzuciłem na siebie ubranie i zszedłszy cichutko w pończochach, odnalazłem macochę i upadłem jej nagle do nóg, błagając jak o szczególną łaskę, by mi spuściła porządne lanie za mój zły postępek, by uczyniła, co tylko zechce, byleby mnie nie skazywała na leżenie w łóżku przez tak nieznośnie długi czas. Ona jednak była najlepszą i najsumienniejszą z macoch, musiałem więc powrócić do swojej izby. Kilka godzin przeleżałem tam w pełni świadomości, czując się o wiele gorzej niż kiedykolwiek potem, nawet na skutek największych niedoli. Wreszcie musiałem zapaść w niespokojną, pełną koszmarów drzemkę; budząc się z niej powoli — jeszcze na wpół w snach pogrążony — otworzyłem oczy; izba, przedtem oświetlona słońcem, była teraz spowita w mrok. Uczułem natychmiast wstrząs przebiegający przez całe ciało; nic nie było widać, nic nie było słychać, ale zdało mi się, że jakaś nadprzyrodzona dłoń spoczywa w mojej. Ręka zwisała mi na kołdrze, a bezimienny, niewyobrażalny, milczący kształt czy widmo, do którego dłoń owa należała, siedział snadź tuż przy moim łóżku. Przez czas, który zdał się wiekiem wieków, leżałem zmrożony najpotworniejszym lękiem, nie śmiąc cofnąć dłoni, choć ciągle myślałem, że gdybym tylko mógł o jeden cal ją poruszyć, prysłby straszliwy czar. Nie wiedziałem, w jaki sposób opuściła mnie wreszcie owa świadomość, lecz zbudziwszy się rankiem przypomniałem sobie to wszystko z drżeniem, a później przez całe dnie, tygodnie i miesiące

gubiłem się w zwodniczych próbach wyjaśnienia tajemnicy. Mało tego, do tej chwili często dręczy mnie owa zagadka.

Otóż wystarczyłoby odjąć tamten okropny lęk, a wrażenia, jakie przeżywałem wyczuwając nadprzyrodzoną dłoń w swojej własnej, stałyby się wielce podobne w swej dziwności do tych, których doświadczyłem budząc się i spostrzegając obejmujące mnie pogańskie ramię Queequega. Ale wreszcie, już na trzeźwo, wszystkie wypadki ubiegłej nocy zaczęły jeden po drugim powracać we wspomnieniu, przybierając kształt rzeczywistości; leżałem więc teraz, doznając tylko wrażenia komicznie kłopotliwej sytuacji. Albowiem choć usiłowałem odsunąć rękę Queequega — rozewrzeć jego oblubieńczy uścisk — on tulił mnie przez sen mocno, jak gdyby nic prócz śmierci nie mogło nas rozłączyć. Usiłowałem więc zbudzić go krzycząc: — Queequeg!«— ale jedyną odpowiedzią było chrapanie. Obróciłem się tedy na bok z szyją jakby ujętą w obrożę i nagle poczułem, że coś mnie z lekka zadrapało. Odrzuciwszy kołdrę ujrzałem tomahawk śpiący u boku dzikiego jak dziecko o twarzyczce z żeleźca siekiery. „Masz babo placek — pomyślałem sobie — leżę w łóżku, w obcym domu, w biały dzień, z kanibalem tudzież tomahawkiem." — Queeque-gu! Na litość boską, zbudź się, Queequegu! — Wreszcie, dzięki wielokrotnemu wierceniu się oraz donośnym i nieprzerwanym perswazjom na temat niestosowności tulenia, przezeń drugiego mężczyzny w sposób tak matrymonialny, udało mi się wydobyć z Queequega chrząknięcie. Zaraz też cofnął rękę, otrząsnął się cały niczym pies nowofundlandzki, który dopiero co wyskoczył z wody, i sztywny niby drzewce włóczni usiadł na łóżku patrząc na mnie i przecierając oczy, jakby sobie niezupełnie przypominał, skąd się tu wziąłem, chociaż niejasna myśl, że coś mu o mnie wiadomo, wydawała się z wolna świtać w jego głowie. Ja tymczasem leżałem, spokojnie mu się przyglądając bez żadnych już poważniejszych obaw, zdecydowany obserwować tak ciekawą istotę. Kiedy nareszcie uświadomił sobie widocznie charakter swego towarzysza łoża i jakoś pogodził się z tym faktem, zeskoczył na podłogę i za pomocą

pewnych znaków oraz dźwięków dał mi do zrozumienia, że jeśli mi to dogadza, ubierze się pierwszy, a następnie pozwoli się ubrać mnie, pozostawiając cały apartament do mojej dyspozycji. „Queequegu — pomyślałem sobie — w tej sytuacji to wielce cywilizowani oferta" — ale bo też, co prawda — mówcie sobie, co chcecie — ci dzicy mają jednak wrodzone poczucie delikatności; to wprost zadziwiające, jak bardzo są uprzejmi. Te słowa uznania składam specjalnie Que-equegowi, ponieważ potraktował mnie z tak wielką grzecznością i względami, podczas gdy ja zawiniłem ogromnym nieokrzesaniem, przyglądając mu się z łóżka i śledząc wszelkie jego poczynania przy rannej toalecie; chwilowo ciekawość moja wzięła bowiem górę nad dobrym wychowaniem. Nie co dzień jednak widzi się takiego człowieka jak Queequeg; on sam i jego sposób bycia był więc doprawdy godzien niezwykłej uwagi.

Ubieranie się rozpoczął od góry, wdziewając bobrowy kapelusz (bardzo wysoki kapelusz, należy dodać), a następnie, nadal bez spodni, odszukał swe buty. Po co. u Boga Ojca to uczynił, powiedzieć nie potrafię, ale następnym jego posunięciem było wtłoczenie się pod łóżko z butami w ręku i w kapeluszu na głowie. Tam, jak mogłem wnosić z sapania oraz przeróżnych gwałtownych odgłosów znamionujących srogi wysiłek, podjął ciężki trud obuwania się, mimo że nigdy nie słyszałem o żadnych regułach obyczajności, które by komukolwiek nakazywały odosobnienie w chwili wdziewania butów. Ale, widzicie, Queequeg był istotą znajdującą się w stadium przejściowym — ani gąsienicą, ani motylem. Był akurat na tyle cywilizowany, by wykazać swoje barbarzyństwo w sposób możliwie najdziwniejszy. Edukacja jego nie była jeszcze ukończona. Był ledwie studentem. Gdyby nie ten mierny stopień cywilizacji, jakim się jednak odznaczał, najprawdopodobniej nie kłopotałby się w ogóle butami; ale też gdyby nie był jeszcze dzikusem, nawet by mu się nie śniło włazić pod łóżko, by je nałożyć. Wynurzył się wreszcie stamtąd w kapeluszu mocno wygniecionym i wbitym na oczy, po czym zaczął skrzypieć i kuśtykać po pokoju; widać nie był zbytnio do

obuwia przyzwyczajony i owa para przemoczonych, pomarszczonych butów z surowej krowiej skóry, najpewniej nie robionych na obstalunek, musiała go uwierać i dręczyć przy pierwszych krokach stawianych w dojmująco chłodny poranek.

Zauważyłem, iż okno nie posiada firanek, a ponieważ ulica jest bardzo wąska, z domu naprzeciwko można dokładnie dojrzeć, co się dzieje w pokoju; toteż uświadamiając sobie coraz bardziej jak dalece nieprzystojna jest postać Queequega krzątającego się tam i sam bez żadnego niemal przyodziewku poza kapeluszem i butami — począłem go błagać, jak tylko umiałem, by nieco przyspieszył toaletę, a w szczególności co rychlej wlazł w swoje pantalony. Zastosował się do tego, po czym przystąpił do mycia.

O tej porze dnia każdy chrześcijanin obmyłby sobie oblicze, ale Queequeg zadowolił się, ku mojemu zdumieniu, ograniczeniem ablucji do piersi, ramion i dłoni. Następnie włożył kamizelkę i wziąwszy kawałek twardego mydła z owej umywalni stołu, zanurzył je w wodzie i począł mydlić sobie twarz. Śledziłem go z uwagą, by się przekonać, gdzie przechowuje brzytwę, a ten, wystawcie sobie, bierze harpun stojący koło łóżka, wyciąga zeń długie drzewce, zdejmuje pokrowiec z grotu, który chwilę ostrzy na podeszwie i podszedłszy do owego kawałka lustra opartego o ścianę, rozpoczyna energiczne golenie czy też raczej harpunowanie swoich policzków. „No, Queequegu — pomyślałem sobie — to się nazywa w pełni korzystać z najlepszych wyrobów stalowych Rogersa!" Później mniej już się dziwiłem owej operacji, gdy uświadomiono mnie, z jak wybornej stali sporządzany jest grot harpuna i w jak niesłychanej ostrości są zawsze utrzymywane długie, proste jego krawędzie.

Queequeg szybko ukończył pozostałą część toalety i dumnie wymaszerował z pokoju owinięty w obszerną kurtę pilota, dzierżąc w ręku harpun jak marszałkowską buławę.

ROZDZIAŁ V
ŚNIADANIE

Szybko udałem się w jego ślady i zszedłszy do szynku, uprzejmie zagadnąłem oberżystę. Nie żywiłem wobec niego żadnych nieprzyjemnych uczuć, choć niezgorszego mi spłatał figla w związku z mym towarzyszem łoża.

Dobry śmiech to jednakże wyborna rzecz i w dodatku raczej zbyt rzadka; tym gorzej, że tak jest. A więc jeśli ktokolwiek może swą własną osobą dostarczyć komuś materiału do przedniego żartu, niechże się nie wzdraga, ale niech, z tego sam pogodnie korzysta i pozwoli innym wykorzystać się w ten sposób.

Bądźcie też pewni, że w człowieku, który ma w sobie jakiś rys godny szczodrego śmiechu, tkwi coś więcej, niż się tego może spodziewacie.

Szynk już był pełen gości, którzy przybyli ubiegłej nocy i którym jeszcze się dotąd dobrze nie przyjrzałem. Niemal wszyscy byli wielorybnikami; pierwszymi, drugimi czy trzecimi oficerami, cieślami okrętowymi, pokładowymi bednarzami, morskimi kowalami, harpunnikami i dozorcami statków; krzepka i ogorzała kompania o krzaczastych brodach, obrośnięta, niestrzyżona banda przybrana w marynarskie kurty miast rannych szlafroków.

Można było dość dokładnie określić, od jak dawna każdy z nich przebywa na lądzie. Zdrowe policzki tego tu młodzieńca podobne są w kolorze do gruszki nagrzanej promieniami słońca; zdaje się, że muszą wydawać równie pyszną woń. Nie mógł wylądować dawniej niż trzy dni temu po swoim rejsie do Indii. Mężczyzna obok niego wydaje się o kilka tonów

jaśniejszy; można by powiedzieć, iż cera jego ma coś z odcienia drzewa satynowego. Na obliczu trzeciego błąka się jeszcze tropikailna opalenizna, jednak już nieco zbielała; ten z pewnością przebywa na lądzie od całych tygodni. Lecz któż mógłby pokazać taki policzek jak Queequeg? Policzek, który, znaczony różnorodnymi barwami, zdaje się jak zachodnie stoki Andów ukazywać za jednym zamachem, strefa przy strefie, kontrastujące klimaty.

— Do jadła! — zakrzyknął właśnie oberżysta rozwierając na oścież drzwi; udaliśmy się więc na śniadanie.

Mówią, że ludzie, którzy świat zjeździli, zyskują przez to pełną swobodę bycia, stają się opanowani w towarzystwie. Nie zawsze jednak; Ledyard, wielki podróżnik z Nowej Anglii, oraz Mungo Park ze Szkocji odznaczali się w bawialni najmniejszą ze wszystkich pewnością siebie. Ale też może i zwykłe przemierzenie Syberii w sankach ciągnionych przez psy, czego dokonał Ledyard, lub długa, samotna wędrówka o pustym żołądku poprzez murzyńskie serce Afryki, do czego sprowadzały się wyczyny biednego Mungo — to rodzaj podróży, powiadam, który nie jest najdoskonalszym sposobem osiągnięcia wielkiego towarzyskiego poloru. Jednakże w większości wypadków przymiot tego rodzaju można nabyć gdziekolwiek bądź.

Refleksje powyższe wywołała okoliczność, że gdy już wszyscy zasiedliśmy za stołem, a ja gotowałem się na wysłuchanie jakichś dobrych opowieści o połowach wielorybów, ku niemałemu mojemu zdziwieniu niemal wszyscy zachowywali głębokie milczenie. Mało tego; wyglądali na zaambarasowanych. Tale; oto zebrała się tu czereda wilków morskich, z których wielu na pełnym morzu bez cienia nieśmiałości uderzało na olbrzymie wieloryby — całkowicie im nieznajome — i bez zmrużenia oka, potykało się z nimi w śmiertelnym pojedynku; a przecie siedzieli tu za stołem przy wspólnym śniadaniu — wszyscy złączeni tym samym powołaniem i pokrewnymi upodobaniami — spoglądając wzajem na siebie nieporadnie, jak gdyby nigdy się nie oddalali

od jakowegoś pastwiska wśród Gór Zielonych. Ciekawy to był widok, te bojaźliwe niedźwiedzie, ci nieśmiali a wojowniczy wielorybnicy!

Co zaś do Queequega — no, ten siedział tam między nimi zimny jak sopel lodu — i to u samej góry stołu; tak się akurat przydarzyło. Nie ma dwóch zdań, że nie mógłbym powiedzieć wiele dobrego o jego wychowaniu. Nawet największy jego wielbiciel nie potrafiłby usprawiedliwić faktu, iż zabrał on z sobą na śniadanie harpun i używał go bez żadnej ceremonii sięgając nim przez stół po befsztyki, co bezpośrednio *zagrażało* głowom współbiesiadników. Czynił to jednakże bez wątpienia ogromnie chłodno i spokojnie, a każdy wie, że zdaniem większości ludzi, robić coś w sposób chłodny, znaczy robić to wykwintnie.

Nie będziemy tu mówić o wszystkich osobliwościach Queeque-ga; o tym, jak unikał kawy i gorących bułeczek poświęcając niepodzielnie uwagę owym swoim prawie surowym befsztykom. Dość powiedzieć, że gdy śniadanie się skończyło, a ja wyskoczyłem na przechadzkę, on wycofał się wraz z innymi do izby ogólnej, zapalił fajkę-tomahawk i zasiadł w swym nieodłącznym kapeluszu na głowie, spokojnie oddając się trawieniu i paleniu.

ROZDZIAŁ VI
ULICA

Choć doświadczyłem zdumienia widząc po raz pierwszy tak dziwaczne indywiduum jak Queequeg obracające się pośród kulturalnej społeczności cywilizowanego miasta, zdumienie owo rychło mnie opuściło, gdy udałem się na pierwszą przechadzkę przy dziennym świetle po ulicach Nowego Bedfordu.

Każdy znaczniejszy port morski często daje możność ujrzenia na arteriach znajdujących się w pobliżu doków najosobliwszych cudaków z obcych stron. Nawet na Broadwayu i Chestnut śródziemnomorscy majtkowie czasem potrącają przerażone damy. Regent Street nie jest obca Laskarom i Malajom, w Bombaju, w Apollo Green prawdziwi Jankesi nieraz już przestraszyli krajowców. Ale Nowy Bedford bije wszystkie Water Streets czy Wappingi.

W tych ostatnich widuje się tylko marynarzy, natomiast w Nowym Bedfordzie prawdziwi ludożercy stoją gwarząc na rogach ulic; są to zupełne dzikusy, z których wielu nosi jeszcze na swych kościach świętokradcze ciało. Na taki widok obcy przybysz szeroko oczy otwiera.

Ale oprócz mieszkańców Fidżi i Tongatabu, prócz Erromangoanów, Pannangian i Briggiańczyków, oprócz dzikich okazów wielorybników wałęsających się po ulicach bez zwracania niczyjej uwagi, możecie tu zobaczyć inne widoki, jeszcze ciekalwsze, a z pewnością bardziej zabawne. Co tygodnia przybywają do tego miasta dziesiątki niedoświadczonych chłopaków z Vermontu i New Hampshire, spragnionych zysku i chwały na polu rybołówstwa. Są to

przeważnie mężczyźni młodzi, o krzepkiej budowie; chłopy, które zwalały lallsy, a teraz pragną odrzucić topór i wziąć się za wielorybniczą lancę. Wielu z nich jest jeszcze zupełnie niedojrzałych, równie zielonych jak owe Góry Zielone, z których przybywają. W niektórych sprawach wiek ich wydaje się nie przekraczać kilku godzin. Popatrzcie tylko na tego chłopaka skręcającego za róg ulicy. Ma on bobrowy kapelusz i kurtkę w kształcie jaskółczego ogona, przepasaną marynarskim pasem, u którego zwisa nóż w pochwie. A oto nadchodzi inny w brezentowym żeglarskim kapeluszu i płaszczu z bombazyny.

Żajden miejski dandys nie może się równać z wiejskim elegantem — mam na myśli takiego eleganta od krów, który w okresie kanikuły będzie kosił swoje dwa akry w kozłowych rękawiczkach z obawy, by nie opalić sobie dłoni. Kiedy taki wiejski wytworniś uprze się, że musi sobie zdobyć świetną reputację, i kiedy zabierze się do wielorybnictwa — wtedy warto widzieć, co za komiczne rzeczy wyprawia przybywszy do portu. Zamawiając morski strój, każe sobie przyszyć guziki ze spiżu do kamizelek oraz strzemiączka do płóciennych spodni. Ach, biedna Kopko Siana! Jakże sromotnie popękają ci owe strzemiączka w pierwszą wyjącą dmę, kiedy razem z twoimi guzikami i strzemiączkami wtłoczony zostaniesz w gardziel nawałnicy!

Nie sądźcie jednak, że to słynne miasto ma do pokazania zwiedzającym tylko harpunników, ludożerców i prostaków. Bynajmniej. W ogóle Nowy Bedford to dziwne miejsce. Gdyby nie my, wielorybnicy, ów szmat ziemi byłby dziś może w równie opłakanym stanie jak wybrzeże Labradoru. A i tak nawet, pewne jego okolice wystarczą, by kogoś przerazić, do tego stopnia są wynędzniałe. Samo miasto to może najkosztowniejsze miejsce pomieszkania w całej Nowej Anglii. Prawda, że to kraina oleju, ale przecie niepodobna do Kanaan, będącego krajem ziarna i wina. Ulice nie spływają mlekiem, a wiosną nie brukuje się ich świeżymi jajami. Mimo to jednak nigdzie w całej Ameryce nie znajdzie się większej liczby domów godnych patrycjuszy, parków i ogrodów bujniejszych niż w

Nowym Bedfordzie. Skąd się wzięły? Jakże je zasadzono w tym niegdyś tak chudym, żużlem pokrytym kraju?

Pójdźcie popatrzeć na żelaizne emblematy harpunów wokół owego wyniosłego budynku, a znajdziecie odpowiedź na swoje pytanie. Tak, wszystkie te okazałe domy i kwietne ogrody z Atlantyku, Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego biorą swój początek. Każdy z nich został tu ściągnięty harpunem z dna morskiego. Czyż sam Aleksander potrafiłby dokonać podobnego czynu?

Mówią, że w Nowym Bedfordzie ojcowie rodzin dają córkom w posagu wieloryby, a każdą ze swych siostrzenic obdarowują kilkoma delfinami. Po to, by ujrzeć świetne weselisko, winniście udać się do Nowego Bedfordu, bowiem, jak powiadają, są tam w każdym domu rezerwuary oleju i co wieczór wypala się rozrzutnie ile wola świec olbrotowych.

W czas lata miasto uroczy przedstawia widok; pełno tam wspaniałych jaworów, tworzących długie aleje z zieleni i złota. W sierpniu zaś strzeliste, piękne i bujne kasztany, kandelabrom podobne, wyciągają do przechodnia proste, spiczaste stożki zbitego kwiecia. Tak wszechmocną jest sztuka, która w wielu dzielnicach Nowego Bedfordu przykryła pysznymi terasami z kwiatów jałowe odpadki skalne odrzucone na bok w ostatnim dniu Stworzenia.

A kobiety z Nowego Bedfordu kwitną jak ich własne czerwone róże. Wszelako róże kwitną jedynie w lecie, natomiast cudna karnacja tych kobiet jest wiecznotrwała jak światło słoneczne na siódmym niebie. Nigdzie nie potraficie znaleźć równego rozkwitu, chyba w Salem, gdzie, jak mi powiadano, młode dziewczyny mają oddech tak wonny, że ich kochankowie-marynarze wyczuwają je o całe mile od lądu, jak gdyby zbliżali się do pachnących Moluków, a nie do owych purytańskich piasków.

ROZDZIAŁ VII
KAPLICA

W tymże Nowym Bedfordzie znajduje się Kaplica Wielorybników i niewielu jest takich posępnych rybaków, którzy by nie odwiedzili owego miejsca w dzień niedzielny mając niebawem wyruszyć na Ocean Indyjski czy Spokojny. Ja w każdym razie nie omieszkałem tego uczynić.

Powróciwszy z pierwszej porannej przechadzki wybiegłem znowu, specjalnie w tym celu. Niebo, przedtem czyste i mroźnie słoneczne, okryło się mgłą i poczęło mieść śniegiem pomieszanym z deszczem. Owinąwszy się w mą włochatą kurtę z sukna zwanego „niedźwiedzie futro" torowałem sobie drogę poprzez nieustępliwą zawieję. Wszedłszy do kaplicy znalazłem tam niewielką, rozproszoną grupkę wiernych składającą się z marynarzy, ich żon i wdów po żeglarzach. Panowała tu głucha cisza przerywana tylko od czasu do czasu wyciem nawałnicy. Każdy z milczących wiernych zdawał się rozmyślnie zajmować miejsce z dala od drugiego, jak gdyby wszelka milcząca boleść była wyspiarska i nieprzekazywalna. Kapelan jeszcze nie przybył i te milczące wysepki mężczyzn i kobiet siedziały, uparcie spoglądając na kilka marmurowych, czarno obrzeżonych tablic wmurowanych w ścianę po obu stronach kazalnicy. Trzy z nich miały napisy o mniej więcej następującym brzmieniu, choć nie twierdzę, że cytuję dosłownie:

Poświęcono pamięci Johna Talbota
który w wieku lal osiemnastu zginął na morzu
opodal wyspy Desolation, w pobliżu Patagonii

1 listopada 1836
tę tablicę
wmurowała dla uczczenia jego pamięci
siostra

Poświęcono
pamięci
Roberta Longa, Willisa Ellery,
Natana Colemana, Waltera Canny, Setha Macy
oraz Samuela Gleiga
którzy stanowiąc załogę jednej z szalup
statku Eliza
zostali odciągnięci przez wieloryba i zaginęli
na łowiskach, przybrzeżnych
Oceanu Spokojnego
31 grudnia 1839
ta marmurowa tablica
została tu umieszczona przez ich ocalałych
towarzyszy

Poświęcono
pamięci
kapitana Ezechiela Hardy
który na dziobie swej łodzi został zabity
przez kaszalota u wybrzeży Japonii
3 sierpnia 1833
tą tablicą
wmurowała, by uczcić jego pamięć,
wdowa

Strząsnąłem mokry śnieg ze szklącego się lodem kapelusza i kurty, zasiadłem opodal drzwi i obróciwszy się w bok ujrzałem ku swemu zdziwieniu siedzącego przy mnie Queequega. Przejęty powagą miejsca miał twarz zdziwioną, zaciekawioną i pełną niedowierzania. Ten dziki był jedynym z obecnych, który zdał się zauważyć moje przybycie; był bowiem jedynym tu

człowiekiem nie znającym liter, a zatem nie odczytywał owych lodowatych napisów na ścianie. Nie wiem, czy między zebranymi wiernymi znajdowali się jacyś krewni marynarzy, których nazwiska tam widniały, ale w czasie połowów bywa tak wiele niezapisanych wypadków, a w rysach twarzy obecnych tu kobiet, jeśli nawet nie w ich szatach, malowała się tak wyraźnie nieustająca, żałoba, iż miałem pewność, że oto tu przed oczami moimi zgromadzili się ci, w których niezagojonych sercach widok owych tablic posępnych na nowo rozkrwawia żalem stare rany.

O wy, których zmarli spoczywają pod zieloną murawą, wy, którzy stojąc wśród kwiatów powiedzieć możecie: „tutaj, tu leży mój umiłowany!" Nie znacie strapienia, które gości w takich sercach. Ileż gorzkich niedomówień na tych czernią obrzeżonych marmurach, co żadnych nie kryją prochów! Jakaż rozpacz w owych oschłych napisach! Co za śmiertelna pustka, jaki mimowolny brak wiary w tych wierszach, co wszelką wiarę unicestwiać się zdają odmawiając zmartwychpowstania istotom, które zginęły nie wiedzieć gdzie, pozbawione grobu. Tajblice te mogłyby równie dobrze stanąć w pieczarze Elefanty jak tutaj.

Do któregoż spisu żywych zaliczeni są zmarli rodzaju ludzkiego; czemu to powszechnie znane przysłowie powiada o nich, że nic nie mówią, choć znają więcej tajemnic niż piasku Goodwinu ; jak się to dzieje, że do imienia kogoś, kto wczoraj odszedł na tamten świat, dodajemy tak znaczące i pełne niewiary słowo, a jednak nie obdarzamy go podobnym tytułem, jeśli wyrusza w podróż do najodleglejszych Indii tej ziemi żywych; czemu towarzystwa ubezpieczeń wypłacają stawki od śmierci nieśmiertelnych; w jakim to wieczystym, niezakłóconym odrętwieniu, w jakim śmiertelnym, beznadziejnym bezwładzie spoczywa dotąd pradawny Adam, który pomarł okrągłe sześćdziesiąt stuleci temu; jak się to dzieje, że ciągle nie chcemy się utulić po stracie tych, o których przecie utrzymujemy, iż zaznają niewypowiedzianej szczęśliwości; dlaczego wszyscy żyjący takie czynią wysiłki, by

stłumić, głosy zmarłych; czemuż jedna pogłoska o tym, że coś zakołatało w jakimś grobowcu, pogrąża w przerażeniu całe miasto? Wszystkie te sprawy nie są pozbawione głębszego znaczenia.

Ale wiara, jak szakal, żeruje pośród grobów i nawet z tych śmiertelnych wątpliwości czerpie najżywotniejszą nadzieję.

Nie trzeba opisywać, z jakim uczuciem patrzałem na te marmurowe tablice w przeddzień wyjazdu do Nantucket i w mrocznym świetle pociemniałego, ponurego dnia odczytywałem losy wielorybników, którzy odeszli przede mną. Tak, Izmaelu, ten sam los może stać się twoim udziałem. Ale jakoś rozpogodziłem się znowu. Rozkoszna to zachęta do wyprawy, wyborne perspektywy awansu, jak się zdaje; zaiste, strzaskana łódź da mi patent na nieśmiertelność. Tak, śmierć tkwi w tym wielorybniczym rzemiośle — bezmowne, szybkie, chaotyczne załadowanie człeka do Wieczności. Ale co potem? Coś mi się widzi, żeśmy się grubo pomylili w tych sprawach Życia i Śmierci. Coś mi się widzi, że to, co tu, na ziemi, nazwano moim 'cieniem, jest moją właściwą treścią. Tak mi się wydaje, że gdy oglądamy rzeczy duchowe, zbyt się upodabniamy do ostryg, które przypatrując się słońcu poprzez wodę, sądzą, że ta zwarta toń jest najprzejrzystszym powietrzem. Zdaje mi się, że ciało moje to jedynie osad lepszej części mojej istoty. Toteż niech ciało moje zabiera, kto zechce, niech je zabiera, powtarzam; ono mną nie jest. I dlatego niech żyje Nantucket! A strzaskanie łodzi i strzaskanie ciała niech przyjdzie kiedy wola; albowiem duszy mojej nawet sam Jowisz roztrzaskać nie jest w stanie.

ROZDZIAŁ VIII
KAZALNICA

Nie siedziałem tam zbyt długo, gdy do kaplicy wszedł jakiś mężczyzna czcigodnej, krzepkiej postaci. Ledwie zatrzasnęły się za nim tairgnięte wichrem drzwi, a już spieszne i pełne szacunku spojrzenia, rzucone nań przez wszystkich zgromadzonych, dostatecznie przyświadczyły, że ten zacny starzec jest właśnie kapelanem. Tak, był to ów słynny Ojciec Mapple, nazywany tak przez wielorybników, których był wielkim ulubieńcem. Ongiś w młodości był marynarzem i harpunnikiem, lecz od wielu już lat poświęcił życie kapłaństwu. W czasie, który opisuję, Ojciec Mapple przeżywał właśnie pełną tężyzny zimę zdrowej starości, tego rodzaju starości, co zdaje się przechodzić w drugą, kwitnącą młodość; albowiem między licznymi bruzdami jego zmarszczek przeświecały łagodne błyski panownego kwitnienia — niby wiosenna zieleń, która przeziera nawet poprzez lutowe śniegi. Nikt, kto uprzednio zasłyszał jego historię, nie mógł oglądać Ojca Mapple po raz pierwszy bez najwyższego zaciekawienia, ile że tkwiły w nim pewne, jak na kapłana, osobliwości, które należało położyć na karb pełnego przygód żeglarskiego życia, jakie wiódł niegdyś. Zauważyłem, kiedy wszedł, że nie miał parasola i z pewnością nie przybył tu karetą, gdyż jego brezentowy kapelusz ociekał topniejącym śniegiem, a obszerna kurta z grubego marynarskiego sukna zdawała się niemal przytłaczać go do ziemi brzemieniem wody, którą przesiąknęła. Jednakże zdjął kolejno kapelusz, kurtę oraz kalosze i zawiesiwszy zwierzchnią odzież w pobliskim wolnym kącie, ubrany przyzwoicie, zbliżył się spokojnie do kazalnicy.

Jak większość staroświeckich kazalnic, była ona bardzo wyniosła, a ponieważ zwykłe schody wznosząc się do podobnej wysokości utworzyłyby długi kąt z podłogą, przez to poważnie uszczuplając i tak już niewielką przestrzeń kaplicy, architekt żar stosował się snadź do wskazówek Ojca Mapple i pozostawił kazalnicę bez schodów zastępując je pionową, boczną drabinką, podobną do tych, jakich używa się przy wchodzeniu z łodzi na pokład okrętu. Małżonka, któregoś z wielorybniczych kapitanów wyposażyła kaplicę w ładną parę linek z czerwonych włókien, przeznaczonych na poręcze dla owej drabinki, która pięknie u góry zakończona, bejcowana na kolor mahoniu, w całości nie wydawała się bynajmniej w złym guście, zwłaszcza gdy się wzięło pod uwagę, jakiego rodzaju to była kaplica. Ojciec Mapple zatrzymał się na chwilę u stóp drabinki, ujął oburącz ozdobne gałki linek, rzucił w górę spojrzenie, a następnie z prawdziwie marynarską, choć nie pozbawioną dostojeństwa zwinnością, chwytając kolejno coraz wyżej dłońmi poręcze, wspinał się po stopniach, jak gdyby wstępował na mars głównego masztu swego okrętu.

Pionowe części drabinki, jak to zwykle bywa z drabinkami wiszącymi, sporządzone były z obszytej suknem liny; tylko stopnie miała drewniane, a przy każdym z nich umieszczone było wiązadło. Gdy po raz pierwszy rzuciłem okiem na kazalnicę, nie uszło mojej uwagi, że owe wiązadła, jakkolwiek stosowne na okręcie, w tym wypadku wydawały się zbędne. Nie byłem bowiem przygotowany na to, że Ojciec Mapple znalazłszy się na górze obróci się z wolna i wychylony przez poręcz starannie wciągnie stopień za stopniem drabinkę, która złożona w całości wewnątrz kazalnicy czyniła go nietykalnym w owej małej fortecy.

Zastanawiałem się czas pewien, nie bardzo rozumiejąc, jaki był powód po temu. Ojciec Mapple cieszył się tak powszechną opinią prostoty i świątobliwości, iż nie mogłem go podejrzewać o zdobywanie sobie rozgłosu przez zwykłe teatralne sztuczki. „Nie — pomyślałem — musi być jakaś rozsądna tego przyczyna; co więcej, musi to symbolizować coś niedostrzegalnego. Czy aby

owym aktem fizycznej izolacji nie chce on zaznaczyć swego duchowego oderwania się na tę chwilę od wszelkich zewnętrznych, światowych więzów i stosunków? Tak, pojmuję; owa kazalnica„ napełniona chlebem i winem Słowa, jest dla wiernego sługi bożego twierdzą samą w sobie — wyniosłym Ehrenbreitsteinem o wieczystym źródle wody bijącym wewnątrz murów."

Ale drabinka nie była jedyną osobliwością owego miejsca, zapożyczoną z dawnych morskich wędrówek kapelana. Pomiędzy marmurowymi kenotafami, umieszczonymi po obu stronach kazalnicy, ściana stanowiąca jej tło przyozdobiona była wielkim malowidłem, na którym wspaniały okręt zmagał się ze straszliwą nawałnicą, gnającą go na czarne skały okryte śnieżną kipielą bałwanów. A wysoko ponad rozpędzonymi obłokami i przetaczającą się czarną chmurą unosiła się mała wysepka słonecznego blasku, z której jaśniało oblicze anioła, ta zaś świetlista twarz rzucała na pokład skołatanego okrętu wyraźną promienistą plamę, nieco podobną do owej srebrnej płytki wprawionej obecnie w deski pokładu „Victory" w miejscu, gdzie padł Nelson. „Ach, szlachetny korabiu — zdawał się mówić anioł — walcz, walcz dalej, o ty wspaniały okręcie; niechaj cię wiedzie twój śmiały ster — albowiem spójrz! Oto już słońce przeziera, chmury pierzchają i najpogodniejszy lazur wrychle się ukaże."

Kazalnica również nie była pozbawiona śladów tego samego marynarskiego smaku, którego wytworem była drabinka i obraz. Jej zdobiony filungami przód wykonano na podobieństwo pionowego dziobu okrętu, a Pismo święte spoczywało na zawile ornamentowanym występie naśladującym rzeźbioną sztabę przednią.

Cóż mogło być bardziej wymowne? Przecie kazalnica jest zawsze najbardziej w przód wysuniętą częścią tej ziemi; wszystko inne postępuje za nią — kazalnica prowadzi świat. Stamtąd właśnie najpierw się postrzega burzę żywego gniewu bożego i ten dziób musi wytrzymać pierwsze jej uderzenie. Stamtąd właśnie zanosi się wezwanie do Boga, który włada,

dobrym i złym wiatrem, by zesłał nam wiatr pomyślny. Tak, świat jest okrętem, który wypłynął w podróż, w rejs bez końca, a kazalnica jest jego dziobem.

ROZDZIAŁ IX
KAZANIE

Ojciec Mapple powstał i spokojnym, władczym, choć nie zuchwałym głosem nakazał rozproszonym ludziom, by się skupili pod kazalnicą.

— Wy z tamtego przejścia od sterbortu! Zbliżcie się do bakbortu! Ci z przejścia od bakbortu do tych ze sterbortu! Wszyscy na śródokręcie, na śródokręcie!

Między ławkami rozległo się przyciszone szuranie ciężkich butów marynarskich oraz delikatniejszy szelest trzewików kobiecych, po czym znowu zapadła, cisza, a oczy wszystkich zwróciły się na kaznodzieję.

Ten milczał przez chwilę, następnie przyklęknął w dziobie kazalnicy, złożył swe wielkie ogorzałe dłonie na piersiach, wzniósł przymknięte oczy i począł się modlić tak głęboko i żarliwie, iż zdało się, że klęczy i modli się na dnie morza.

Skończywszy modlitwę, głosem przeciągłym i uroczystym, podobnym do ustawicznego dźwięczenia dzwonu na okręcie tonącym na morzu pośród mgły — takim właśnie tonem począł odczytywać następujący hymn; przy końcowych strofach głos jego zmienił jednak brzmienie i buchnął grzmiącym tryumfem i radością:

Nade mną groźne żebra wieloryba
Tworzyły mroku strasznego sklepienie,
Gdy fale, złote słońcem bożym, gnały
Mimo, wciągając mnie w głąb na stracenie.

Rozwartą gardziel widziałem piekielną,

Co mnie wnet mnóstwem mąk, cierpień osaczy;
Tylko kto czuł je, wyrazić je zdoła —
I pogrążyłem się cały w rozpaczy.

W srogim strapieniu wzniosłem głos do Boga,
Co go zwać moim ledwo mogłem chyba,
Lecz on nakłonił do mej prośby ucha —
I już nie jestem więźniem wieloryba.

Jak na promiennym niesiony delfinie
Pan mi najspieszniej pomocy udziela;
Strasznie, lecz jasno jako błyskawica
Lśniła twarz mego Boga — Zbawiciela.

Niechaj pieśń moja uwieczni godzinę
Tego strasznego dnia i radosnego;
Chwała mojemu Bogu niechaj będzie
I miłosierdziu, i potędze Jego.

Niemal wszyscy połączyli swe głosy i hymn wzbił się wysoko ponad wycie wichru. Nastąpiła teraz krótka chwila ciszy; kaznodzieja z wolna przewracał kartki Biblii i wreszcie, położywszy rękę na właściwej stronie, rzekł:

Umiłowani koledzy żeglarze, zarzućcie linę na ostatni wiersz pierwszego rozdziału z Jonasza: „I przysposobił Pan rybę wielka żeby połknęła Jonasza".

Koledzy marynarze, ta oto księga, ledwie cztery zawierająca rozdziały — cztery nici — jest jednym z najdrobniejszych włókien w potężnej linie Pisma świętego. Wszelako jakież to głębiny duszy sonduje dalekosiężna lina Jonaszowa! Jakże brzemienna w skutki jest nauka, której udziela nam ten prorok! Jak wzniosły jest ów hymn zanoszony z trzewi wieloryba! Jakże burzliwy i wspaniały, bałwanom morskim podobny! Czujemy, jak odmęty piętrzą się nad nami, wraz z nim pogrążamy się na muliste dno wód; otacza nas morska trawa i wszystek szlam morza! Ale jakiejże to nauki udziela nam ona księga

Jonaszowa? Dwojaka to nauka, koledzy marynarze, nauka dla nas wszystkich, jako ludzi grzesznych, a wraz i nauka dla mnie, który jestem pilotem Boga żywego. Jest ona nauką dla nas wszystkich, którzyśmy grzeszni, albowiem powiada o grzechu, zatwardziałości serca, o nagle zbudzonej trwodze, rychliwej karze, o skrusze, modlitwie i na koniec o wybawieniu i radości Jonasza. Podobnie jak to bywa ze wszystkimi grzesznikami spośród ludzi, grzech onego syna Amittaja polegał na samowolnym nieposłuszeństwie wobec rozkazu Bożego — mniejsza teraz o to, jakim był ów rozkaz i w jaki został przekazany sposób — który on uznał za uciążliwy dla siebie. Wszelalko pomnijcie dobrze, iż wszelkie rzeczy, które z woli Boga czynić winniśmy, są dla nas uciążliwe, i dlatego to częściej On nam rozkazuje, niźli próbuje perswadować. Więc jeśli słuchamy Boga, musimy nie słuchać samych siebie i na tymże właśnie niesłuchaniu polega uciążliwość stosowania się do woli Bożej.

Nosząc w sobie ów grzech nieposłuszeństwa, Jonaisz dalej Bogu urąga usiłując zemknąć przed Nim. Sądzi, iż nawa przez ludzi uczyniona zaniesie go do takowych krain, którymi nie Bóg włada, jeno kapitanowie tej ziemi. Kryje się po przystaniach Joppy i poszukuje okrętu, który by odpływał do Tarsisu. W tym tai się może niedostrzeżone dotychczas znaczenie. Ze wszystkiego wynika, iż Tarsis nie innym był miastem, jak dzisiejszym Kadyksem. Takie jest zdanie ludzi uczonych. A gdzież leży Kadyks, koledzy? Kadyks leży w Hiszpanii, a jest to najodleglejszy kraj, do jakiego Jonasz mógł dotrzeć drogą morską w tych czasach starożytnych, kiedy Atlantyk był morzem niemal nieznanym. Albowiem Joppa, dzisiejsza Jaffa,, znajduje się, koledzy moi, na najdalszym wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, na wybrzeżu syryjskim, Tarsis zaś, czyli Kadyks, leży o przeszło dwa tysiące mii stamtąd w kierunku zachodnim, tuż przy Cieśninie Gibraltarskiej. Czy więc nie postrzegacie, mili moi, iż Jonasz usiłował ujść przed Bogiem przez cały świat szeroki? O, nędzny! O, najgodniejszy pogardy i szyderstwa! W pomiętym kapeluszu, z wejrzeniem

zdradzającym winowajcę, kryje się przed Bogiem swoim, grasuje między okrętami jak nikczemny złodziejaszek, naglony pośpiechem, by się przeprawić za morze. A w takim jest wzburzeniu, tak bardzo sam jego wygląd go piętnuje, iż gdyby w czasach onych istniała policja, Jonasz zostałby pojmany, zanimby stopą dotknął pokładu, po prostu na podstawie podejrzenia o jakąś sprawkę nieczystą. Jakież to jasne, iż jest on zbiegiem! Ani bagażu, ani pudła do kapeluszy, ani walizki czy sakwy podróżnej — ani przyjaciół, którzy by go żegnali na przystani! Nareszcie po wielu przemyślnych poszukiwaniach znajduje odpływający do Tarsisu okręt, na który właśnie ładują ostatnie towary: gdy zaś wkracza na pokład, by w kabinie pomówić z kapitanem, wszyscy majtkowie na chwilę zaprzestają wciągania na okręt ładugi, gdyż zauważyli złowieszcze wejrzenie przybysza. Jonasz to widzi; na próżno jednak usiłuje zachować pozór swobody i pewności siebie; próżno próbuje swego nędznego uśmiechu. Bystre wyczucie marynarzy upewnia ich, że człowiek ów nie jest niewinny. W swój krotochwilny, choć w istocie poważny sposób jeden szepcze do drugiego: „Jack, ten to ograbił wdowę!" albo: „Joe, miej na niego oko, to bigamista!" lub też: „Harry, słuchaj no, chłopie, coś mi się widzi, że to ów cudzołożnik, co wyrwał się z kazamat starej Gomory, albo też jeden ze Zbiegłych morderców z Sodomy!" Inny biegnie odczytać afisz zawieszony na palu nabrzeża, u którego przycumowany jest okręt; afisz ów obiecuje pięćset sztuk złota temu, kto pojmie ojcobójcę, oraz zawiera opis zbrodniarza. Marynarz czyta i spogląda to na afisz, to na nieznajomego, podczas gdy wszyscy jego koledzy pojmując, o co idzie, tłoczą się już wokół Jonasza, gotowi nań rękę położyć. Strwożony Jonasz drży cały, a usiłując przywołać na twarz wszystką pewność siebie, tym bardziej wygląda na tchórza. Nie chce przyznać, iż jest podejrzewany, ale samo to już jest wielce podejrzane. Robi więc, co może, a gdy marynarze stwierdziwszy, iż nie jest tym, którego opisano, przepuszczają go, schodzi na dół do kabiny.

„Kto tam?" — woła kapitan zatrudniony przy biurku pośpiesznym gotowaniem papierów dla urzędu celnego. „Kto tam?" O, jakże owo niewinne pytanie dręczy Jonasza! Już niemal zawraca do ucieczki, ale bierze się w karby. „Pragnąłbym przeprawić się tym okrętem do Tarsisu. Czy rychło odpływacie, panie?" Do tej chwili zajęty pracą kapitan nie patrzał na Jonasza, choć ów stał przed nim; wszelako ledwie usłyszał głuchy głos, rzuca na przybysza badawcze spojrzenie. „Podnosimy kotwicę z następnym przypływem" — odpowiada wreszcie z wolna, wciąż uważnie na Jonasza spoglądając. „Nie rychlej, panie?" „Dość to rychło dla każdego poczciwego człeka udającego się w podróż." Ha, Jonaszu, oto cię znów ugodzono. Lecz Jonasz szybko odwodzi kapitana od tego tropu. „Popłynę z wami — powiada. — Ile wynosi opłata za przejazd? Zapłacę wam teraz." Albowiem tak to wyraźnie zapisano, bracia moi, jakby to była rzecz, której w historii onej przeoczyć się nie godzi, iż „dał najem jego" wprzódy, nim okręt żagle rozwinął. A w połączeniu z całością wielkiej to nabiera wymowy.

Otóż kapitan Jonasz był, koledzy moi, człekiem, którego roztropność pozwalała mu wykryć występek u każdego, wszelako chciwość ujawniała go jedynie u tych, co są bez grosza. Na tym świecie, najmilsi, Grzech, któren płaci za drogę, może podróżować swobodnie i bez paszportu, ale Cnotę, jeśli jest uboga, na każdej zatrzymają granicy. Zatem kapitan ów gotuje się wybadać objętość Jonaszowej kiesy, zanim go otwarcie osądzi. Każe mu zapłacić sumę trzykrotnie większą niż zazwyczaj. Jonasz na to przystaje. Teraz kapitan wie już, że jest on zbiegiem, lecz jednocześnie postanawia dopomóc w ucieczce, która mości sobie drogę złotem. Wszelako gdy Jonasz sumiennie dobywa sakiewki, podejrzenia poczynają znowu nękać przezornego kapitana. Próbuje dźwięku każdej z monet, w poszukiwaniu podobnej. „Nie jest w każdym razie fałszerzem" — mruczy pod nosem i Jonasz zapisany zostaje na przejazd. „Wskażcie mi mą kajutę, panie — powiada teraz Jonasz. — Utrudzon jestem drogą i snu potrzebuję." „Wyglądasz na to — rzecze kapitan. — Oto twoja kabina,." Jonasz wchodzi

do wnętrza; chętnie by drzwi zamknął, lecz w zamku brak klucza. Kapitan słysząc, jak się tam niezdarnie gmerze, śmieje się z cicha do siebie i coś mruczy o drzwiach cel więziennych, których nigdy nie wolno zamykać od wewnątrz. W ubraniu i pyłem okryty Jonasz, tak jak stoi, rzuca się na koję i czuje, że powała małej kajuty niemal o czoło mu się opiera. Brak tu powietrza i Jonasz oddycha ciężko. I wtedy, w tej ciasnej dziurze, poniżej linii zanurzenia statku, Jonasz doznaje wieszczego przeczucia onej dławiącej godziny, kiedy to wieloryb trzymać go będzie uwięzionego w najwęższym ze swych jelit.

W kabinie Jonasza lampa wisząca, przykręcona na osi do grodzi, lekko się kołysze; a jako że okręt przechylił się ku nabrzeżu pod ciężarem ostatnich bel sukna, które nań załadowano, lampa owa tudzież płomień jej, choć lekko się poruszają, przecie stale zachowują ukośne położenie w stosunku do kabiny. Mimo że w rzeczywistości niechybnie są proste, tym bardziej wskazują, jak fałszywe, jak kłamliwe są wszelkie linie poziome, wśród których zawisły. Lampa niepokoi i trwoży Jonasza, gdy ten spoczywając na swej koi toczy udręczonym wzrokiem po owym pomieszczeniu — i oto ów zbieg, któremu dotąd wszystko szło pomyślnie, nie znajduje oparcia dla swego niespokojnego spojrzenia. Owa sprzeczność, którą dostrzega w lampie, coraz bardziej go przeraża. Podłoga, powała i grodź — wszystko jest krzywe. „Ach — jęczy — tak właśnie zawisło we mnie sumienie moje! Prosto ono płonie; wszelako ściany duszy mojej całe są skrzywione!" Jako ten, który po nocy na pijaństwie spędzonej śpieszy do łóżka, jeszcze się zataczając, atoli już kłuty wyrzutami sumienia; jako rzymski źrebiec wyścigowy, co wyrywając się naprzód, tym boleśniej Wbija w swe ciało stalowe kolce uprzęży; jako ów, który w srogim cierniu kołacze się i kołacze, zamroczon i utrapion wielce, błagając Boga o unicestwienie, dopóki nie minie atak, a nareszcie pośród kłębowiska udręczeń czuje, jak spływa nań głębokie odrętwienie; podobnie jak na człeka, z którego życie wraz z krwią uchodzi (albowiem sumienie jest raną i nie masz,

co by ją zgoić mogło) — tak i Jonasz, po srogim pasowaniu się z sobą na owej koi, czuje, iż ogrom przytłaczającej niedoli pociąga go w otchłań snu.

Lecz oto nadszedł czas przypływu; okręt udający się do Tarsisu odrzuca liny i nie żegnany niczyim okrzykiem sunie cały przechylony na morze oddalając się od opustoszałej przystani. Ów okręt, przyjaciele moi, to pierwszy w dziejach przemytnik! Kontrabandą zaś jest Jonasz. Ale morze się buntuje; nie chce ono nosić tak nikczemnego brzemienia. Nadciąga sztorm straszliwy i okręt bliski jest rozbicia. I oto teraz właśnie, kiedy bosman wzywa całą załogę, aby odciążyć okręt, gdy przez burtę z łoskotem wylatują skrzynie, bale i kadzie, gdy wicher wyje, a ludzie wrzeszczą, każda zaś deska huczy od tupotu nóg tuż nad głową Jonasza — ten wśród onego opętanego zgiełku pogrążon jest w swym śnie ohydnym. Nie widzi czarnego nieba i szalejącego morza, nie czuje, jak drżą szpanty, nie słyszy ani zważa, że oto z oddali sunie potężny wieloryb, który właśnie z rozwartą paszczęką pruje fale w pogoni za nim. Tak, koledzy, Jonasz znajdował się pod ,pokładem, na koi w kabinie, jakem to rzekł, i spał twardo. Wszelako strwożony szyper przybiega doń i wrzeszczy mu w otępiałe ucho: „Cóż sobie myślisz?! Powstańże, człecze śpiący!" Wyrwany z letargu przez ów krzyk okrutny, Jonasz słaniając się wstaje i wybiega na pokład niepewnymi stopy. Tam chwyta się want, by popatrzeć na morze. W tejże jednak chwili, jak pantera, skacze nań poprzez burtę bałwan ogromny. Fala za falą spada tak na okręt, a nie znajdując szybkiego ujścia, z hukiem szoruje od dziobu do rufy, niemal już zatapiając marynarzy, mimo że okręt utrzymuje się jeszcze na powierzchni. A gdy tylko z czerni, która w górze zawisła, blady księżyc ukaże swe ulękłe lico między stromymi rozpadlinami odmętów, osłupiały Jonasz. postrzega wzniesiony bukszpryt, to sterczący wysoko w górę, to znowu rychło w dół się walący ku oszalałej głębinie.

Coraz to nowy lęk krzykiem przeszywa duszę Jonasza. Zbyt już łacno można rozpoznać po jego nikczemnej postawie, że to

zbieg pierzchający przed Bogiem. Marynarze mają nań oko; coraz bardziej utwierdzają się w swych podejrzeniach i na koniec, by w pełni poznać prawdę, odwołują się w owej materii do Niebios wysokich i poczynają rzucać losy chcąc się dowiedzieć, z czyjej to przyczyny owa sroga burza na nich zstąpiła. Los wskazuje Jonasza; kiedy to wykryli, jakże wściekłymi zarzucają go pytaniami; „Czym się trudnisz? Skąd pochodzisz? Jaki kraj twój? Twój naród?" Owóż uważcie teraz, bracia żeglarze, zachowanie biednego Jonasza. Natarczywi majtkowie pytają go jedynie, kim jest i skąd przybywa; otrzymują zaś odpowiedź nie tylko na owe pytania, ale i inną jeszcze, na pytanie, którego nie zadali, odpowiedź nieproszoną, którą wymusza na Jonaszu spoczywająca na nim twarda ręka Boga.

„Jam Hebrajczyk! — woła. I dodaje: — Bojaźń czuję przed Panem i Bogiem Niebios, któren uczynił morze i ląd suchy!" Bojaźń przed Nim czujesz, o, Jonaszu? Zaprawdę, słusznie mogłeś się natenczas lękać Pana Boga! I już nie mieszkając rozpoczyna Jonasz pełną spowiedź, co marynarzy coraz bardziej trwoży, lubo nadal czują litość w sercach swoich. Gdy bowiem Jonasz nie błagając jeszcze Boga o miłosierdzie, jako że zbyt dobrze zna okropność czynów swoich, gdy nieszczęsny Jonasz woła, by go chwycili i wrzucili do morza, ile że pojmuje, iż z jego to powodu przyszła na nich ona potężna nawałnicą — ci miłosiernie się odeń odwracają usiłując ratować okręt innymi sposoby. Wszystko jednak daremnie; coraz to potężnieje ryk srożącego się huraganu; za czym, wzniósłszy błagalnie do Boga jedno ramię, drugim — chociaż niechętnie — chwytają Jonasza.

I owóż popatrzcie, jako Jonasz pochwycon jest na kształt kotwicy i zrzucony w morze; w tejże chwili od wschodu oleista gładź rozpościera się na wodzie, morze cichnie, jako że wraz z Jonaszem niknie i burza pozostawiając za sobą gładką toń. Jonasz opadł na dno w wierze tak nieokiełznanej rozterki, iż nie zauważył nawet, kiedy, cały wzburzony, osunął się w ziejącą paszczę, która nań czeka, i oto wieloryb zatrzaskuje za nim swe zębiska, z których każdy jest jakby białym ryglem Jonaszowego

więzienia. Natenczas Jonasz wznosi do Boga modlitwę z trzewi onego potwora. Lecz przypatrzcie się jego modlitwie i czerpcie z niej ważką naukę. Ponieważ bowiem zgrzeszył tak srodze, Jonasz nie płacze ani lamentuje, nie błaga o natychmiastowe wyzwolenie. Czuje, iż sprawiedliwą jest owa kara straszliwa. Pozostawia swe wybawienie Bogu, zadowalając się tym, że mimo całego cierpienia i udręki ciągle zawraca oczy ku Jego świętemu przybytkowi. I w tym właśnie, bracia żeglarze, jest rzetelna i wiary pełna skrucha, nie wołająca o przebaczenie, ale wdzięczna za karę. A jak bardzo była ona miła Panu Bogu, to się pokazuje po ostatecznym wyzwoleniu Jonasza od morza i wieloryba. Zaprawdę, najmilsi moi, nie stawiam wam przed oczy Jonasza, byście go naśladowali w grzechu jego, ale ukazuję go wam jako wzór skruchy i żalu. Nie grzeszcie; wszelako gdybyście zgrzeszyli, baczcie, byście umieli tak jak on żałować.

Gdy kaznodzieja wymawiał owe słowa, na zewnątrz kaplicy wycie huczącej, opętanej wichury jakby mu dodawało nowej mocy; opisując jonaszową burzę morską sam zdawał się być miotany nawałnicą. Jego szeroka pierś wznosiła się i opadała jak rozkolebane morze; wyciągnięte ramiona podobne były zmagającym się żywiołom, gromy, które toczyły się wokół jego ogorzałego czoła, błyskawice miotane przez oczy — wszystko to sprawiało, iż prostoduszni słuchacze spoglądali nań z dojmującym lękiem, który zazwyczaj był im obcy.

Teraz spokój zawitał na obliczu kapłana, który znowu począł milcząco przerzucać kartki Pisma świętego; po czym przez chwilę stał bez ruchu, z zamkniętymi oczami, snadź rozmawiając z Bogiem i samym sobą.

Lecz oto znowu pochylił się w stronę zebranych i opuściwszy nisko głowę, z wyrazem najgłębszej, choć bardzo męskiej pokory, przemówił w te słowa:

— Bracia żeglarze, Bóg złożył na was jedną tylko ze swych dłoni; na minie zaś spoczywają obydwie. Otom wam wyłożył tę mizerną wiedzę, jaką posiadam, ową naukę, której Jonasz udziela wszystkim grzesznym, więc i wam, a bardziej jeszcze mnie samemu, jako żem większym od was grzesznikiem. Z

jakąż radością zeszedłbym teraz z tego bocianiego gniazda, zasiadł tam na lukach, gdzie wy siedzicie, i słuchał, jako wy słuchacie, podczas gdy któryś z was wykładałby *mnie* tę inną, straszliwą naukę, której Jonasz udziela *mnie,* jako pilotowi Boga żywego. A mianowicie jak to Jonasz, namaszczony pilot-prorok, czyli głosiciel prawdy, otrzymawszy od Pana rozkazanie, by ona niepożądana prawda rozbrzmiała przezeń w uszach rozpustnej Niniwy, uląkł się wrogości, jaką by mógł obudzić, pierzchnął przed posłannictwem owym i usiłował się uchylić od obowiązku swego i umknąć przed Bogiem swoim wsiadając w Joppie na okręt. Lecz Bóg jest wszędzie i Jonasz nigdy nie dotarł do Tarsisu. Jakośmy widzieli, Bóg zstąpił nań poprzez wieloryba i pochłonął go zrzucając do otchłani zatracenia, bystrym spychając zakosem „w głębokości, w serce morza", gdzie wirujące odmęty wessały go na dziesięć tysięcy sążni w głąb, gdzie „wodorosty głowę mu okręciły", a cały wodny świat okropności przetaczał się nad nim. Lecz nawet stamtąd, spoza zasięgu jakiejkolwiek sondy — „z brzucha piekieł" — gdy już wieloryb opuścił się do samego jądra oceanu, nawet wtedy Bóg usłyszał wołanie zamkniętego w czeluści, żałującego za grzechy proroka. I Bóg przemówił do onego wieloryba, który z przenikliwego chłodu i pomroki toni morskiej wychynął na ciepłe i lube słońce, ku wszystkim rozkoszom powietrza i ziemi, oraz „wyrzucił Jonasza na suchą". A oto po raz wtóry ozwał się głos Pana i Jonasz — potłuczeń i sińcami okryty, z uszami jako para muszli morskich jeszcze przepełnionymi mnóstwem szmerów oceanu — wykonał rozkazanie Wszechmocnego. A jakież ono było, bracia moi? Głosić Prawdę na przekór Fałszowi. Takie ono było!

To właśnie, przyjaciele moi, jest owa druga nauka i biada onemu pilotowi Boga żywego, który lekce ją sobie waży. Biada temu, którego świat od ewangelicznego odwodzi obowiązku. Biada temu, kto usiłuje lać oliwę na fale, gdy Bóg rozkolebał je wichurą! Biada takiemu, który usiłuje raczej się przypodobać, niźli lęk budzić. Biada onemu, dla którego własne dobre imię więcej znaczy niż sama dobroć. Biada człekowi, który na tym

świecie nie szuka wzgardy! Biada temu, kto nie pozostanie wierny, nawet gdyby wiarołomstwo było mu ratunkiem! Zaprawdę, biada temu, któren — jak powiada ów wielki pilot Paweł — nauczając innych, sam pozostaje rozbitkiem!

Zwiesił głowę i zamilkł na chwilę, jakby duchem nieobecny; następnie znów podniósł na zebranych oczy, w których ukazała się radość ogromna, i zawołał z niebiańskim uniesieniem:

— Lecz, o, bracia żeglarze, na sterborcie każdego nieszczęścia znajduje się niechybnie szczęśliwość, a większa jest wysokość jej szczytów niźli głębia niedoli. Zaliż szczyt grotmasztu nie znajduje się na wysokości większej niż głębokość zanurzenia kilsonu? Szczęśliwość temu przypadnie — szczęśliwość wielce, wielce wzniosła i wewnętrzna — kto na przekór pysznym bogom i komodorom tej ziemi zawsze i nieugięcie pozostanie sobą. Szczęśliwość temu przypadnie, kogo nadal podtrzymują własne krzepkie ramiona, kiedy korab tego podłego, fałszywego świata już pod nim zatonął. Szczęśliwość do tego należeć będzie, kto nie zna pardonu w walce o prawdę, kto zabija, wypala i niszczy wszelki grzech, choćby go miał wyrwać spod tog senatorów i sędziów. Szczęśliwość — szczęśliwość najwyższa temu, kto nie uznaje nijakiego prawa ani pana nad sobą, krom Boga, kto jest wyłącznie patriotą Niebios. Szczęśliwość temu, którego wszystkie fale i odmęty oceanów burzliwego motłochu nie strącą nigdy z onej bezpiecznej, odwiecznej nawy. Wieczysta szczęśliwość i rozkosz stanie się tego udziałem, kto w chwili zgonu może ostatnim swym tchnieniem rzec: „Ojcze, któryś mi dał się poznać przede wszystkim rózgą swoją — oto umieram, czym śmiertelny, czyli też nieśmiertelny. Usiłowałem należeć do Ciebie bardziej niźli do świata, bardziej niźli do siebie samego. Nic to wszelako nie znaczy; pozostawiam wieczność Tobie, albowiem kimże jest człowiek, by miał żyć tak długo, jak Bóg jego?"

Kaznodzieja nie rzekł już nic więcej, lecz powoli uczynił ręką znak błogosławieństwa, ukrył twarz w dłoniach i tak trwał na klęczkach, dopóki wszyscy nie odeszli pozostawiając go samego w kaplicy.

ROZDZIAŁ X
PRZYJACIEL OD SERCA

Powróciwszy do oberży Pod Wielorybnikiem znalazłem tam osamotnionego Queequega, ponieważ opuścił on kaplicę na czas jakiś przed błogosławieństwem. Siedział przed ogniem na ławie wsparłszy stopy o krawędź paleniska; jedną ręką trzymał tuż przy twarzy swego małego murzyńskiego bożka spoglądając przenikliwie w jego oblicze i lekko ostrugując mu nos kozikiem, a jednocześnie coś nucąc na swą pogańską modłę.

Ponieważ mu przeszkodziłem, odłożył posążek i niebawem podszedł do stołu, z którego wziął dużą księgę. Zasiadł, umieścił ją sobie na kolanach i począł liczyć stronice systematycznie i z zastanowieniem; przy każdej pięćdziesiątej, jak mi się zdawało, zatrzymywał się na chwilę, spoglądał bezmyślnie wokoło i wydawał z siebie przeciągły, bulgoczący gwizd zdumienia. Potem rozpoczął następną pięćdziesiątkę, najwyraźniej zaczynając liczenie od jedynki, jak gdyby nie umiał rachować powyżej pięćdziesięciu, i dopiero znaczna liczba nagromadzonych pięćdziesiątek podniecała jego zadziwienie nad mnogością stronic.

Siedziałem śledząc go z wielkim zainteresowaniem. Choć był takim dzikusem, a twarz miał paskudnie zeszpeconą — na mój gust przynajmniej — jego oblicze miało jednak w sobie coś, co wcale a wcale nie było nieprzyjemne. Nie sposób ukryć duszy. Mimo wszystkich owych niesamowitych tatuażów zdawało mi się, iż dostrzegam w nim oznaki prostego i zacnego serca; a w jego dużych, głębokich oczach, płomiennie czarnych i śmiałych, kryły się niejako znamiona ducha, który potrafiłby rzucić wyzwanie tysiącowi szatanów. A prócz tego w obejściu owego

poganina było coś tak bardzo górnego, że nawet jego nieokrzesanie nie potrafiło tego całkowicie zagłuszyć. Wyglądał na człowieka, który nie płaszczył się nigdy i nigdy nie miał wierzyciela. Nie próbuję rozstrzygać, czy to dzięki zgoleniu włosów czoło jego odcinało się swobodniejszą i doskonalszą wypukłością wyglądając na bardziej rozłożyste, niż gdyby miał czuprynę; pewne jest jednak, iż frenologicznie głowa jego była znakomita. Może się to wydać śmieszne, ale przypominała mi głowę generała Waszyngtona, taką, jaką się widuje na popularnych popiersiach. Miała tę samą regularnie stopniowaną, cofającą się pochyłość, która zaczynała się ponad brwiami, równie silnie wysuniętymi, niby dwa gęsto na szczycie zadrzewione wzgórza.

Queequeg był to Jerzy Waszyngton w kanibalskim wydaniu.

Podczas gdy tak bacznie go obserwowałem, na wpół tymczasem udając, że wyglądam przez szyby na zawieję, on w ogóle nie zwracał uwagi na moją obecność, nie zadając sobie nawet tyle trudu, by rzucić na mnie choć jedno spojrzenie; zdawał się być całkowicie pochłonięty liczeniem stronic owej cudownej księgi. Zważywszy, w jak przyjemny sposób przespaliśmy razem noc ubiegłą, a zwłaszcza pomnąc owo czułe ramię, które rankiem, przy obudzeniu, znalazłem zarzucone na siebie, pomyślałem, iż ta jego obojętność wielce jest osobliwa. Ale dzicy to dziwne istoty; czasami nie wiadomo właściwie, jak ich należy rozumieć. Zrazu przejmują grozą; ich spokojne skupienie i prostota wydają się sokratyczną mądrością. Zauważyłem również, że Que-equeg nigdy albo prawie nigdy nie zadawał się z innymi żeglarzami w zajeździe. Nie czynił nikomu żadnych awansów; nie żywił snadź chęci rozszerzenia kręgu swoich znajomości. To wszystko uderzyło mnie jako wielce szczególne, jednakże po namyśle uznałem, iż jest w tym coś niemal wzniosłego. Tu oto był człowiek oddalony o jakieś dwadzieścia tysięcy mil od swego domu licząc przez Przylądek Horn, oczywiście — jako że była to droga, którą mógł się tam dostać — rzucony pomiędzy ludzi równie mu obcych, jak gdyby się znalazł na planecie Jowisz; a przecież zdawał się

czuć zupełnie swobodnie, zachowywał najwyższą pogodę ducha, zadowalał się własnym towarzystwem, zawsze zrównoważony wobec samego siebie. Była w tym z pewnością odrobina jakiejś subtelnej filozofii, choć bez wątpienia on sam nigdy nie słyszał, iż istnieje coś podobnego. Ale może na to, żeby się stać prawdziwymi filozofami, my, zwykli śmiertelnicy, nie powinniśmy być świadomi, że do tego dążymy czy że tak żyjemy. Gdy tylko słyszę, iż ten czy ów podaje się za filozofa, wnioskuję zaraz, że podobnie jak owa staruszka cierpiąca na niestrawność, musiał zrujnować sobie żołądek.

Gdy tak siedziałem w tej opustoszałej teraz izbie, a ogień palił się małym płomieniem, osiągnąwszy owo łagodne stadium, kiedy po pierwszym natężeniu ogrzał powietrze i teraz żarzy się już tylko dla oka; gdy wieczorne cienie i zwidy gromadziły się wokół okiennych framug i spozierały na naszą milczącą, samotną dwójkę, na dworze zaś nawałnica nabrzmiewała uroczystym pomrukiem — wtedy to począłem zdawać sobie sprawę z dziwnego uczucia. Czułem mianowicie, iż coś we mnie topnieje.

Już moje rozdarte serce i dłoń oszalała nie zwracały się przeciw temu wilczemu światu. Ów kojący dzikus przyniósł ze sobą odkupienie. Oto siedział tam, a nawet jego obojętność mówiła o naturze, w której nie czai się żadna cywilizowana hipokryzja ani gładkie oszustwo. Był dziki; przedstawiał najbardziej niepospolity widok, a jednak zacząłem doń odczuwać tajemniczy pociąg. Te same rzeczy, które by odpychały większość innych ludzi, stanowiły właśnie magnes, który mnie przyciągał. „Pokosztuję pogańskiego druha — pomyślałem — skoro życzliwość chrześcijańska okazała się tylko pustą kurtuazją." Przysunąłem do niego ławkę i uczyniłem kilka przyjaznych gestów i znaków robiąc jednocześnie, co było w mojej mocy, aby nawiązać z nim rozmowę. Zrazu niewiele zwracał uwagi na owe awanse, lecz niebawem, gdy napomknąłem coś o jego zeszłonocnej gościnności, dał mi do zrozumienia, że pragnie wiedzieć, czy mamy znowu być towarzyszami łoża.

Odpowiedziałem, że tak, co, jak mi się zdawało, sprawiło mu przyjemność, a może nawet pochlebiło mu nieco.

Następnie poczęliśmy razem przeglądać książkę, ja zaś usiłowałem wyjaśnić mu jej przeznaczenie oraz sens kilku ilustracji, jakie się w niej znajdowały. W ten sposób niebawem obudziłem jego zainteresowanie i z kolei wdaliśmy się, jak umieliśmy, w pogawędkę na temat rozmaitych widoków, które można było obejrzeć w tym sławnym mieście. Wkrótce zaproponowałem, byśmy coś razem zakurzyli; Queequeg więc, dobywszy swego woreczka z tytoniem i tomahawka, spokojnie mi go podsunął, bym się zaciągnął. Siedzieliśmy tak pykając na zmianę z tej jego cudacznej fajki, która regularnie między nami krążyła.

Jeżeli w piersi poganina taił się jeszcze jakiś lód obojętności w stosunku do mojej osoby, to nasze przyjemne, wspólne palenie rychło go stopiło czyniąc z nas druhów. Najwyraźniej odnosił się do mnie równie naturalnie i bez przymusu jak ja do niego; a kiedy skończyliśmy palić, przycisnął swe czoło do mojego, objął mnie wpół i oświadczył, iż odtąd jesteśmy sobie poślubieni, który to zwrot w jego kraju oznaczał, że jesteśmy przyjaciółmi od serca i że chętnie oddałby za mnie życie, gdyby zaszła po temu potrzeba. U rodaka tak nagły płomień przyjaźni wydawałby się mocno przedwczesny i znaczną budzący nieufność, ale do tego prostego dzikusa nie stosowały się owe stare prawidła.

Po wieczerzy i jeszcze jednej towarzyskiej pogawędce i paleniu udaliśmy się razem do naszego pokoju. Ofiarował mi w prezencie ową zabalsamowaną głowę, następnie wydobył swój ogromny worek, poszperał pod tytoniem i wyciągnął około trzydziestu dolarów w srebrze; rozłożywszy pieniądze na stole, mechanicznie podzielił je na dwie równe części i podsunął mi jedną z nich, mówiąc, iż należy ona do mnie. Zamierzałem już protestować, lecz nakazał mi milczenie wrzucając pieniądze do kieszeni mych spodni. Pozwoliłem im tam zostać. Teraz zabrał się do modlitw wieczornych, wyciągnął ów posążek i odsunął sprzed kominka papierowy parawanik. Z pewnych oznak i

objawów wnosiłem, że wielce by pragnął, żebym się z nim połączył w modlitwie, ale choć dobrze wiedziałem, co nastąpi, namyślałem się przez chwilę, czy w wypadku, gdyby mnie o to prosił, mam się do tej prośby zastosować czy też nie.

Jestem dobrym chrześcijaninem, urodzonym i wychowanym na łonie nieomylnego Kościoła Prezbiteriańskiego. Jakżebym więc mógł zjednoczyć się z tym dzikim bałwochwalcą w czczeniu kawałka drewna? „Wszelako co to jest oddawanie czci? — pomyślałem sobie. — Czyżbyś przypuszczał, Izmaelu, że wielkoduszny Pan niebios i ziemi — królujący nad wszystkimi, z poganami włącznie — mógłby uczuć zazdrość o nic nie znaczący kawałek czarnego drewna? Niemożliwe! Bo czymże jest oddawanie czci? Czynieniem woli bożej, oto czym ono jest. A co jest wolą Boga? Czynić bliźniemu to, co bym pragnął, by on mnie uczynił. To jest wola Boga. Otóż Queequeg jest moim bliźnim. A czegóż to bym pragnął od tego Queequega? No cóż, pragnąłbym, żeby się ze mną połączył w mojej szczególnej prezbiteriańskiej formie kultu. Co za tym idzie, muszę więc połączyć się z nim w tej formie czczenia Boga, która jest jemu właściwa; *ergo* muszę przemienić się w bałwochwalcę." Podpaliłem więc wiórki, pomogłem podeprzeć małego, nieszkodliwego bałwanka; ofiarowałem mu wraz z Queequegiem przypalony suchar, po dwakroć czy trzykroć wybiłem przed nim pokłony, złożyłem pocałunek na jego nosie; czego dokonawszy rozebraliśmy się z mym towarzyszem i położyliśmy się do łóżka uczyniwszy pokój z naszym własnym sumieniem i z całym światem. Nie usnęliśmy jednak bez małej pogawędki.

Nie wiem, czemu się to dzieje, ale nie ma lepszego nad łóżko miejsca dla poufnych zwiedzeń między przyjaciółmi. Powiadają, że tam właśnie mąż i żona otwierają sobie wzajem do cna dusze, niektóre zaś wiekowe pary często leżą tak i gwarzą o dawnych czasach niemal do rana. I tak właśnie, w miodowym miesiącu naszych serc, leżeliśmy ja i Queequeg — miła, zakochana parka.

ROZDZIAŁ XI
NOCNA KOSZULA

Poleżeliśmy tak w łóżku, to gadając, to drzemiąc na przemian; Queequeg od czasu do czasu czule zarzucał swe brunatne, wytatuowane nogi na moje i znów je cofał, tak bardzo już byliśmy zżyci i bezceremonialni wobec siebie. Wreszcie pogwarki nasze, sprawiły, iż resztki tkwiącej w nas senności zgoła odbieżały i wzięła nas chętka, by znowu wstać z łóżka, choć świt należał jeszcze do dość odległej przyszłości.

Tak, rozbudziliśmy się zupełnie i to do tego stopnia, iż leżąca pozycja poczęła nas męczyć i okazało się, że pomalutku siedliśmy na łóżku dobrze otuleni pościelą, oparci o deskę wezgłowia, podciągnąwszy nasze cztery zesunięte kolana i zwiesiwszy nad nimi oba nosy, jak gdyby kolana owe były grzałkami. Czuliśmy się ogromnie miło i przytulnie, tym przytulniej, że tak bardzo zimno było na dworze, a nawet poza łóżkiem, zważywszy, iż w pokoju nie płonął ogień. Tym przytulniej się czuliśmy, rzec można, że aby prawdziwie rozkoszować się cielesnym ciepłem, zawsze jakaś maleńka cząstka naszej osoby winna doświadczać chłodu, ponieważ nie ma na świecie takiego przedmiotu, który by nie był tym, czym jest, jedynie przez kontrast! Nic nie istnieje samo w sobie. Jeżeli się łudzicie, że poczucie wygody ogarnia całą waszą istotę i że stan taki trwa od dłuższego czasu, wtedy nie można już o was powiedzieć, że jest wam wygodnie. Ale jeśli tak, jak to się działo ze mną i Queequegiem w łóżku, czubek waszego nosa lub ciemię jest z lekka chłodzone, no, wtedy dopiero w swej ogólnej świadomości czujecie najrozkoszniejsze, nieomylne ciepło. Z tej to przyczyny pokój sypialny nie powinien nigdy być

wyposażony w kominek, który jest jedną ze zbytkownych niewygód bogaczy. Albowiem szczyt tego rodzaju rozkoszy to nie mieć nic prócz kołdry między sobą i swoją błogością a chłodem powietrza na zewnątrz. Wtedy leżycie sobie jak jedyna gorąca iskra w sercu arktycznego kryształu.

Siedzieliśmy już w owej skulonej pozycji przez czas jakiś, kiedy raptem pomyślałem, że trzeba otworzyć oczy; gdy bowiem znajduję się w pościeli, czy we dnie, czy w nocy, czuwając czy śpiąc, zawsze mam zwyczaj trzymać oczy zamknięte, by tym więcej skoncentrować poczucie przytulności czerpane z przebywania w łóżku. Nikt bowiem nie może odczuć właściwie swojego jestestwa, jeśli oczy jego nie są zamknięte; jest to tak, jakby ciemność była rzeczywiście własnym pierwiastkiem naszej prawdziwej istoty, mimo że światło jest bardziej pokrewne tamtej, gliniastej części nas samych. Otworzywszy więc oczy i przeszedłszy z mej własnej, przyjemnej, samowytworzonej ciemności w narzucony mi, szorstki, zewnętrzny mrok nieoświetlonej północnej godziny, doświadczyłem niemiłego przeskoku. Nie miałem też żadnych zastrzeżeń, gdy Queequeg dał mi do zrozumienia, iż może dobrze by było skrzesać ognia, zważywszy, że tak bardzo jesteśmy ze snu wybici. Prócz tego miał wielką ochotę na kilka spokojnych dymków ze swego tomahawka. Trzeba tu nadmienić, że chociaż ubiegłej nocy odczuwałem tak silną odrazę do palenia w łóżku, przecież popatrzcie tylko, jak elastycznymi się stają nasze sztywne przesądy, kiedy je raz ugnie miłość. Teraz bowiem nic mi nie było milsze nad poczucie, że Queequeg przy mnie pali, choćby nawet w łóżku — tak zdawał się być wtedy pełnym pogodnej, domowej radości. Nie odczuwałem już przesadnej troski o polisę ubezpieczeniową naszego oberżysty. Miałem jedynie świadomość skoncentrowanego, poufnego zadowolenia, jakie daje dzielenie fajki i łoża z prawdziwym przyjacielem. Teraz, zarzuciwszy na ramiona nasze włochate kurty, podawaliśmy sobie tomahawk z ręki do ręki, aż wreszcie rozpiął się z wolna nad nami błękitny, wiszący baldachim dymu rozświetlony płomykiem ponownie

zapalonej lampy. Nie wiem, czy to właśnie ów falujący baldachim uniósł myśl dzikiego ku jakimś odległym sceneriom, ale zaczął on teraz mówić o swej rodzinnej wyspie, ja zaś, pragnąc usłyszeć jego historię, prosiłem, by nie przerywał i opowiedział mi ją. Zgodził się na to chętnie. Choć wtedy chwilami ledwie rozumiałem niejedno ze słów, jakie wypowiadał, przecie później oswoiłem się nieco bardziej z jego łamanym językiem i dalsze wynurzenia mojego towarzysza pozwalają mi teraz przedstawić całą historię tak, jak się ona da ustalić z tego szkieletu, który tu podaję.

ROZDZIAŁ XII
DANE BIOGRAFICZNE

Queequeg był rodem z Rokovoko, wyspy leżącej daleko na południowym zachodzie. Nie znajduje się ona na żadnej mapie; prawdziwie zacne miejscowości nigdy nie są bowiem na nich umieszczane.

Jeszcze gdy był świeżo wylęgniętym dzikusem, bez opamiętania przebiegającym w szacie z traw rodzinne gęstwiny, ściganym przez pasące się tam kozły, jak gdyby był młodym, zielonym drzewkiem — już wtedy w ambitnej duszy Queequega nurtowało usilne pragnienie obejrzenia czegoś więcej ze świata chrześcijańskiego niż jeden czy drugi okaz wielorybniczego statku. Ojciec, jego był Wielkim Wodzem, czyli królem; stryj — Wielkim Kapłanem, a po kądzieli szczycił się ciotkami, wdowami po niezwyciężonych wojownikach. W żyłach jego płynęła krew znamienita — prawdziwie królewska, choć obawiam się, że smutnie skażona przez ludożercze inklinacje, jakie żywił w bezpańskiej młodości.

Zatokę jego ojca odwiedził kiedyś okręt z Sag Harbour i Queequeg usiłował przedostać się na nim do krajów chrześcijańskich. Jednakże okręt miał już załogę w komplecie, więc odrzucono jego prośbę; nawet cały wpływ króla-ojca nie mógł tu przeważyć. Lecz Queequeg uczynił sobie ślubowanie. Samotny w swym czółnie powiosłował ku dalekiej cieśninie, przez którą, jak wiedział, okręt będzie musiał przepływać opuszczając wyspę. Z jednej strony znajdowała się tam rafa koralowa, z drugiej zaś płaskie pasmo lądu pokryte gęstwą mangrowii, wyrastających wprost z wody. Ukrywszy między zaroślami swe czółno dziobem skierowane ku morzu, zasiadł na

rufie dzierżąc w ręku wiosło opuszczone do wody i gdy okręt sunął mimo, wynurzył się z gęstwiny jak błyskawica, dobił do niego, jednym wierzgnięciem przewrócił czółno dnem do góry zatapiając je, następnie wdrapał się po łańcuchach na pokład, gdzie padłszy jak długi, pochwycił jedną z klubek i zaklął się, iż jej nie puści, choćby go porąbano w kawałki.

Próżno kapitan groził, że go wyrzuci za burtę, próżno wznosił kordelas nad jego nagimi napięstkami; Queequeg był synem królewskim i Queequeg ani drgnął. Pod wrażeniem jego rozpaczliwej nieustraszoności oraz nieposkromionej żądzy zwiedzenia chrześcijańskiego świata kapitan wreszcie zmiękł i oświadczył mu, że może się na okręcie rozgościć. Lecz ten znakomity młody krajowiec — ten zamorski książę Walii — nigdy nie ujrzał kapitańskiej kajuty. Umieszczono go między marynarzami i zrobiono zeń wielorybnika. Ale podobnie jak car Piotr rad był ciężko pracować w stoczniach miast cudzoziemskich, tak i Queequeg nie gardził żadną pozorną sromotą, jeśli tylko mógł dzięki niej pomyślnie uzyskać moc oświecenia swoich nieokrzesanych rodaków. Albowiem w gruncie *rzeczy* — tak mi powiadał — kierowało nim głębokie pragnienie, by nauczyć się pośród chrześcijan sztuki uczynienia swego ludu jeszcze szczęśliwszym, niż był, a co więcej, uczynienia go jeszcze lepszym. Lecz niestety! Obyczaje wielorybników rychło go przekonały, że nawet chrześcijanie potrafią być zarówno nędzni jak i zepsuci; i to nieskończenie bardziej niż wszyscy poganie jego rodzica. Gdy przybył na koniec do starego Sag Hanbour i ujrzał, co tam wyrabiają marynarze, gdy udał się do Nantucket i zobaczył, w jaki sposób również i tam wydają zarobione pieniądze, biedny Queequeg dał za wygraną. Pomyślał sobie: „świat jest niegodziwy pod każdą szerokością geograficzną; już lepiej umrę poganinem."

I tak pozostawszy w głębi duszy po staremu bałwochwalcą, żył jednak między tymi chrześcijanami, nosił ich odzienie i usiłował mówić ich żargonem. Stąd pochodził jego osobliwy sposób bycia, choć już od dłuższego czasu znajdował się z dala od domu.

Zapytałem go na migi, czy nie zamyśla o powrocie i koronacji, skoro teraz mógł już na pewno uważać ojca za zmarłego, ponieważ według ostatnich wieści był on już bardzo stary i słaby. Odpowiedział, że na razie jeszcze nie, i dodał, iż lęka się, że chrześcijaństwo, a raczej chrześcijanie uczynili go niezdolnym do wstąpienia na czysty i nieskalany tron trzydziestu pogańskich królów, jego poprzedników. Lecz kiedyś, oświadczył, powróci, gdy tylko znowu poczuje się oczyszczonym. Na razie jednak zamierza wyruszyć na morze i wyszumieć się na wszystkich czterech oceanach. Zrobiono z niego harpunnika i to ostre żelazo zastępowało mu obecnie berło.

Zapytałem, jakie ma bezpośrednie zamiary na przyszłość. Odpowiedział, że chce znowu puścić się na morze i pracować w swym dawnym zawodzie. Na to oświadczyłem mu, że i ja również zamyślam poświęcić się wielorybnictwu, i powiadomiłem go o mym zamiarze wypłynięcia z Nantucket, który jest najbardziej obiecującym portem, z jakiego wyruszyć może żądny przygód łowca wielorybów. Od razu postanowił towarzyszyć mi na ową wyspę, załadować się na ten sam statek, dostać się do tej samej wachty, tej samej łodzi i tej samej messy, co ja, krótko mówiąc, postanowił dzielić ze mną wszelkie moje losy i trzymając mnie za obie ręce śmiało zanurzyć się na los szczęścia w kocioł obu półkul. Z radością zgodziłem się na to wszystko, gdyż oprócz przywiązania, jakie już odczuwałem dla Queequega, wiedziałem, że jest on doświadczonym harpunnikiem i przeto może niechybnie być wielce użyteczny dla kogoś takiego jak ja, kto nie ma żadnego pojęcia o tajemnicach wielorybnictwa, mimo że dobrze już zapoznał się z morzem, o tyle, o ile je zna marynarz floty handlowej.

Kiedy wraz z ostatnim zamierającym kłębem dymu z fajki zakończył opowiadanie swej historii, Queequeg objął mnie i przycisnął czoło do mojego czoła; zdmuchnąwszy lampę, obaj odwróciliśmy się jeden do drugiego w tę i tamtą stronę i bardzo szybko usnęliśmy.

ROZDZIAŁ XIII
TACZKI

Następnego ranka, w poniedziałek, pozbyłem się zabalsamowanej głowy oddając ją fryzjerowi na podstawkę do peruk, zapłaciłem rachunek swój i mego towarzysza, używając jednak na ten cel jego pieniędzy. Roześmiany oberżysta jak również i jego goście wydawali się niezwykle rozbawieni tą nagłą przyjaźnią, jaka zrodziła się między mną i Queequegiem — zwłaszcza że niebywałe historie, których mi naopowiadał o nim Piotr Trumna, wznieciły we mnie taki lęk przed tym właśnie człowiekiem, z którym się teraz połączyłem.

Wypożyczyliśmy taczki i załadowawszy na nie nasze rzeczy włącznie z mą ubogą sakwą podróżną oraz płóciennym workiem i hamakiem Queequega, udaliśmy się na „Mech", mały nantucketański szkuner pocztowy, przycumowany u nabrzeża. Gdyśmy tak przemierzali ulice, ludzie patrzyli na nas z zaciekawieniem; nie tyle na Queequega — bo przyzwyczajeni byli widywać podobnych do niego kanibali na swych ulicach — lecz ponieważ widzieli, że obaj jesteśmy ze sobą w tak poufałych stosunkach. My jednak nie zwracaliśmy na nich uwagi pchając na zmianę taczki, Queequeg zaś od czasu do czasu zatrzymywał się, by poprawić pokrowiec na kolcach swego harpuna. Spytałem go, po co zabiera ze sobą na ląd przedmiot tak kłopotliwy oraz czy statek wielorybniczy nie posiada własnych harpunów. Treść odpowiedzi, jakiej mi udzielił, sprowadzała się do tego, że choć moja uwaga jest zupełnie słuszna, jednakże on żywi szczególne uczucie dla swego harpuna, ponieważ jest sporządzony z niezawodnego materiału, dobrze został wypróbowany w niejednej śmiertelnej

walce i zawarł bliską znajomość z sercami wielorybów. Krótko mówiąc, podobnie jak wielu żeńców i kosiarzy, którzy wyruszają na gospodarskie pola uzbrojeni we własne kosy, choć bynajmniej nie są do tego obowiązani, tak i Queequeg dla swych własnych, osobistych powodów wolał mieć własny harpun.

Odbierając taczki z moich rąk opowiedział mi zabawną historię o pierwszych taczkach, jakie w ogóle widział. Było to w Sag Harbour. Właściciele jego statku pożyczyli mu, okazuje się, taczki, żeby przewiózł swą ciężką skrzynię do zajazdu. Ażeby się nie wydać nieświadomym rzeczy — choć w istocie nie miał żadnego pojęcia o właściwym sposobie używania taczek — Queequeg ustawił na nich swą skrzynię, przywiązał ją mocno, a następnie wziął taczki na plecy i odmaszerował z przystani. — Ależ, Que-equegu — rzekłem — powinieneś był chyba lepiej się w tym rozeznać. To się dopiero ludzie musieli śmiać!

Na to opowiedział mi inną historię. Okazuje się, że ludzie na tej jego wyspie Rokovoko w czasie uczt weselnych wyciskają wonny sok z młodych orzechów kokosowych do dużej malowanej tykwy przypominającej czaszę do ponczu i ta właśnie czasza stanowi zawsze wielką, centralną ozdobę plecionej maty, na której zastawia się ucztę. Otóż ongiś zawinął do Rokovoko pewien wspaniały statek handlowy, którego dowódca — jak wszystko wskazuje, mąż wielce godny i skrupulatny, przynajmniej jak na kapitana okrętu — ów więc dowódca zaproszony został na ucztę weselną siostry Queequega, młodej, nadobnej księżniczki, która właśnie ukończyła dziesięć lat. No i kiedy już wszyscy goście weselni zgromadzili się w bambusowej chatce oblubienicy, wkracza ów kapitan, a ponieważ wyznaczono mu miejsce honorowe, zasiada tuż przy czaszy, między Wielkim Kapłanem a Jego Królewską Mością, ojcem Queequega. Gdy już odmówiono modlitwę przed posiłkiem — bowiem i tamci ludzie mają taką modlitwę, równie jak my, choć Queequeg wspominał mi, że w przeciwieństwie do nas, którzy w takim wypadku spoglądamy na nasze półmiski, oni przeciwnie, na wzór kaczek, podnoszą

wzrok w górę, ku wielkiemu Dawcy wszelkich biesiad — gdy więc, jak powiedziałem, odmówiono już modlitwę, Wielki Kapłan otworzył bankiet odwiecznym obrządkiem tej wyspy, a mianowicie przez zanurzenie swych poświęcanych i poświęcających palców w tykwie, zanim błogosławiony napój począł krążyć między zebranymi. Kapitan widząc, że posadzono go obok Kapłana i zaobserwowawszy ową ceremonię, a sądząc, że — zwłaszcza jako kapitan okrętu — ma oczywiście pierwszeństwo przed zwykłym wyspiarskim królikiem — szczególnie w jego własnym domu — najspokojniej począł obmywać sobie ręce w wielkiej czaszy biorąc ją,.jak się zdaje, za ogromne naczynie do płukania palców. — No, teraz ty sobie wyobrazić — rzekł Queequeg — jak nasi ludzie sięśmiać!

Wreszcie, zapłaciwszy za przejazd i umieściwszy bagaż w bezpiecznym miejscu, stanęliśmy na pokładzie szkunera. Rozwinąwszy żagle począł on sunąć w dół rzeki Acushnet. Po jednej stronie Nowy Bedford wznosił się terasami ulic, na których oblodzone drzewa całe lśniły w czystym, zimnym powietrzu. Ogromne pagórki, a nawet góry spiętrzonych beczek widniały na nabrzeżach, a podczas gdy jedne wielorybnicze okręty obieżyświaty stały burta w burtę, ciche i nareszcie bezpiecznie przycumowane, z innych dolatywał stuk narzędzi cieśli i bednarzy wraz ze zmieszanymi odgłosami kuźni i hukiem palenisk do topienia smoły, co wróżyło, że rychło wyruszą w nowy rejs, że ledwie zakończono jedną, tak długą i niebezpieczną wyprawę, a już zaczyna się następna, a gdy i ta się skończy, rozpocznie się trzecia, i tak dalej, zawsze i zawsze. Taka jest bowiem nieskończoność, a i zaprawdę nieznośność wszelkiego doczesnego wysiłku.

Gdyśmy wypłynęli na szersze wody, wzmogła się świeża, *ożywcza* bryza; mały „Mech" roztrącał dziobem chybką pianę jak młody, parskający źrebak. Jakże wdychałem to orzeźwiające powietrze! Jakże gardziłem tą ziemią różnymi barierami pokrytą, tym pospolitym gościńcem poznaczonym tropami niewolnych obcasów i kopyt, jakże się cały oddałem podziwowi

dla wielkoduszności morza, które nie pozwala pozostawiać jakichkolwiek śladów!

Wraz ze mną Queequeg zdawał się pić i upajać u tego samego źródła pienistych bryzgów. Rozdęły mu się ciemne nozdrza, ukazały równe, ostre zęby. Lecieliśmy dalej i dalej, gdy zaś odpłynęliśmy daleko od lądu, „Mech" złożył hołd wiatrowi chyląc się przed nim i bijąc czołem niby niewolnik przed sułtanem. Przechyleni na bok sunęliśmy skosem naprzód, a każda żyłka lin dźwięczała jak drut stalowy; dwa tylne maszty przygięły się niby indyjska trzcina w czasie tornada. Tak nas porwał ten zawrotny widok, gdyśmy tam stali koło zapadającego w dół bukszprytu, że przez czas jakiś nie zauważyliśmy drwiących spojrzeń pasażerów, dość prostackiej kompanii, która dziwowała się, że dwie pokrewne sobie istoty mogą tak dobrze czuć się razem, jak gdyby biały był w czymkolwiek godniejszy od wybielonego Murzyna. Znajdowały się tam różne pospolitaki i cymbały, które, zważywszy jak ogromnie zielono miały w głowie, musiały chyba pochodzić z samego jądra i ośrodka wszelkiej zieloności. Queequeg złapał jednego z owych młodych dębczaków na tym, że go przedrzeźniał za plecami. Już myślałem, że nadeszła ostatnia godzina tego chłystka. Porzuciwszy harpun, muskularny Queequeg porwał go w ramiona i z niemal cudowną zręcznością i siłą wyrzucił wysoko w górę; tamten wywinął koziołka i z lekka obijając sobie pośladki wylądował z rykiem na nogi, podczas gdy Queequeg odwróciwszy się doń plecami zapalił swą fajkętomahawk i podał mi ją, bym się zaciągnął.

— Panie kapitanie! Panie kapitanie! — począł wrzeszczeć ów kiep biegnąc w stronę oficera. — Panie kapitanie, to diabeł!

— Hej tam, mój panie! — zawołał kapitan, chudy jak kość marynarz, krocząc w stronę Queequega. — Co sobie myślisz, u pioruna! Nie rozumiesz, żeś mógł zabić tego chłopa?

— Co on mówić? — zapytał Queequeg, łagodnie zwracając się do mnie.

— On mówić — odparłem — że tym omal nie zabić tego tu człowieka — wskazywałem na jeszcze drżącego draba.

— Zabić? — zawołał Queequeg, a wytatuowana twarz wykrzywiła się grymasem nadludzkiej pogardy. — Ach, on bardzo mała ryba. Queequeg nie zabijać taka mała ryba. Queequeg zabijać duża wieloryb!

— Uważaj ty — ryknął kapitan — ja zabić ciebie, ty ludożerco, jeżeli mi tu na pokładzie popróbujesz jeszcze jakichś swoich sztuczek, więc pilnuj swego, nosa!

Tak się jednak przydarzyło, że właśnie najwyższy czas był po temu, by swego nosa pilnował kapitan. Olbrzymi napór wiatru na główny żagiel urwał szkot i wielki bom latał teraz od burty do burty, zamiatając po tylnej części pokładu. Nieszczęśnika, z którym tak ostro obszedł się Queequeg, zmiotło za burtę; wszyscy popadli w panikę, a wszelka próba pochwycenia bomu i zatrzymania go wydawała się szaleństwem. Przelatywał on z prawa w lewo i na powrót niemal za jednym łyknięciem zegarka i zdawało się, że lada chwila roztrzaska się w drzazgi. Nic na to nie zaradzono i nie wydawało się możliwe cokolwiek przedsięwziąć; ludzie na pokładzie rzucili się w stronę dzioba i tam stanęli spoglądając na bom, jak gdyby był szczęką rozwścieczonego wieloryba. Wpośród tej konsternacji Queequeg padł na kolana, podczołgał się pad latający bom, porwał jakąś linę, przywiązał jeden jej koniec do burty, drugi zaś zarzuciwszy jak lasso, pochwycił w pętlę bom, gdy ten przelatywał nad jego głową, i w ten sposób przy następnym targnięciu drzewce zostało uwięzione, a bezpieczeństwo przywrócone. Szkuner poszedł z wiatrem, a podczas gdy majtkowie spuszczali łódź z rufy, Queequeg obnażony do pasa rzucił się z burty długim, żywym łukiem skoku. Przez trzy minuty albo dłużej widziano, że płynie jak pies wyrzucając prosto przed siebie długie ręce i co chwila ukazując nad lodowatą kipielą swe muskularne ramiona. Patrzałem za tym wspaniałym, przepysznym chłopakiem, lecz nie dostrzegałem nikogo, komu by mógł udzielić ratunku; tamten drągal poszedł już bowiem pod wodę. Wystrzeliwszy pionowo ponad toń Queequeg błyskawicznie rzucił wokoło spojrzenie, jak gdyby chciał się rozeznać w stanie rzeczy, znurkował i zniknął nam z oczu.

Jeszcze parę minut i oto znowu się wynurzył, wciąż zagarniając wodę jedną ręką, drugą zaś ciągnąc jakiś bezwładny kształt.

Łódź rychło ich wyłowiła. Biedny chłystek został uratowany. Caryca załoga ogłosiła Queequega szlachetnym zuchem, a kapitan poprosił go o przebaczenie. Od tej chwili przylgnąłem do Quee-quega jak skorupiak, aż do momentu kiedy biedaczysko dał swego ostatniego już, długiego nurka.

Czyż kiedykolwiek widziano podobną nieświadomość? Queequeg nie zdawał się wcale uważać, żeby zasłużył na medal od jakichś humanitarnych i wielkodusznych stowarzyszeń. Poprosił tylko o wodę — o słodką wodę — o coś, czym by się mógł obmyć z morskiej soli; uczyniwszy to włożył suche ubranie, zapalił fajkę, oparł się o burtę i łagodnie spoglądając na otaczających ,go ludzi zdawał się mówić do siebie: „Ten świat jest wspólny, jest spółką akcyjną wszystkich ludzi pod każdą szerokością geograficzną. My, kanibale, musimy jakoś dopomagać tym chrześcijanom."

ROZDZIAŁ XIV
NANTUCKET

Nic już godnego uwagi nie przydarzyło się w czasie drogi i po doskonałej przeprawie zawinęliśmy cało do Nantucket.

Nantucket! Wyjmijcie mapę i popatrzcie na nią. Zobaczycie, w jakim istnym zakamarku świata usadowiło się ono, jak tam tkwi z dala od lądu, samotniejsze od morskiej latarni z Eddystone. Popatrzcie na nie — to po prostu pagórek i szmat piachu; wszędzie plaża, a nic za nią. Więcej tam piasku, niżbyście go mogli zużyć przez lat dwadzieścia w zastępstwie bibuły do atramentu. Poniektórzy wesołkowie powiedzą wam, że ludzie muszą tam sadzić chwasty, gdyż nie rosną one w sposób naturalny; że importuje się tam oset z Kanady; że po kołek do zatkania cieknącej beczki z olejem trzeba posyłać za morze; że w Nantucket obnosi się kawałki drewna jak w Rzymie drzazgi z Krzyża Świętego; że ludzie sadzą tam przed domami muchomory, by zażyć nieco cienia letnią porą; że jedno źdźbło trawy tworzy oazę, zaś trzy trawki napotkane w ciągu całodziennej wędrówki — prerię; że tamtejsi mieszkańcy noszą specjalne obuwie na piaski ruchome, coś w rodzaju nart lapońskich; że są tak zamknięci, opasani wokoło, z każdej strony otoczeni, okrążeni i uczynieni najzupełniejszą wyspą przez ocean, iż czasem można *znaleźć* małe ślimaki przywarte nawet do ich krzeseł i stołów niczym do grzbietów morskich żółwi. Lecz te wybryki wskazują jedynie, że Nantucket to nie Illinois.

Posłuchajcie teraz wspaniałej, tradycyjnej opowieści o zasiedleniu tej wyspy przez czerwonoskórych. Legenda tak mówi: W pradawnych czasach spadł na wybrzeże Nowej Anglii

orzeł i porwał w swych szponach dziecię indiańskie. Rodzice patrzyli, głośno lamentując, jak dziecko ich znika z oczu, hen, za wodą szeroką. Postanowili ruszyć za nim w tym samym kierunku. Wypłynąwszy w swych czółnach odkryli po pełnej niebezpieczeństw przeprawie ową wyspę, a na niej odnaleźli pustą kościaną szkatułkę — szkielecik biednego malca.

Cóż więc dziwnego, że ci nantucketańczycy zrodzeni na brzegu zabrali się do szukania w morzu środków utrzymania? Początkowo łapali w piasku kraby i mięczaki; gdy już nabrali śmiałości, poczęli brodzić po wodzie z siatką na makrele; posiadłszy więcej doświadczenia wyruszyli łodziami na połów dorsza i wreszcie, spuściwszy na morze flotyllę dużych statków, przemierzyli świat wód, otoczyli go nieprzerwanym pasem okólnej żeglugi, zajrzeli do Cieśniny Beringa i na wszystkich oceanach, o każdej porze roku wypowiadali wieczystą wojnę najpotężniejszej ożywionej masie, jaka ocalała z potopu, masie najbardziej potwornej i najbardziej górom podobnej! Wypowiedzieli wojnę owemu himalajskiemu Mastodontowi słonych mórz, zbrojnemu w taką potworność nieświadomej mocy, że nawet jego trwogi więcej się lękać należy niż najbardziej nieustraszonych i złośliwych ataków!

I tak właśnie owi goli nantucketańczycy, ci morscy pustelnicy, wylazłszy ze swego mrowiska na morzu, zaleli i podbili świat wód jak tyluż Aleksandrów; podzielili między siebie Atlantyk, Pacyfik i Ocean Indyjski, podobnie jak to trzy pirackie mocarstwa uczyniły z Polską. Niech sobie Ameryka przyłącza Meksyk do Teksasu, niech wchłania Kubę po Kanadzie, niechaj Anglicy zalewają całe Indie, niechby nawet na słońcu wywiesili swój sztandar płomienny; jednak dwie trzecie tego ziemskiego globu należą do nantucketańczyka. Jego bowiem jest morze; on nim włada, jak cesarze władają imperiami; inni *żeglarze* mają przez nie jedynie prawo przejazdu. Statki handlowe to tylko przedłużone mosty, okręty wojenne to ledwie forty pływające, nawet piraci i korsarze, choć przemierzają morza jak rozbójnicy gościńce, przecie plądrują jedynie inne statki, inne fragmenty lądu, takie same jak i oni, nie usiłując czerpać

środków do życia z samej bezdennej głębiny. Jeden tylko nantucketańczyk rezyduje i hula na morzach, on tylko, mówiąc językiem biblijnym, spływa na nie korabiem, przeorując je tam i sam jak swą własną, osobistą plantację. *Tam* jest dom jego i *tam* jego rzemiosło, którego nie przerwałby nawet potop Noego, choćby miał pogrążyć milionowe rzesze Chin. Nantucketańczyk żyje na morzu jak pardwa na prerii; przytaja się między falami i wspina na nie niby łowcy kozic w Alpach. Przez lata całe nie wie, co ląd, tak że gdy wreszcie nań przybędzie, pachnie mu on innym światem, jeszcze dziwniej niż księżyc mieszkańcowi ziemi. Wraz z mewą tułaczką, która o zachodzie słońca składa skrzydła i daje się falom do snu ukołysać, nantucketańczyk, gdy zmrok zapada, zwija z dala od lądu swe żagle i układa się na spoczynek, podczas gdy tuż pod jego wezgłowiem uwijają się stada morsów i wielorybów.

ROZDZIAŁ XV
CHOWDER

Był już późny wieczór, gdy mały „Mech" zawinął do cichej przystani, a Queequeg i ja zeszliśmy na ląd; tego dnia nie mogliśmy więc już nic załatwić, a przynajmniej nic oprócz kolacji i noclegu. Gospodarz oberży Pod Wielorybnikdem polecił nam swego kuzyna Hossea Hussey z zajazdu Pod Kotłami twierdząc, że jest on właścicielem jednego z najlepiej utrzymanych hoteli w Nantucket i co więcej, zapewnił nas, że kuzyn Hossea, jak go nazywał, znany jest ze swych *chowderów*. Krótko mówiąc, dał nam jasno do zrozumienia, że nie możemy uczynić nic lepszego, jak pokosztować kotła w zajeździe Pod Kotłami. Aliści wskazówki, jakich nam udzielił, byśmy idąc zostawili po sterborcie żółty magazyn, aż do bakibortu ukaże nam się biały kościół, a następnie byśmy ciągle mając tenże po bakborcie szli do zakrętu znajdującego się o trzy rumby od sterbortu, po czym zapytali pierwszego napotkanego przechodnia, gdzie znajduje się ów zajazd; te zawiłe wskazówki wielkiego nam początkowo narobiły kłopotu, szczególnie dlatego, że Queequeg upierał się zrazu, iż ów żółty magazyn — nasz pierwszy punkt wyjścia — winien zostać po bakborcie, podczas gdy ja zrozumiałem, iż Piotr "frumna wspominał o sterbocie. Jednakawoż po pewnym krążeniu w ciemnościach i kołataniu od czasu do czasu do drzwi spokojnych mieszkańców, żeby wywiedzieć się o drogę, dobrnęliśmy wreszcie do czegoś, co nie nasuwało już żadnych wątpliwości.

Dwa olbrzymie drewniane kotły, pomalowane na czarno i zawieszone za iście ośle ucha, kołysały się u salingu na starej stendze masztowej wbitej w ziemię przed staroświeckimi

podwojami. Ramiona salingu spiłowano z drugiej strony, tak że owa stara stenga niemało przypominała szubienicę. Może byłem naówczas szczególnie wyczulony na podobne wrażenia, ale chcąc nie chcąc wpatrywałem się w tę szubienicę z jakąś niejasną obawą. Poczułem coś w rodzaju skurczu w karku patrząc w górę na te dwa pozostałe ramiona; tak, dwa tam były — jedno dla Quee-quega, jedno dla mnie. Zła to wróżba, pomyślałem sobie. Oberżysta, do którego trafiam wylądowawszy w mym pierwszym porcie wielorybniczym, zowie się Trumna; w kaplicy wielorybników spozierają na mnie nagrobki, a tu jeszcze szubienica! I na dobitkę para olbrzymich czarnych garów! Czyżby te ostatnie nasuwały pośrednio myśl o Piekle?

Z owych rozważań wyrwał mnie widok piegowatej niewiasty o żółtych włosach, przybranej w żółtą suknię i stojącej w przedsionku zajazdu pod kołyszącą się tam mętnoczerwoną latarnią, która wielce przypominała podbite oko; niewiasta owa żywo łajała jakiegoś mężczyznę w purpurowej wełnianej koszuli.

— Zabieraj się stąd — mówiła — bo cię przepędzę!

— Chodź, Queequegu — powiedziałem. — W porządku. To pani Hussey.

Okazało się, że tak jest istotnie; pan Hossea Hussey był nieobecny i poruczył pani Hussey, jako osobie całkowicie kompetentnej, prowadzenie wszystkich swych interesów. Gdy oznajmiliśmy jej, że pragniemy kolacji i noclegu, pani Hussey, odkładając na razie dalsze łajanie, wprowadziła nas do niewielkiej izby. posadziła przy stole, na którym walały się resztki niedawno ukończonej uczty, obróciła się do nas i zapytała: — Dorsz czy ślimak?

— Jak to ślimak, pani? — odezwałem się z wielką uprzejmością.

— Dorsz czy ślimak? — powtórzyła.

— Ślimak na kolację? Zimny ślimak, chce pani powiedzieć? — zapytałem. — To nieco chłodne i zaślimaczone przyjęcie, jak na zimową porę, czyż nie tak, pani Hussey?

Gospodyni jednak ogromnie było spieszno dalej besztać owego mężczyznę w purpurowej koszuli, który oczekiwałna nią u wejścia, więc usłyszawszy, jak się zdaje, jedynie słowo „ślimak", podbiegła do otwartych drzwi wiodących do kuchni i wrzasnąwszy: — Dwa razy ślimak! — zniknęła nam z oczu.

— Queequegu — powiedziałem — czy sądzisz, że na kolację wystarczy dla nas dwóch jeden ślimak?

Jednakowoż ciepłe, smakowite opary, dolatujące z kuchni, zadały kłam tym pozornie niewesołym perspektywom, jakie mieliśmy przed sobą. Kiedy zaś wniesiono ów dymiący *chowder*, tajemnica wyjaśniła się w sposób zachwycający. O posłuchajcie mnie, drodzy przyjaciele! Potrawa ta była sporządzona z małych, soczystych ślimaków, ledwie co większych od orzechów laskowych, a pomieszanych z tartymi sucharami okrętowymi i soloną wieprzowiną pokrajaną w drobne płatki; całość bogato podlana masłem oraz obficie przyprawiona solą i pieprzem. Jako że apetyty nasze zaostrzyła mroźna podróż, a w szczególności ponieważ Quee-queg ujrzał przed sobą swoje ulubione rybne danie, *chowder zaś* wszystko przewyższał swą znakomitością, załatwiliśmy się z nim z niezwykłym pośpiechem; i wtedy właśnie odchyliłem się na chwilę do tyłu i przypomniawszy sobie oświadczenie pani Hussey na temat dorszy i ślimaków, pomyślałem, że popróbuję małego eksperymentu. Podszedłem do drzwi kuchennych, wyrzuciłem z wielkim naciskiem słowo: „Dorsz!" i powróciłem na swoje miejsce. Po kilku chwilach z kuchni rozeszły się znowu smakowite, choć inne nieco aromaty, i niebawem postawiono przed. nami wyborny *chowder* z dorsza.

Znowu przystąpiliśmy do dzieła, lecz kiedy zanurzyliśmy łyżki w misce, pomyślałem sobie: ciekawe, czy ta potrawa nie ma jakiegoś wpływu na mózg? Jak brzmi to ośmieszające powiedzenie o ludziach, co mają głowy jak *chowder?* — Popatrz, Quee-quegu! — zawołałem. — Czy to nie żywy węgorz na twej misce? Gdzie masz harpun?

Ze wszystkich rybnych miejsc najbardziej rybnym był zajazd Pod Kotłami, który dobrze zasługiwał na swą nazwę, bowiem w

kotłach jego stale dusił się *chowder*. *Chowder* na śniadanie, *chowder* na obiad i *chowder* na wieczerzę, aż wreszcie człowiek zaczynał się oglądać, czy mu przez odzienie nie wyłażą ości. Przestrzeń przed domem usłana była skorupkami ślimaków. Pani Hussey nosiła polerowany naszyjnik z kręgów dorsza, a księgi rachunkowe pana Hussey oprawne były w starą, wybornej jakości skórę rekina. Mleko miało tutaj również rybi zapach, czego nie mogłem sobie wytłumaczyć, dopóki pewnego ranka, .przechadzając się właśnie po plaży wśród łodzi rybackich, nie ujrzałem łaciatej krowy pana Husseya przeżuwającej resztki ryb i maszerującej wzdłuż piaszczystego wybrzeża krok za krokiem z racicami w odciętych łbach dorszów; wyglądała ona jak w przydeptanych pantoflach, mogę was upewnić.

Po zakończeniu wieczerzy otrzymaliśmy od pani Hussey lampę tudzież wskazówki dotyczące najkrótszej drogi do łóżka; kiedy jednak Queequeg juz zamierzał poprowadzić mnie po schodach, dama wyciągnęła doń rękę i zażądała jego harpuna; nie zezwalała bowiem na przechowywanie harpunów w swych komnatach.

— Czemu nie? — zapytałem. — Każdy rzetelny wielorybnik sypia ze swym harpunem, czemu więc pani na to nie pozwalasz?

— Bo to niebezpiecznie — ona na to. — Odkąd ten młodziak, Stiggs, wrócił ze swej nieszczęsnej wyprawy, na której się pałętał przez cztery i pół roku, i przywiózł tylko trzy baryłki oleju, a potem go u mnie znaleźli na pierwszym piętrze od podwórza nieżywego z harpunem w boku, to ja już nie pozwalam nijakim gościom taskać po nocy takich niebezpiecznych dzid do pokoju. Dlatego, panie Queequegu — dowiedziała się bowiem jego imienia — już ja zabiorę to żelastwo i przechowam je u siebie do rana. Ale co z *chowderem*, chłopaki! Zrobić go jutro na śniadanie ze ślimaków czy z dorszy?

— I z tego, i z tego — odparłem. — A może też jeszcze zjemy parę wędzonych śledzi dla rozmaitości!

ROZDZIAŁ XVI
OKRĘT

W łóżku poczęliśmy snuć plany na dzień jutrzejszy. Ale ku mojemu zdumieniu i niemałemu frasunkowi Queequeg dał mi do zrozumienia, że pilnie konsultował Jodża — było to imię jego małego, czarnego bożka — i ten po dwakroć czy trzykroć oświadczył mu, wszechstronnie a usilnie na to nalegając, żebyśmy nie obchodzili razem wielorybniczej floty lii, znajdującej się w porcie, i nie wybierali wspólnie okrętu. Jodżo z całą powagą zalecił, żeby miast tego wybór całkowicie mnie pozostawić, jako że on zamierza użyczyć nam swej pomocy i w tym celu upatrzył już sobie okręt,, jeśli zaś zostawi się wybór mnie samemu, to ja, Izmael, niechybnie na pkręt ten natrafię, pozornie zupełnie przypadkowo. Powinienem się nań niezwłocznie załadować, chwilowo nie oglądając się na Queequega.

Zapomniałem nadmienić, że Queequeg w wielu sprawach pokładał ogromną ufność w doskonałości sądu Jodża i w jego zdumiewającej zdolności przewidywania; obdarzał go znacznym szacunkiem, jako bożka raczej poczciwego, który, ogólnie mówiąc, ma zapewne dość zacne intencje, choć nie we wszystkich przypadkach udaje mu się urzeczywistnić owe życzliwe zamysły.

Otóż ten plan Queequega, czy raczej Jodża, dotyczący wyboru dla nas statku, nie podobał mi się ani trochę. Jeśli idzie o wskazanie, który statek jest najsposobniejszy, by bezpiecznie unieść ze sobą nas i nasze losy, to niemało polegałem w tej mierze na mądrości Queequega. Ale ponieważ wszelkie moje argumenty nie wywierały na nim żadnego wrażenia, zmuszony

byłem wyrazić zgodę i stosownie do tego poczyniłem przygotowania, by zabrać się do dzieła ze zdeterminowaną a gwałtowną energią tudzież wigorem, który powinien był umożliwić szybkie załatwienie tej błahej i drobnej sprawy. Nazajutrz % samego rana pozostawiłem Queequega zamkniętego z Jodżem w naszej małej sypialni — gdyż, jak się zdaje, był to dla nich jakiś dzień postu czy Ramadanu , czy umartwień, pokory i modlitwy; nie mogłem wymiarkować, jak to tam było, gdyż, mimo że przykładałem się do tego po kilkakroć, nigdy nie potrafiłem opanować liturgii Queequega oraz jego XXXIX Artykułów Wiary. Pozostawiłem więc swego towarzysza, który pościł paląc fajkę-tomahawk, oraz Jodża, grzejącego siywi przy ofiarnym stosie z wiórów, i wyruszyłem między okręty. Po dłuższym krążeniu i rozlicznych wypytywaniach na chybił trafił, powziąłem wiadomość, że trzy żaglowce wypłynąć mają w trzyletnie rejsy. Były to: „Diablica", „Smakołyk" i „Pequod". Nie znam pochodzenia pierwszej nazwy; „Smakołyk" jasno się tłumaczy, „Pequod" zaś, jak to sobie bez wątpienia przypominacie, jest nazwą słynnego plemienia Indian z Massachusetts, obecnie już wygasłego jak starożytni Medowie. Zerkałem i węszyłem wokół „Diablicy", od niej przerzuciłem się na „Smakołyka", aż wreszcie dostawszy się na pokład „Pequoda" rozejrzałem się po nim przez chwilę i zdecydowałem, że jest to statek w sam raz dla nas.

W swoim czasie widzieliście zapewne niejeden osobliwy okręt; staroświeckie lugry, zwaliste dżonki japońskie, galioty do kaczek podobne, i co tam jeszcze — ale wierzcie mi na słowo, że nigdyście nie widzieli podobnie niezwykłego, starego okazu żaglowca, jak ten właśnie niezwykły, stary „Pequod". Był on okrętem dawnej szkoły i to raczej niewielkim; miał w sobie coś staroświeckiego i drapieżnego. Cera jego sędziwego kadłuba, długo hartowana i zaprawiana wśród tajfunów lub ciszy morskiej na wszystkich czterech oceanach, pociemniała jak twarz francuskiego grenadiera, który walczył zarówno w Egipcie jak i na Syberii. Zdawało się, że czcigodny dziób okrętu jest brodaty. Maszty, ścięte gdzieś na wybrzeżach Japonii, kędy

sztorm zwalił za burtę te, które okręt pierwotnie posiadał, sterczały sztywno w górę, niby trzej starzy królowie z Kolonii. Prastare pokłady były starte i pożłobione, jak owa czczona przez pielgrzymów płyta kamienna w katedrze w Canterbury, na miejscu, gdzie krwawił Becket . Wszelako do wszystkich tych starożytności dołączyły się nowe, cudaczne rysy, mające związek z burzliwym rzemiosłem, które żaglowiec uprawiał przez, z górą pół wieku. Stary kapitan Peleg, który przez lat wiele służył na nim jako pierwszy oficer, zanim począł dowodzić innym, własnym okrętem — obecnie zaś wycofał się ze służby morskiej i był jednym z głównych właścicieli „Pequoda" — ten właśnie stary Peleg w czasie sprawowania swych funkcji oficerskich spotęgował jeszcze pierwotną dziwaczność żaglowca i przyozdobił go takimi osobliwościami — zarówno co się tyczy materiału jak i urządzeń — że nie miały one sobie równych, z wyjątkiem chyba rzeźbionej tarczy i łoża Thorkill-Hake'a. Okręt był przystrojony jak jakiś cesarz etiopski o szyi uginającej się pod ciężarem wisiorków z polerowanej kości słoniowej. Składały się nań same trofea. Był okrętem-kanibalem strojącym się w zdobyczne kości swych nieprzyjaciół. Wszędzie w krąg gładkie, otwarte jego burty przybrane były — jak jedna kolista szczęka — długimi, ostrymi zębami kaszalotów, zatkniętymi tam miast nagli, celem przywiązywania do nich starych, konopnych mięśni i ścięgien statku. Mięśnie owe nie przebiegały poprzez pospolite bloki z lądowego drewna, lecz zgrabnie wędrowały po krążkach z wielorybiej kości. Gardząc kołowrotem jako niegodnym swego szacownego steru, statek obnosił miast niego rumpel; ten zaś był z jednej sztuki, kunsztownie wycięty z długiej, wąskiej dolnej szczęki odwiecznego wroga statku. Sternik, posługujący się w czas burzy owym rumplem, czuł się jak Tatarzyn, który powstrzymuje swego ognistego rumaka, pochwyciwszy go za pysk. Szlachetny to był żaglowiec, choć miał w sobie coś wielce melancholijnego. Wszystkie rzeczy szlachetne noszą takie piętno.

Owóż kiedy się rozejrzałem po mostku kapitańskim w poszukiwaniu kogoś sprawującego tu władzę, aby mu się przedstawić jako kandydat na wyprawę, nie dostrzegłem z początku nikogo. Nie mogłem wszakże przeoczyć osobliwego rodzaju namiotu czy raczej wigwamu rozbitego niedaleko za grotmasztem. Zdawał się on być jedynie prowizoryczną konstrukcją używaną w porcie. Kształtu był stożkowatego, wysokości około dziesięciu stóp, a składał się z długich, ogromnych płyt giętkiej, czarnej kości wyjętej ze środka oraz z najwyższej części szczęk wieloryba. Osadzone szerszymi końcami na pokładzie i razem związane, wzajemnie ku sobie nachylone, kości te tworzyły krąg, u wierzchołka łączyły się w kitę wolno zwisających, strzępiastych włókien, które chwiały się tam i sam niby czub na głowie jakiegoś starego wodza Indian ze szczepu Pottowottamie. Trójkątny otwór wychodził na dziób statku, tak że przebywający w namiocie miał rozległy widok na wprost.

Wreszcie spostrzegłem na wpół ukrytego w owym dziwacznym pomieszczeniu kogoś, kto z wyglądu swego zdawał się mieć tu władzę, kogoś, kto w tej chwili, jako że właśnie było południe i praca na żaglowcu została przerwana, odpoczywał po trudach rozkazywania. Siedział on na staroświeckim krześle dębowym, po którym wił się ciekawie rzeźbiony ornament; siedzenie krzesła tworzyła mocna plecionka z tego samego elastycznego materiału, z którego zbudowany był wigwam.

Nie było może nic tak bardzo szczególnego w wyglądzie starszego pana, którego ujrzałem; ogorzały i muskularny, jak większość starych żeglarzy, zakutany był w granatowe sukno, skrojone na modłę kwakierską. Miał tylko delikatną, niemal mikroskopijną siateczkę drobniutkich zmarszczek przeplatających się wokół oczu; musiała się ona utworzyć na skutek stałego żeglowania wśród mnogich a ciężkich nawałnic i patrzenia pod wiatr — z tej to bowiem przyczyny ściągają się mięśnie około oczu. Tego rodzaju zmarszczki świetny dają efekt przy patrzeniu spode łba.

— Czy pan jesteś kapitanem „Pequoda"? — zapytałem podchodząc do drzwi namiotu.

— Przypuśćmy, że jestem tym kapitanem. No a co ty chcesz od niego? — zapytał ów człowiek.

— Myślałem zaciągnąć się na okręt.

— Nie może być! Widzę, żeś nie nantucketańczyk. Byłeś kiedy w rozbitej łodzi?

— Nie, panie, nigdy jeszcze.

— Widzi mi się, że nie masz pojęcia o wielorybnictwie, hę?

— Żadnego, panie, ale nie wątpię, że szybko się nauczę. Odbyłem kilka rejsów w marynarce handlowej i sądzę, że…

— Niech piorun spali marynarkę handlową! Nie gadaj do mnie tym żargonem. Widzisz swą nogę? Wyrwę ci ją z rufy, jeśli jeszcze kiedykolwiek piśniesz mi o marynarce handlowej. Marynarka handlowa — też rzeczywiście! Prawodopodobnie czujesz się wielce dumny, iżeś służył na tych statkach handlowych. Ale do diabła, człowieku, co cię skłania do wyruszenia na wieloryby, hę? Coś to wygląda podejrzanie. Czy nie byłeś czasem piratem? Nie ograbiłeś swego ostatniego kapitana? Nie chodzi ci po głowie, żeby wymordować oficerów, kiedy znajdziesz się na morzu?

Zapewniłem go o swojej niewinności w tych sprawach. Widziałem, iż pod pokrywką na wpół żartobliwych insynuacji ów stary żeglarz, jako wyspiarski, kwakierski nantucketańczyk, pełen był wyspiarskich przesądów i raczej nie ufał wszystkim obcym, jeśli tylko nie pochodzili z Przylądka Cod czy Yineyardu.

— Ale co ciebie ciągnie do wielorybnictwa? Chcę to wiedzieć, zanim pomyślę, czy zabrać cię na pokład.

— No cóż, panie, chcę zapoznać się z wielorybnictwem. Chcę obejrzeć świat.

— Chcesz się zapoznać z wielorybnictwem, co? A czyś kiedy widział na oczy kapitana Ahaba?

— Kto to jest kapitan Ahaba, panie?

— Właśnie, właśnie. Takem i myślał. Kapitan Ahab jest kapitanem tego statku.

— A zatem się pomyliłem. Sądziłem, że mówię z samym kapitanem.

— Mówisz z kapitanem Pelegiem — oto z kim mówisz, młodzieńcze. Do mnie i do kapitana Bildada należy zaopatrzenie „Pequoda" na wyprawę i wyposażenie go we wszystko, czego mu trzeba, z załogą włącznie. Jesteśmy częściowo właścicielami i agentami. Alem właśnie miał zamiar rzec, iż jeśli chcesz się dowiedzieć, czym jest wielorybnictwo, tedy mogę ci to ułatwić, zanim się związżesz bez możności odwrotu. Rzuć no okiem na kapitana Ahaba, młodzieńcze, a zobaczysz, że on ma tylko jedną nogę.

— Jak to, panie kapitanie? Czy drugą utracił przez wieloryba?

— Utracił przez wieloryba! Podejdź no bliżej, młodzieńcze: noga ta została pożarta, przeżuta, schrupana przez najpotworniejszego kaszalota, jaki kiedykolwiek rozłupał łódź, och!

Byłem nieco zaniepokojony jego gwałtownością, a może i trochę wzruszony serdeczną boleścią zawartą w jego ostatnim wykrzykniku, powiedziałem jednak najspokojniej, jak umiałem:

— To bez wątpienia prawda, co pan mówi, ale skądże miałem wiedzieć, że w tym akurat wielorybie była jakaś szczególna drapieżność, choć może mogłem to wnosić z samego tego wypadku.

— Słuchaj no, młody człowieku, ty masz, widać, jakieś miękkie płuca, nie gadasz ani trochę po marynarsku. Czyś ty aby pewny, zupełnie pewny, żeś bywał już przedtem na morzu?

— Kapitanie — odparłem — zdaje mi się, żem panu mówił, iż odbyłem cztery rejsy w handlowej…

— Do krocset z tym! Bacz, com ci gadał o marynarce, handlowej — nie złość mnie — nie pozwolę na to! Musimy się nawzajem zrozumieć. Dałem ci już zmiarkować, co to jest wielorybnictwo. Maszże nadal na nie chętkę?

— Tak jest.

— Dobra. No, a teraz powiedz mi, czy jesteś człekiem, który potrafi cisnąć harpun w gardziel żywego wieloryba i cisnąwszy skoczyć za nim? Odpowiadaj, a szybko.

— Jestem nim, kapitanie — jeżeli okaże się to rzeczywiście niezbędne, to znaczy, jeśli nie da się tego uniknąć. Sądzę wszelako, że tak się nie zdarzy.

— Znowu dobra odpowiedź. No, ale nie tylko chcesz wyruszyć na wieloryby i przekonać się z doświadczenia, czym jest wielorybnictwo, lecz także pragniesz popływać, aby obejrzeć świat. Czy nie tak gadałeś? No właśnie. A więc idź na przód, wyjrzyj przez dziób na nawietrzną, wróć do mnie i powiedz, co tam widzisz.

Przez chwilę stałem nieco zaskoczony owym dziwacznym żądaniem, nie wiedząc właściwie, jak mam je przyjąć — czy żartobliwie, czyli też poważnie. Ale kapitan Peleg, ściągnąwszy wszystkie swoje zmarszczki w jedno ponure spojrzenie, wysłał mnie z owym rozkazem.

Poszedłem na przód i wyjrzawszy przez dziób na nawietrzną, zauważyłem, że statek, kołysząc się na kotwicy, ustawia się teraz z przypływem skośnie w stronę pełnego morza. Widok był nieograniczony, ale ogromnie monotonny i niepowabny; wzrok nie natrafiał na nic, co by stanowiło najmniejsze choćby urozmaicenie.

— No i co powiesz? — zapytał Peleg, kiedy doń wróciłem. — Cóżeś widział?

— Niewiele — odparłem. — Nic oprócz wody. Horyzont jest jednak rozległy, a i zdaje się, że szkwał nadchodzi.

— No, więc cóż ci się marzy o obejrzeniu świata? Chciałbyś opłynąć Przylądek Horn, żeby jeszcze trochę tego zobaczyć, co? Nie możesz obejrzeć świata z tego miejsca, gdzie stoisz?

Zakłopotałem się nieco; ale pomyślałem, że przecie muszę wybrać się na wieloryby i uczynię to, a „Pequod" był równie dobrym okrętem jak każdy inny — najlepszym, jak sądziłem — powtórzyłem więc teraz to wszystko Pelegowi. Widząc moją determinację, wyraził chęć zabrania mnie na pokład.

— I możesz sobie zaraz podpisać papiery — dorzucił. — Chodź ze mną. — To mówiąc zaprowadził mnie pod pokład, do kabiny.

Na poprzecznej belce siedziało tam indywiduum, które wydało mi się wielce niezwykłe i zadziwiające. Okazało się, że jest to kapitan .Bildad, który wraz z kapitanem Pelegiem był jednym z głównych właścicieli statku, ponieważ inne udziały, jak się to często zdarza w tamtych portach, stanowiły własność rzeszy dawnych rentierów: wdów, sierot i wychowanków; do każdego z nich należała mniej więcej równowartość kołka do wiązania lin, kawałka deski lub jednego czy dwóch gwoździ w żaglowcu. W Nantucket ludzie inwestują gotówkę w statki wielorybnicze zupełnie tak, jak wy lokujecie pieniądze w akcjach państwowych, przynoszących korzystny procent.

Otóż Bildad — podobnie jak Peleg, a także i wielu innych nantucketańczyków — był kwakrem, jako że członkowie tejże sekty pierwsi ową wyspę zasiedlili; na ogół do dziś dnia jej mieszkańcy w znacznej mierze zachowują osobliwe obyczaje kwakrów, tyle tylko, że rozmaicie zniekształcone i zmienione przez zupełnie obce i różnorodne naleciałości. Niektórzy bowiem z tych właśnie kwakrów są najbardziej krwiożerczymi z marynarzy i wielorybników. Są to kwakrowie wojujący; są to kwakrowie nie na żarty.

Tak więc zdarzają się między nimi ludzie, którzy, nazwani imionami z Pisma świętego — szczególnie powszechny to zwyczaj na tej wyspie — i w dzieciństwie chłonący naturalnie ową dostojną i dramatyczną gwarę kwakierską, później potrafią jednak w sposób przedziwny połączyć owe nabyte za młodu osobliwości z tysiącami śmiałych rysów charakteru, najzupełniej godnych skandynawskiego króla mórz czy też poetycznego, pogańskiego Rzymianina — czerpanych z zuchwałych, awanturniczych, nieprzeliczonych przygód swego dalszego życia. Kiedy zaś cechy te skupią się w człowieku o niepospolitej przyrodzonej sile, ukrwionym mózgu i nieustępliwym sercu, w człowieku, który w ciszy i odosobnieniu wielu długich wacht nocnych, na najodleglejszych wodach, pod nigdy nie widywanymi tu, na północy, konstelacjami gwiazd, nauczył się myśleć niezależnie i niekonwencjonalnie; który wprost z dziewiczego, ochotnego i ufnego łona natury czerpał

wszystkie słodkie czy gwałtowne wrażenia i stąd głównie, choć może z niejaką pomocą przypadkowych a sprzyjających okoliczności, nauczył się przemawiać śmiałym, nerwowym i wyniosłym językiem — wtedy staje się on jednym jedynym na liście członków całego narodu — mocarną, przepyszną istotą, stworzoną dla wzniosłych tragedii. Nic mu to jednak nie ujmuje dramatyczności, jeżeli czy z urodzenia, czy też na skutek innych przyczyn na dnie jego natury leży coś jakby uparcie, przemożnie chorobliwego. Albowiem wszyscy ludzie tragicznie wielcy stają się takimi dzięki pewnej chorobliwości swojej natury. Bądź tego pewna, o młodzieńcza ambicjo: wszelaka doczesna wielkość jest jedynie chorobą. Ale w tej chwili nie mamy do czynienia z kimś właśnie takim, lecz z człowiekiem zgoła innym i jeśli rzeczywiście ma on w sobie coś osobliwego, jest to po prostu wynikiem jeszcze jednej odmiany kwakierstwa, zmodyfikowanej przez indywidualne okoliczności.

Kapitan Bildad, podobnie jak kapitan Peleg, był zamożnym wielorybnikiem, który porzucił na starość to rzemiosło. Ale w przeciwieństwie do Pelega, który nie dbał ani na jotę o to, co się nazywa sprawami poważnymi, a nawet poczytywał te właśnie sprawy poważne za najwierutniejsze błahostki — w przeciwieństwie do niego kapitan Bildad nie tylko otrzymał zrazu wychowanie zgodne z najsurowszą regułą sekty kwakrów nantucketańskich, lecz nawet jego cały późniejszy morski żywot, jak również widok rozlicznych nadobnych a nieubranych stworzeń wyspiarskich za Przylądkiem Horn nie poruszył ani na włos tego urodzpnego kwakra, nie zmienił w nim nic — nawet sposobu nakładania kamizelki. A jednak mimo całej niezmienności był w zacnym kapitanie Bildadzie jakiś brak prostej konsekwencji. Choć z racji skrupułów sumienia odmawiał chwytania za broń przeciwko naziemnym najeźdźcom — przecie sam bez ograniczeń najeżdżał Atlantyk czy Pacyfik; choć był przysięgłym wrogiem rozlewu ludzkiej krwi, jednak sam w swym prostym, obcisłym kabacie przelał całe stągwie i kadzie lewiatanowej posoki. W jaki sposób Bildad potrafił teraz, w kontemplacyjnym zmierzchu swych dni,

pogodzigŇ owe rzeczy we wspomnieniach, tego mi nie wiadomo; nie zdawało się to jednak budzić w nim szczególnej troski, gdyż najprawdopodobniej z dawna już doszedł do mądrego i rozsądnego wniosku, że religia człowieka jest jedną rzeczą, a ten praktyczny świat — zupełnie inną. Ten świat wypłaca dywidendy. Awansując z małego chłopca okrętowego w najzgrzebniejszym ze zgrzebnych, przykrótkim przyodziewku — na harpunnika w okazałej, opiętej kamizelce, a z niego na dowódcę łodzi wielorybniczej, pierwszego oficera, kapitana i wreszcie na właściciela okrętu — Bildad, jakem to już wspomniał, zakończył awanturniczą karierę wycofując się całkowicie z czynnego życia w pięknym wieku lat sześćdziesięciu i poświęcając dni, które mu jeszcze pozostały, na spokojne pobieranie dobrze zapracowanego dochodu.

Otóż Bildad, z żalem to muszę powiedzieć, miał opinię niepoprawnego starego kutwy, a za .czasów swych morskich podróży — twardego, ostrego zwierzchnika. Opowiadano mi w Nantucket, choć historia ta wydaje się oczywiście osobliwa, że kiedy pływał na swym wielorybniczym okręcie z Categut, jego załogę powrocie do kraju niemal w całości przenoszono na ląd do szpitala, tak srodze była wyczerpana i wyniszczona. Jak na człeka pobożnego, jak na kwakra, miał z pewnością co najmniej twarde serce. Mówiono, że nie zwykł był jednak nigdy wymyślać swym ludziom; tylko jakoś potrafił dobywać z nich niepospolitą ilość okrutnego, bezwzględnego, ciężkiego wysiłku. Kiedy był pierwszym oficerem i skierował na kogoś bacznie płowe oczy — ten odczuwał silne zdenerwowanie, dopóki nie porwał czegokolwiek': młota czy szydła do lin, i nie zabrał się jak szalony do roboty przy tym czy owym — obojętnie, co by to było. Opieszałość i lenistwo pierzchały na jego widok bez śladu. Własna jego postać była doskonałym ucieleśnieniem utylitarnego usposobienia. Na długiej, wychudłej figurze nie miał ani krzty zbędnego ciała, a na twarzy niepotrzebnej brody; szczękę pokrywał mu miękki, skąpy meszek, podobny do tego, który widniał na jego podniszczonym kapeluszu z szerokimi kresami.

Tak więc przedstawiała się osobistość, którą ujrzałem siedzącą na belce poprzecznej, kiedy za kapitanem Pelegiem zeszedłem do kajuty. Przestrzeń między pokładami była szczupła i tam oto, sztywno jak kołek, siedział stary kapitan, który tak zawsze siadywał, nigdy nie opierając się plecami, a to dla oszczędzania poł swego surduta. Obok niego leżał kapelusz o szerokich kresach; nogi miał Bildad sztywno skrzyżowane, tabaczkowy surdut zapięty pod szyję; i tak z okularami na nosie, kapitan zdawał się być pogrążony w lekturze potężnej księgi.

— Bildad! — zawołał kapitan Peleg. — Znowu w tym tkwisz, co? Studiowałeś to Pismo przez ostatnie lat trzydzieści, jak mi z całą pewnością wiadomo. Dalekoś dojechał, Bildad?

Jak gdyby z dawna przywykły do podobnie świętokradczych słów z ust swego starego towarzysza, Bildad, nie zwracając uwagi na ten nowy dowód braku uszanowania, spokojnie podniósł oczy i ujrzawszy mnie, popatrzył pytająco na Pelega.
— Powiada, że jest w sam raz dla nas — wyjaśnił Peleg. — Chce służyć na okręcie.

— Zaprawdę? — zapytał Bildad głuchym głosem, zwracając się do mnie.

— Zaprawdę — odparłem mimo woli; tak mi się nieodparcie narzucił jego styl kwakierski.

— Co o nim sądzisz, Bildad? — zapytał Peleg.

— Nałda się — odpowiedział Bildad rzucając na mnie okiem, po czym znowu zaczął sylabizować coś ze swej księgi, wydając dość głośne mruczenie.

Pomyślałem sobie, że to najdziwaczniejszy stary kwakier, jakiego kiedykolwiek widziałem, zwłaszcza że Peleg, jego dawny druh i towarzysz, zdawał się być takim zawadiaką. Nie odezwałem się jednak, a tylko szybko obejrzałem dokoła. Peleg otworzył właśnie skrzynię i dobywszy przyborów okrętowych, umieścił przed sobą kałamarz i pióro, po czym zasiadł za małym stołem. Przyszło mi do głowy, że już czas najwyższy pomyśleć, na jakich warunkach byłbym skłonny zaangażować się na wyprawę. Świadom byłem, że w rzemiośle

wielorybniczym nie dają płacy, ale że wszyscy należący do załogi, z kapitanem włącznie, otrzymują pewną cząstkę zysków, zwaną *dola* i że te dole są proporcjonalne do stopnia ważności odpowiednich obowiązków członków załogi. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że ponieważ w wielorybnictwie jestem nowicjuszem, moja dola nie będzie zbyt wielka; zważywszy wszakże, iż wzwyczajony już byłem do morza, umiałem sterować okrętem, złączyć liny i tak dalej, nie miałem wątpliwości, że z tego wszystkiego, co słyszałem, powinni mi zaproponować co najmniej 275 dolę, to znaczy jedną dwieście siedemdziesiątą piątą część czystego zysku z wyprawy, bez względu na to, ile by wyniósł. I choć 275 dola była, jak to się mówi, raczej daleką dolą, przecie lepsze to niż nic; a jeśli będziemy mieli udany rejs, niemal w zupełności starczy na opłacenie odzieży, jaką w tym czasie zużyję, nie mówiąc już o trzyletnim wikcie i wołowinie, za które nie będę musiał płacić ani szeląga.

Można by pomyśleć, że jest to kiepski sposób gromadzenia książęcej fortuny — i tak po prawdzie było; sposób był rzeczywiście kiepski. Należę jednak do tych, którzy nigdy nie gonią za książęcą fortuną i jestem zupełnie zadowolony, jeśli tylko świat gotów jest zapewnić mi wikt i pomieszkanie, dopóki przebywam pod tym ponurym znakiem Chmury Gromowej. W ogólności uważałem, że 275 dola będzie mniej więcej sprawiedliwa, nie zdziwiłbym się jednakże, gdyby mi zaofiarowano dwóchsetną, zważywszy, że odznaczałem się barczystą budową.

Wszelako jedna rzecz budziła we mnie niejaką niepewność co do otrzymania hojnego udziału w zyskach; a mianowicie na lądzie zasłyszałem coś niecoś zarówno o kapitanie Pelegu, jak i o jego nieobliczalnym, starym kamracie, Bildadzie. Słyszałem, że ponieważ byli głównymi właścicielami „Pequoda", więc inni, mniej znaczni, rozproszeni współwłaściciele pozostawili niemal w całości prowadzenie spraw statku tym dwom. I domyślałem się, że ten stary sknera, Bildad, będzie miał wiele do powiedzenia w sprawie werbunku załogi, zwłaszcza że na

„Pequodzie" zastałem go całkiem zadomowionego w kajucie i czytającego Biblię jak przy własnym kominku. Otóż podczas gdy Peleg daremnie usiłował zaostrzyć pióro kozikiem, stary Bildad, ku niemałemu mojemu zdziwieniu — zważywszy, że był przecie stroną tak bardzo zainteresowaną w owych sprawach — nie zwracał na nas najmniejszej uwagi, lecz nadal mamrotał coś do siebie, czytając z księgi: — „Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól..."

— No, kapitanie — przerwał mu Peleg — co powiadasz? Jaką że dolę damy temu młodzieńcowi?

— Sam wiesz najlepiej — brzmiała grobowa odpowiedź. — Siedemset siedemdziesiątą siódmą, to nie będzie za dużo, co? ... gdzie mól i rdza je zżera, ale skarbcie sobie..."

„Niezły *skarb,* rzeczywiście — pomyślałem sobie — i co za dola! Siedemset siedemdziesiąta siódma! No, stary Bildadzie, powziąłem widać postanowienie, że ja przynajmniej nie mam sobie skarbie skarbów na tym padole, gdzie mór i rdza je zżerają!" Była to w istocie niezwykle daleka dola i choć wysokością cyfry mogła zrazu omamić szczura lądowego, jednak przelotne nawet jej rozważenie przekonywało, że choć siedemset siedemdziesiąt siedem to liczba dość wysoka, przecie jeśli oznaczycie nią cząstkę, zobaczycie zaiste, iż siedemset siedemdziesiąta siódma część szeląga, to o wiele mniej niż siedemset siedemdziesiąt siedem złotych dublonów; i to właśnie sobie wtedy pomyślałem.

— Niech cię diabli porwą, .Bildad! — zawołał Peleg. — Nie chcesz chyba oszwabić tego młodzieńca! Musi dostaļ si więcej.

— Siedemset siedemdziesiąta siódma — powtórzył Bildad nie podnosząc oczu; a następnie począł znowu mamrotać:

— „Albowiem gdzie skarb twój, tam i serce twoje".

— Wpiszę mu trzechsetną — powiedział. Peleg. — Słyszysz mnie, Bildad? Trzechsetną dola, powiadam.

Bildad odłożył, księgę i zwróciwszy się uroczyście w jego stronę, powiedział:

— Kapitanie, serce twe szczodrobliwe jest, musisz wszelako pomnieć o obowiązku, swoim, który wypełnić winieneś wobec

innych tego okrętu właścicieli — wobec wdów i sierot tak mnogich— tudzież o tym, że jeśli zbyt hojnie wynagrodzimy znoje tego młodzieniaszka, tedy może odbierzemy chleb onym wdowom i sierotom. Siedemset siedemdziesiąta siódma dola, kapitanie Peleg.

— Ty, Bildad! — ryknął Peleg zrywając się z miejsca i miotając po kajucie. — ‚Niechże cię, Bildad! Gdybym słuchał twoich rad w tych sprawach, to już od dawna wlókłbym za sobą sumienie dość obciążone, by zatopić największy okręt, jaki kiedykolwiek opłynął Przylądek Horn!

— Kapitanie — odparł niewzruszenie Bildad — sumienie twoje może się zanurzać na dziesięć cali w Wodę,czyli też na dziesięć sążni — tego mi, nie wiadomo. Wszelako ponieważ jesteś nadal człekiem zatwardziałego, serca, srodze się lękam, kapitanie Peleg, iż sumienie twoje po prostu przecieka i na koniec pociągnie cię w 'otchłań piekielną. — Otchłań piekielną! Otchłań piekielną! Znieważasz mnie człowieku znieważasz, mnie. ponad wszelką wytrzymałość. To diabla zniewaga, powiedzieć jakiejś ludzkiej istocie, że jest przeznaczona do piekła! Pioruny!, Jeśli to jeszcze raz powtórzysz Bildad, to niech mnie grom uderzy, niech ja — tak! — połknę żywą kozę z sierścią i rogami! Precz z kajuty, ty obłudny, kaprawy przeklętniku, steruj stąd, a żywo! Grzmiąc w ten sposób, rzucił się na Bildadą, lecz ten z niezwykłą, zwinną chyżością wywinął mu się tym razem. Przestraszony tym okropnym wybuchem, jednego z dwóch głównych i odpowiedzialnych właścicieli, okrętu i już na wpół zdecydowany porzucić wszelaką myśl o żeglowaniu na statku posiadającym opiekunów tak wątpliwej wartości, a dowódców nieobliczalnych, usunąłem się od drzwi, by zrobić przejście Bildadowi, który, jak nie wątpiłem, pałał pragnieniem ucieczki przed obudzonym gniewem Pelega. Jednakże ku mojemu zdumieniu zasiadł on znowu najspokojniej na belce i nie zdradzał najmniejszego zamiaru wycofania się z kajuty. Był snadź zupełnie otrzaskany z zatwardziałym Pelegiem i jego sposobem bycia.. Co zaś się tyczy Pelega, to ten, dawszy upust wściekłości, wyzbył się jej widać

całkowicie i również usiadł, jak baranek; choć drżał z lekka, jak gdyby nerwy jego nadal były wzburzone. — Fiu! — gwizdnął wreszcie. — Coś mi się zdaje, że szkwał poszedł na zawietrzną. Bildad, byłeś biegły w ostrzeniu lanc,zastrugaj mi to pióro, dobrze? Ten mój kozik potrzebuje; osełki. O właśnie; dziękuję ci, Bildad. No więc, młodzieńcze, powiadasz że na imię ci Izmael? Zatem zapisuję cię tu, Izmaelu, na trzechsetną dolę.

— Kapitanie Peleg — powiedziałem — jest tu ze mną mój przyjaciel, który także chciałby się zaciągnąć. Czy mam go jutra przyprowadzić?

— A pewnie — odparł Peleg. — Przyprowadź go, to go sobie obejrzymy.

— Jakiej doli by chciał? — stęknął Bildad łypiąc znad książki, w której się znowu zagrzebał.

— Już ty się o to nie martw, Bildad — rzekł Peleg. — Polował kiedykolwiek na wieloryby? — dodał zwracając się do mnie.

— Ubił ich więcej, niżbym potrafił zliczyć, kapitanie Peleg.

— No, to przyprowadź go.

— Podpisawszy więc papiery wyszedłem nie wątpiąc, że dobrze wykonałem tego ranka swoje zadanie i że to właśnie „Pequod" jest owym okrętem nastręczonym przez Jodża, ażeby obwieźć mnie i Queequega wokół Przylądka.

Nie uszedłem jednak daleko, kiedy przyszło mi do głowy, że przecie kapitan, z którym miałem żeglować, pozostawał ciągle dla mnie niewidzialny. Wprawdzie nieraz tak się zdarza, że statek wielorybniczy otrzymuje kompletne wyposażenie i przyjmuje na pokład całą załogę, zanim kapitan da się na nim widzieć, przybywając dla objęcia komendy. Czasami bowiem wyprawy tak się przedłużają, a przerwy między nimi spędzone w domu, na lądzie, bywają tak niesłychanie krótkie, że jeśli kapitan posiada rodzinę czy jakiekolwiek podobnie absorbujące sprawy, nie kłopocze się wiele w porcie o swój statek, lecz pozostawia go właścicielom, dopóki wszystko nie będzie gotowe do wypłynięcia. Bądź co bądź dobrze jest jednak obejrzeć kapitana, nim człowiek odda mu się nieodwołalnie w ręce.

Zawróciłem więc i zagadnąłem Pelega, gdzie można znaleźć kapitana Ahaba.

— A cóż ty chcesz od kapitana Ahaba? Wszystko jest w porządku. Zaciągnąłeś się już przecie.

— Tak, ale chciałbym się z nim zobaczyć.

— Nie sądzę, żebyś to teraz mógł uczynić. Nie mam pojęcia, co mu właściwie jest, ale ciągle siedzi w domu; coś jakby chory, choć na to nie wygląda. Po prawdzie to chory nie jest, ale i dobrze się też nie czuje. W każdym razie nie zawsze życzy sobie mnie widzieć, więc nie przypuszczam, żeby chciał zobaczyć się z tobą, młodzieńcze. To dziwaczny człek, ten kapitan Ahab — tak uważają niektórzy — chociaż zacny. Nie ma obawy, nie ma obawy, polubisz go na pewno. Kapitan Ahab to chłop wspaniały. Boga się nie boi, choć bogom jest podobny. Nie gada wiele, lecz kiedy przemówi, wtedy go warto posłuchać. Zakonotuj sobie tę przestrogę: Ahab to człek niepospolity; bywał na uniwersytetach, jak również między ludożercami, przywykł do większych dziwów niż morskie fale, wbijał swą płomienistą lancę we wrogów potężniejszych i osobliwszych niż wieloryby. Ta jego lanca! Zaiste, najostrzejsza i najbardziej niechybna ze wszystkich na całej naszej wyspie! O, to nie kapitan Bildad, to nie Peleg; to *Ahab,* chłopcze, a starodawny Ahab, jak wiesz, był koronowanym królem.

— I to bardzo nikczemnym. Przecie kiedy tego podłego króla zabito, czyż psy nie zlizywały jego krwi?

— Podejdź no bliżej do mnie. Bliżej, bliżej — ozwał się Peleg z tak znaczącym spojrzeniem, że omal nie zadrżałem. — Uważaj, chłopcze; nigdy nie powiadaj tego na „Pequodzie". Nie powiadaj tego nigdzie. Kapitan Ahab nie wybierał sobie imienia. To był lekkomyślny, głupi kaprys jego zbzikowanej, owdowiałe] matki, która umarła, kiedy miał ledwie rok. A jednak stara Indianka Tistig powiedziała w Gayhead, że imię to w jakiś tam sposób okaże się prorocze. I być może, iż inni jej podobni głupcy powtórzą ci to samo. Chcę cię przestrzec. To łgarstwo. Znam dobrze kapitana Ahaba. Przed laty pływałem z nim jako oficer i dobrze wiem, jaki jest — dobry człowiek, nie taki pobożny,

zacny człek jak Bildad, ale dobry człek, który umie przeklinać — coś tak jak ja, tylko że wiele więcejwart. Tak, tak, wiem, że nigdy nie był zbyt wesoły, wiem także, iż w powrotnej drodze do domu trochę mu się przejściowo we łbie pomieszało; wszelako, jak każdy może wymiarkować, sprawiły to owe przeszywające bóle w jego krwawiącym kikucie. Wiadomo mi takoż, że odkąd w ostatniej wyprawie stracił nogę przez tego przeklętego wieloryba, jest czegoś ponury — rozpaczliwie ponury, a czasem wręcz opętany, ale to wszystko przejdzie. A pozwól sobie raz na zawsze powiedzieć i zapewnić cię, młody człowieku, że lepiej żeglować pod ponurym, a dobrym kapitanem niż pod roześmianym, a złym. Więc żegnaj mi — i nie krzywdź kapitana Ahaba dlatego tylko, że przypadkowo ma straszne imię. Prócz tego, mój chłopcze, ma on żonę — poślubioną ze trzy wyprawy temu — lubą, cichą dzieweczkę. Pomyśl tylko: z tej słodkiej dziewczyny ów człek ma dziecko. Czyliż więc sądzisz, że jest w Ahabie jakieś całkowite, beznadziejne zło? Nie, nie, mój chłopcze; może on być opętanym piekielnikiem, a przecie ma w sobie coś ludzkiego.

Odchodząc zatopiłem się w rozmyślaniach; to, co przypadkowo wyjawiono mi o kapitanie Ahabie, napełniło mnie jakimś niespokojnym, nieokreślonym bólem wiążącym się z jego osobą. Jednocześnie zaś doświadczałem dlań współczucia i litości, choć nie zdawałem sobie sprawy z jakiego powodu — chyba z racji tej okrutnej utraty nogi. A jednak przejmowała mnie także dziwna przed nim groza, ale ten rodzaj grozy, którego wcale nie poirafię opisać, który grozą właściwie nie był, choć nie wiem, czym był w istocie. Doświadczałem przecie takiego uczucia, lecz wcale mnie ono źle wobec Ahaba nie usposabiało, chociaż drażniło mnie coś, co — acz go dotąd niedostatecznie poznałem — wydawało się w nim tak tajemnicze. Jednakże myśli moje pobiegły wkrótce w innym kierunku i na razie mroczny Ahab wyleciał mi z głowy.

ROZDZIAŁ XVII
RAMADAN

Jako że Ramadan czy post, czy tam umartwianie Queequega miało trwać cały dzień, postanowiłem nie przeszkadzać mu przed zapadnięciem nocy, żywię bowiem najwyższy respekt dla wszelkich obowiązków religijnych, bez względu na to, jak mogą być komiczne, i nie miałbym odwagi lekceważyć nawet kongregacji mrówek oddających cześć muchomorowi albo tych innych stworów, które w pewnych częściach naszej ziemi, z lokajstwem doprowadzonym do stopnia nie mającego precedensu na innych planetach, wybijają pokłony przed popiersiem zmarłego właściciela ziemskiego, po prostu z uwagi na niezwykłą wielkość dóbr, nadal posiadanych i wydzierżawionych w jego imieniu.

Uważam, że my, dobrzy chrześcijanie prezbiteriańscy, powinniśmy być miłosierni w tych sprawach i nie wyobrażać sobie, iż stoimy tak wiele wyżej od innych śmiertelników, pogan czy tam kogo, z racji ich na wpół obłędnych urojeń w tych materiach. Oto taki Queequeg z pewnością żywi najniedorzeczniejsze wyobrażenia o Jodżu i swoim Ramadanie — ale cóż z tego? Przypuszczam, iż Queequeg sądzi, że wie, co robi; wydaje się zadowolony; niechże więc zostanie w spokoju. Wszelkie z nim spory nie zdałyby się na nic, należy więc dać mu spokój, powiadam, i niech Nieba mają miłosierdzie nad nami wszystkimi — prezbiterianami i poganami na równi — wszyscy bowiem mamy okropnie pokręcone w głowach i srodze nam potrzeba naprawy.

Pod wieczór, kiedy byłem już pewny, że Queequeg musiał zakończyć wszystkie swoje obrządki i rytuały, poszedłem na

górę do jego pokoju i zapukałem do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Usiłowałem je otworzyć, lecz były zaparte od wewnątrz. — Queequeg… — powiedziałem cichutko przez dziurkę od klucza. Cisza. — Queequeg! Słuchaj, czemu się nie odzywasz? To ja, Izmael. — Ale nadal panowało zupełne milczenie. Zacząłem się niepokoić. Dałem mu przecie tak wiele czasu; pomyślałem, że może miał atak apoplektyczny. Zajrzałem przez dziurkę od klucza, lecz ponieważ drzwi wychodziły na jakiś zakamarek pokoju, widok przez nią był niepełny i dość ponury. Mogłem dojrzeć tylko kawałek deski w nogach łóżka i część ściany, nic jednak poza tym. Ze zdumieniem zauważyłem oparte o ścianę drzewce harpuna, który gospodyni zabrała Queequegowi ubiegłego wieczora, zanim udaliśmy się do izby. „To dziwne — pomyślałem — ale w każdym razie, skoro harpun tam stoi, a Quee-queg rzadko czy raczej nigdy bez niego nie wychodzi, bez wątpienia i on sam musi się wewnątrz znajdować."

— Queequeg! Queequeg! — Cisza całkowita. Coś się musiało stać. Apopleksja! Usiłowałem wyważyć drzwi, lecz stawiły mi nieugięty opór. Zbiegłszy ze schodów, szybko oznajmiłem o swych podejrzeniach pierwszej napotkanej osobie — dziewczynie służebnej.

— Och, och! — zawołała. — Zaraz sobie pomyślałam, że coś się przydarzyło. Poszłam słać łóżko po śniadaniu i drzwi zastałam zamknięte. Cisza jak makiem zasiał — i od tej pory ciągle tam cicho. Alem sobie pomyślała, żeście może obaj wyszli i dla pewności zamknęli w pokoju swoje rzeczy. Och! Pani! Pani! Morderstwo! Pani Hussey! Apopleksja! — z tym krzykiem popędziła do kuchni, a ja za nią.

Wkrótce ukazała się pani Hussey ze słoikiem musztardy w jednej, a dzbanuszkiem octu w drugiej ręce; właśnie się oderwała od porządkowania półek w spiżarni i jednoczesnego strofowania swego małego Murzynka.

— Gdzie skład drzewa? — krzyknąłem. — Którędy się tam idzie? Biegnijcie, na miłość boską, i przynieście coś, czym by można wywalić drzwi — siekierę — siekierę! On miał atak, wierzcie mi! — to mówiąc skoczyłem bezmyślnie i z pustymi

rękami z powrotem na schody. Lecz pani Hussey zagrodziła mi drogę słoikiem musztardy, dzbanuszkiem octu oraz swym nie mniej kwaśnym obliczem.

— Co się z panem dzieje, młody człowieku?

— Dajcie mi siekierę! Na imię boskie, niech ktoś leci po doktora, a ja tymczasem wyważę drzwi!

— Słuchaj no pan — rzekła gospodyni, szybko odstawiając dzbanek z octem, by mieć jedną rękę wolną — słuchaj no pan. Czy chcesz przez to powiedzieć, że wyważysz którekolwiek z moich drzwi? — Z tymi słowy pochwyciła mnie za ramię. — Co się z panem dzieje? Co się dzieje, kolego marynarzu?

W sposób możliwie najspokojniejszy, choć bardzo pośpieszny, zapoznałem ją z całą sprawą; zastanowiła się chwilę, bezwiednie trącając się dzbankiem octu w nos, po czym zawołała:

— Nie! Nie widziałam go, odkąd go tam postawiłam! — Pobiegła do małej komórki pod schodami, zajrzała tam i wróciwszy oświadczyła mi, że harpun Queequega zniknął. — Zabił się! — krzyknęła. — Znowu to samo, co z tym nieszczęsnym Stiggsem, znów pójdzie jedna kołdra — Panie, miej litość nad jego nieszczęsną matką! To już będzie klęska dla naszego zajazdu! Czy ten nieszczęśnik miał siostrę? Gdzie ona? Słuchaj, Betty, leć do malarza Snarlesa i każ mu wymalować dla mnie szyld z napisem: „Zabrania się popełniać tu samobójstw oraz palić w bawialni" — można ubić dwa wróble za jednym zamachem… Ubić? O Boże, bądź miłościw jego duszy! Co to za hałas? Dość tego, młody człowieku !

I skoczywszy za mną pochwyciła mnie w chwili, gdy znowu usiłowałem wyważyć drzwi.

— Na to nie pozwolę! Nie zgadzam się, żeby mi rujnowano mieszkanie. Idź pan po ślusarza; mieszka tu jeden, o jakąś milę stąd. Ale zaraz! — wsunęła rękę do bocznej kieszeni. — Mam klucz, który chyba będzie pasował. Trzeba zobaczyć. — To mówiąc przekręciła go w zamku; niestety jednak, zasunięta na wszelki wypadek przez Queequega zasuwa pozostała wewnątrz nieporuszona.

— Muszę wyważyć drzwi — rzuciłem i już odbiegłem w głąb sieni, by nabrać dobrego rozpędu, kiedy gospodyni przyskoczyła do mnie zaklinając znowu, żebym jej nie niszczył mieszkania. Wyrwałem się jednak i nagłym rzutem całego ciała runąłem na drzwi.

Rozwarły się z okropnym trzaskiem, klamka wyrżnęła o ścianę, aż tynk prysnął na sufit i oto tam w samym środku pokoju — o dobre Nieba! — przycupnąwszy na własnych pośladkach, siedział sobie Queequeg, całkowicie spokojny i opanowany, trzymając Jodża na czubku głowy. Nie patrzał ani w jedną, ani w drugą stronę, ale siedział jak rzeźbiony posąg, ledwie dając oznaki życia.

— Queequeg — powiedziałem podchodząc doń. — Queequeg, co się z tobą dzieje?

— Przecie chyba nie siedzi tu tak przez cały dzień? — zapytała gospodyni.

Ale cokolwiek mówiliśmy, nic nie potrafiło wydobyć zeń ani słowa; miałem niemal ochotę popchnąć go, żeby zmienić pozycję, tak się wydawała boleśnie wymuszona i nienaturalna, zwłaszcza że według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał tak siedzieć od przeszło ośmiu czy dziesięciu godzin, i to nie przyjmując zwykłych posiłków.

— Pani Hussey — rzekłem. — W każdym razie żyje. Zostawcie nas więc, proszę, a ja sam załatwię tę dziwną sprawę.

Zamknąwszy drzwi za gospodynią, usiłowałem nakłonić Quee-quega, by wziął sobie krzesło; na próżno jednak. Siedział tak oto — i mimo wszelkich moich uprzejmych zabiegów i pochlebstw nie ruszył palcem, nie wypowiedział ani jednego słowa, nie spojrzał nawet w moją stronę ani nie zwrócił uwagi na mą obecność w najmniejszej choćby mierze.

„Ciekaw jestem — pomyślałem — czy to może również należeć do jego Ramadanu; czy na tej jego rodzinnej wyspie tak samo poszczą siedząc na własnych szynkach? Pewnie tak jest; to chyba przynależy do jego wierzeń; a zatem niech siedzi w spokoju. Bez wątpienia wstanie prędzej czy później. Bogu

dzięki, nie może to trwać wiecznie, a jego Ramadan przypada tylko raz na rok i nie sądzę, żeby znów tak bardzo punktualnie."

Zszedłem na wieczerzę. Długi czas siedziałem, przysłuchując się rozwlekłym opowieściom marynarzy, którzy właśnie powrócili z tego, co nazywali „puddingowym rejsem" (to znaczy z krótkiej wyprawy wielorybmiczej na brygu czy skunerze, ograniczonej do terenów na północ od równika, i to jedynie na Oceanie Atlantyckim). Nasłuchawszy się tych „puddingowców" niemal do jedenastej godziny, poszedłem na górę chcąc się położyć do łóżka; byłem teraz pewny, że Queequeg oczywiście musiał już zakończyć swój Ramadan. Ale nie — siedział tam oto, gdzie go zostawiłem; nie drgnął nawet na cal. Zaczęło mnie to irytować; owo siedzenie na zadku w zimnej izbie przez cały dzień i pół nocy z kawałkiem drewna na głowie wydawało mi się wręcz niedorzeczne i obłąkane.

— Na litość boską, Queequegu, wstańże i otrząśnij się. Idź na kolację; umrzesz z głodu, zabijesz się, chłopie. — Ale ani słowa odpowiedzi.

Uznawszy więc, że sprawa jest beznadziejna, postanowiłem położyć się do łóżka i zasnąć; z pewnością po niedługim czasie pójdzie on za moim przykładem. Zanim to jednak uczyniłem, zdjąłem z siebie ciężką, sukienną kurtkę i zarzuciłem ją na niego, jako że zanosiło się na bardzo chłodną noc, on zaś nie miał na sobie nic, prócz zwykłego, kusego kaftana. Ale choć, robiłem, co mogłem, przez czas jakiś nie udało mi się zapaść nawet w najlżejszą drzemkę. Zdmuchnąłem świecę, lecz sama myśl o Quee-quegu siedzącym niecałe cztery stopy ode mnie w tej niewygodnej pozycji, całkowicie, samotnym wśród zimna i mroku, doprawdy mnie gnębiła. Pomyślcie tylko: spać przez całą noc w jednym pokoju z czuwającym poganinem siedzącym na zadku i oddającym się temu okropnemu niepojętemu Ramadanowi!

Przecie na koniec usnąłem jakoś i straciłem świadomość aż do świtu, lecz kiedy wyjrzałem z łóżka, zobaczyłem przycupniętego Queequega, który tam tkwił, jakby go przyśrubowano do podłogi. Ledwie jednak słońce zajrzało po

raz pierwszy do okna, Queequeg wstał z zesztywniałymi i trzeszczącymi stawami, ale wesołym wejrzeniem, pokuśtykał w stronę łóżka, na którym leżałem, przycisnął swoje czoło do mojego i obwieścił, że jego Ramadan jest zakończony.

Otóż, jak już wspomniałem, nie mam żadnych zastrzeżeń wobec religii jakiegokolwiek człowieka, bez względu na to, jaka ona jest — dopóki ów człowiek nie zabija czy nie lży innego, dlatego że ten jej również nie wyznaje. Kiedy jednak religia tego człowieka staje się wręcz opętana, kiedy okazuje się oczywistą dla niego udręką i koniec końców czyni tę naszą ziemię zajazdem wielce niewygodnym do mieszkania — wtedy uważam, że wielki czas wziąć owego osobnika na stronę i przedyskutować z nim rzecz całą.

Tak właśnie postąpiłem teraz z Queequegiem. — Queequegu — powiedziałem — połóż się teraz do łóćka i posłuchaj, co ci powiem. — Po czym mówiłem dalej zaczynając od powstania i rozwoju religii pierwotnych, następnie przeszedłem do różnorodnych religii czasów obecnych, ciągle usiłując wykazać Quee-ąuegowi, że te wszystkie posty, Ramadany i przewlekłe wysiadywania własnych pośladków w zimnych, ponurych izbach są czystym nonsensem, szkodliwym dla zdrowia, bezużytecznym dla duszy, sprzeciwiającym się, Krótko mówiąc, oczywistym nakazom higieny i zdrowego rozsądku. Powiedziałem mu również, iż zważywszy, że w innych sprawach jest nadzwyczajnie rozsądnym i mądrym dzikusem, odczuwam, przykrość, i to bardzo żywą przykrość, widząc jego pożałowania godną głupotę na punkcie tego śmiesznego Ramadanu. Prócz tego, dowodziłem, posty sprawiają, że podupada się na ciele, a przez to upada się i na duchu, wszystkie zaś myśli z postu zrodzone muszą być z konieczności na wpół zagłodzone. To jest właśnie przyczyną, dla której większość cierpiących na niestrawność religiantów żywi tak melancholijne wyobrażenia o swoim przyszłym życiu. Jednym słowem, powiedziałem Queequegowi, nieco odchodząc od tematu, że piekło jest pomysłem, który się po raz pierwszy zrodził z niestrawnego pieroga z jabłkami i od owej pory

utrwalany jest dzięki dziedzicznym niestrawnościom kultywowanym przez Ramadany Zapytałem następnie Queequega, czy kiedykolwiek nękała go niestrawność, wyjaśniając znaczenie tego słowa wielce przystępnie, tak, by był w stanie je pojąć. Odpowiedział, że nie, z wyjątkiem jednego pamiętnego przypadku. Wydarzyło się to po wielkiej uczcie wydanej przez jego ojca-króla z okazji wygrania walnej batalii, w czasie której ubito pięćdziesięciu nieprzyjaciół około drugiej po południu, a ugotowano i spożyto ich wszystkich tegoż samego wieczora.

— Dość, Queequegu — rzekłem wzdrygając się. — Wystarczy. — Wnioski, jakie stąd wypływały, były mi bowiem znane bez dalszych aluzji. Widziałem kiedyś marynarza, który odwiedził tę właśnie wyspę; opowiadał mi, że według panującego tam obyczaju, po wygraniu wielkiej bitwy wszystkich poległych czono na rożnie, na dziedzińcu lub w ogrodzie zwycięzcy; następnie umieszczano ich po kolei na wielkich drewnianych tacach, garnirowano jak pilaw owocami drzewa chlebowego oraz orzechami kokosowymi, i z odrobiną pietruszki w zębach rozsyłano z ukłonami od zwycięzcy wszystkim jego przyjaciołom, zupełnie jak gdyby owe podarki były gwiazdkowymi indykami.

Myślę jednak, że mimo wszystko moje uwagi na temat religii nie wywarły wielkiego wrażenia na Queequegu. Po pierwsze, wydawał się jakby głuchy na tak doniosłe tematy, jeśli się ich nie rozważało z jego własnego punktu widzenia; po wtóre, rozumiał jedną trzecią tego, co mówiłem, choć starałem się myśli moje wyłożyć jak najprościej, i wreszcie niewątpliwie wyobrażał sobie, że o prawdziwej religii wie znacznie więcej ode mnie. Spoglądał na mnie z czymś w rodzaju pobłażliwej troski i współczucia, jak gdyby uznawał, iż wielka to szkoda, że podobnie rozsądny młody człowiek jest tak bezpowrotnie stracony dla ewangelicznej pogańskiej pobożności.

Nareszcie wstaliśmy z łóżka i ubraliśmy się; Queequeg pochłonął olbrzymie śniadanie złożone ze wszelkiego rodzaju *chowderów*, tak aby gospodyni nie odniosła zbyt wielkiej

korzyści z jego Ramadanu, a następnie wybraliśmy się na „Pequoda", po drodze dłubiąc w zębach ośćmi płastugi.

ROZDZIAŁ XVIII
JEGO ZNAK

Kiedyśmy tak kroczyli skrajem nabrzeża ku statkowi — Queequeg z harpunem w garści — kapitan Peleg powitał nas donośnie spod wigwamu stwierdzając swym burkliwym głosem, iż nie przypuszczał, że przyjaciel mój jest kanibalem, po czym oznajmił, że nie wpuszcza ludożerców na pokład tego statku, jeśli mu uprzednio nie okdżą dokumentów.

— Co pan chce przez to powiedzieć, kapitanie? — zapytałem przeskakując przez burtę i pozostawiając mego towarzysza na nabrzeżu.

— Chcę przez to powiedzieć — odparł — że musi on okazać swoje dokumenty.

— Aha! — ozwał się kapitan Bildad swym głuchym głosem, wytknąwszy zza Pelega głowę spod wigwamu. — Musi wykazać, że jest nawrócony. Synu Ciemności — dorzucił zwracając się do Queequega — zali przynależysz obecnie do jakowegoś chrześcijańskiego Kościoła?

— Ależ on jest członkiem Pierwszego Kościoła Kongregacjonalistycznego — powiedziałem. Nadmienić tu należy, że wielu wytatuowanych dzikich pływających na okrętach nantucketańskich przyjmuje wreszcie chrzest w którymś z Kościołów.

— Pierwszy Kościół Kongregacjonalistyczny! — zawołał Bildad. — Co? Ten, który odprawia nabożeństwa w domu zebrań diakona Deuteronomiona Colemana? — to mówiąc zdjął okulary, przetarł je wielką żółtą chustą z indyjskiego jedwabiu i nałożywszy na powrót z wielką starannością, wylazł z

wigwamu, wychylił się sztywno przez burtę i długo, bacznie przyglądał się Queequegowi.

— Od jak dawna jest członkiem? — zapytał obracając się ku mnie. — Przypuszczam, że chyba niezbyt dawno, młody człowieku.

— Nie — ozwał się Peleg. — Nie został też porządnie ochrzczony, gdyż inaczej zmyłoby mu to z gęby nieco tej diabelskiej błękitnej farby.

— Powiadajże zaraz — krzyknął Bildad — czy ten Filistyn jest prawdziwym członkiem zboru diakona Deuteronomiona? Nigdym nie widział, żeby się tam udawał, a przechodzę tamtędy w każdą świętą niedzielę.

— Nic mi nie wiadomo o diakonie Deuteronomionie ani o jego zborze — odparłem, — a wszystko, co wiem, to to, że tu obecny Queequeg jest urodzonym członkiem Pierwszego Kościoła Kongregacjonalistycznego. Sam nawet jest diakonem, a jakże.

— Młodzieńcze — rzekł Bildad surowo — urządzasz sobie ze mnie krotochwile, wytłumacz się, młody Hetyto. O jakim Kościele prawisz? Odpowiedz mi.

Przyparty w ten sposób do muru odrzekłem: — Mówię o tym samym pradawnym Kościele Powszechnym, do którego należę i ja, i pan, i kapitan Peleg tu obecny, i tenże Queequeg, i my wszyscy, i syn każdej z matek, i dusze nasze: mówię o wielkiej, wieczystej, Pierwszej Kongregacji całego tego wierzącego świata. Wszyscy do niej należymy — tylko niektórzy z nas pielęgnują pewne wymyślności nie mające żadnego związku z samym wspaniałym wierzeniem; w nim natomiast wszyscy łączymy nasze dłonie.

— Splatamy, chcesz powiedzieć: *splatamy dłonie!* — wykrzyknął Peleg podchodząc bliżej. — Młodzieńcze, lepiej zaciągnij się na misjonarza, miast zostawać zwykłym majtkiem; nigdym jeszcze nie słyszał lepszego kazania. Diakon Deuteronomion — co mówię! — sam Ojciec Mapple nie mógłby go pobić, a ten się przecież za coś liczy. Chodźcie na pokład, na pokład, mniejsza o te papiery. Powiedzże temu Quohogowi —

jak go tam nazywasz? — powiedz mu, żeby przyszedł. Na wielką kotwicę! Ależ on ma olbrzymi harpun! Wygląda na całkiem niezły; widać też, że chłop umie się z nim obchodzić. Hejże, Quohogu, czy jak tam twoje imię, stałeśże kiedy na dziobie wielorybniczej łodzi? Zadźgałeś w życiu jaką rybę?

Nie mówiąc ani słowa Queequeg w swój nieco dziki sposób wskoczył na burtę, z niej na dziób jednej z łodzi wielorybniczych zawieszonych u boku okrętu, zaparł się lewym kolanem, wzniósł harpun i wykrzyknął coś w tym rodzaju:

— Kapitan, ty widzieć ten mała plama smoła na wodzie? Widzieć go, no to on oko wieloryby i proszę! — wycelowawszy dokładnie, cisnął żelazo tuż nad szerokokresym kapeluszem Bildada, prosto przez pokład okrętu, trafiając w samą połyskliwą plamę smoły, która znikła nam z oczu.

— No — rzekł Queequeg spokojnie holując do siebie linkę harpuna — gdyby on być oko wieloryby, to ta wieloryba być zabita.

— Bystro, Bildad! — zawołał Peleg do swego wspólnika, który przerażony bliskością lecącego harpuna wycofał się w stronę zejścia kajutowego. — Bystro, mówię ci, Bildad; łap się za papiery okrętowe. Musimy mieć tego Minoga czy tam Quohoga w jednej z naszych łodzi. Słuchaj, Quohog, damy ci dziewięćdziesiątą dolę, a to jest więcej, niż kiedykolwiek otrzymał harpunnik spoza Nantucket.

Zeszliśmy więc do kajuty i ku wielkiej mojej radości Queequeg został niebawem wciągnięty na listę załogi tego samego okrętu, do którego i ja należałem.

Kiedy wszelkie przedwstępne czynności zostały już zakończone, a Peleg przygotował wszystko do podpisania, obrócił się do mnie i rzekł:

— Myślę, że ten ów Quohog nie umie pisać, co? Hola, Quohog, niechże cię! Czy podpisujesz swoje imię, czy też stawiasz swój znak?

Ale na to pytanie Queequeg, który już dwa czy trzy razy brał udział w podobnej ceremonii, nie okazał bynajmniej zmieszania; ująwszy podane mu pióro wykonał na papierze, we

właściwym miejscu, dokładną kopię osobliwego, krągławego znaku wytatuowanego na jego ramieniu. Dzięki więc pomyłce, jaką kapitan Peleg uparcie popełniał przy jego imieniu, wyglądało to mniej więcej tak:

Tymczasem kapitan Bildad siedział, niewzruszenie i z powagą przypatrując się Queequegowi; wreszcie wstał uroczyście i poszperawszy w olbrzymich kieszeniach swego szerokiego, tabaczkowego surduta, wydobył plik rozprawek religijnych, wybrał jedną z nich zatytułowaną *Dzień Sądu nadchodzi, czyli nie ma czasu do stracenia* i wetknąwszy ją w ręce Queequegowi objął obiema. dłońmi jego dłonie dzierżące broszurę, zajrzał mu z powagą w oczy i powiedział:

— Synu Ciemności, winienem wykonać swą powinność wobec ciebie. Jestem współwłaścicielem tego okrętu i muszę się troszczyć o dusze całej jego załogi; jeśli przeto tkwisz jeszcze w swoich pogańskich obyczajach — czego się srodze lękam — zaklinam cię, nie pozostawaj na zawsze sługą Beliala. Odtrąć onego bałwana, smoka ohydnego, uchroń się od gniewu, któren cię oczekuje, strzeż się pilnie, powiadam ci, i — na miły Bóg! — steruj precz od czeluści piekielnej!

Coś ze świata mórz słonych błąkało się jeszcze w mowie Bildada, w przedziwnym połączeniu z biblijnymi i potocznymi zdaniami.

— Dość tego, dość tego, Bildad! Przestań już psuć naszego harpunnika! — zawołał Peleg. — Nabożni harpunnicy nigdy nie bywają dobrymi marynarzami — to pozbawia ich dzikości rekina, a harpunnik, który nie będzie dostatecznie rekinowaty, nie wart jest nawet tyle co źdźbło słomy. Tak było z Natem Swaine, niegdyś najdzielniejszym dziobowym z całego Nantucket i Vine-yardu; przystał do zboru i nigdy mu to na dobre nie wyszło. Tak się zaczął strachać o tę swoją parszywą duszę, że się wykręcał i unikał wielorybów z obawy przed złymi dla niej skutkami, na wypadek gdyby po rozbiciu łodzi musiał się dostać w łapy Davy Jonesa .

— Peleg, Peleg! — ozwał się Bildad wznosząc w górę oczy i ręce. — Ty sam, jako i ja, oglądałeś już niejedno

niebezpieczeństwo. Wiesz, Peleg, co to znaczy czuć strach przed śmiercią — jakże więc możesz gadać na tak bezbożna modłę? Kłam zadajesz własnemu sercu, Peleg. Powiedzże mi, czy wówczas, gdy tajfun zwalił za burtę temu tu „Pequodowi" trzy maszty u wybrzeży Japonii, w czasie tego rejsu, kiedyś to pływał jako oficer przy kapitanie Ahabie, czyś wtedy nie myślał o śmierci i Sądzie Ostatecznym?

— Patrzcie go, patrzcie go tylko! — zawołał Pełeg krocząc po kabinie i wpychając ręce głęboko w kieszenie. — Widzieliście go! O tym miałem myśleć? Kiedy sądziliśmy, że okręt zatonie lada chwila! Śmierć i Sąd — wtedy? Co? Gdy wszystkie trzy maszty bez przerwy łomotały o kadłub, a całe morze waliło się na nas od dzioba i rufy! Wówczas myśleć o śmierci i Sądzie Ostatecznym? Nie! Nie było wtedy czasu myśleć o śmierci. O życiu myśleliśmy z kapitanem Ahabem, i o tym, jak ratować załogę, jak umocować zapasowe maszty, jak się dostać do najbliższego portu: o tym myślałem!

Bildad nie wyrzekł już ni słowa, lecz zapiawszy surdut wymaszerował na pokład, my zaś niebawem udaliśmy się za nim. Stał tam, nadzorując z ogromnym spokojem kilku żaglomistrzów naprawiających środek topsla. Od czasu do czasu schylał się, by podnieść jakąś łatę lub pozbierać kawałki smołowanego szpagatu, które inaczej mogłyby się zmarnować.

ROZDZIAŁ XIX
PROROK

— Koledzy marynarze, czyście się zaciągnęli na ten statek? Queequeg i ja zeszliśmy właśnie z „Pequoda" i oddalaliśmy się od wody — każdy z nas chwilowo zajęty własnymi myślami — kiedy powyższe słowa wyrzeczone do nas zostały przez nieznajomego człowieka, który zastąpiwszy nam drogę wycelował masywny wskazujący palec w stronę tegoż żaglowca. Był dość nędznie oddziany w wypłowiały kabat i łatane spodnie; strzęp czarnej chusty okręcał mu szyję. Ospa rozlała się na wsze strony po jego twarzy czyniąc z niej coś na kształt zawile żłobionego łożyska potoku, którego rwące wody wyschły już od dawna.

— Czyście się zaciągnęli na niego? — powtórzył.

— Chodzi panu o żaglowiec „Pequod", jak się zdaje? — odrzekłem usiłując zyskać nieco na czasie, by mu się spokojnie przyjrzeć.

— Właśnie o „Pequoda", o ten tu statek — powiedział cofając ramię, a następnie wyrzucając je nagle przed siebie z nastawionym bagnetem palca wymierzonym wprost w cel.

— Tak — odrzekłem. — Właśnie podpisaliśmy listę werbunkową.

— Było w niej coś o waszych duszach?

— O czym?

— O, może w ogóle ich nie macie — powiedział z pośpiechem. — Mniejsza o to; znam wielu takich, co ich nie mają — Bóg z nimi — i tym lepiej się czują. Dusza to coś w rodzaju piątego koła u wozu.

— Co tam pleciesz, kolego? — zapytałem.

— On ma przecie dość duszy, by nadrobić wszelkie podobne braki u innych — powiedział nagle nieznajomy, wymawiając słowo *on* z nerwowym naciskiem.

— Queequeg — rzekłem — chodźmy; ten chłop musiał się skądsiś urwać. Gada o czymś czy o kimś, kogo wcale nie znamy.

— Stójcie! — wykrzyknął nieznajomy. — Powiedzieliście prawdę — nie widzieliście jeszcze przecie Starego Gromu?

— Kto to jest Stary Grom? — zapytałem, ponownie uderzony jego obłąkaną powagą.

— Kapitan Ahab.

— Co? Kapitan naszego okrętu, „Pequoda"?

— A jakże. Wśród niektórych z nas, starych marynarzy, znany on jest pod tym przezwiskiem. Nie widzieliście go jeszcze, co?

— Nie, jeszcze nie. Jest chory, jak mówią, ale już mu lepiej i wkrótce całkiem wydobrzeje.

— Wkrótce całkiem wydobrzeje! — wybuchnął nieznajomy uroczyście szyderczym śmiechem. — Słuchajcie no: kapitan Ahab wydobrzeje, kiedy to moje lewe ramię będzie zdrowe, ale nie wcześniej.

— Co o nim wiecie?

— A co wam o nim mówiono? To lepiej powiedzcie!

— Niezbyt wiele. Słyszałem tylko, że jest przednim łowcą wielorybów i dobrym kapitanem dla swojej załogi.

— Prawda, prawda, obie rzeczy są prawdziwe. Ale trzeba dobrze skakać, kiedy wyda rozkaz. Chodź i jęcz, jęcz i rób swoje — to hasło kapitana Ahaba. A nic wam nie mówiono o tym, co mu się przydarzyło za Przylądkiem Horn, dawno już temu, kiedy to leżał jak trup przez trzy dni i trzy noce; nic o tej śmiertelnej walce z Hiszpanem przed ołtarzem w Santa? Niceście o tym nie słyszeli, hę? A o tej srebrnej czaszy, do której napluł? I nic też o tym, że zgodnie z proroctwem stracił nogę w czasie ostatniego rejsu? Ani słowa nie słyszeliście o tych rzeczach i o innych jeszcze, co? Nie, nie przypuszczam, bo i skąd? Kto o tym wie? Nie całe Nantucket, jak sądzę. Ale przecie możeście słyszeli o tej nodze i o tym, jak ją stracił? Myślę, że o tym chyba słyszeliście. O tak, to wie niemal każdy — znaczy się

wiedzą, że on ma tylko jedną nogę i że kaszalot zabrał mu drugą.

— Przyjacielu — powiedziałem — nie wiem, czego się tyczy cała ta wasza gadanina i niewiele mnie to obchodzi, bo coś mi się widzi, że macie trochę źle w głowie. Jeżeli jednak mówicie o Ahabie, kapitanie tego tu okrętu, „Pequoda", tedy pozwólcie sobie powiedzieć, że wszystko mi wiadomo o utraceniu przezeń nogi.

— Wszystko, co? Pewniście tego — wszystko?

— Pewnym, że tak.

Wyglądający na żebraka nieznajomy stał przez chwilę z palcem wyciągniętym i wzrokiem utkwionym w „Pequoda", jakby pogrążony w niespokojnej zadumie; następnie drgnął lekko, obrócił się i rzekł:

— Zaciągnęliście się więc? Podpisy już złożone? No, cóż, co podpisane, to podpisane, a co ma być — będzie; a zresztą może jednak i nie będzie. W każdym razie wszystko już ustalone i załatwione, a uważam, że jacyś marynarze muszą przecie z nim popłynąć. Równie więc dobrze mogą być ci, jak i tamci. Niech Bóg się nad nimi zmiłuje. Kłaniam się wam, koledzy, kłaniam, i niechaj dobrotliwe Nieba wam błogosławią. Wybaczcie, żem was zatrzymał.

— Słuchajcie no, przyjacielu — powiedziałem. — Jeśli macie nam coś ważnego do powiedzenia, no to jazda! Ale jeśli tylko usiłujecie nas otumanić, toście się pomylili w rachubach. To wszystko, co mam do powiedzenia. .

— I pięknieście to powiedzieli; a ja lubię słuchać chłopa, który tak gada. Jesteście w sam raz dla niego — wy i wam podobni. Kłaniam, koledzy, kłaniam! Aha! Kiedy już się tam znajdziecie, powiedzcie im, że postanowiłem do nich nie przystawać.

— O, drogi kolego, nie uda ci się tak nas zbyć, nie uda ci siętak wymigać. Najłatwiejsza to w świecie rzecz, nadawać sobie pozory posiadania wielkiej tajemnicy.

— Żegnam, koledzy, żegnam.

— A no dobrze — odparłem. — Chodź, Queequegu, zostawmy tego szaleńca. Ale zaraz! Powiedzcie mi swoje imię, dobrze?

— Eliasz.

„Eliasz!" — pomyślałem i odeszliśmy, czyniąc każdy na swój sposób uwagi o tym obdartym, starym marynarzu; zgodziliśmy się obaj, że jest on po prostu szalbierzem usiłującym udawać wilkołaka. Ale nie uszliśmy dalej niż jakieś sto jardów, kiedy skręcając akurat za róg obejrzałem się i zoczyłem nie kogo innego jak Eliasza postępującego za nami w pewnej odległości. Jego widok do tego stopnia mnie zaskoczył, że nic nie powiedziałem Queequegowi i poszedłem dalej wraz z mym towarzyszem, pragnąc przekonać się, czy nieznajomy skręci za ten sam róg, co my. Uczynił to, i w tedy wydało mi się, że chyba nas tropi, ale w jakich zamiarach, tego nie mogłem pojąć, choćby mnie kto zabił. Ta okoliczność w połączeniu z jego dwuznacznym, tajemniczym sposobem mówienia, pełnym półaluzji i półwyjawień, zrodziła we mnie wielorakie niejasne refleksje i niemal obawy, a wszystko w związku z „Pequodem" i kapitanem Ahabem, i nogą, którą utracił, i napadem, który miał na Przylądku Horn, i srebrną czaszą, i z tym, co o nim mówił kapitan Peleg, kiedy poprzedniego dnia opuszczałem okręt, i przepowiednią Indianki Tistig, i wyprawą, na którą zobowiązaliśmy się wyruszyć, i z tysiącem innych, mrocznych spraw.

Byłem zdecydowany przekonać się, czy ten obdarty Eliasz naprawdę nas tropi, czy nie, i z tym zamiarem przeszedłem wraz z Queequegiem na drugą stronę ulicy, tam zaś zawróciliśmy. Eliasz jednakże przeszedł, zdając się nie zwracać na nas uwagi. To mi przyniosło ulgę i raz jeszcze, w sposób, jak mi się zdawało, ostateczny, orzekłem w duszy, że jest to oszust.

ROZDZIAŁ XX
OGÓLNE PORUSZENIE

Minęło kilka dni i oto na pokładzie „Pequoda" zapanowało wielkie poruszenie. Nie tylko naprawiano stare żagle, ale dostarczano na pokład nowe, jak również bele płótna żaglowego i zwoje lin; krótko mówiąc, wszystko wskazywało, że przygotowania na statku szybko dobiegają końca. Kapitan Peleg rzadko albo wcale nie schodził na ląd, lecz siedział w swym wigwamie bacznie obserwując marynarzy. Bildad dokonywał w magazynach wszystkich zakupów celem zaopatrzenia żaglowca, a ludzie zatrudnieni w ładowni i przy takielunku pracowali długo po zapadnięciu nocy.

Nazajutrz po podpisaniu przez Queequega kontraktu dano znać po wszystkich zajazdach, w których zatrzymali się członkowie załogi, że ich kufry muszą być dostarczone na pokład przed nocą, nie wiadomo bowiem, czy statek rychło nie odpłynie. Zatem Queequeg i ja przenieśliśmy nań manatki, postanowiwszy jednakże nocować do końca na lądzie. Ale widać w tych wypadkach zawsze daje się znać na długi czas z góry, gdyż statek nie wypłynął przez kilka następnych dni. Nic w tym jednak dziwnego; tyle trzeba było jeszcze zrobić, o tylu rzeczach pomyśleć, zanim „Pequod" będzie w pełni wyekwipowany.

Każdy wie, jakie mnóstwo przedmiotów — łyżek, patelni, noży i widelców, szufel i szczypiec, obrusów, dziadków do orzechów i czego tam jeszcze — niezbędne jest w gospodarstwie domowym. To samo i z wielorybnictwem, które wymaga trzyletniego prowadzenia domu na szerokim oceanie, z dala od wszystkich kupców kolonialnych, przekupek, lekarzy, piekarzy

i bankierów. I choć to samo dotyczy również i statków handlowych, przecie w żadnym razie nie w tej mierze co wielorybniczych. Albowiem oprócz wielce długiego trwania wyprawy wielorybniczej, prócz licznych artykułów koniecznych do uprawiania rybołówstwa, prócz niemożności uzupełnienia ich w odległych portach zazwyczaj odwiedzanych — należy pamiętać, że ze wszystkich okrętów wielorybnicze najbardziej są narażone na wszelkiego rodzaju wypadki, a w szczególności na zniszczenie i utratę tych właśnie rzeczy, od których najwięcej *zależy* powodzenie wyprawy. Stąd właśnie zapasowe łodzie, zapasowe drzewca i zapasowe liny oraz harpuny, zapasowe niemal wszystko z wyjątkiem zapasowego kapitana i duplikatu okrętu.

Najważniejsze zaopatrzenie „Pequoda", składające się z wołowiny, chleba, wody, opału, obręczy żelaznych i klepek, zostało już niemal całkowicie zgromadzone w okresie naszego przybycia na wyspę. Jednakże, jak wyżej wspomniano, przez jakiś czas trwało jeszcze nieprzerwane zbieranie i znoszenie na pokład przeróżnych przedmiotów, tak małych jak i dużych.

Główną osobą między zajmującymi się owym zbieraniem i znoszeniem była siostra kapitana Bildada, chuda, starsza pani, ożywiona niezwykle stanowczym i niezmordowanym duchem, przy tym bardzo dobrego serca; powzięła ona widać postanowienie, że jeśli tylko będzie to w jej mocy, uczyni wszystko; by na „Pequodzie" niczego nie zbrakło, gdy statek znajdzie się już na morzu. Raz przychodziła na pokład z dzbanem marynat dla spiżarni stewarda, kiedy indziej znowu z pękiem piór gęsich przeznaczonych na biurko pierwszego oficera, który prowadził dziennik okrętowy — to znów ze zwojem flaneli na czyjeś tknięte reumatyzmem krzyże. Nigdy żadna niewiasta nie zasługiwała bardziej niż ona na swe imię, które brzmiało: Charity — ciocia Charity, jak ją wszyscy nazywali. I właśnie jak siostra miłosierdzia, krzątała się tu i ówdzie owa miłosierna ciocia Charity, gotowa obrócić serce i dłoń ku wszystkiemu, co obiecywało bezpieczeństwo, wygodę i pokrzepienie każdemu, kto znajdował się na pokładzie okrętu,

będącego przedmiotem zainteresowania jej umiłowanego brata Bildada, w którym to okręcie i ona sama ulokowała kilkadziesiąt skrzętnie zaoszczędzonych dolarów.

Zdumiewający był widok owej kwakierki o przezacnym sercu, przybywającej na pokład — jak to uczyniła ostatniego dnia — z długą chochlą do oleju w jednej ręce oraz jeszcze dłuższą lancą wielorybniczą w drugiej. Wszelako ani sam Bildad, ani kapitan Peleg nie pozostawali bynajmniej w tyle. Jeśli idzie o Bildada, to nosił on przy sobie długą listę potrzebnych przedmiotów i za każdym nowym przybytkiem stawiał swój znaczek obok odnośnej pozycji. Peleg co chwila wyłaził kuśtykając ze swej kryjówki z wielorybiej kości, ryczał na ludzi zatrudnionych w lukach, ryczał na pracujących przy takielunku na marsie i na zakończenie ryczał wracając do swego wigwamu.

W czasie tych przygotowań często odwiedzaliśmy wraz z Quee-quegiem „Pequoda", ja zaś równie często wypytywałem o kapitana Ahaba, o to, jak się czuje i kiedy przybędzie na swój okręt. Na te pytania odpowiadano, że stan zdrowia kapitana stale się poprawia i że oczekują go lada dzień na pokładzie; tymczasem zaś obaj kapitanowie, Peleg i Bildad, mogą dopilnować wszystkiego, co potrzebne, by żaglowiec przysposobić do podróży. Gdybym był prawdziwie szczery wobec samego siebie, dostrzegłbym z całą jasnością, iż w głębi serca niezbyt mnie zachwycała *myśl,* że w taki sposób zobowiązałem się do podobnie długiej podróży, nie rzuciwszy ani razu okiem na człowieka, który miał być jej absolutnym dyktatorem, gdy tylko statek wypłynie na pełne morze. Ale zdarza się czasem, że kiedy człowiek podejrzewa coś niedobrego, to skoro już się zaplątał w daną sprawę, bezwiednie usiłuje ukryć swe podejrzenia nawet przed samym sobą. Cos bardzo podobnego stało się i ze mną. Nic nie mówiłem i próbowałem o niczym nie myśleć.

Obwieszczono na koniec, że o jakimś czasie następnego dnia statek odpłynie z całą pewnością. Wobec tego nazajutrz wstaliśmy z Queequegiem bardzo wcześnie.

ROZDZIAŁ XXI
NA POKŁAD!

Była już prawie szósta, świt szary, niepełny i mglisty, kiedy się zbliżaliśmy do przystani.

— Jacyś marynarze biegną tam przed nami, jeśli mnie wzrok nie myli — rzekłem do Queequega. — Chyba to nie cienie; widocznie statek wyrusza o wschodzie słońca —chodźmy!

— Stójcie! — zabrzmiał jakiś głos, którego właściciel, podszedłszy w tej samej chwili z tyłu, położył nam dłonie na ramionach, wsunął się między nas i przystanął pochylony nieco do przodu, dziwnie zerkając w niepewnym półmroku to na mnie, to na Queequega. Był to Eliasz.

— Idziecie na pokład?

— Zabierzcie no te ręce! — powiedziałem.

— Słuchaj ty — rzekł Queequeg otrząsając się. — Ty iść sobie!

— Więc nie idziecie na pokład?

— Owszem, idziemy — odparłem — ale co wam do tego? Wiecie, panie Eliaszu, moim zdaniem jesteście trochę bezczelni.

— Nie, nie, nie, z tegom sobie sprawy nie zdawał — odpowiedział z wolna Eliasz, w zamyśleniu spoglądając to na mnie, to na Queequega wręcz niesamowitym wzrokiem.

— Eliaszu — rzekłem — ja i mój przyjaciel będziemy wam wielce zobowiązani, jeśli odejdziecie. Udajemy się na Ocean Indyjski i Spokojny; wolelibyśmy, żeby nas nie zatrzymywano.

— Czy tak? A wrócicie przed śniadaniem?

— On ma bzika, Queequegu — powiedziałem. — Chodźmy.

— Halo! — krzyknął nie ruszając się z miejsca Eliasz, gdyśmy już uszli parę kroków.

— Nie zważaj na niego — rzuciłem. — Chodź, Queequegu.

On jednak podkradł się znowu ku nam i raptem położywszy mi rękę na ramieniu, rzekł:

— Czy widzieliście przed chwilą coś jakby ludzi idących w stronę statku?

Uderzony tym prostym, rzeczowym pytaniem odparłem:

— A jakże, zdaje mi się, że widziałem czterech czy pięciu ludzi. Było jednak zbyt szaro, by to twierdzić z pewnością.

— Bardzo szaro, ogromnie szaro — rzekł Eliasz. — Żegnam was.

Raz jeszcze rozstaliśmy się z nim i raz jeszcze poszedł cicho za nami; dotknąwszy znowu mego ramienia powiedział:

— Popróbujcie, czy się ich da teraz odnaleźć, dobrze?

— Odnaleźć kogo?

— Do widzenia, do widzenia! — odparł oddalając się ponownie. — O, chciałem was przestrzec przed... ale nic to, nic to — wszystko jedno. Wszystko też pozostanie w rodzinie... Siarczysty mróz dzisiaj, co? Żegnajcie mi. Już was pewnie rychło nie zobaczę; chyba przed Wielkim Trybunałem. — I z tymi obłąkanymi słowy odszedł nareszcie pozostawiając mnie w pierwszej chwili niemało zdumionego tą opętaną czelnością.

Wstąpiliśmy wreszcie na pokład „Pequoda" i zastaliśmy wszystko pogrążone w głębokiej ciszy; ani żywa dusza nie drgnęła. Zejście do kabin było zamknięte od środka, luki zawarte i przywalone zwojami lin. Przeszliśmy na forkasztel, gdzie znaleźliśmy klapę włazu otwartą. Dostrzegłszy światło, zeszliśmy na dół i zastaliśmy tam jedynie starego żaglomistrza owiniętego w obszerny, podarty, wełniany kubrak. Człowiek ów leżał jak długi na dwóch skrzyniach, z twarzą ukrytą w podciągniętych ramionach. Najgłębszy sen spoczywał mu na piersiach.

— Gdzie się mogli podziać ci marynarze, których widzieliśmy, Queequegu? — powiedziałem spoglądając niepewnie na śpiącego.

Okazało się jednak, że wtedy, na nabrzeżu, Queequeg w ogóle ich nie zauważył; toteż mógłbym pomyśleć, że w tej materii padłem ofiarą wzrokowego złudzenia, gdyby nie owo pytanie

Eliasza, nie dające się w takim wypadku wytłumaczyć. Zlekceważyłem to jednak i spojrzawszy znowu na śpiącego, napomknąłem żartobliwie Queequegowi, że może najlepiej by było przy siąść na owych zwłokach; zachęciłem go, by się na nich usadowił. Queequeg położył dłoń na pośladkach śpiącego, jakby próbując, czy są dość miękkie, a następnie, bez dalszych ceregieli, spokojnie na nich zasiadł.

— Na Boga, nie siadaj że na nim, Queequegu! — zawołałem.

— O! Bardzo dobra siedzenie — odpowiedział Queequeg. — Jak w moja dom. Nic się nie stać jego twarz.

— Twarz! — zawołałem. — Ty to nazywasz twarzą? Wielce to zatem dobrotliwa fizjonomia. Ale spójrz, jak on ciężko dycha, jak się dźwiga — zejdź, Queequegu, ciężki jesteś, miażdżysz twarz biedakowi. Zejdźże, Queequegu! Patrz, zaraz cię zrzuci. Dziwne, że się jeszcze nie zbudził.

Queequeg przeniósł się na miejsce tuż za głową leżącego i zapalił swą fajkę-tomahawk. Ja zasiadłem w nogach. Podawaliśmy sobie wzajemnie z rąk do rąk fajkę ponad śpiącym. Tymczasem zaś począłem wypytywać Queequega na jego łamaną modłę, a on w odpowiedzi dał mi do zrozumienia, że w jego kraju — z uwagi na brak wszelkich kanap i sof — królowie, wodzowie i w ogólności możni panowie mają zwyczaj tuczyć sobie poniektórych ludzi podlejszego stanu na otomany; by więc pod tym względem wygodnie urządzić mieszkanie, wystarczy po prostu zakupić ośmiu do dziesięciu gnuśnych osobników, a następnie porozkładać ich tu i ówdzie pod oknami i w alkowach. Prócz tego jest to ogromnie wygodne w czasie wycieczki, o wiele lepsze niż te ogrodowe zydelki, dające się składać w laskę, gdyż w razie potrzeby wódz woła swego adiutanta i wyraża życzenie, żeby przemienił się w kanapę ulokowaną pod jakimś rozłożystym drzewem, być może w wilgotnym czy błotnistym miejscu.

Ciągnąc tę opowieść Queequeg, za każdym razem, gdy brał tomahawk z moich rąk, wywijał nad głową śpiącego tą stroną, po której było żeleźce.

— A to na co, Queequegu?

— Bardzo łatwo zabić, o, bardzo łatwo!

Właśnie zamierzał snuć dalej jakoweś dzikie wspomnienia o fajce-tomahawku, która podobno w swoim dwojakim zastosowaniu zarówno rozłupywała czaszki jego wrogów, jak i koiła jego duszę, kiedy uwagę naszą zwrócił na siebie śpiący majster. Tęgi odór dymu, wypełniający obecnie całe ciasne pomieszczenie, zaczął na niego działać. Sapnął z trudem, następnie coś zaczęło go widać kręcić w nosie, bo przewrócił się z boku na bok parę razy i wreszcie usiadł przecierając oczy.

— Halo! — odetchnął na koniec. — Coście za jedni, palacze?

— Ludzie z załogi — odparłem. — Kiedy statek odpływa?

— Aha, macie na nim popłynąć, tak? Wyrusza dzisiaj. Kapitan przybył na pokład tej nocy.

— Który kapitan? Ahab?

— A któż by, jak nie on?

Już miałem zadać mu kilka dalszych pytań dotyczących Ahaba, kiedy usłyszeliśmy hałas na pokładzie.

— Hej, Starbuck się ruszył! — rzekł majster. — Bardzo z niego żwawy pierwszy oficer; dobry człek i pobożny. Ale wszystko już się budzi, trza się brać do roboty. — Z tymi słowy wylazł na pokład, my zaś udaliśmy się w jego ślady.

Słońce wschodziło jasno. Wkrótce załoga przybyła na pokład dwójkami i trójkami; uwijali się żaglomistrze, oficerowie krzątali żywo, a kilku robotników portowych zajętych było przenoszeniem na okręt ostatnich różności. Tymczasem kapitan Ahab pozostawał niewidzialny, zamknięty w swej kabinie jak w relikwiarzu.

ROZDZIAŁ XXII
WESOŁYCH ŚWIĄT!

Na koniec, okołę południa, gdy już ostatecznie odprawiono rzemieślników, a „Pequoda" odholowano od nabrzeża, gdy o wszystkim myśląca Charity odpłynęła na łodzi wielorybniczej wręczywszy ostatnia podarki: szlafmycę swemu szwagrowi Stubbowi, który był drugim oficerem, i zapasową Biblię stewardowi — po tym wszystkim obaj kapitanowie, Peleg i Bildad,wyszli z kajuty, a Peleg, zwracając się do pierwszego oficera, przemówił w te słowa:

— No, panie Starbuck, czyś pewny, że wszystko jest jak się patrzy? Kapitan Ahab już całkiem gotów — dopiero co z nim gadałem — nic już nie potrzeba z lądu? A więc zwołaj pan całą załogę. Ustaw ich tam na rufie, do diaska!

— Nie trzeba paskudnych słów choćby i w największym pośpiechu, Peleg — ozwał się Bildad. — Idź już wszelako, przyjacielu Starbuck, i wykonaj nasze polecenie.

Jakże to? Właśnie w chwili wyruszenia w rejs kapitanowie Peleg i Bildad tak z góry sobie poczynają na mostku kapitańskim, jak gdyby mieli łącznie sprawować komendę na morzu, podobnie jak to według wszelkich pozorów czynili w porcie! A kapitana Ahaba ani śladu; mówiono tylko, że znajduje się w kajucie. Z drugiej jednak strony uważano, iż jego obecność nie jest bynajmniej potrzebna przy wyprawianiu żaglowca w drogę i wyprowadzaniu go na morze. Zapewne kapitan Ahab pozostawał pod pokładem dlatego, że czynności owe nie należały wcale do niego, lecz do pilota, oraz z tej racji, że jak mówiono, jeszcze nie całkowicie przyszedł do siebie. Wszystko to wydawało się zupełnie naturalne, szczególnie dlatego, że w

marynarce handlowej wielu kapitanów nie pokazuje się wcale na pokładzie przez dłuższy czas po podniesieniu kotwicy, ale pozostaje w kajucie, za stołem, przy wesołej, pożegnalnej biesiadzie z przyjaciółmi z lądu, zanim ci na dobre opuszczą statek wraz z pilotem.

Niewiele jednak było sposobności, aby nad tym zastanawiać się, gdyż kapitan Peleg właśnie się wielce ożywił. Najwyraźniej on, a nie Bildad, był tym, który najwięcej gadał i rozkazywał.

— Na rufę, wy, tacy synowie! — krzyknął, gdy majtkowie marudzili jeszcze koło grotmasztu. — Panie Starbuck, zagońże ich pan na rufę!

— Zwinąć ten namiot! — brzmiał następny rozkaz. Jak już wspomniałem, ów wielorybi szałas rozstawiano wyłącznie w porcie; na pokładzie „Pequoda" przez lat trzydzieści wiadomo było dobrze, że rozkaz zwinięcia namiotu jest niemal równoznaczny z podniesieniem kotwicy.

— Do kabestanu! Co, u stu piorunów? Już was nie ma! — taki był następny rozkaz, a załoga skoczyła po hanszpugi.

Gdy statek wychodzi z portu, pilot zazwyczaj zajmuje stanowisko na przodzie. I oto Bildad, który wraz z Pelegiem — należy to wiedzieć — był w dodatku do swych innych funkcji także i jednym z licencjonowanych pilotów portowych (podejrzewano, że kazał się zrobić pilotem, aby zaoszczędzić opłat za pilotaż w porcie Nantucket wszystkim statkom, w których był zainteresowany, nigdy bowiem nie pilotował żadnych innych) — Bildad więc, jak mówię, ukazał się teraz naszym oczom, pilnie wyglądając przez dziób na podnoszącą się kotwicę i od czasu do czasu zawodząc coś w rodzaju posępnej psalmodii, na otuchę ludziom zajętym przy windzie kotwicznej, którzy chórem wywrzaskiwali z siarczystą ochotą jakowąś swawolną piosenkę o dziewczętach z Booble Alley. A przecie ledwie trzy dni temu Bildad zapowiadał im, że żadne bezecne pieśni nie będą dozwolone na pokładzie „Pequoda", a już w szczególności w chwili wyruszania w drogę; zaś siostra jego, Charity, złożyła na koi każdego z marynarzy mały tomik zawierający wybór dzieł Wattsa

Tymczasem kapitan Peleg, doglądając tego, co się działo na drugiej części statku, miotał się i przeklinał na rufie w najstraszliwszy sposób. Już byłem skłonny przypuszczać, że chyba zatopi statek, zanim zdążymy podnieść kotwicę; bezwiednie przystanąłem oparty na mym hanszpugu, mówiąc Queequegowi, by uczynił to samo, i dumałem nad niebezpieczeństwami, na jakie się obaj narażamy wyruszając w podróż z takim szatanem miast pilota. Pokrzepiałem się jednak myślą, że w pobożnym Bildadzie znajdzie się może jakiś ratunek, mimo tej jego siedemset siedemdziesiątej siódmej doli, kiedy nagle poczułem ostry cios w krzyże i obróciwszy się z przerażeniem, ujrzałem kapitana Pelega w trakcie wycofywania swej nogi z mojej bezpośredniej bliskości. Był to pierwszy kopniak, jaki mi się dostał.

— To tak się wciąga kotwicę w marynarce handlowej? — zaryczał kapitan. — Ruszaj się, ty barani łbie, ruszaj się i złam kark! Czego stoicie, wy wszyscy? Dalej go, powtarzam! Nuże, Quohog! I ten z czerwoną brodą, i ten w szkockiej czapce, i tamten w zielonych portkach! Mówię wam, ruszajcie się wszyscy, aż wam gały na wierzch powyłażą! — Z tymi słowy miotał się wokół bratszpilu, tu i ówdzie hojnie pomagając sobie nogą, podczas gdy niewzruszony Bildad nadal ciągnął swoją psalmodię. Pomyślałem, że kapitan Peleg musiał dzisiaj popić co nieco.

Nareszcie wciągnięto kotwicę, rozwinięto żagle i poczęliśmy odsuwać się od lądu. Było to krótkie, zimne święto Bożego Narodzenia i gdy północny, niedługi dzień pogrążył się w noc, ta zastała nas już niemal na pełnym, mroźnym oceanie, którego zamarzające bryzgi zakuwały nas w lód jak w lśniącą zbroję. Na burtach połyskiwały w świetle księżyca długie rzędy zębów, a ogromne, skręcone sople lodu, podobne białym kłom jakiegoś olbrzymiego słonia, zwisały u dziobu.

Chudy Bildad, jako pilot, stanął na czele pierwszej wachty i gdy stary żaglowiec zanurzył się głęboko w zieloną toń, okrywając się wszystek rezedrganym zamrozem, gdy wicher dął, a liny dzwoniły, usłyszano jego spokojny śpiew:

Za falą wzdętą — słodkich łanów
Zieloność rozwija się świeża.
Tak Żydów nęcił Kanaanu
Kraj, gdy Jordan przed nimi leżał…

Nigdy owe słodkie słowa nie brzmiały milej dla mego ucha niż naówczas. Pełne były nadziei i radosnego spełnienia. Mimo tej lodowatej nocy na rozhukanym Atlantyku; mimo przemoczonych nóg i jeszcze wilgotniejszej kurty, zdało mi się wtedy, że mam przecie przed sobą jeszcze niejeden miły port, łąki i polanki tak wieczyście wiośniane, że trawa, która okryje tam ziemię na wiosnę, pozostaje niezdeptana, niezwiędła aż po środek lata.

Nareszcie wypłynęliśmy już tak daleko na morze, iż obaj piloci nie byli dłużej potrzebni. Krzepka łódź żaglowa, która nam towarzyszyła, poczęła ustawiać się przy kadłubie okrętu.

Ciekawie było i dość przyjemnie patrzeć, jak Peleg i Bildad przeżywali tę chwilę, a już osobliwie kapitan Bildad. Ten bowiem, wzdragając się odejść, wzdragając się opuścić na dobre statek idący w tak długą i niebezpieczną podróż poza oba burzliwe Przylądki, statek, w który włożył kilka tysięcy ciężko zapracowanych dolarów, na którym kapitanem był stary towarzysz — niemal równie stary jak on, Bildad, a wyruszający raz jeszcze na spotkanie wszystkich okropności tamtej bezlitosnej paszczęki — wzdragając się przed pożegnaniem czegoś tak pod każdym względem pełnego dlań wartości — biedny, stary Bildad długo zwlekał. Stąpał po pokładzie niespokojnymi kroki, zbiegał do kajuty, by raz jeszcze wypowiedzieć tam słowa pożegnania, znowu powracał na pokład i spoglądał ku nawietrznej, spozierał na szerokie, nieskończone wody, zamknięte gdzieś dalekimi, niewidocznymi, wschodnimi kontynentami, patrzał ku lądowi i w górę, w prawo i w lewo — wszędzie i nigdzie zarazem; wreszcie okręcił mechanicznie jakąś linę wokoło naglą, kurczowo pochwycił za rękę krzepkiego Pelega i wzniósłszy

trzymaną w dłoni latarnię stał przez chwilę, zaglądając mu bohatersko w twarz, jakby chciał powiedzieć: „A jednak, Peleg, przyjacielu, wytrzymam to, tak, wytrzymam."

Jeśli zaś idzie o Pelega, to przyjmował on to wszystko bardziej filozoficznie; jednak mimo całej tej filozoficzności w oku błysnęła mu łza, gdy latarnia zbytnio zbliżyła się do jego twarzy. On również niemało się nabiegał z kajuty na pokład — to jeszcze słówko tam, na dole, to znowu inne, do Starbucka, pierwszego oficera.

Ale wreszcie obrócił się do swego kamrata, a na twarzy jego odmalowała się ostateczna decyzja.

— Bildad, pójdź, stary towarzyszu, musimy już odejść. Hej, wy tam! Przebrasować grot-reję! Łódź, ahoy! Podpłynąć tuż do boku! No, ostrożnie, ostrożnie! Chodź, Bildad, chodź, stary, żegnaj się. Wszystkiego dobrego, Starbuck, i panu, Stubb, i panu, panie Fiask. Żegnajcie i niech wam się dobrze powodzi! A od dziś za trzy lata gorąca wieczerza będzie dla was dymiła u mnie, w starym Nantucket. Hura! Bądźcie zdrowi!

— Oby Bóg wam błogosławił i miał was w swej przenajświętszej opiece, chłopcy — bąknął Bildad niemal bez związku. — Ufam, że teraz będziecie mieli przednią pogodę, a kapitan Ahab wkrótce ukaże się między wami. Wszystko, czego mu trzeba, to lube słońce, a będziecie tego mieli w bród w onej tropikalnej podróży. Bądźcie ostrożni w czasie łowów, panowie oficerowie. Nie rozwalajcie bez potrzeby łodzi, wy, harpunnicy; dobra deska z białego cedru podrożała o całe trzy procent w ciągu tego roku. Nie przepominajcie też o modlitwie. Panie Starbuck, niechże pan baczy, żeby bednarz nie marnował zapasowych klepek. Aha, igły do żagli są w tym zielonym puzdrze. Nie polujcie za dużo w niedzielę, chłopcy, ale nie marnujcie też dobrej okazji, bo to by było odrzucaniem zacnych darów Niebios. Miej pan oko na kadź z syropem, panie Stubb, zdawało mi się, że nieco przecieka. Jeśli zawiniecie na jakoweś wyspy, panie Fiask, strzeżcie się rozpusty. Żegnajcie, żegnajcie! Nie przetrzymuje pan zbyt długo tego sera w ładowni, bo się

zepsuje. Ostrożnie z masłem — kosztowało po dwadzieścia centów za funt, uważajcie więc, ażeby..

— Chodź, chodź, Bildad, przestań ględzić, w drogę! — z tymi słowy Peleg pociągnął go ku burcie i obaj zsunęli się do łodzi.

Okręt i łódź poczęły się od siebie oddalać; zimna, wilgotna nocna bryza zadęła między nimi, mewa z wrzaskiem przeleciała w górze; oba kadłuby kołysały się gwałtownie. Wznieśliśmy z ciężkim sercem trzy okrzyki i na oślep, jak samo przeznaczenie, zanurzyliśmy się w pustynny Atlantyk.

ROZDZIAŁ XXIII
BRZEG OD ZAWIETRZNEJ

W jednym z poprzednich rozdziaAWIów była mowa o niejakim Bulkingtonie, rosłym marynarzu, którego świeżo po jego powrocie na ląd spotkałem w oberży w Nowym Bedfordzie.

Kiedy owej przejmującej, zimowej nocy „Pequod" wbił mściwy dziób w złe, lodowate fale, kogóż to ujrzałem stojącego u steru, jeśli nie Bulkingtona! Patrzałem z pełnym współczucia podziwem i lękiem na człowieka, który ledwie wylądowawszy wpośród zimy po czteroletniej, niebezpiecznej podróży, mógł nie zaznawszy spoczynku wyruszyć ponownie na następną długą, burzliwą wyprawę. Ląd zdawał się palić mu stopy. Najcudowniejszymi są zawsze te rzeczy, których nazwać nie sposób; wspomnienia głębokich przeżyć nie tworzą epitafiów — ten sześciocalowy rozdział jest Bulkingtona grobem bez nagrobka. Pozwólcie mi tylko powiedzieć, że z Bulkingtonem działo się podobnie jak ze skołatanym burzą okrętem, żałośnie sunącym wzdłuż lądu, na który gnają go wichry. Port chętnie by mu udzielił pomocy, port jest litościwy; w porcie jest bezpieczeństwo, pokrzepienie, ogień na kominku, wieczerza, ciepła kołdra, przyjaciele i wszystko, co miłe naszej doczesności. Ale w czas tej burzy port i ląd stają się dla okrętu najokrutniejszym niebezpieczeństwem; musi on uciekać od wszelkiej gościny; jedno dotknięcie ziemi, choćby ledwie kil musnęło, wstrząsnęłoby statkiem na wskroś. Wszystką swą mocą, wszystkimi żaglami, uchodzi od lądu, a czyniąc to walczy przeciw tym właśnie wiatrom, "które chętnie by go do domu zagnały; na nowo szuka chłostanego wichrem bezmiaru mórz,

dla ratunku rzuca się rozpaczliwie w niebezpieczeństwo — jedynym jego druhem staje się wróg najzagorzalszy.

Wiesz już teraz, Bulkington? Zdajesz się już postrzegać przebłyski owej śmiertelnie nieznośnej prawdy: że wszelkie głębokie, poważne myślenie — to jedynie nieulękły wysiłek duszy, by zachować bezbrzeżną, niezawisłość jej morza wtedy właśnie, gdy najdziksze wichury niebios i ziemi zmówiły się, by ją rzucić na zdradziecki, niewolny brzeg.

Ale jako że w bezkresności jedynie tkwi prawda najwyższa, bezbrzeżna, nieogarniona jak Bóg — przeto lepiej już iść. na zagładę w owej zawierusze nieskończoności, niż zostać niesławnie ciśniętym na brzeg, choćby ten miał być ratunkiem! O, bowiem natenczas, któż by chciał nikczemnie jak robak wypełznąć na ląd! O straszliwości! Byłyżby wszystkie te męki daremne? Odwagi, odwagi, Bulkingtonie! Bądź nieubłagany, półbogu! Z bryzgów pienistych twej zagłady na oceanie wystrzela w górę twoja apoteoza!

ROZDZIAŁ XXIV
OBROŃCA

Ponieważ Queequeg i ja już na dobre zabraliśmy się do tego wielorybniczego rzemiosła oraz ponieważ jakoś się przyjęło między ludźmi lądu uważać wielorybnictwo za profesję o złej sławie i raczej niepoetyczną, przeto pałam chęcią przekonania was, szczury lądowe, jaką niesprawiedliwość w ten sposób wyrządzacie nam, łowcom wielorybów.

Przede wszystkim można uznać za niemal zbędne stwierdzenie faktu, że wśród szerokiego ogółu rzemiosło wielorybnicze nie jest stawiane na równym poziomie z tym, co się zwie zawodami wyzwolonymi. Gdyby do jakiegokolwiek wielkomiejskiego towarzystwa wprowadzono obcego człowieka i przedstawiono go jako, powiedzmy, harpunnika, to fakt ten bardzo by nieznacznie podniósł ogólną opinię o jego walorach; gdyby zaś, ubiegając się o lepsze z oficerami marynarki wojennej, dołączył on do swego nazwiska na bilecie wizytowym inicjały Ł. K. (Łowca Kaszalotów), uznano by tego rodzaju postępek za śmieszny i zarozumiały w najwyższym stopniu.

Bez wątpienia głównym powodem, dla którego świat odmawia szacunku nam, wielorybnikom, jest to, iż ludzie sądzą, że w najlepszym wypadku powołanie nasze sprowadza się do czegoś w rodzaju rzeźnictwa, oraz że kiedy je czynnie uprawiamy, otaczają nas wszelkiego gatunku plugastwa. Jesteśmy rzeźnikami, to prawda. Ale przecie rzeźnikami i to rzeźnikami spod najkrwawszego znaku byli wszyscy wodzowie, których świat niezmiennie i z upodobaniem czcią obdarza. Co zaś się tyczy sprawy rzekomej nieczystości naszego rzemiosła, to niebawem wtajemniczeni zostaniecie w pewne fakty, dotąd

niemal powszechnie nie znane, które, rzec można, w tryumfie wprowadzą okręt wielo-rybniczy między najczystsze rzeczy tej schludnej ziemi. Ale założywszy nawet, że oskarżenie owo jest słuszne, to któreż niechlujne, oślizłe pokłady statku wielorybniczego można porównać z nie dającym się opisać ścierwem, zalegającym pola bitew, z których tak wielu żołnierzy powraca, by chłonąć głębokie uwielbienie dam? Jeśli zaś czynnik niebezpieczeństwa tak bardzo podnosi powszechne mniemanie o zawodzie żołnierskim, to pozwólcie się upewnić, że niejeden weteran, który śmiało kroczył na baterie, pośpiesznie zwinąłby szyki na widok olbrzymiego ogona kaszalota wzbijającego mu nad głową wir powietrzny. Czymże są bowiem dające się objąć rozumem okropności człowieka w porównaniu ze straszliwością, a razem i cudami Boga?

Jednakże choć świat naigrawa się z nas, łowców wielorybów, przecie mimowolnie składa nam w dani także i hołd najgłębszy.

Zaiste, nawet najszczodrobliwsze uwielbienie. Wszystkie bowiem lampy, świece i świeczniki, płonące na całej kuli ziemskiej, palą się, niczym przed ołtarzami, ku naszej chwale! .

Spójrzcie jednak na tę sprawę i z innej strony; zważcie ją na wszelakich szalach; przyjrzyjcie się, czym mianowicie jesteśmy i czym byliśmy — my, wielorybnicy.

Czemuż to Holendrzy za czasów De Witta mieli admirałów wielorybniczych flotylli? Czemu król francuski, Ludwik XVI, własnym osobistym ekspansem wyposażył w Dunkierce statki wielorybnicze i uprzejmie zaprosił do tego miasta kilkadziesiąt rodzin z naszej rodzonej wyspy Nantucket? Dlaczego to Wielka Brytania między rokiem 1750 a 1788 wypłaciła swoim wielorybnikom ponad 1 000 000 funtów gratyfikacji? I wreszcie jak się to stało, że my, wielorybnicy amerykańscy, przewyższamy teraz liczbą wszystkich pozostałych wielorybników świata łącznie, że posiadamy flotę liczącą przeszło siedemset żaglowców obsługiwanych przez osiemnaście tysięcy ludzi, pochłaniającą rocznie 4 000 000 dolarów, ze statkami przedstawiającymi przy wyjściu na morze wartość 20 000 000, a przynoszącymi do naszych portów

pięknie zebrany plon 7 000 000 dolarów? Czyż działoby się to, wszystko, gdyby w wielorybnictwie nie było czegoś przemożnego.

Ale to jeszcze nic; słuchajcie dalej.

Utrzymuję bez wahania, że kosmopolityczny filozof żadną miarą nie potrafi wskazać jednego jedynego pokojowego wpływu, który by w ciągu dstatnich lat sześćdziesięciu oddziałał na wszystek szeroki świat jako całość z większą mocą od wzniosłego i potężnego rzemiosła wielorybniczego. W ten czy ów sposób zrodziło ono wydarzenia tak godne uwagi i tak zawsze doniosłe w swych dalszych następstwach, że na wielorybnictwo można śmiało patrzeć jak na ową egipską matkę, co porodziła potomków samych już brzemiennych w jej łonie. Beznadziejnym i nieskończonym by to było zadaniem skatalogować wszystkie owe rzeczy. Niechże ich garść wystarczy. Przez wiele lat ostatnich statek wielorybniczy był pionierem w myszkowaniu po najodleglejszych i najmniej znanych częściach ziemi. Przemierzył on morza i archipelagi, których nie znaleźć na mapie, do których nigdy nie dotarł żaden Cook czy Vancouver. Jeśli amerykańskie czy europejskie okręty wojenne spokojnie teraz zawijają do niegdyś dzikich przystani, niechże oddadzą salut na cześć i na chwałę statku wielorybniczego, który pierwszy wskazał im droge u i pierwszy też pośredniczył między nimi a krajami. Można sobie czcić, ile wola, bohaterów ekspedycji badawczych, tych waszych Cooków i Krusensternów, ja wszelako twierdzę, że z Nantucket wypływały dziesiątki bezimiennych kapitanów, którzy byli równie wielcy, a nawet więksi od takiego Cooka czy Krusensterna. Albowiem kapitanowie ci, pozbawieni pomocy, z pustymi rękami, na barbarzyńskich, rekinowych wodach, u wybrzeży nieznanych, oszczepami najeżonych wysp, zmagali się z dziwami i potwornościami dziewiczego świata, którym niechętnie by stawił czoło Cook razem ze wszystkimi swymi marynarzami i muszkietami. Wszystko, z czego uczyniono taką ozdobę dawnych wypraw na Morza Południowe, było przez całe życie po prostu chlebem powszednim dla naszych

bohaterskich nantucketańczyków. Częstokroć przygody, którym Vancouver poświęca trzy rozdziały, nie były uznawane przez tych ludzi za godne wpisania do zwykłego dziennika okrętowego. Ach, świecie! E, świecie!

Dopokąd wielorybnictwo nie okrążyło Przylądka Horn, żaden handel prócz kolonialnego, żadne stosunki prócz kolonialnych nie były utrzymywane między Europą a długim szeregiem zasobnych prowincji hiszpańskich na wybrzeżach Pacyfiku. To łowca wielorybów pierwszy przełamał zachłanną politykę korony hiszpańskiej wobec tych kolonii; gdyby tylko miejsce pozwalało, można by tu jasno wykazać, jak to dzięki owym wielorybnikom doszło na koniec do oswobodzenia Peru, Chile i Boliwii z jarzma starej Hiszpanii i do ustanowienia w tych krajach wieczystej demokracji.

Owa ogromna Ameryka drugiej półkuli — Australia — podarowana została oświeconemu światu przez wielorybnika. Po pierwszym, z omyłki zrodzonym odkryciu jej przez pewnego Holendra wszystkie inne statki długo unikały owych wybrzeży jako szkaradnie barbarzyńskich; a przecie przybił do nich wielorybniczy żaglowiec. Jest on prawdziwie matką tej obecnie potężnej kolonii. Co więcej, za czasów dzieciństwa pierwszej australijskiej osady, emigrantów po kilkakroć uratował od głodowej śmierci dobroczynny suchar z okrętu wielorybniczego, który szczęśliwie zarzucił kotwicę na ich wodach. Tę samą prawdę głoszą niepoliczone wyspy całej Polinezji, składając handlowy hołd żaglowcowi wielorybniczemu, który przetarł drogi dla misjonarza i kupca, w wielu zaś wypadkach przewiózł pierwszych misjonarzy do ich pierwszego miejsca przeznaczenia. Jeżeli Japonia, ów kraj na cztery spusty zamknięty, stanie kiedykolwiek otworem, to zasługa przypadnie w udziale tylko i jedynie statkowi wielorybniczemu; już teraz bowiem znalazł się on na progu tej krainy.

Jeżeli jednak w obliczu tego wszystkiego nadal jeszcze oświadczacie, że wielorybnictwo nie wiąże się z żadnymi szlachetnymi pod względem estetycznym skojarzeniami, tedy

gotów tu jestem skruszyć z wami pięćdziesiąt kopii i za każdym razem wysadzić was z siodła ze strzaskaną przyłbicą.

Powiecie, że wieloryb nie znalazł żadnego sławnego piewcy, a wielorybnictwo żadnego sławnego kronikarza.

Wieloryb nie ma żadnego sławnego piewcy, a wielorybnictwo — słynnego kronikarza? A któż to spisał pierwszą relację o naszym Lewiatanie? Któż, jeśli nie potężny Hiob? Kto ułożył pierwszą opowieść o wyprawie wielorybniczej ? Ni mniej, ni więcej, tylko taki władca, jak Alfred Wielki, który swym własnym królewskim piórem spisał słowa Othera, norweskiego łowcy wielorybów z owych czasów! A któż wygłosił o nas płomienną pochwałę w Parlamencie? Kto, jeśli nie Edmund Burkę!

Możliwe, ale przecie sami wielorybnicy to szaraczki, nie mające w żyłach zacnej krwi.

Wie *mają w żyłach zacnej krwi?* Mają w nich coś przedniejszego od krwi królewskiej. Babką Benjamiaia Franklina była Mary Morrel, później, z męża, Mary Folger, należąca do dawnych osadników z Nantucket, antenatka długiej linii Folgerów i harpunników — wszystkich, spokrewnionych ze szlachetnym Benjaminem ór którzy po dziś dzień miotają ostre żelazo na obu półkulach.

No, dobrze; ale przecie wszyscy przyznają, że tak czy inaczej wielorybnictwo nie jest godne szacunku.

Wielorybnictwo niegodne szacunku? Wielorybnictwo jest dostojne! Starożytne angielskie statuty uznają wieloryba za „rybę królewską".

O, to tylko słowa! Sam wieloryb nigdy nie występował w sposób prawdziwie świetny i imponujący.

Nigdy tak nie występował? Podczas jednego ze wspaniałych tryumfów, urządzonych na cześć pewnego wodza rzymskiego, przy jego wjeździe do stolicy świata, przedmiotem najbardziej rzucającym się w oczy pośród grzmiącego surmami orszaku były kości wieloryba przewiezione tu aż z wybrzeży syryjskich.

Zgoda, skoro pan to przeczytasz, mów sobie jednak co chcesz, a przecie w wielorybnictwie nie ma prawdziwej godności.

Nie *ma w wielorybnictwie godności?* Samo niebo potwiendza godność naszego powołania. *Cetus* jest jedną z konstelacji na południu. Ni mniej, ni więcej! Wbijcie sobie kapelusz na oczy w obecności cara, ale zdejmijcie go przed Queequegiem. Dosyć! *Znam* człeka, który w ciągu swego życia upolował trzysta pięćdziesiąt wielorybów. Uznaję tego człowieka za godniejszego szacunku od owego wielkiego wodza czasów starożytnych, który się chełpił zdobyciem tyluż warownych grodów.

Co do mnie zaś, to jeśli w ogóle tkwi we mnie coś dotąd nie ujawnionego a świetnego, jeżeli kiedykolwiek na tym niewielkim a cichym świecie zasłużę na jakąś rzeczywistą sławę, do której nie bez racji mógłbym sobie rościć pretensje; jeżeli jeszcze zdziałam cokolwiek takiego, co, ogólnie mówiąc, człowiek raczej winien uczynić niż zaniechać; jeśli po mojej śmierci wykonawcy mego testamentu albo raczej, mówiąc właściwiej, moi wierzyciele znajdą w mym biurku jakowyś cenny manuskrypt — tedy już z góry przypisuję za to całą cześć i chwałę wielorybnictwu, albowiem okręt wielorybniczy był to mój Yale i mój Harvard.

ROZDZIAŁ XXV
POSTSCRIPTUM

W obronie godności wielorybnictwa chętnie bym wysuwał wyłącznie istotne fakty. Lecz czyż nie zasługiwałby na naganę obrońca, który, uszykowawszy jak do boju swoje fakty, całkowicie by przemilczał nie pozbawione logiki przypuszczenie, mogące dobitnie przemówić za sprawą?

Dobrze to wiadomo, że przy koronacji królów i królowych, nawet współczesnych, stosuje się pewien osobliwy zabieg przyprawiania ich przed objęciem tych funkcji. Istnieje tak zwana solnica stanu, może więc być i także karafka z oliwą. Jak właściwie stosuje się sól — któż to wie? Pewny jestem wszelako, że przy koronacji uroczyście oliwi się głowę królewską, tak właśnie jak główkę sałaty. Czyżby dlatego ją namaszczano, żeby jej wnętrze dobrze pracowało, podobnie jak się oliwi maszynerię? Wiele by można tu rozmyślać na temat zasadniczego dostojeństwa owego królewskiego procederu, jako że w codziennym życiu nędznie i pogardliwie szacujemy człeka, który pomaduje sobie włosy i wyraźnie wonieje ową pomadą. Po prawdzie, mężczyzna dojrzały, który używa oliwy do włosów, jeśli nie czyni tego ze względów leczniczych, ma najprawdopodobniej nieco źle w głowie. A już z reguły nie musi być wiele wart jako człowiek.

Ale jedyna rzecz, którą tu mamy rozważyć, to pytanie, jakiego rodzaju oleju używa się przy koronacjach? Z pewnością nie może to być oliwa ani pomada, ani olej rycynowy, ani tłuszcz niedźwiedzi, ani zwykły tran rybi, ani sztokfiszowy. Cóż więc może to być, jeśli nie olbrot w swej nieprzerobionej, nieskażonej formie — najsłodszy ze wszystkich olejów?

Pomyślcie o tym, wierni Brytyjczycy! My, łowcy wielorybów, zaopatrujemy waszych królów i królowe w materiały koronacyjne!

ROZDZIAŁ XXVI
RYCERZE I GIERMKOWIE

Pierwszym oficerem „Pequoda" był Starbuck urodzony w Nantucket, kwakier z pochodzenia. Był to wysoki, poważny mężczyzna, który, choć ujrzał światło dzienne na lodowatym wybrzeżu, najwidoczniej dobrze się przystosował do znoszenia gorącego klimatu, gdyż ciało miał twarde, jak po dwakroć pieczony suchar. Gdyby przewieziono jego .żywą krew do Indii, nie zepsułaby się, podobnie jak butelkowane piwo. Musiał się był urodzić w jakimś okresie powszechnej suszy i głodu lub też któregoś z owych dni postu, jakimi słynie jego stan ojczysty. Ujrzał dotąd ledwie ze trzydzieści jałowych wiosen, a te wysuszyły w nim wszystko, co fizycznie zbędne. Ale ta jego chudość nie była właściwie ani oznaką zżerających go niepokojów czy trosk, ani też nie zdawała się wskazywać na te czy inne cielesne niedomagania. Była to po prostu kondensacja jego jestestwa. Nie był bynajmniej szpetny; wprost przeciwnie. Jego czysta, napięta skóra leżała na nim jak ulana; ciasno w nią obleczony, zabalsamowany wewnętrznym zdrowiem i mocą, niby przywrócony do życia Egipcjanin — Starbuck zdawał się gotów przetrzymać długie przyszłe stulecia i zawsze zostać takim jak obecnie"; albowiem czy to wśród polarnej śnieżycy, czy pod skwarnym słońcem jego wewnętrzna witalność niczym patentowany chronometr dawała gwarancję dobrej pracy w każdym klimacie. Zaglądając w jego oczy mieliście wrażenie, iż dostrzegacie błądzące w nich jeszcze obrazy owych tysiącznych niebezpieczeństw, którym ze spokojem stawiał czoło w ciągu swojego życia. Opanowany, stanowczy człowiek, którego żywot w Większej części był wymowną pantomimą działania, nie zaś

bezdusznym rozdziałem pustych dźwięków. A jednak mimo swej twardej powściągliwości i dzielności miał pewne cechy, które się czasem kłóciły ze wszystkimi pozostałymi, a w niektórych wypadkach zdawały się wcale bliskie uzyskania nad nimi przewagi. Niezwykły skrupulat, jak na żeglarza, obdarzony głębokim wrodzonym instynktem wartości, nabrał na skutek dzikiego, wodnego samotnictwa swego życia silnej skłonności do przesądów; jednak tego rodzaju przesądów, jakie w niektórych umysłowościach zdają się wynikać raczej z inteligencji niż z ciemnoty. Przywiązywał wagę do zewnętrznych wróżb i wewnętrznych przeczuć. Ale nawet jeżeli chwilami przyginały one hartowne żelazo jego duszy, to wspomnienia o domu, o młodej małżonce z Przylądka i dziecku znacznie więcej przyczyniały się do złagodzenia właściwej jego naturze szorstkości i do otwarcia jeszcze szerszego ujścia owym ukrytym siłom, jakie w niektórych zacnych ludziach hamują wybuchy zuchwałej odwagi, tak często spotykane u innych wśród niebezpiecznych kolei losu wielorybniczego. „Nie chcę mieć w swej łodzi człowieka, który nie lęka się wieloryba" — mawiał Starbuck. Snadź chciał przez to nie tylko powiedzieć, że najpewniejszą i najpożyteczniejszą odwagą jest ta, która wynika z właściwej oceny napotkanego niebezpieczeństwa, ale też, że człowiek całkowicie pozbawiony lęku jest towarzyszem znacznie niebezpieczniejszym od tchórza.

„Tak, tak — mawiał Stubb, drugi oficer — ten Starbuck to najostrożniejszy chłop, jakiego można znaleźć wśród wielorybników." Ale już niebawem zobaczymy, co właściwie oznacza to słowo „ostrożny", kiedy go używa człowiek taki, jak Stubb czy którykolwiek inny łowca wielorybów.

Starbuck nie gonił za niebezpieczeństwami; odwaga nie była u niego uczuciem, ale po prostu rzeczą dlań użyteczną, którą miał zawsze pod ręką przy każdej prawdziwie morderczej okazji. Prócz tego uważał, być może, iż w tym wielorybniczym rzemiośle odwaga jest jednym z głównych artykułów składających się na wyposażenie okrętu, podobnie jak chleb i wołowina, i że nie należy jej trwonić lekkomyślnie. Z tych

przyczyn nie miał upodobania do pogoni za wielorybami po zachodzie słońca ani do upierania się przy walce z rybą, która zbytnio się upierała, by walczyć z nim. „Albowiem — myślał sobie Starbuck — jestem tu, na tym niepewnym oceanie po to, żeby zarabiać na życie zabijaniem wielorybów, a nie po to, by one zarabiały na życie, zabijając mnie." Że zaś setki ludzi w ten sposb zginęły, Starbuck wiedział dobrze. Jakiż to los przypadł w udziale jego własnemu ojcu? A gdzie w bezdennej głębinie mógłby odszukać rozdarte członki swego brata?

Odwaga tego Starbucka musiała zaiste być niezmierna, jeżeli mogła rozkwitać mimo podobnych wspomnień i, co więcej, mimo pewnej zabobonności, do której, jak powiedziano, był on skłonny. Ale nie byłoby to zgodne z logicznym, naturalnym porządkiem rzeczy, gdyby w człowieku tak ukształtowanym jak Starbuck, sprawy te skrycie nie poczęły pewnych pierwiastków, które przy sprzyjających okolicznościach wyłamać się mogły ze swego zamknięcia i spalić całe jego męstwo. I choć odznaczał się odwagą, była to w głównej mierze taka odwaga, jaką się widuje u niektórych ludzi nieustraszonych, co chociaż potrafią nieustępliwie zmagać się z morzem, wichrami, wielorybem czy jakąkolwiek ze zwykłych, absurdalnych potworności tego świata, przecie nie są w stanie zdzierżyć owych straszliwych, bo bardziej duchowych okropności, którymi czasem grożą nam zwiedzione brwi rozwścieczonego, a potężnego człowieka.

Gdyby jednak poniższe opowiadanie miało ujawnić jakikolwiek przykład całkowitego załamania się odwagi u biednego Starbucka, nie miałbym serca tego opisać, jest bowiem rzeczą najsmutniejszą, mało powiedzieć — okropną, ukazywać załamanie się bohaterstwa duszy. Ludzie mogą się wydawać odrażający jako towarzystwa akcyjne czy narody; mogą być łotrami, głupcami ł mordercami; mogą mieć wychudłe i nędzne ..oblicza — lecz człowiek jako pojęcie jest istotą tak szlachetną i olśniewającą, tak wzniosłą i promienną, że wszyscy jego bliźni winni pośpiesznie zarzucić swe najkosztowniejsze szaty na każdą sromotną w nim skazę. Owa niepokalana siła, którą czujemy wewnątrz siebie tak głęboko, że pozostaje ona

nietknięta, choćby wszystka nasza zewnętrzność zdawała się zmieniać, owa moc krwawi najostrzejszą boleścią oglądając odsłoniętą ruinę bohaterstwa w człowieku. Na widok tak haniebny nawet sama wiara nie jest w stanie zdławić wyrzutów przeciw gwiazdom, które dały na coś podobnego swoje przyzwolenie. Wszelako to czcigodne dostojeństwo, o którym tu mówię, nie jest dostojeństwem królów i szat uroczystych, lecz tym szczodrobliwym dostojeństwem, co się w togi nie przyobleka. Ujrzysz je lśniące w ramieniu, które dzierży oskard czy wbija gwóźdź — owo dostojeństwo demokratyczne, co na wszystkich dłoniach promienieje bez końca z mocy samego Boga! Wielki, wszechpotężny Bóg! Jądro i granica wszelkiej demokracji! Jego wszechobecność to nasza boęka równość!

Jeżeli więc będę następnie przypisywał najlichszym marynarzom, renegatom czy wyrzutkom wysokie, choć mroczne przymioty oraz oplatał ich tragicznym urokiem; jeżeli, najżałośniejszy z nich a i, być może, najbardziej upodlony podniesie się czasami do wyżyn wzniosłości, jeśli dotknę ramienia tego wyrobnika jakowymś światłem nieziemskim, jeżeli rozepnę tęczę nad rozpaczliwym zachodem jego słońca — tedy na przekór wszystkim śmiertelnym krytykom wesprzyj mnie w tym dziele, o sprawiedliwy Duchu Równości, któryś rozpostarł jeden królewski płaszcz ludzkości nad wszystkim moim plemieniem! Wesprzyj mnie w tym o wielki, demokratyczny Boże, któryś nie odmówił ciemnolicemu więźniowi, Bunyanowi , bladej perły poezji; o Ty, któryś okrył listkami dwakroć kowanego, najczystszego złota wynędzniałe, kalekie ramię starego Cervantesa, Ty, któryś podjął z pyłu Andrew Jacksona , któryś osadził go na bojowym rumaku, któryś go wyniósł ponad trony! O Ty, który we wszystkich swych potężnych, ziemskich poczynaniach zawsze oddzielasz wybranych swoich szermierzy od królewskiego gminu — wesprzyj mnie w tym dziele, o Boże!

ROZDZIAŁ XXVII
RYCERZE I GIERMKOWIE (CD.)

Drugim oficerem był Stubb. Pochodził z Przylądka Cod i dlatego zgodnie z miejscowym zwyczajem nazywany był Człowiekiem z Przylądka. Niefrasobliwy — ani tchórzliwy, ani waleczny — z obojętną miną przyjmował niebezpieczeństwa tak, jak się nadarzały; jeżeli w czasie pogoni znalazł się w obliczu bezpośrednio zagrażającej katastrofy, brał się do dzieła ze spokojem i opanowaniem, podobny do czeladnika stolarskiego wynajętego na sezon. Pogodny, beztroski i swobodny prezydował na swej łodzi, jak gdyby najbardziej śmiertelne spotkanie było po prostu kolacją, a cała załoga zaproszonymi gośćmi. Był równie wymagający, jeśli idzie o wygodne urządzenie swej części łodzi, jak stary woźnica w sprawie przytulności kozła swego dyliżansu. Kiedy znalazł się oko w oko z wielorybem, w śmiertelnym wirze walki władał swą bezlitosną lancą chłodno i swobodnie, niby pogwizdujący przy robocie blacharz młotkiem. Nucił stare, skoczne piosenki znajdując się bok w bok z najbardziej rozjuszonym potworem. Długa praktyka przemieniła dla tego Stubba paszczękę śmierci w wyścielany fotel. Trudno powiedzieć, co sądził o samej śmierci. Pytanie, czy w ogóle o niej myślał — ale jeżeli kiedykolwiek, po smacznym obiedzie, posłał przypadkiem myśl w tę stronę, to bez wątpienia, jak na dobrego marynarza przystało, uznawał śmierć za coś w rodzaju wydanej w czasie wachty koi mendy wdrapania się na maszt i zabrania się tamże do jakiejś roboty, o której istocie będzie się mógł dowiedzieć dopiero po usłuchaniu rozkazu, ale nie wcześniej.

Tym, co być może oprócz innych spraw czyniło ze Stubba człowieka tak nieulękłego, nie dbającego o nic, tak pogodnie niosącego brzemię żywota na świecie pełnym ponurych kramarzy przygiętych do ziemi ciężarem swoich tłumoków, tym, co się przyczyniało do właściwego mu, niemal bezbożnego humoru — musiała być jego fajka. Tak bowiem jak jego nos, owa krótka, czarna fajeczka była jednym z istotnych rysów jego twarzy. Z niemal równym prawdopodobieństwem można było oczekiwać, że się go ujrzy wyłażącego ze swej koi bez nosa, jak bez fajki. Miał tam na stojaku, tuż pod ręką, cały rząd nabitych i przygotowanych fajek i gdy tylko udawał się na spoczynek, wypalał wszystkie po kolei zapalając jedną od drugiej, aż do końca serii; następnie zaś nabijał je na powrót, aby mieć fajki znowu w gotowości. Albowiem kiedy Stubb się ubierał, miast wprzódy włożyć nogi w spodnie, wkładał sobie w usta fajkę.

Jak mówię, owo nieprzerwane palenie musiało być przynajmniej jedną z przyczyn jego osobliwego usposobienia, każdy bowiem wie, że to ziemskie powietrze, na lądzie czy na wodzie, jest okropnie zakażone nieopisanymi cierpieniami nieprzeliczonych śmiertelników, co wydychając je pomarli; i podobnie jak czasu zarazy niektórzy ludzie chadzają z przyłożoną do ust chustką nasyconą kamforą, tak właśnie i dym Stubba mógł działać jako coś w rodzaju środka dezynfekcyjnego przeciwko wszelkim doczesnym utrapieniom.

Trzecim oficerem był Fiask, rodem z Tisbury na Martha's Vineyard . Niski, tęgi, rumiany młody człowiek, ogromnie wojowniczy wobec wielorybów, zdawał się mniemać, że owe olbrzymie Lewiatany osobiście go od pokoleń znieważały, i z tej przyczyny uważał sobie za punkt honoru, żeby je niszczyć przy każdym spotkaniu. Był tak do szczętu wyzuty ze wszelkiego poszanowania dla licznych cudowności ich majestatycznego ogromu oraz tajemniczych obyczajów, tak głuchy na jakiekolwiek obawy przed ewentualnym spotkaniem z nimi, że w jego skromnym mniemaniu wspaniały wieloryb był zaledwie czymś w rodzaju powiększonej myszy, a już w najlepszym razie szczura wodnego, czymś wymagającym jedynie odrobiny

sprytu i poświęcenia, niewielkiej ilości czasu tudzież zachodu, by go ubić i ugotować. Ten mimowiedny, nieświadomy brak lęku powodował, że w sprawach dotyczących wielorybów Fiask był po trosze pustakiem; ścigał je dla samej zabawy, a trzyletnią wyprawę za Przylądek Horn uważał po prostu za dobry żart, trwający tyle właśnie czasu.

Jak gwoździe ciesielskie dzielą się na kute i cięte, podobnie podzielić można i rodzaj ludzki. Mały Fiask należał do tych kowanych; sporządzony był tak, by mocno spajać i długo trwać. Na „Pequodzie" zwano go „King-Post", ponieważ z postury łacno go było można porównać do znanego pod tą nazwą na arktycznych okrętach łowieckich krótkiego, kanciastego przyrządu, który przy pomocy zatkniętych weń licznych rozchodzących się promieniście drzewc służy do chronienia okrętu przed lodowatymi wstrząsami owych rozhukanych mórz.

Otóż ci trzej oficerowie — Starbuck, Stubb i Fiask — byli to ludzie mający doniosłe zadania. To właśnie oni na mocy powszechnie przyjętego prawa wydawali rozkazy na trzech łodziach „Pequoda", jako dowódcy.

W tym wielkim planie bitwy, zgodnie z którym kapitan Ahab dowodziłby zapewne swymi siłami w ataku na wieloryby, owi trzej dowódcy łodzi byli jak gdyby kapitanami kompanii. Albo też zbrojni w swe długie, ostre włócznie wielorybnicze stanowili coś w rodzaju trójki wybranych lansjerów, podobnie jak harpunnicy byli oszczepnikami.

A że w tym chlubnym rzemiośle każdemu oficerowi czy dowódcy łodzi zawsze towarzyszy, jak dawnemu średniowiecznemu rycerzowi, jego sternik albo harpunnik, który w pewnych okolicznościach podaje mu świeżą lancę, jeżeli poprzednia paskudnie się skręciła czy wygięła w natarciu, a co więcej, ponieważ między tymi dwoma na ogół panuje bliska zażyłość i przyjaźń — jest więc bardzo stosowne, żebyśmy w tym miejscu zanotowali, kim byli harpunnicy „Pequoda", oraz któremu z dowódców łodzi każdy z nich podlegał.

Przede wszystkim był tam Queequeg, którego obrał sobie na giermka Starbuck, pierwszy oficer. Ale Queequeg jest nam już znany.

Następnie był Tasztego, czystej krwi Indianin z Gay-Head, najdalej na zachód wysuniętego cypla Martha's Vineyard, gdzie do tej pory istnieją ostatnie pozostałości wioski czerwonoskórych, która z dawien dawna dostarczała sąsiedniej wyspie Nantucket wielu jej najdzielniejszych harpunników. Wśród wielorybników nadaje im się zazwyczaj rodowe miano Gay-Headerów. Długie, cienkie, krucze włosy Tasztega, jego wystające kości policzkowe i czarne, krągłe oczy — jak na Indianina bardzo wschodnie przez swoją wielkość, lecz aniarktyczne w swym połyskliwym wyrazie — wszystko to dobitnie wskazywało, że Tasztego jest dziedzicem nieskazitelnej krwi dumnych łowców-wojowników, co w pogoni za nowoangielskim łosiem przebiegali z łukiem w ręku dziewicze lasy owej ziemi. Ale Tasztego nie węsząc już po tropie dzikiego, leśnego zwierza gonił teraz szlakiem potężnych morskich wielorybów; nieomylny harpun syna godnie zastąpił niechybną strzałę praojców. Patrząc na smagłą muskularność jego gibkich, wężowych członków było się niemal skłonnym dać wiarę zabobonom niektórych z pierwszych purytanów i przypuszczać, że ten dziki Indianin jest synem Księcia Mocy Powietrznych. Tasztego był giermkiem Stubba, drugiego oficera.

Trzecim spośród harpunników był Daggoo, gigantyczny, czarny jak węgiel dziki Negr o chodzie podobnym do stąpania lwa. Postać jego przywodziła na myśl Ahaswera. U jego uszu zwisały dwie złociste obręcze, tak wielkie, że marynarze nazywali je klubkami, twierząc, iż warto by uwiązać do nich liny od topsli. W młodości Daggoo zaciągnął się ochotniczo na statek wielorybniczy, który zawinął do samotnej zatoki jego ojczystego wybrzeża. Nigdy nie przebywał w żadnym innym miejscu na świecie prócz Afryki, Nantucket i pogańskich przystani najczęściej przez wielorybników nawiedzanych; wiodąc od lat wielu śmiały żywot łowcy wielorybów na

okrętach, których właściciele dawali niezwykłe baczenie na to, jakiego rodzaju ludzi zatrudniają, Daggoo zachował wszystkie swe barbarzyńskie zalety i wyprostowany jak żyrafa poruszał się po pokładzie w całej świetności swych sześciu stóp i pięciu cali wzrostu (w skarpetkach). Odczuwało się jakoweś cielesne upokorzenie spoglądając nań z dołu; biały człowiek, stojący przed nim, zdawał się być białą flagą, która przybyła prosić fortecę o rozejm. A co ciekawsze, ten królewski Murzyn, ten Ahaswer Daggoo był giermkiem malutkiego Fiaska, który przy nim wyglądał jak pionek szachowy. Co zaś się tyczy reszty załogi „Pequoda", to należy nadmienić, iż w chwili obecnej nawet połowa wielotysięcznej rzeszy prostych majtków zatrudnionych w wielorybnictwie amerykańskim nie jest amerykańskiego pochodzenia, choć Amerykanami są niemal wszyscy oficerowie. To samo więc odnosi się do amerykańskiego wielorybnictwa, do amerykańskiej armii, floty wojennej i handlowej oraz do zastępów saperów używanych przy budowie amerykańskich kanałów i kolei żelaznych. A to mianowicie dlatego, że we wszystkich tych przypadkach rodowity Amerykanin hojnie szafuje mózgiem, reszta zaś świata równie szczodrze dostarcza muskułów. Niemało owych wielorybników pochodzi z Azorów, dokąd wypływające z Nantucket statki wielorybnicze często zawijają celem uzupełnienia załóg krzepkimi wieśniakami z owych skalistych wybrzeży. Podobnie żaglowce wielorybnicze wyruszające do Grenlandii z Hull czy Londynu zatrzymują się na Wyspach Szetlandzkich, by tu dopełnić składu załogi. W drodze do domu wysadzają tam z powrotem nowo zaciężnych. Nie wiedzieć czemu się to dzieje, ale wyspiarze są widocznie najlepszymi łowcami wielorybów. Na „Pequodzie" niemal wszyscy byli wyspiarzami, *Izolatami*, tak bym ich nazwał, gdyż nie uznawali wspólnego ludziom kontynentu, ale mieszkali każdy na swoim kontynencie własnym i osobnym. A jednak teraz, skonfederowani przy jednym kilu, jakiż zespół tworzyli owi *Izolacil* Delegacja Anacharsis Clootzów ze wszystkich wysp morza, ze wszystkich krańców ziemi, towarzysząca na

„Pequodzie" staremu Ahabowi po to, aby przedłożyć wszystkie krzywdy tego świata owemu trybunałowi, z którego nieliczna tylko powracają. Mały czarny Pip! Ten nie powrócił, o nie! Odszedł już wcześniej. Biedny chłopak z Alabamy! Niebawem ujrzycią go na ponurym forkasztelu „Pequoda", jak wali w swój bębenek, niby zapowiadając ową wieczystą porę, kiedy wezwany na wielki mostek kapitański, tam w górze, otrzyma zlecenie, by w chwale wybijać swój werbel pospołu z aniołami; tu przezywano go tchórzem, tam powitano jako bohatera!

ROZDZIAŁ XXVIII
AHAB

Przez kilka dni po wypłynięciu z Nantucket nie sposób było ujrzeć kapitana Ahaba na pokładzie. Oficerowie zmieniali się regularnie na wachtach i według wszelkich pozorów zdawali się być jedynymi dowódcami okrętu. Czasem tylko wybiegali z kajuty z rozkazem tak nagłym i stanowczym, iż stawało się jednak, oczywiste, że sprawują rządy jedynie zastępczo. Tak, ich najwyższy pan i dyktator znajdował się tutaj, choć dotąd niewidzialny dla jakichkolwiek oczu, którym nie zezwolono przeniknąć do uświęconego ustronia kajuty.

Ilekroć wychodziłem na pokład po dyżurze na dole, natychmiast rzucałem okiem w stronę rufy, by się przekonać, czy nie ujrzę jakiejś obcej twarzy, gdyż pierwotny mglisty niepokój, którym napawał mnie nie. znany kapitan, teraz, w odosobnieniu morskim, przerodził się niemal we wzburzenie. Kiedy niekiedy dziwnie go zwiększało natrętne wspomnienie diabolicznych bredni tego oberwańca, Eliasza, które z tajemniczą mocą nasuwały mi się nieproszone na myśl. Nie bardzo potrafiłem im się oprzeć, .choć w innym nastroju byłbym niemal gotów śmiać się z uroczystych fantazjowań owego dziwacznego proroka przystani. Ale jakkolwiek czułem się niespokojny czy, że tak powiem, nieswój, przecie gdy tylko rozejrzałem się po statku, doznawałem wrażenia, iż żywienie podobnych uczuć jest całkowicie pozbawione racji. Choć bowiem harpunnicy wraz z większością załogi stanowili o wiele bardziej barbarzyńską i pogańską zbieraninę niż którakolwiek z potulnych załóg statków handlowych, z jakimi zapoznały mnie moje dotychczasowe przeżycia, przypisywałem to jednak

— i słusznie — faktowi, że sama istota owego niesamowitego, skandynawskiego rzemiosła, któremu się tak bez zastrzeżeń poświęciłem, była jedyna w swoim rodzaju. Ale właśnie widok trzech głównych oficerów „Pequoda" najbardziej sprzyjał rozproszeniu takich niejasnych obaw i mógł tchnąć ufność i pogodę we wszelkie przewidywania co do losów tej wyprawy. Niełatwo by znaleźć trzech lepszych, odpowiedzialniejszych oficerów i ludzi, każdego w swoim rodzaju; wszyscy trzej byli Amerykanami: nantucketańczyk, vineyardczyk i Człowiek z Przylądka. Ponieważ okręt wyszedł z portu w Boże Narodzenie, przez jakiś czas mieliśmy przejmującą, polarną pogodę, chociaż ciągle uciekaliśmy od niej ku południowi, z każdym przepływanym stopniem i minutą szerokości geograficznej coraz dalej pozostawiając za sobą bezlitosną zimę i cały jej nieznośny klimat. Właśnie jednego z tych mniej już ponurych, lecz jeszcze szarych i dość chmurnych poranków okresu przejściowego, kiedy gnany pomyślnym wiatrem żaglowiec z melancholijną chyżością sunął przez wodę jakimiś mściwymi skoki, takiego właśnie ranka wyszedłem na pokład na zew przedpołudniowej wachty i gdy tylko skierowałem wzrok w stronę burty rufowej, po ciele mym przebiegł wróżebny dreszcz. Rzeczywistość przeszła oczekiwania: kapitan Ahab stał na swym pomoście.

Nie było po nim widać żadnych oznak zwykłego, cielesnego niedomagania ani też powrotu do zdrowia. Wyglądał jak człek, którego odcięto ze stosu w chwili, gdy płomień ogarnął już członki, nie strawiwszy jednak ani nie odjąwszy ni odrobiny ich zwartej, dostałej krzepoty. Wysoka, barczysta postać zdawała się być sporządzona z masywnego brązu, odlana w jakiejś nieomylnej formie, jak Perseusz Celliniego. Spomiędzy siwych włosów, jedną stroną ogorzałej, opiekłej twarzy i szyi, zbiegała wąska jak rózga, sinobiaława kresa niknąca pod ubraniem. Przypominała pionowe pęknięcie czasem widoczne na prostym, wyniosłym pniu ogromnego drzewa, gdy rozedrze je uderzenie piorunu i nie uszkodziwszy ani jednej gałązki obłupie zeń i wyżłobi korę od góry do dołu, nim spłynie w ziemię,

pozostawiając drzewo żywotnie zielone, chociaż napiętnowane. Nikt nie mógł z całą pewnością powiedzieć, czy znak ów przyszedł na świat wraz z Ahabem, czyli też była to blizna po jakowej straszliwej ranie. Za milczącą zgodą nikt, a już zwłaszcza oficerowie, nie czynił w ciągu podróży niemal żadnych w tej sprawie aluzji. Raz tylko współplemiennik Tasztega, należący do załogi stary Indianin z Gay-Head, oświadczył tajemniczo, że Ahab nie był w ten sposób naznaczony przed ukończeniem czterdziestego roku życia i że przydarzyło mu się to nie w zaciekłości jakiejś śmiertelnej bójki, lecz w żywiołowych zapasach na morzu. Owym niezwykłym pogłoskom zdawało się jednak przeczyć to, o czym napomknął pewien siwy mieszkaniec wyspy Man, stary, grobowo ponury człek, który nigdy dotąd nie wypływał z Nantucket i dlatego dotychczas nie widział Ahaba na oczy. Mimo to dawne morskie tradycje i odwieczne wierzenia nadawały temu staremu w oczach ogółu nadnaturalną moc rozeznania. Dlatego też żaden z białych marynarzy nie przeczył mu na serio, gdy mówił, że jeśli kapitan Ahab zostanie kiedykolwiek spokojnie złożony do trumny — tu mruczał, iż mało to jest prawdopodobne — wówczas ten, kto odda zmarłemu ostatnią posługę, znajdzie na nim naturalne znamię biegnące od ciemienia do pięty.

Tak silne wrażenie wywarł na mnie ponury wygląd Ahaba oraz to sine piętno, jakim był naznaczony, iż przez kilka pierwszych chwil nie zdałem sobie sprawy, że sporo tej przemożnej grozy nadaje mu brutalnie biała noga, na której się częściowo wspierał. Już przedtem dowiedziałem się, że tę kościaną nogę sporządzono dlań na morzu z polerowanej szczęki kaszalota. „Tak, urwało mu maszt opodal Japonii — powiedział kiedyś ów stary Indianin z Gay-Head — ale podobnie jak to było z jego okrętem, znalazł sobie nowy nie wracając po niego do domu. Ma ich pełny kołczan."

Uderzyła mnie szczególna postawa, w jakiej kapitan się utrzymywał. Na „Pequodzie", po obu stronach mostka kapitańskiego, tuż przy bezanwantach były w deskach wyświdrowane otwory mniej więcej półcalowej głębokości.

Wetknąwszy kościaną nogę w taki otwór i uchwyciwszy się want wzniesionym ramieniem, kapitan Ahab stał wyprostowany i spoglądał daleko przed siebie, poza nieprzerwanie prujący wodę dziób okrętu. W tym nieulękłym wzroku, wbitym nieruchomo w przestrzeń, była cała nieskończonej twardego męstwa, zdeterminowanej, nieustępliwej woli. Nie odzywał się ni słowem, nie mówili też nic do niego oficerowie, choć po każdym ich najdrobniejszym geście i wyrazie twarzy snadnie można było poznać nękającą, jeśli nie bolesną świadomość, iż znajdują się pod niespokojnym okiem pana. Mało tego; posępny Ahab stał przed nimi z jakimś ukrzyżowaniem malującym się na gbliczu, w całym niewymownym, królewskim, wyniosłym dostojeństwie jakowejś przemożnej niedoli.

Po tej pierwszej bytności na powietrzu wycofał się rychło do swej kajuty. Ale od tego poranka co dnia dawał się ujrzeć załodze; albo stał z nogą utkwioną w owym otworze, albo siadywał ha przygotowanym dlań kościanym zydlu, albo też ciężko przemierzał pokład. W miarę jak niebo stawało się mniej chmurne, a nawet dość pogodne, on coraz to krócej trwał w swym odosobnieniu, jak gdyby tylko martwa, mroźna posępność morza trzymała go w zaniknięciu wówczas, gdy statek odpływał od domu. I stopniowo doszło do tego, że niemal stale przebywał na powietrzu; dotychczas jednak bez względu na to, co by powiedział czy też w sposób widomy uczynił na pokładzie, który wreszcie opromieniło słońce — wydawał się tam równie niepotrzebny jak jeszcze jeden maszt. Ale „Pequod" nie dopłynął jeszcze do miejsc, w których miał rozpocząć właściwe krążenie po morzu; oficerowie mogli całkowicie sprostać niemal wszelkim przygotowaniom do łowów, jakie wymagały nadzoru; dla Ahaba więc, poza nim samym, nie było teraz prawie nic, co mogłoby go zająć czy porwać i w ten sposób choćby na jedną chwilę rozpędzić chmury, które obficie spiętrzyły mu się nad czołem; wszelkie bowiem chmury zawsze wybierają najwyższe szczyty, aby się na nich sadowić.

Niemniej jednak już wkrótce ciepła, świegotliwa perswazja przyjemnej, odświętnej pogody, do której dotarliśmy, rzuciła nań widać swój urok i stopniowo odwiodła od tego nastroju. I jak wtedy, gdy owe rumiane, rozpląsane pacholęta, Kwiecień i Maj, wbiegną tanecznym krokiem w mroźnś, samotnicze bory, a w/tedy nawet najbardziej bezlitosny, chropawy, piorunem rozszczepiony, prastary dąb wypuści wreszcie kilka zielonych pędów, aby powitać podobnie radosnych gości — tak na koniec i Ahab uległ rozigranym powabom tego młodzieńczego tchnienia. Nieraz już rozwijał pąk spojrzenia, które u każdego innego człowieka rychło by w ua id="filepos306802">miech rozkwitło.

ROZDZIAŁ XXIX
WCHODZI AHAB; PO NIM STUBB

Minęło kilka dni; „Pequod", zostawiwszy za rufą wszystkie lody i góry lodowe, kołysał się na falach wśród jasnej, godnej Quita wiosny, która niemal nieprzerwanie króluje na morzu u progu wieczystego sierpnia Zwrotników. Dnie ciepłe, a świeże, czyste, dzwonne i pachnące, wezbrane i bujne, były jak kryształowe puchary perskiego sorbetu, okryte, owiane śniegiem z wody różanej. Gwiezdne, wspaniałe noce zdawały się być podobne wyniosłym damom, które w aksamitach lśniących klejnotami, dumne i samotne, pieszczą w domowym zaciszu wspomnienia o zdobywczych rycerzach, co już odeszli — o słońcach w złociste hełmy przybranych! Trudno było sennemu człowiekowi wybierać między tak powabnymi dniami i uwodzicielskimi nocami. Jednakże wszystkie czarodziejstwa owej nieustającej pogody nie tylko przydawały nowego uroku i mocy zewnętrznemu światu. Działały one na duszę, zwłaszcza gdy nadeszła wciąż jeszcze łagodna godzina wieczoru; wtedy to wspomnienia rozbłyskiwały kryształami, podobnie jak o cichym zmierzchu lód przezroczysty okrywa przedmioty. A wszystkie te delikatne sprawy coraz bardziej i bardziej działały na duszę Ahaba.

Starość jest zawsze bezsenna, jakby dlatego, że im dłużej człowiek związany jest z życiem, tym mniej chce mieć do czynienia ze wszystkim, co przypomina śmierć. Spośród dowódców morskich starzy, siwobrodzi najczęściej opuszczają swe koje, aby nawiedzić pokłady w noc spowite. Tak było i z

Ahabem; tylko że ostatnio tyle przebywał na powietrzu, iż po prawdzie odwiedzał raczej kajuty, a nie pokład. „To tak, jakby się schodziło do własnej mogiły — pomrukiwał do siebie — to "właśnie czuje taki stary kapitan jak ja, kiedy złazi tym wąskim zejściem do swej grobowej koi."

Tak więc niemal co dwadzieścia cztery godziny, gdy zaciągnięto nocną wachtę, gdy grupa ludzi na pokładzie czuwała nad snem grupy znajdującej się na dole, a jeśli trzeba było wciągnąć linę na forkasztel, nie ciskano jej brutalnie na deski jak za dnia, ale ostrożnie osuwano na swoje miejsce z obawy, by nie zakłócić snu towarzyszy; gdy zapanowała taka właśnie spokojna cichość — zazwyczaj wtedy milczący sternik bacznie poczynał śledzić zejście kajutowe. I oto niebawem wynurzał się zeń kapitan, chwytając za żelazną poręcz, by pomóc sobie w swoim kalekim stąpaniu. Tkwiła w nim jakaś nutka ludzkich względów, skoro w takich wypadkach powstrzymywał się zazwyczaj od patrolowania po pomoście; albowiem dla jego zmordowanych oficerów szukających spoczynku sześć cali pod jego kościaną piętą, trzask i łoskot tego kostnego kroku byłby tak donośny, iż musiałyby ich nawiedzać sny o zgrzytających zębach rekinów. Kiedyś wszakże nastrój wziął w nim górę nad pospolitymi względami i właśnie gdy krokiem ciężkim jak uderzenia kloca przemierzał statek od relingu na rufie do grotmasztu, Stubb, stary drugi oficer, wynurzył się spod pokładu i z jakąś niepewną, przepraszającą żartobliwością napomknął coś, że jeśli kapitanowi Ahabowi podoba się spacerować po deskach, to nikt mu tego nie wzbroni, może wszelako istnieje sposób stłumienia hałasu; wspomniał też niejasno i wahająco o kłębku pakuł i wetknięciu weń kościanej pięty. Ach, Stubb! Nie znałeś wtedy jeszcze kapitana Ahaba.

— Alboż ze mnie kula armatnia, Stubb — zapytał Ahab — że chciałbyś mi dać taką podkładkę? Ale idź swoją drogą; już ci tego nie pamiętam. Marsz na dół, do twej nocnej mogiły, gdzie tacy jak ty śpią pod prześcieradłami, by się wzwyczaić do całunu, który was czeka na ostatku. Na dół, psie, do budy!

Stubb drgnął na ów nieprzewidziany końcowy wykrzyknik nagle rozsierdzonego kapitana; przez chwilę nic nie mógł wykrztusić, wreszcie powiedział w podnieceniu:

— Nie jestem przyzwyczajony, by do mnie tak przemawiano, kapitanie. Nie podoba mi się to ani trochę.

— Dość! — wycedził Ahab przez zaciśnięte zęby i gwałtownie się oddalił, jakby chciał uniknąć jakowejś palącej pokusy.

— A nie, kapitanie. Chwileczkę — ozwał się ośmielony Stubb. — Nie będę pokornie słuchał, jak się mnie nazywa psem.

— A zatem bądź po dziesięćkroć nazwany osłem, mułem, baranem i idźże precz albo uwolnię świat od ciebie!

To mówiąc Ahab szedł na niego z tak straszliwie okrutnym wyrazem twarzy, iż Stubb mimowolnie się cofnął.

— Nikt mi dotąd nigdy tak nie wygarnął nie otrzymawszy za to porządnego łupnia — mruknął Stubb znalazłszy się na schodach wiodących do kajut. — To osobliwe. Stójże, Stubb… Jakoś teraz nie wiem właściwie, czy wrócić i grzmotnąć go, czy też — cóż mi na myśl przychodzi? — upaść tu na kolana i modlić się za niego. Tak, ta właśnie myśl mi się nasunęła, ale to byłaby moja pierwsza w życiu modlitwa. Dziwne, bardzo dziwne, i on także dziwny. Tak, czy go oglądać z przodu, czy z tyłu, to chyba najosobliwszy kapitan, z jakim Stubb kiedykolwiek pływał. Jak mnie spiorunował wzrokiem! Oczy miał niczym panewki z prochem! Czyżby był szalony? W każdym razie coś mu ciąży na sercu — równie pewne jak to, że coś musi leżeć na pokładzie, skoro ten trzeszczy. Nie leży teraz w łóżku dłużej niż trzy godziny na dobę — a i wtedy nie sypia. Alboż ta klucha, steward, nie powiadał mi, że rano zawsze znajduje pościel starego na hamaku wymiętą i zgniecioną, prześcieradło skopane w nogach, kołdrę niemal splątaną w supły, poduszkę zaś okrutnie gorącą, jakby leżała na niej rozpalona cegła? Gorący stary! Widzi mi się, że ma on to, co na lądzie poniektórzy zowią sumieniem; mówią, że to coś w rodzaju tik dulure — jeszcze gorsze niż ból zębów. No, no, nie wiem, co to jest, ale niech Bóg broni, żebym to złapał. Pełen jest zagadek. Ciekawe, po co łazi co noc do tylnej ładowni? Steward

gadał mi, że go o to podejrzewa. A po co tam chodzi, chciałbym wiedzieć? Któż mu naznacza spotkania w ładowni? Czy to nie dziwaczne? Nie ma co gadać, to chytra sztuka. No, trzeba się zdrzemnąć. Do kata, warto się na świat narodzić, choćby tylko po to, żeby zaraz iść spać. Ale właściwie jak się nad tym zastanowić, to przecie jest pierwsza rzecz, jaką czynią dzieciaki, i to także jest dziwne. Do diabła, właściwie wszystko jest dziwne, gdy się nad tym pomyśli. Ale to znowu byłoby wbrew moim zasadom. Nie myśl — oto moje jedenaste przykazanie, a śpij, kiedy możesz — dwunaste. Znowu sen mnie morzy. Ale jakże to? Alboż nie nazwał mnie psem? Do pioruna! Nazwał mnie dziesięciokrotnym osłem i jeszcze dorzucił całą kupę bydląt na dodatek. Równie dobrze mógł mnie kopnąć i już. A może mnie i kopnął, tylkom tego nie zauważył, bo tak osłupiałem, widząc jego czoło. Błyszczało mu jak zbielała kość. Co się u diabła ze miną dzieje? Nie mogę ustać na nogach. Tak mnie otumanił ten stary, że wszystko się we mnie wywróciło na nice. Przebóg, musiałem chyba śnić — ale jak, jakim sposobem? Nie ma rady, trzeba to sobie zapamiętać. No, chodźmy na hamak. Jutro rano zobaczymy, co ten zatracony czarnoksiężnik myśli sobie przy dziennym świetle.

ROZDZIAŁ XXX
FAJKA

Kiedy Stubb odszedł, Ahab chwilę stał wychylony przez burtę, a następnie, jak to zwykł był czynić ostatnio, zawołał majtka z wachty i posłał go na dół po kościany zydel i fajkę. Zapalił ją od lampy naktuza i ustawiwszy zydel po nawietrznej stronie pokładu, zasiadł i zaciągnął się dymem.

Podanie mówi, że za dawnych, skandynawskich czasów, trony rozkochanych w morzu królów duńskich robiono z kłów narwala. Czyż można więc było patrzeć na Ahaba zasiadającego na owym kościanym trójnogu i nie pomyśleć o królewskości, której był symbolem? Albowiem Ahab był chanem pokładów, królem mórz, możnowładcą Lewiatanów.

Minęło kilka chwil, w czasie których gęsty dym wydobywał się z jego ust szybkimi, nieprzerwanymi kłębami, które wiatr z powrotem nawiewał mu w twarz.

— No i cóż — powiedział wreszcie do siebie wyjmując fajkę z ust. — To palenie już mnie nie koi. O, fajko moja! Źle musi dziać się ze mną, skoro czar twój prysł! Otom w nieświadomości swojej trudził się nie osiągając zadowolenia i przez cały czas bezwiednie paliłem pod wiatr; pod wiatr i to tak nerwowymi kłębami, jak gdyby, na podobieństwo zdychającego wieloryba, ostatnie moje wydmuchy były najsilniejsze i najbardziej znękane. Po co mi ta fajka? Ona, którą przeznaczono dla ukojenia, która winna posyłać miękkie, białe obłoczki pomiędzy miękkie, białe włosy, a nie takie zwichrzone, stalowoszare kędziory jak moje. Nie będę już palił więcej…

Cisnął palącą się jeszcze fajkę w morze. Ogieniek zasyczał wśród fal; w tym samym momencie okręt przemknął obok

banieczki powietrza, którą zostawiła na wodzie tonąca fajka. Z rondem kapelusza opuszczonym na oczy Ahab pokuśtykał przez pokład.

ROZDZIAŁ XXXI
KRÓLOWA MAB

Następnego ranka Stubb podszedł do Fiaska.

— Jeszczem nigdy nie miał tak dziwacznego snu, „King-Post". Znasz tę kościaną nogę starego. Otóż śniło mi się, iż mnie nią kopnął, kiedy zaś spróbowałem oddać mu kopniaka, wyobraź sobie, człecze, omal mi noga nie odleciała. Tak, na mą duszę! Potem trzask, prask i Ahab stał się piramidą, a ja, głupiec zatracony, dalej ją kopałem. Ale co jeszcze ciekawsze, Fiask — wiesz przecie, jak ciekawe są wszystkie sny — poprzez całą tę wściekłość, jaka mnie ogarnęła, najwyraźniej myślałem sobie, że bądź co bądź ten kopniak od Ahaba to nie taka znowu obraza. „Cóż — myślałem — o co tyle hałasu? To przecie nie prawdziwa noga, a sztuczna." A wielka jest różnica między żywym kopniakiem a martwym. To właśnie czyni uderzenie dłonią stokroć nieznośniejszym od ciosu laską. Żywe ciało — ono właśnie wyrządza żywą zniewagę, mój stary. I cały czas tak sobie myślę — a zważ, że ciągle tłukę tą głupią nogą o ową przeklętą piramidę (tak to wszystko było diablo pokręcone) — cały czas sobie myślę: „Czymże jest jego noga, jeśli nie laską — laską z kości wielorybiej? Tak — myślałem — on przecie tylko dla żartu mnie obił, właściwie mówiąc owielorybił, a nie skopał nikczemnie. Prócz tego wystarczy spojrzeć raz na tę nogę, na jej koniec, ten od dołu; jakiż on mały! Natomiast gdyby mnie kopnął wielkim kulasem jakiś farmer, toby dopiero była wielka zniewaga. Ta zaś jest zestrugana na igłę." Ale teraz dopiero kolej na najlepszy kawał tego snu. Fiask. Kiedy tak grzmocę w tę piramidę, jakiś stary wodnik o kudłach jak u borsuka, z garbem na grzbiecie, łapie mnie za ramiona i okręca w kółko.

„Czego tu chcesz?" — pyta. Uch, człowieku! Alem się wystraszył! Co za gęba! Jednak w następnej chwili jakoś mi ten strach przeszedł. „Czego chcę? — powiadam wreszcie. — A chciałbym wiedzieć, co panu do tego, panie garbus? Czy i pan chcesz kopniaka?" Przebóg, Fiask, ledworo to wyrzekł, a ów się do mnie rufą obraca, schyla i zadziera kupę wodorostów, które miał zamiast giezła, a wtedy — domyśl się, com ujrzał! — do krocset, człecze, rufę miał najeżoną szydłami do lin, ostrzem na zewnątrz. Na to ja, po namyśle: „Chyba cię nie kopnę, mój stary." „Mądry Stubb — on powiada — mądry Stubb!" — i tak dalej mamrocze, jakby gryzł własne dziąsła, ni to stara wiedźma. Widząc, że nie zamierza przestać z tym swoim „Mądry Stubb, mądry Stubb", pomyślałem, że równie dobrze mogę się znów zabrać do kopania piramidy. Ale ledwiem się nogą zamachnął, ten ryknął: „Przestań z tym kopaniem!" „Halo — powiadam — a cóż to znowu, staruchu?" „Słuchaj no — on mówi — przekonajmy się, czy to jest zniewaga. Kapitan Ahab cię kopnął?" „Kopnął mnie — ja na to — tutaj właśnie." „Pięknie — mówi on — ale uczynił to przy pomocy swej kościanej nogi, nieprawdaż?" „Owszem" — mówię mu. „No więc — on do mnie. — Na cóż narzekasz, mądry Stubbie? Zaliż nie kopnął cię z dobrą wolą? Nie kopnął cię przecież pospolitą sosnową nogą. Nie, skopany zostałeś przez człeka wielkiego, i to piękną nogą z kości. To zaszczyt, Stubb, ja uważam, że to zaszczyt. Słuchaj, mądry Stubbie. W starej Anglii najwięksi panowie za chwałę sobie poczytują, jeśli otrzymają uderzenie od królowej, a wraz i godność kawalera Podwiązki; niechże więc będzie to twoją chwałą, żeś dostał od starego Ahaba kopniaka, który cię uczynił mądrym człowiekiem. Pomnij, co ci rzekę: daj mu się kopać; uważaj jego kopniaki za zaszczyt i w żadnym wypadku mu ich nie oddawaj, bo nie dasz rady, mądry Stubbie. Widzisz tę piramidę?" Z tymi słowy rozpłynął się nagle w jakiś osobliwy sposób w powietrzu. Chrapnąłem, przekręciłem się z boku na bok i oto znalazłem się w swym hamaku! No i cóż, co sądzisz o tym śnie, Fiask?

— Nie mam pojęcia. Wydaje mi się jednak trochę głupi.

— Może być, może być. Ale mnie uczynił mądrym, Fiask. Widzisz Ahaba, jak tam stoi i patrzy z ukosa nad rufą? Owóż najlepszą rzeczą, jaką możesz uczynić, to zostawić tego starego w spokoju. Nigdy doń nie gadaj, cokolwiek by mówił. Oho, a co to on wykrzykuje? Posłuchajmy!

— Hej, wy, na maszcie! Wypatrujcie bystro! Wieloryby w pobliżu! Gdybyście ujrzeli białego, to ryczcie, aż wam płuca pękną!

— No i co myślisz, Fiask? Czy nie ma w tym odrobiny czegoś niesamowitego, hę? Biały wieloryb — zauważyłeś, człowieku? Uważaj, coś szczególnego wisi w powietrzu. Trzymaj się, Fiask. Ahab ma jakieś krwawe zamiary. Ale cicho, właa id="filepos321211">nie tu nadchodzi.

ROZDZIAŁ XXXII
CETOLOGIA

Już śmiało ruszyliśmy na głębinę; niebawem zagubimy się w jej bezkresnym, pustynnym ogromie. Zanim to się stanie, zanim omszały kadłub „Pequoda" popłynie bok w bok z okrytym mięczakami kadłubem Lewiatana, już na samym początku dobrze będzie zająć się sprawą, która jest niemal niezbędna dla pełnego zrozumienia i oceny co specjalniejszych, lewiatanicznych rewelacji i aluzji wszelkiego rodzaju, jakie dalej nastąpią.

Pragnąłbym ukazać wam coś w rodzaju ustystematyzowanej wystawy wielorybów we wszystkich możliwych odmianach. Wszelako niełatwe to zadanie. Usiłuję tu dać ni mniej, ni więcej, tylko klasyfikację składników chaosu. Posłuchajcie, co zapisały najlepsze na świecie autorytety w tej materii.

„Żadna dziedzina zoologii nie jest podobnie zawiła, jak ta, którą się zowie cetologia" — powiada kapitan Scoresby, A.D. 1820.

„Nie jest moim zamiarem, nawet gdyby to było w mej mocy, wdawać się w poszukiwania właściwej metody podziału waleni na grupy i rodziny. ...Między badaczami owego zwierzęcia (kaszalota) całkowity panuje zamęt" — mówi doktor Beale, A.D. 1839.

„Niezdolność do dalszego prowadzenia naszych poszukiwań w niezgłębionych wodach," — „Nieprzenikniona zasłona zagradzająca drogę naszej wiedzy o waleniach." — „Łan usiany cierniami." — „Wszystkie te niekompletne dane służą tylko temu, by dręczyć nas, przyrodników."

Tak mówią o wielorybie: wielki Cuvier i John Hunter, i Lesson — te gwiazdy zoologii i anatomii. Choć jednak niewiele bywa prawdziwej wiedzy, przecie książek jest mnóstwo; to samo w pewnym stopniu odnosi się do cetologii, czyli nauki o wielorybach. Liczni są ludzie, mali i wielcy, dawni i nowi, z lądu i z morza, którzy obszernie czy krótko pisali o wielorybie. Zróbcie przegląd choćby kilku z nich: autorowie Biblii, Arystoteles, Pliniusz, Aldrovandi, sir Thomas Browne, Gesner, Ray, Linneusz, Rondelecjusz, Willoughby, Green, Artedi, Sibbald, Brisson, Marten, Lacèpede Bonneterre, Desmarest, baron Cuvier, Fryderyk Cuvier, John Hunter, Owen, Scoresby, Beale, Bennett, J. Ross Browne, autor *Miriam Coffin*, Olmstead i ksiądz T. Cheever. Ale z jakim ostatecznym ogólnym wynikiem wszyscy oni pisali — na to wskazują wyżej przytoczone wyjątki.

Z wymienionych na tej liście wielorybniczych pisarzy jedynie ci, którzy następują po Owenie, w ogóle widzieli żywego wieloryba, a tylko jeden z nich był prawdziwym, zawodowym harpunnikiem i łowcą wielorybów, a mianowicie kapitan Scoresby. Jest on najprzedniejszym autorytetem, jaki istnieje w osobnym przedmiocie wala grenlandzkiego albo właściwego. Ale Scoresby nie wiedział nic i nic nie mówił o wielkim kaszalocie, w porównaniu z którym wal grenlandzki niemal nie jest godzien wzmianki. A należy tu powiedzieć, że wal grenlandzki to uzurpator na tronie mórz. Nie jest on nawet w żadnym wypadku największym z wielorybów. Jednakże dzięki długotrwałemu. pierwszeństwu, jakie zyskały jego uroszczenia, oraz dzięki głębokiej niewiedzy, jaka jeszcze siedemdziesiąt lat temu otaczała naówczas bajecznego czy też całkowicie nie znanego kaszalota — która to niewiedza po dziś dzień dalej panuje wszędzie, z wyjątkiem kilku nielicznych naukowych zakątków czy niewielu portów wielorybniczych — dzięki temu właśnie uzurpacja owa stała się pod każdym względem zupełna. Odniesienie się do niemal wszystkich lewiatanicznych aluzji u wielkich poetów czasów minionych upewni was, że wal grenlandzki nie miał dla nich rywala i był w ich oczach monarchą mórz. Ale nadszedł już czas na nową proklamację.

Jesteśmy na Charing Cross, słuchajcie, dobrzy ludzie! Wal grenlandzki z tronu jest złożon — wielki kaszalot ninie nam panuje!

Istnieją tylko dwie książki, które w ogóle pretendują do tego, aby ukazać nam żywego kaszalota i choćby w drobnej mierze osiągają ten cel. Są to książki Beale'a i Bennetta, którzy byli w swoim czasie felczerami na angielskich statkach wielorybniczych z Mórz Południowych; obaj to ludzie ściśli, na których można polegać. Oryginalne materiały dotyczące kaszalota, jakie można znaleźć w ich dziełach, są z konieczności szczupłe, jednakowoż wybornej jakości, choć w głównej mierze ograniczają się do naukowego opisu. Dotychczas jednakże kaszalot, czy to pod względem naukowym, czy poetyckim, nie osiągnął jeszcze pełni życia w żadnym piśmiennictwie. W znacznie wyższym stopniu, niż to ma miejsce z innymi poławianymi wielorybami, żywot jego jest dotąd prawie nie opisany.

Otóż różnorodne odmiany wielorybów wymagają jakiejś popularnej, zrozumiałej klasyfikacji, choćby na razie prostego jej zarysu, który później wypełnią we wszystkich jego działach następni badacze. Jako że nikt lepszy się nie zgłasza, by wziąć tę sprawę w swoje ręce, ja więc ofiarowuję swoje własne skromne usiłowania. Nie obiecuję niczego pełnego, każda bowiem rzecz ludzka, która jest rzekomo kompletna, musi niechybnie dla tejże właśnie przyczyny być wadliwa. Nie roszczę sobie pretensji do drobiazgowego, anatomicznego opisu rozmaitych gatunków ani też — na tym miejscu przynajmniej — do jakichkolwiek szerszych opisów w ogóle. Celem moim tutaj jest po prostu zaprojektowanie szkicu systematyzacji cetologii. Jestem architektem, a nie budowniczym.

Ciężkie to jednak zadanie; żaden zwykły urzędnik segregujący listy na poczcie nie potrafi mu sprostać. Straszliwa to rzecz szukać po omacku na dnie morza, wyciągać dłoń ku niepojętym fundamentom i kośćcowi świata, do samego jego łona. Kimże jestem, iż próbuję pochwycić na hak tego Lewiatana! Owe straszne szyderstwa u Hioba mogłyby mnie

zastraszyć. „Zaliż on (Lewiatan) przymierze z tobą zawrze? Próżna to nadzieja!" Wszelako przepłynąłem przez biblioteki i żeglowałem po oceanach; miałem do czynienia z wielorybami tymi oto widzialnymi dłońmi; mam poważne zamiary i popróbuję. Należy ustalić kilka szczegółów wstępnych.

Po pierwsze: o niepewnym, nieustalonym stanie tej nauki, cetologii, już na samym progu świadczy fakt, że gdzieniegdzie jest jeszcze sprawą do dyskusji, czy wieloryb to ryba. Linneusz w swoim *Porządku przyrody* A.D. 1776 oświadcza: „Zatem oddzielam ryby od wielorybów." Jednakże, o ile mi wiadomo, aż do roku 1850 rekiny i szprotki, sardynki i śledzie, wbrew temu wyraźnemu edyktowi Linneusza, ciągle jeszcze dzielą się z Lewiatanem władztwem tych samych mórz.

Linneusz w następujący sposób wylicza powody, dla których chętnie by wygnał wieloryby z wód: „Z uwagi na ich ciepłe, dwukomorowe serca, ich płuca, ruchome powieki, wklęsłe uszy, *penem intrantem feminam mammis lactantem"* i wreszcie *„ex lege naturae jure meritoque"*. Przedłożyłem to wszystko przyjaciołom moim z Nantucket, Symeonowi Macey i Karolowi Coffin, którzy byli mymi towarzyszami messy w czasie pewnej podróży, oni zaś wyrazili zgodny pogląd, że wysunięte tu racje są całkowicie niewystarczające. Karol nawet bezecnie napomknął, że to bajdy.

Należy wiedzieć, iż, niechając wszelkiej dysputy, staję na poczciwym, staroświeckim stanowisku, że wieloryb jest rybą i odwołuję się do świątobliwego Jonasza o poparcie. Po załatwieniu się z tym fundamentalnym zagadnieniem, następnym punktem będzie rozważenie, pod jakimi względami wieloryb różni się wewnętrznie od innych ryb. Powyżej Linneusz podał wam już owe cechy. Są to pokrótce: płuca i ciepła krew, podczas gdy wszystkie inne ryby są płuc pozbawione i zimnokrwiste.

Następnie: w jaki sposób określimy wieloryba na podstawie jego widomych cech zewnętrznych tak, by go jasno i wyraźnie oznaczyć po wsze czasy? Krótko więc mówiąc jest on dmuchającą rybą z poziomym ogonem. Ot, i tu go macie całego.

Jakkolwiek zwięzła, definicja ta jest wynikiem obszernych rozważań. Mors dmucha bardzo podobnie do wieloryba, nie jest jednak rybą, jako że to zwierzę zimnowodne. Ale. ostatni człon tej definicji staje się tym bardziej przekonywający, jeśli go połączyć z pierwszym. Niemal każdy musiał zauważyć, że wszystkie ryby dobrze znane ludziom lądu mają ogon nie płaski, ale pionowy, idący z góry w dół, podczas gdy u ryb dmuchających ogon, choć podobnie ukształtowany, niezmiennie przyjmuje położenie horyzontalne.

Powyższą definicją wieloryba bynajmniej nie wyłączam z lewiatańskiego bractwa jakiegokolwiek morskiego stworzenia, dotychczas identyfikowanego z wielorybem przez najlepiej w tej sprawie poinformowanych nantucketańczyków, ani też z drugiej strony nie włączam doń żadnej ryby do tej pory uznawanej w sposób miarodajny za obcą . Stąd też i wszystkie pomniejsze dmuchające ryby o poziomym ogonie muszą być włączone do niniejszego zarysu cetologii. Teraz zaś kolej na wielki podział całej wielorybiej rzeszy.

Po pierwsze: w zależności od rozmiaru dzielę wieloryby na trzy podstawowe KSIĘGI (podzielone z kolei na Rozdziały), te zaś obejmują je wszystkie, tak wielkie jak i małe.

I. Wieloryb *In Folio;* II. Wieloryb *In Octavo;* III. Wieloryb *In Duodecimo.*

Jeśli idzie o typ *In Folio,* to przedstawiam tu Kaszalota, In *Octavo* — Orkę, *In Duodecimo* — Delfina.

IN FOLIO. Do tych zaliczam następujące rozdziały: — I. Kaszalot; II. Wieloryb Właściwy; III. Finwal; IV. Humbak; V Rorkwal; VI. Płetwal Błękitny.

KSIĘGA I (*In Folio),* Rozdział I. (Kaszalot). — Ten wieloryb, wśród dawnych Anglików niejasno określany jako *Trumpa* albo *Physeter* lub też Łeb-Kowadło, to obecny *Cachalot* Francuzów, *Pottfisch* Niemców i *Macrocephalus* w języku Długich Słów. Jest on bez wątpienia największym mieszkańcem kuli ziemskiej, najpotężniejszym ze wszystkich wielorybów, jakie spotkać można, najbardziej majestatycznym z wyglądu i wreszcie bezwzględnie najwartościowszym handlowo, zważywszy, iż jest

jedynym stworzeniem, z którego otrzymuje się ową cenną substancję, olbrot. Będziemy się jeszcze w wielu innych miejscach rozwodzić nad wszystkimi jego osobliwościami. Teraz zajmę się głównie jego mianem w języku angielskim. Z filologicznego punktu widzenia jest ono absurdalne *. Kilka stuleci temu, kiedy kaszalot był jeszcze niemal całkowicie nie znany w swojej właściwej istocie i kiedy jego olej otrzymywano tylko przypadkowo z wyrzuconych na brzeg ryb — w czasach owych uważano, jak się zdaje, że olbrot, czyli inaczej spermacet, pochodzi ze stworzenia identycznego ze znanym naówczas w Anglii pod nazwą Wala Grenlandzkiego albo Właściwego. Wyobrażano sobie również, że tenże spermacet jest ową życiodajną cieczą Wieloryba Grenlandzkiego, którą literalnie określają pierwsze dwie sylaby tego słowa. W owych czasach olbrot, czyli spermacet, uzyskiwano niesłychanie rzadko i używano go nie do oświetlenia, lecz jedynie jako maść lub lekarstwo. Można go było dostać wyłącznie u aptekarzy, tak jak obecnie kupuje się jedną uncję rabarbarum. Kiedy, jak sądzę, z biegiem czasu poznano już właściwą naturę spermacetu, jego pierwotna nazwa nadal utrzymana została przez kupców, niewątpliwie po to, by podwyższyć jego wartość przez pojęcie tak osobliwie znamienne dla jego rzadkości. I w ten sposób zapewne sama nazwa została nareszcie przeniesiona na wieloryba, od którego ów spermacet w rzeczywistości pochodził.

KSIĘGA I (*In Folio)*, Rozdział II. *(Wieloryb Właściwy)*. — Pod pewnym względem jest to najczcigodniejszy z Lewiatanów, jako że to on pierwszy był regularnie łowiony przez człowieka.

Dostarcza artykułu pospolicie znanego jako fiszbin oraz oleju specjalnie zwanego „tranem wielorybim", który jest pośledniejszym przedmiotem handlu. Między poławiaczami oznacza się tego wieloryba bez wyboru następującymi tytułami: Wieloryb, Wal Grenlandzki, Wal Czarny, Wielki Wal, Wieloryb Prawdziwy, Wieloryb Właściwy. Dużo jest niejasności, jeśli idzie o tożsamość gatunku tak szczodrobliwie chrzczonego. Czymże więc jest ów wieloryb, którego zaliczam do drugiej grupy moich

In Folio? Jest to wielki *Mysticetus* przyrodników, Wal Grenlandzki angielskich wielorybników, *Baleine Ordinaire* poławiaczy francuskich, *Growlands Walfish* Szwedów. Jest to wieloryb, na którego przez dwa ostatnie stulecia z górą polowali na morzach arktycznych Holendrzy i Anglicy; wieloryb, którego rybacy amerykańscy z dawna ścigali po Oceanie Indyjskim, u brzegów Brazylii, opodal Wybrzeża Północno-Zachodniego i w wielu innych częściach świata, oznaczonych przez nich jako Wielorybnicze ' Tereny Łowieckie.

Niektórzy utrzymują, że dostrzegają różnicę między Wałem Grenlandzkim Anglików a Wielorybem Właściwym Amerykanów. Wszelako wszystkie główne cechy ich obu dokładnie się ze sobą zgadzają i nie przytoczono dotychczas ani jednego określonego faktu, na którym można by oprzeć jakieś radykalne rozróżnienie. To właśnie dzięki nie kończącym się podpodziałom, opartym, na jak najbardziej nieistotnych różnicach, niektóre gałęzie historii naturalnej stają się tak odpychająco zawiłe. Wieloryba Właściwego omówi się szerzej na innym miejscu, celem rzucenia niejakiego światła na Kaszalota.

KSIĘGA I (*In Folio),* Rozdział III. *(Finwal)* — Pod tym nagłówkiem umieszczam potwora, który pod rozmaitymi mianami: Finwala, Wielkodmucha, Długiego Jasia, widywany bywał na niemal każdym morzu i jest zazwyczaj wielorybem, którego daleką fontannę tak często opisują pasażerowie przepływający Atlantyk na nowojorskich statkach pocztowych. Długością, da jakiej dochodzi, oraz swoimi fiszbinami Finwal zbliżony jest do Wieloryba Właściwego, tyle tylko, że mniej korpulentny w talii i nieco jaśniejszej barwy, zbliżony do oliwkowej. Jego ogromne wargi przedstawiają widok podobny do grubej liny utworzonej przez splecione, skośne zwoje olbrzymich fałd. Jego główny rys wyróżniający, płetwa, od której Finwal, czyli Płetwal bierze swoje imię, jest często bardzo rzucająca się w oczy. Płetwa ta ma około trzech czy czterech stóp długości, wyrasta pionowo z tylnej części grzbietu, jest kształtu trójkątnego, z bardzo ostrym, spiczastym końcem.

Nawet jeśli nie widać żadnej innej części zwierzęcia, można czasami wyraźnie dostrzec tę samotną płetwę wystającą ponad powierzchnię wody. Kiedy morze jest umiarkowanie spokojne i lekko poznaczone kolistymi zmarszczkami, ta zaś płetwa podobna do iglicy zegara słonecznego sterczy w górę i rzuca cień na pomarszczoną powierzchnię, można sobie łacno wyobrazić, że otaczający ją wodny krąg przypomina nieco taki właśnie zegar wraz z iglicą i wyrytymi na nim falistymi liniami godzin. Na tym słonecznym zegarze Ahaza cień często się cofa. Finwal nie jest towarzyski. Zdaje się on być mizantropem wśród wielorybów, tak jak są mizantropi wśród ludzi. Bardzo jest nieśmiały, zawsze chadza samopas, niespodzianie wypływa na powierzchnię na najodleglejszych i najposępniejszych wodach; jego pojedyncza, wysoka fontanna wzbija się jak wyniosła mizantropijna wieżyca nad jałową równiną. Obdarzony tak zadziwiającą mocą i chyżością, że gdy płynie, może urągać wszelkiemu pościgowi ze strony człowieka, Lewiatan ów zdaje się być wygnanym, lecz nie pokonanym Kainem swojej rasy, noszącym jako piętno ową iglicę na grzbiecie. Z uwagi na to, że ma w paszczęce fiszbiny, Finwal bywa czasami zaliczany wraz z Wielorybem Właściwym do teoretycznego gatunku zwanego Fiszbinowcami, to znaczy wielorybami posiadającymi fiszbiny. Jak się zdaje, istnieje kilka odmian owych tak zwanych Fiszbinowców, z których jednak większość mało jest znana. Nazwami rybackimi dla niektórych rodzajów są: Wieloryby Szerokonose i Dziobate, Włóczniowate, Pękate, Dolnoszczękowce oraz Ryjowate.

W związku z tą nazwą Fiszbinowców jest niezmiernie ważne nadmienić, iż jakkolwiek taka nomenklatura może być bardzo dogodna przez to, że ułatwia określanie niektórych rodzajów wielorybów, przecie na próżno usiłowałoby się przeprowadzić wyraźną klasyfikację Lewiatanów opartą czy to na ich fiszbinach, czy garbie, czy płetwie, czyli też zębach, mimo że te znamienne części czy rysy nadają się oczywiście lepiej na podstawę dla prawidłowego systemu cetologii niż jakiekolwiek inne poszczególne cielesne właściwości, które wieloryb

wykazuje w swych rozmaitych odmianach. A więc? Fiszbiny, garb, płetwa grzbietowa i zęby: oto cechy szczególne, którymi są bez wyboru obdarzone wszystkie rodzaje wielorybów, niezależnie od ich budowy w innych, bardziej istotnych szczegółach. I tak na przykład Kaszalot oraz Humbak posiadają garby; ale też na tym kończy się podobieństwo. Również tenże Humbak oraz Wal Grenlandzki mają fiszbiny; ale i tutaj także kończy się podobieństwo. To samo odnosi się i do innych wyżej wspomnianych części. U rozmaitych odmian wielorybów tworzą one tak nieprawidłowe kombinacje, biorąc zaś każdego z nich z osobna — tak nieprawidłowe elementy, że urągają najzupełniej wszelkiej ogólnej systematyzacji opartej na takiej podstawie. Na tej skale rozbił się każdy przyrodnik badający wieloryby.

Można jednak zapewne przypuszczać, że przynajmniej w częściach wewnętrznych wieloryba, w jego anatomii będziemy w stanie natrafić na podstawy właściwej klasyfikacji. Nie, bo cóż na przykład w anatomii Wala Grenlandzkiego jest bardziej uderzające od jego fiszbinów? A przecie widzieliśmy już, że na podstawie fiszbinów nie sposób prawidłowo sklasyfikować Wala Grenlandzkiego. Jeżeli zaś zejdziecie w trzewia różnych Lewiatanów, tedy nie znajdziecie tam cech odróżniających nawet w jednej setnej części tak wartościowych dla systematyka, jak owe cechy zewnętrzne, któreśmy już wyliczyli. Cóż więc pozostaje? Nic innego, jak tylko brać wieloryby jako całość, w całej ich szczodrej objętości i śmiało sortować je w ten sposób. To właśnie jest ten system bibliograficzny, który tu przyjęto; jest on także jedynym, mogącym w ogóle dać pomyślne wyniki, ponieważ on jeden jest wykonalny. Mówmy więc dalej.

KSIĘGA I (In Folio), Rozdział IV. *(Humbak)* — Tego wieloryba często się widuje u północnych wybrzeży Ameryki. Nierzadko go tam chwytano i holowano do portu. Ma na sobie ogromny tobół, niby wędrowny przekupień; można go nazwać Wielorybem Słoniowatym albo Zamczystym. W każdym razie popularne jego przezwisko nie wyróżnia go w sposób

wystarczający, jako że Kaszalot ma również garb, choć nieco mniejszy. Olej jego jest niezbyt wartościowy. Humbak posiada fiszbiny.

Jest najfiglarniejszym lekkoduchem ze wszystkich wielorybów i zazwyczaj wzbija więcej wesołej piany i białych bryzgów wodnych niż którykolwiek z nich.

KSIĘGA I *(In Folio),* R o z d z i a ł V. *(Rorkwal)* — O tym wielorybie niewiele wiadomo, prócz jego imienia. Widziałem go kiedyś w pewnej odległości od Przylądka Horn. Samotniczego usposobienia, unika tak łowców jak i filozofów. Choć nie jest tchórzem, nigdy jednak dotąd nie pokazał żadnej części swego cielska prócz grzbietu, który wznosi się długą, ostrą krawędzią. Niech sobie idzie. Niewiele więcej wiem o nim — ja czy ktokolwiek inny.

KSIĘGA I *(In Folio),* Rozdział VI. *(Płetwal Błękitny)* — Jeszcze jeden samotny dżentelmen o brzuchu koloru siarki, niewątpliwie na skutek otarcia się o dach Tarbaru w czasie jednego ze swych głębszych nurkowań. Rzadko się go widuje; ja przynajmniej nie widziałem go nigdy poza dalekimi morzami południowymi, i to zawsze ze zbyt wielkiej odległości, by zbadać jego fizjonomię. Nigdy go się nie ściga; uciekłby z całymi milami Im. Opowiadają o nim cuda. *Adieu,* Błękitny Płetwalu! Więcej nic pewnego nie umiem o tobie powiedzieć — nie potrafiłby tego uczynić nawet najstarszy nantucketańczyk.

Na tym się kończy KSIĘGA I *(In Folio)* i zaczyna KSIĘGA II *(In* Octauo).

IN OCTAVO. Księga ta obejmuje wieloryby średniej wielkości, spośród których możemy na razie wyliczyć: — I. Orkę; II. Rybę Czarną; III. Narwala; IV. Mordercę; V. Żarłacza.

KSIĘGA II *(In Octavo),* Rozdział I. *(Orka)* — Choć o tej rybie, której dźwięczne, donośne oddychanie czy raczej dmuchanie dało mieszkańcom lądu temat do przysłowia, dobrze wiadomo, że jest mieszkanką głębiny, jednak nie zalicza się jej na ogół do wielorybów. Ale większość przyrodników uznała ją za wieloryba, zważywszy, że posiada wszelkie główne cechy właściwe Lewiatanowi. Jest umiarkowanego rozmiaru *In*

Octavo, wahającego się od piętnastu do dwudziestu pięciu stóp długości, a także odpowiedniej objętości w talii. Pływa w stadach; nigdy się na nią regularnie nie poluje, choć posiada znaczne ilości oleju dość dobrego do oświetlenia. Niektórzy rybacy uważają, iż jej ukazanie się zwiastuje, że w pobliżu przebywa wielki kaszalot.

KSIĘGA II *(In Octavo)*, Rozdział II. (Ryba *Czarna)* — Podaję dla wszystkich tych ryb popularne nazwy rybackie, ponieważ są one na ogół najlepsze. Gdziekolwiek jakaś nazwa wyda się niejasna czy bez wyrazu, powiem o tym i zaproponuję inną. Czynię to i w tej chwili odnośnie tak zwanej Ryby Czarnej, jako że czerń jest regułą u wszystkich niemal wielorybów. Proszę więc, nazywajcie ją Wielorybem-Hieną. Jej żarłoczność jest dobrze znana, a z uwagi na to, że zewnętrzne kąty jej warg są wygięte do góry, nosi na obliczu wiecznotrwały, mefistofeliczny, szyderczy uśmiech. Wieloryb ten ma średnio od 16 do 18 stóp długości. Można go spotkać pod każdą niemal szerokością geograficzną. Gdy płynie, ma osobliwy zwyczaj ukazywania swej haczykowatej płetwy grzbietowej, która przypomina nieco rzymski nos. W braku korzystniejszego zajęcia łowcy kaszalotów chwytają czasem Wieloryba-Hienę, by uzupełnić zapas taniego oleju dla celów domowych — podobnie jak skromni gospodarze, pod nieobecność gości, kiedy są zupełnie sami, wypalają niewonny łój miast pachnącego wosku. Choć tran tych wielorybów jest bardzo rozcieńczony, niektóre mogą przecie dostarczyć powyżej trzydziestu galonów oleju.

KSIĘGA II *(In Octavo)*, Rozdział III. *(Narwal*, inaczej *Wieloryb Nosal)* — Inny przykład ciekawej nazwy wieloryba, którą mu nadano, jak sądzę, od osobliwego rogu, pierwotnie branego za spiczasty nos. Stworzenie to ma około szesnastu stóp długości, jego róg zaś osiąga przeciętnie pięć stóp, chociaż niektóre są dłuższe od dziesięciu a nawet dochodzą do piętnastu. Ściśle mówiąc, róg ten jest po prostu wydłużonym kłem wystającym ze szczęki w kierunku odchylonym nieco w dół od poziomego. Znajduje się on jednak tylko po lewej stronie, co ma ten zły efekt, iż nadaje jego właścicielowi wygląd trochę podobny do

niezdarnego mańkuta. Trudno orzec, jaki właściwie cel ma ten kostny róg czy lanca. Nie wydaje się, żeby Narwal używał go jak szpikulca, którym włada Ryba-Miecz czy Płaszczka, chociaż marynarze mówili mi, że Narwal manipuluje nim jak grabiami przebierając po dnie morza w poszukiwaniu pokarmu. Karol Coffin powiadał, iż używa go on jako łamacza lodu; gdy bowiem Narwal wypływa na powierzchnię Morza Polarnego i znajduje ją pokrytą lodem, zadaje cios rogiem i przebija się na zewnątrz. Nie sposób jednak dowieść słuszności żadnego z owych przypuszczeń. Jeśli idzie o moje własne zdanie, to niezależnie od tego, w jaki sposób Narwal naprawdę używa tego swojego jednostronnego rogu, uważam, że byłby on z pewnością bardzo dlań dogodny jako nóż do przecinania stron przy czytaniu broszur. Słyszałem, że Narwala przezywano Wielorybem z Kłem, Wielorybem Rogatym, Wielorybem Jednorożcem. Jest on z pewnością ciekawym okazem jednorożca, jaki można zresztą odnaleźć niemal w każdej dziedzinie żywej przyrody. Z dzieł pewnych starych kronikarzy dowiedziałem się, że róg tegoż morskiego jednorożca był za dawnych czasów uważany za wspaniałe antidotum przeciwko truciźnie i z tej przyczyny preparowanie go przyniosło olbrzymie zyski. Destylowano go również na lotne sole trzeźwiące dla mdlejących dam, tak samo jak rogi jelenia przerabiane są na proszek amoniakowy. Pierwotnie uważano róg ten za ogromną osobliwość. Stare księgi mówią o powrocie sir Martina Frobishera z owej podróży, kiedy to królowa Elżbieta wdzięcznie mu skinęła swą upierścienioną dłonią z okna pałacu Greenwich, gdy jego dziarski okręt płynął Tamizą. *Kiedy sir Martin z owej wyprawy powrócił* — powiada stary tekst — *na kolana padłszy, Najjaśniejszej Pani olbrzymi a długi róg Narwala ofiarował, któren potem przez wiele czasu w zamku windsorskim zawieszon był.* Jeden z autorów irlandzkich utrzymuje, że również hrabia Leicester na klęczkach ofiarował jej królewskiej mości inny róg, pochodzący od zwierza lądowego z rodzaju jednorożców.

Narwal ma wygląd wielce malowniczy, podobny do leoparda; jest mlecznobiałej barwy, nakrapiany krągłymi i podłużnymi

plamami czerni. Olej jego jest wyśmienity i delikatny, mało go jednakże, więc rzadko się na Narwala poluje. Najczęściej można go spotkać na morzach kręgu polarnego.

KSIĘGA II *(In Octavo),* Rozdział IV. *(Morderca)* — Otym wielorybie niewiele właściwie wiadomo nantucketańczykowi, a nic zgoła zawodowym przyrodnikom. Z tego, co mogłem zauważyć z odległości, powiedziałbym, że jest on mniej więcej rozmiarów Orki. Bardzo jest dziki — coś w rodzaju ryby fidżijskiej. Czasami pochwyci za wargę ogromnego wieloryba *In Folio* i uwiesi się u niej jak pijawka, dopóki na śmierć nie zadręczy potężnej bestii. Na Mordercę nigdy się nie poluje..Nigdy też nie słyszałem, jakiego rodzaju jest jego olej. Można mieć zastrzeżenia co do miana nadanego temu wielorybowi, z tej przyczyny, iż jest ono niejasne. Albowiem mordercami jesteśmy wszyscy, na lądzie czy na morzu, z Bonapartemi i rekinami włącznie.

KSIĘGA II *(In Octavo),* Rozdział V. *(Żarłacz)* — Ten dżentelmen słynie ze swego ogona, którego *zażywa* jak kańczuga celem obicia wrogów. Dostaje się na grzbiet wieloryba *In Folio* i płynąc toruje sobie drogę dzięki temu, że chłoszcze tamtego, tak jak niektórzy nauczyciele szkolni dają sobie radę na tym świecie przy pomocy podobnego procederu. O Żarłaczu jeszcze mniej wiadomo niż o Mordercy. Obaj są wyjęci spod prawa, nawet na nie znających praw morzach.

Na tym się kończy KSIĘGA II (In *Octavo)* i rozpoczyna KSIĘGA III *(In Duodecimo).*

IN DUODECIMO. Tu należą pomniejsze wieloryby. I. HuraDelfin. II. Delfin-Pirat. III. Delfin Bladogęby.

Tym, którym nie przydarzyło się specjalnie studiować przedmiotu, może się zapewne wydać dziwne, że ryby zazwyczaj nieprzekraczające czterech czy pięciu stóp długości mogą być zaszeregowane do WIELORYBÓW — która to nazwa w popularnym rozumieniu zawsze nasuwa myśl o ogromie. Jednakowoż stworzenia spisane przeze mnie powyżej jako *In Duodecimo* są niechybnie wielorybami w myśl mojej definicji wieloryba — tzn. ryby dmuchającej z poziomym ogonem.

KSIĘGA III *(In Duodecimo)*, Rozdział I. *(Hura-Delfin)* — Jest to Delfin Pospolity spotykany niemal na całej kuli ziemskiej. Miano to samo mu nadałem, ponieważ istnieje niejeden rodzaj delfinów i trzeba coś zrobić, żeby je rozróżnić. Nazywam go w ten sposób, gdyż ryby te zazwyczaj pływają wesołą czeredą, a na pełnym morzu wyskakują w niebo jak czapki wyrzucane z tłumu w dzień 4 lipca. Ukazanie się tych ryb bywa na ogół witane z zachwytem przez marynarzy. Wynurzają się one w niezmiennie wyśmienitym humorze ze smaganych wichrem bałwanów od strony nawietrznej. To właśnie są tacy chłopcy, co to idą z prądem. Uważane są za dobry omen. Jeżeli na ich widok potraficie powstrzymać się od wiwatów, tedy Bóg z wami; nie macie w sobie ducha boskiej igraszki. Dobrze odżywiony, pulchny Hura-Delfin dostarczy wam jednego dobrego galonu przedniego oleju, a wyborna i delikatna-ciecz dobywana z jego szczęk ma niezwykłą wartość. Poszukiwana jest przez jubilerów i zegarmistrzów. Marynarze powlekają nią bursy. Mięso delfina jest smakowite, a jakże. Może nigdy nie przyszło wam do głowy, że delfin dmucha. W istocie fontanna jego jest tak mała, że nie od razu można ją rozeznać. Ale przy następnej okazji przyjrzyjcie mu się dobrze, a ujrzycie samego wielkiego kaszalota w miniaturze.

KSIĘGA III *(In Duodecimo)*, Rozdział II. *(Delfin-Pirat)* — Istotnie pirat. Bardzo dziki. Spotyka się go chyba tylko na Pacyfiku. Jest nieco większy od Hura-Delfina, choć na ogół bardzo do niego podobny z budowy. Tylko go sprowokować, a dobierze się nawet do rekina. Po wielekroć ruszałem za nim w pogoń, alem nigdy jeszcze nie widział, żeby go pojmano.

KSIĘGA III *(In Duodecimo)*, Rozdział III. *(Delfin Bladogeby)* — Największa odmiana delfina; o ile wiadomo spotykany tylko na Pacyfiku. Jedyna nazwa angielska, jaką go dotychczas oznaczono: Delfin-Wieloryb, jest nazwą rybacką nadaną mu z uwagi na okoliczność, że spotyka się go głównie w sąsiedztwie wieloryba właściwego *In Folio*. Kształtem różni się do pewnego stopnia od Hura-Delfina, gdyż jest mniej zażywny i pękaty w talii; odznacza się w gruncie rzeczy całkiem zgrabną i nobliwą

figurą. Nie posiada płetw na grzbiecie (jak większość innych delfinów), ma ładny ogon i sentymentalne, indyjskie oczy piwnego koloru. Szpeci go jednak jego blada gęba. Choć cały grzbiet aż po boczne płetwy ma barwy głębokiej czerni, jednakże linia graniczna, równie wyraźna jak ta, która biegnie wzdłuż kadłuba okrętu i zowie się „linią wodną", znaczy go od dzioba do rufy oddzielając dwa jego kolory: czarny u góry i biały u dołu. Kolor biały obejmuje również część jego łba i cały pysk, co sprawia wrażenie, jakby ten delfin tylko co zemknął po jakiejś zbójeckiej wizycie w worku mąki. Wielce to szpetny widok! Olej tego zwierzęcia bardzo przypomina olej Delfina Pospolitego.

Systemat ten nie wykracza poza DUODECIMO, jako że delfin jest najmniejszym z wielorybów. Macie oto powyżej wszystkie znamienitsze Lewiatany. Istnieje jednak cała czereda nieokreślonych, na wpół bajecznych wielorybów, które, jako amerykański wielorybnik, znam wprawdzie ze słyszenia, ale nie osobiście. Wyliczę je z nazw, jakie im nadano na for kasztelach, bowiem taka lista może się okazać wartościowa dla przyszłych badaczy, którzy mogą kiedyś dokończyć tego, co ja tu ledwie rozpocząłem. I jeśli którykolwiek z następnych wielorybów zostanie kiedyś pochwycony i rozpoznany, może być zaraz wcielony do tego systemu, w zależności od swego rozmiaru *In Folio, In Octavo* czy *In Duodecimo:* Wieloryb Butelkonosy, Olbrotowiec, Łeb-jak-Pudding, Przylądowiec, Naczelnik, Wieloryb-Działo, Chudzielec, Wieloryb Miedziany, Wieloryb Słoniowaty, Góra Lodowa, Quog, Modry Wieloryb etc. Z miarodajnych źródeł islandzkich, holenderskich i staroangielskich można by zacytować jeszcze inne listy niepewnych wielorybów, które uszczęśliwiono wszelkiego rodzaju niezwykłymi mianami. Pomijam jednak te nazwy, jako całkiem przestarzałe, i nie mogę się oprzeć podejrzeniu, iż są to jedynie puste dźwięki, bardzo lewiatańskie, nic jednak nie oznaczające.

I wreszcie: stwierdzono na początku, że ten systemat nie będzie od razu doskonały. Zapewne jasno postrzegacie, że

słowa mego dotrzymałem. I oto pozostawiam swój systemat cetologiczny nie ukończony, podobnie jak wielką katedrę kolońską pozostawiono z dźwigiem ciągle jeszcze widniejącym na szczycie nie ukończonej wieży. Albowiem drobne budowle mogą wykończyć ich pierwotni architekci, lecz te wspaniałe, rzetelne — trud pokrycia ich sklepienia zawsze pozostawiają potomności. Niechaj Bóg mnie strzeże przed ukończeniem czegokolwiek! Cała ta książka to ledwie szkic — nie: szkic szkicu! O, Czasie, Siło, Gotówko i Cierpliwości!

ROZDZIAŁ XXXIII
SPECKSYNDER

Wydaje się, że wspominając o oficerach statku wielorybniczego można w tym miejscu, równie dobrze jak gdzie indziej, opisać pewną małą, lokalną osobliwość takiego okrętu, która wynika z istnienia harpunniczej kategorii oficerów, nie znanej, rzecz jasna, w jakiejkolwiek innej flocie prócz wielorybniczej.

O tym, jak wielką wagę przywiązuje się do zawodu harpunnika, świadczy fakt, że pierwotnie, w dawnym rybołówstwie holenderskim, dwa i więcej wieków temu, dowodzenie żaglowcem wielorybniczym nie było w całości poruczone osobnikowi zwanemu obecnie kapitanem, ale podzielone między niego i oficera zwanego *Specksynderera.* Wyraz ten oznacza dosłownie Skrawacza Tłuszczu; lecz z biegiem czasu utarło się w drodze zwyczaju, że słowo to jest równoznaczne z Głównym Harpunnikiem. W owych czasach władza kapitana ograniczała się do nawigacji i ogólnego zarządzania statkiem, podczas gdy nad sprawami łowów oraz wszystkim, co z nimi związane, królował niepodzielnie Specksynder, czyli Główny Harpunnik. Ten dawny funkcjonariusz holenderski utrzymany został nadal w brytyjskim wielorybnictwie grenlandzkim pod zniekształconą nazwą *Specksioneera,* jednakże jego dawniejsze dostojeństwo zostało smutnie okrojone. Obecnie uważa się go po prostu za starszego harpunnika i, jako taki, jest on zaledwie jednym z niższych podwładnych kapitana. Niemniej jednak, zważywszy, że od tego, czy harpunnik dobrze się sprawia, zależy w dużej mierze powodzenie wyprawy wielorybniczej, i ponieważ w

wielorybnictwie amerykańskim sprawuje on nie tylko doniosłe funkcje na łodzi, ale też w pewnych okolicznościach (nocne wachty na terenach łowieckich) należy doń również dowodzenie na pokładzie okrętu — dlatego podstawowe morskie zasady polityczne wymagają, żeby w zasadzie mieszkał osobno, nie z prostymi marynarzami, i był w jakiś sposób wyróżniany jako przełożony w ich zawodzie, mimo że zwykle traktują go oni poufale, jako towarzysko sobie równego.

Na morzu główną różnicę między oficerem a prostym marynarzem stanowi fakt, że pierwszy mieszka na tyle, drugi zaś na przodzie okrętu. Dlatego też, tak na statkach wielorybniczych, jak i na handlowych, oficerowie mają kwatery razem z kapitanem; również więc i na większości amerykańskich statków wielorybniczych harpunnicy umieszczani bywają w rufowej części żaglowca. Znaczy to, że jadają w kajucie kapitana oraz sypiają w miejscu mającym pośrednio do niej dostęp.

Chociaż długi okres trwania wyprawy wielorybniczej na Morza Południowe (bezwarunkowo najdłuższej ze wszystkich podróży teraz czy kiedykolwiek przedsiębranych przez człowieka) oraz szczególne jej niebezpieczeństwo, jak również wspólnota interesów panująca wśród załogi, której wszyscy członkowie — wyżsi czy niżsi — otrzymują zyski w zależności nie od ustalonych płac, ale od wspólnego powodzenia oraz wspólnej czujności, odwagi i ciężkiej pracy — chociaż więc wszystkie te czynniki mogą w pewnych wypadkach powodować, że dyscyplina jest tam mniej surowa niż na ogół na statkach handlowych, jednak, niezależnie od tego, jak bardzo wielorybnicy sposobem współżycia mogą w niektórych prymitywnych okolicznościach przypominać starożytną rodzinę mezopotamską, przecie, na mostku kapitańskim przynajmniej, skrupulatnie przestrzegane formy rzadko doznają folgi, a już w żadnym wypadku nie bywają pomijane. Toteż na wielu nantucketańskich okrętach ujrzycie szypra paradującego po pomoście z tak wspaniałą wyniosłością, że równej nie znaleźć w żadnej marynarce wojennej; zaiste

wymaga on także licznych zewnętrznych oznak hołdu, jak gdyby był obleczony w cesarską purpurę, a nie wytarte sukno marynarskie.

A choć ze wszystkich ludzi na świecie posępny kapitan „Pequoda" najmniej był skłonny do podobnie płytkiego zarozumialstwa, chociaż jedynym hołdem, jakiego kiedykolwiek wymagał, było bezwzględne, natychmiastowe posłuszeństwo, choć nie żądał od żadnego z marynarzy zdejmowania butów przed wstąpieniem na mostek kapitański i choć zdarzyło się, że z uwagi na szczególne okoliczności związane z wypadkami, które tu jeszcze zostaną opowiedziane, zwracał się do załogi niezwykłymi słowy — czy to z łaskawością, czy *in terrorem*, czy jeszcze inaczej — przecie nawet kapitan Ahab bynajmniej nie lekceważył zasadniczych form i obyczajów morskich.

Zapewne nie ujdzie to zresztą niczyjej uwagi, że owych form i obyczajów używał czasem jako maski, wykorzystując je przy sposobności dla innych, bardziej osobistych celów niż te, którym miały zasadniczo służyć. Dzięki tym formom pewna sułtańskość . jego usposobienia, która skądinąd pozostałaby w dużej mierze nie ujawniona, przeradzała się w nieodpartą dyktaturę. Albowiem jakakolwiek by była intelektualna wyższość człowieka, nigdy przecie nie może ona osiągnąć owej praktycznej, widomej przewagi nad innymi ludźmi bez pomocy jakowychś zewnętrznych sztuczek oraz obwarowań, zawsze mniej lub więcej niskich i małych. samych w sobie. To właśnie trzyma zawsze prawdziwych książąt z bożej łaski z dala od trybun tego świata, pozostawiając najwyższe zaszczyty, jakie pozory takie dać mogą, tym ludziom, którzy stają się sławni bardziej dzięki swej nieskończonej niższości od ukrytej garstki wybrańców Boskiego Bezwładu niż przez swą niewątpliwą wyższość nad niskim poziomem mas. Tak wielka siła kryje się w owych drobnych rzeczach, o ile otoczy je najwyższy polityczny zabobon, że w przypadku niektórych monarchów obdarzyły one potęgą nawet idiotów i durniów. Kiedy wszelako, jak na przykład w wypadku cara Mikołaja, obręcz korony geograficznego imperium okala mózg tyrana, natenczas

plebejska rzesza gnie się w poniżeniu przed tak przemożną centralizacją potęgi. Nigdy też tragiczny dramaturg, który chciałby odmalować śmiertelną nieugiętość w całym rozmachu i niepowstrzymanym rozpędzie, nie zapomni w swoim dziele zamieścić o tym wzmianki tak przecie istotnej dla jego sztuki.

Ale Ahab, mój kapitan, nadal mi stoi przed oczami w całej swej nantucketańskiej zawziętości i surowości, a w tym epizodzie, dotyczącym cesarzy i monarchów, nie mogę ukrywać, że mam do czynienia tylko z takim jak on biednym, starym łowcą wielorybów; dlatego też wszelkie zewnętrzne, majestatyczne akcesoria i ozdoby są mi odmówione. O, Ahabie! Po to, co w tobie jest wielkie i wspaniałe, trzeba z konieczności sięgnąć do niebios i opuścić się w głębinę, a odmalować to w bezcielesnym przestworze!

ROZDZIAŁ XXXIV
STÓŁ W KAJUCIE

Jest południe i Klucha, steward, wytknąwszy z zejścia kajutowego bladą twarz do bochna chleba podobną, oznajmia swemu panu i władcy, że obiad podano. Ahab siedzi właśnie w łodzi zawieszonej u boku żaglowca od zawietrznej; dopiero co zakończył obserwacje słoneczne i obecnie, jak co dzień, milcząco oblicza szerokość geograficzną na przeznaczonej do tego celu gładkiej tabliczce w kształcie medalionu, umieszczonej na górnej części jego kościanej nogi. Z kompletnego zlekceważenia otrzymanej wiadomości można by wnosić, iż posępny Ahab nie dosłyszał swego służebnego. Lecz oto chwyta się za bezanwanty, jednym rzutem ciała opuszcza na pokład i oznajmiwszy równym, obojętnym głosem: — Obiad, panie Starbuck! — znika w kajucie.

Kiedy ucichł ostatni odgłos kroków Sułtana i Starbuck, pierwszy Emir, ma wszelkie powody przypuszczać, że zasiadł on już za stołem, wówczas ocknąwszy się z martwoty, przechadza się chwilę po pokładzie, zagląda z powagą do naktuza, mówi z niejakim zadowoleniem: — Obiad, panie Stubb! — po czym schodzi na dół. Drugi Emir marudzi chwilę przy olinowaniu, a następnie potrząsnąwszy lekko głównym brasem, by się przekonać, czy ta ważna lina jest w porządku, przejmuje z kolei to samo zadanie i krótko rzuciwszy: — Obiad, panie Fiask! — podąża śladem swych poprzedników.

Ale trzeci Emir widząc, że jest teraz całkiem samotny na mostku kapitańskim, najwidoczniej doznaje jakiegoś osobliwego odprężenia, gdyż posławszy na wsze strony przebiegłe spojrzenia i zrzuciwszy buty, puszcza się w jakiś

rączy, choć milczący taniec tuż nad głową samego Padyszacha; następnie zaś zręcznym ruchem ciska swą czapkę na bezanmaszt miast półki i schodzi na dół chichocząc — przynajmniej dopóty, dopóki go można widzieć z pokładu; odwraca w ten sposób porządek wszelkich innych procesji, jako że zamyka pochód orkiestra. Jednak zanim na dole przestąpi próg kajuty, przystaje, przybiera zgoła odmienny wyraz twarzy i oto niezależny, wesoły, mały Fiask staje przed obliczem Króla Ahaba w charakterze Abiectusa, czyli niewolnika.

Nie najmniejszą z osobliwości zrodzonych przez niezwykłą sztuczność morskich obyczajów jest fakt, że podczas gdy na otwartym powietrzu pokładu niektórzy oficerowie w odpowiedzi na zaczepkę potrafią się zachować dość śmiało i wyzywająco wobec swego dowódcy, przecie można się założyć, że niech tylko ci sami oficerowie zejdą w następnej chwili na-codzienny obiad do kajuty tegoż dowódcy, zaraz poczną się odnosić w sposób nienaganny, żeby nie powiedzieć: przepraszający i pokorny, wobec przełożonego zasiadającego na głównym miejscu u stołu. Jest to wręcz dziwaczne, a czasami niebywale zabawne. Skąd pochodzi ta różnica? Trudne pytanie? Może i nie. Być Baltazarem, królem Babilonu, ale być nim nie wyniośle, a uprzejmie — w tym musi tkwić coś ze światowej wielkości. Jeśli zaś ktoś w prawdziwie królewskim, a mądrym duchu przewodniczy przy swym własnym stole biesiadnym, wokół którego zebrali się zaproszeni goście, wówczas niepodzielna moc i władza jego osobistego wpływu, jego królewskość przewyższa Baltazara, który nie należał przecie do największych. Kto choć raz jeden podejmował swoich przyjaciół, ten pokosztował, co to znaczy być Cezarem. Jest w tym jakowaś magia iście carskiej władzy nad otoczeniem, której oprzeć się niepodobna. Otóż jeżeli do tych względów dodać jeszcze oficjalne zwierzchnictwo dowódcy okrętu — można stąd wywnioskować, co jest przyczyną owej osobliwości życia morskiego, o której była właśnie mowa.

Za swym stołem, wykładanym kością, Ahab prezydował jak niemy, grzywiasty lew morski na białej ławicy koralowej w

otoczeniu wojowniczych, a jednak pełnych uszanowania lwiąt. Każdy z oficerów czekał, by go obsłużono według należytej kolejności. Wobec Ahaba zachowywali się jak małe dzieci, choć niepodobna było dostrzec najmniejszej arogancji w jego obejściu. Ich uważne oczy, jakby jedną kierowane myślą, utkwione były w nożu starego, gdy krajał stojące przed nim główne danie. Nie przypuszczam, żeby za jakąkolwiek cenę potrafili zbezcześcić tę chwilę najmniejszą choćby uwagą, nawet na temat tak neutralny, jak pogoda. Me! Kiedy bowiem Ahab wyciągnąwszy przed siebie nóż i widelec, między którymi tkwił płat wołowiny, dawał w ten sposób znak Starbuckowi, by podsunął talerz, oficer przyjmował mięso, jak gdyby otrzymywał jałmużnę, krajał je łagodnie, niecą się płosząc, jeśli przypadkiem nóż zazgrzytał o talerz; przeżuwał je następnie bezdźwięcznie i połykał nie bez ostrożności. Albowiem na podobieństwo bankietu koronacyjnego we Frankfurcie, kiedy to cesarz niemiecki dostojnie biesiaduje z siedmioma elektorami Cesarstwa, owe posiłki w kajucie były jakoś ogromnie uroczyste, spożywane pośród straszliwej ciszy, chociaż Ahab nie wzbraniał przy stole rozmowy, sam tylko pozostawał niemy. Jakąż ulgą było dla dławiącego się Stubba, jeśli szczur wszczął nagły rwetes w komorze na dole! A biedny mały Fiask był najmłodszym synem, małym chłopaczkiem na tym nużącym rodzinnym przyjęciu. Jemu się dostawały kości solonego wołu, on by otrzymał nóżki kurczęcia. Bowiem dla Fiaska myśl, że mógłby sobie pozwolić na wybranie kąska, była równoznaczna z kradzieżą pierwszego stopnia. Bez wątpienia nie mógłby już stanąć z podniesionym czołem wśród przyzwoitych ludzi, gdyby sobie sam coś nabrał na talerz, a przecie, rzecz dziwna, Ahab nigdy mu tego nie wzbraniał. I jeśliby Fiask tak postąpił, Ahab najprawdopodobniej nawet by nie zwrócił na to uwagi. A już nabrania sobie masła Fiask nie ryzykowałby w ogóle. Może sądził, że właściciele okrętu odmawiają mu go, z uwagi na to, że masło zaszkodzi jego czystej, słońcem nagrzanej cerze; może uważał, że w czasie podobnie długiej podróży, na tak bezrynkowych wodach masło jest na wagę złota i dlatego nie

może być przeznaczone dla niego, podwładnego — jakkolwiek tam było, Fiask był, niestety, człowiekiem skazanym na życie bez masła!

Jeszcze jedno. Fiask był ostatnim, który schodził na obiad, ale pierwszym, który odeń wstawał. Zastanówcie się tylko! W ten sposób bowiem obiad Fiaska paskudnie się kurczył w czasie. Starbuck i Stubb byli pierwsi przed nim, a przecie korzystali również z przywileju marudzenia. Nawet jeżeli Stubb, który jest ledwie odrobinę wyższy rangą od Fiaska, ma przypadkiem słaby apetyt i rychło poczyna zdradzać zamiar ukończenia posiłku, Fiask musi już wstawać; tego dnia nie zje więcej niż trzy kąski — byłoby to bowiem wbrew uświęconym zwyczajom, żeby Stubb wyszedł na pokład przed Fiaskiem. Z tych to właśnie przyczyn Fiask przyznał się kiedyś w sekrecie, że od chwili, gdy podniesiony został do godności oficera, nie zaznał innego uczucia prócz mniejszego czy większego głodu. To bowiem, co jadał, nie tyle zaspokajało w nim głód, ile utrzymywało głód ten w stanie nieśmiertelności. „Spokój i zadowolenie — myślał sobie Fiask — na zawsze odbieżały od mego żołądka. Jestem oficerem; ale jakżebym pragnął po staremu zafasować na forkasztelu kawał wołowiny, jak to czyniłem, gdym był prostym majtkiem." Oto owoce awansu, oto próżność chwały, oto obłęd życia! Poza tym, gdyby któryś z prostych marynarzy „Pequoda" miał jakowąś urazę do Fiaska jako swego przełożonego, to żeby w pełni nasycić się zemstą, wystarczyłoby mu w zupełności podejść na rufę w czasie obiadu i przez iluminator kajuty rzucić okiem na ogłupiałego i oniemiałego Fiaska, gdy siedział tak przed straszliwym Ahabem.

Otóż Ahab i jego trzej oficerowie tworzyli to, co by można nazwać pierwszym stołem w kajucie „Pequoda". Po ich odejściu, które odbywało się w porządku odwrotnym do przybycia, blady steward oczyszczał serwetę z płótna żaglowego albo raczej pośpiesznie' przywracał na niej jaki taki porządek. Wtedy zaś proszono na biesiadę trzech harpuhników, którzy byli niejako spadkobiercami jej resztek. Z wyniosłej i potężnej kajuty czynili oni coś w rodzaju tymczasowego pokoju służbowego.

Osobliwy kontrast z ledwie dającym się znieść skrępowaniem i niewypowiedzianą, nieuchwytną tyranią, panującą przy stole kapitańskim, tworzyła owa beztroska swawola i swoboda, ta niemal opętana demokracja niższych stopniem harpunników. O ile ich przełożeni, oficerowie, zdawali się odczuwać obawę nawet przed skrzypnięciem zawiasów własnych szczęk, o tyle harpunnicy przeżuwali pokarm z takim gustem, że aż się rozlegało. Biesiadowali jak lordowie; napełniali sobie żołądki jak indyjskie statki ładujące korzenie przez dzień cały. Queequeg i Tasztego mieli apetyty tak niebywałe, że bladolicy steward, aby nadrobić spustoszenia poczynione przez poprzednich biesiadników, chętnie przynosił ogromny udziec solonego mięsa, pochodzący, jak się zdaje, z jakiegoś tęgiego wołu. Jeśli zaś steward nie wykonał tego dość żwawo, jeśli nie poruszał się w zwinnych podskokach, wtedy Tasztego miał niedżentelmeński zwyczaj przyspieszania owych czynności przez rzut widelcem niby harpunem w jego plecy. A raz Daggoo, który wpadł nagle w dobry humor, odświeżył pamięć stewarda porywając go z ziemi w ramiona i kładąc jego głowę na drewnianej desce do krajania chleba, podczas gdy Tasztego z nożem w ręce począł mu ostrzem zakreślać wokół czaszki krąg poprzedzający skalpowanie. Ten steward z twarzą jak bochenek, latorośl zbankrutowanego piekarza i szpitalnej pielęgniarki, był z natury wielce nerwowym i lękliwym człowiekiem. Tak więc zarówno na skutek stałego widoku mrocznego, starszego Ahaba, jak i stałych, burzliwych odwiedzin owych trzech dzikusów, życie jego przemieniło się w jedno nieprzerwane drżenie warg. Zazwyczaj po zaopatrzeniu harpunników we wszystko, czego żądali, wymykał się z ich szponów do małej przyległej spiżarni i z lękiem wyglądał na nich przez szpary w drzwiach, dopóki nie ukończyli posiłku.

Warto było widzieć, jak Queequeg siedział naprzeciw Tasztega wyszczerzając nań równy, zwarty szereg swych białych zębów; obok zaś Daggoo sadowił się na podłodze, gdyż ławka podniosłaby aż do desek niskiego pułapu jego głowę kosmatą jak pióropusz na katafalku. Za każdym ruchem

olbrzymiego ciała Murzyna niska kajuta drżała w posadach, jak wówczas gdy słoń afrykański podróżuje okrętem w charakterze pasażera. Mimo to wszystko ogromny Negr był zadziwiająco wstrzemięźliwy, żeby nie powiedzieć: wybredny. Zdawało się prawie niemożliwe, żeby tak stosunkowo małymi kąskami był w stanie utrzymać ową żywotność przenikającą na wskroś tak rozłożystą, wielkopańską i okazałą personę. Bez wątpienia, ów wspaniały dzikus sycił się niepowściągliwie i opijał obficie szczodrym żywiołem powietrza, wdychając przez rozszerzone nozdrza wzniosłe życie świata. Olbrzymów nie tworzy ani nie żywi chleb czy wołowina. Natomiast Queequeg miał okropny, barbarzyński zwyczaj mlaskania wargami przy jedzeniu — dźwięk dosyć paskudny — i to tak straszliwie, że drżący steward już niemal zerkał, czy na jego własnych, wychudłych ramionach nie pozostały jakieś ślady zębów. Gdy zaś usłyszał, że Tasztego woła nań, by się pokazał i pozbierał kości, prostoduszny steward w napadzie drgawek omal nie tłukł naczyń rozwieszonych wokoło w spiżarni. Nie przyczyniały się też do uspokojenia biedaka ani brusy do ostrzenia lanc i innej broni, które harpunnicy nosili po kieszeniach, a na których przy obiedzie ostentacyjnie ostrzyli swe noże, ani zgrzytliwy hałas przy tym ostrzeniu wydawany. Jakże mógł zapomnieć, że takiemu Queeque-gowi za jego wyspiarskich czasów przydarzyły się z pewnością jakieś mordercze wybryki biesiadne. Niestety! Biedny chłopak! Ciężkie ma życie biały kelner obsługujący ludożerców! Nie serwetkę winien nosić na ramieniu, ale puklerz! Jednakże w odpowiednim czasie, ku wielkiej radości stewarda, trzej wojacy słonych wód wstawali od stołu i odchodzili, zaś w uszach łatwowiernego i rozfantazjowanego biedaka chrzęściły za każdym krokiem wszystkie ich wojownicze kości, niczym mauretańskie jatagany w pochwach.

Ale choć owi barbarzyńcy obiadowali w kajucie i zasadniczo tam mieszkali, jednak zważywszy, iż nie byli bynajmniej nieruchawi z natury, rzadko kiedy w niej przebywali z wyjątkiem pory posiłków oraz chwili przed udaniem się na

spoczynek, kiedy to przechodzili przez kajutę do swoich własnych kwater.

Pod tym jednym względem Ahab nie zdawał się być wyjątkiem w stosunku do większości kapitanów wielorybniczych, którzy, wszyscy razem wzięci, skłaniają się raczej do poglądu, że kajuta na okręcie z prawa do nich należy i że jedynie przez uprzejmość wpuszcza się tam w ogóle kogokolwiek innego. Tak więc po prawdzie właściwiej byłoby powiedzieć, że oficerowie i harpunnicy „Pequoda" mieszkali raczej poza kajutą niż w niej. Albowiem jeśli tam wchodzili, było to po trosze tak, jak kiedy drzwi od ulicy wchodzą do domu; na chwilę wnikają do wnętrza po to tylko, żeby się zań natychmiast wycofać, stale zaś przebywają na dworze. Niewiele też na tym tracili: w kajucie nie było koleżeństwa — towarzysko Ahab był niedostępny. Choć formalnie należał do świata chrześcijańskiego, był mu jednak całkowicie obcy. Żył na świecie tak, jak ostatni z szarych niedźwiedzi żyje w skolonizowanym Missouri. I podobnie jak ów stary Logan kniej, kiedy wiosna i lato przeminą, zagrzebie się w wydrążonym pniu drzewa i tam przeżywa zimę ssąc własne łapy, tak też i dusza Ahaba, w dobie surowej, burzliwej starości zamknięta w wydrążonym pniu jego ciała, żywiła się posępnymi łapami swojego przygnębienia!

ROZDZIAŁ XXXV
SZCZYT MASZTU

Zapanowała już przyjemniejsza pogoda, gdy po innych marynarzach przypadła i na mnie kolej objęcia posterunku w bocianim gnieździe.

Na większości amerykańskich statków wielorybniczych maszty obsadza się jednocześnie z opuszczeniem przez żaglowiec portu, nawet jeśli przed dotarciem do właściwych łowisk ma on do przebycia piętnaście tysięcy mil albo więcej. A kiedy po trzycztero- czy pięcioletniej podróży statek zbliża się do domu całkiem próżny — aż do ostatniej buteleczki — maszty jego obsadzone są do ostatka; nie porzuca on ze szczętem nadziei upolowania jeszcze jednego wieloryba do chwili, gdy jego flagsztoki poczną sunąć między wieżycami portu.

Otóż zważywszy, że czynność czatowania na masztach tak na lądzie, jak i na morzu jest odwieczna i bardzo interesująca, niechże nam będzie wolno omówić ją tu nieco szerzej. Sądzę, że najdawniejszymi obserwatorami na masztach byli starożytni Egipcjanie, gdyż we wszystkich mych poszukiwaniach nie natrafiłem na nikogo od nich wcześniejszego. Choć bowiem ich przodkowie, budowniczowie Wieży Babel, musieli bez wątpienia żywić zamiar wzniesienia najwyższego masztu w całej Azji tudzież Afryfe, jednak ponieważ ten ich olbrzymi kamienny maszt (zanim jeszcze zwieńczono go szczytową gałką) został, można powiedzieć, zwalony za burtę straszliwym sztormem Boskiego gniewu, nie możemy udzielić budowniczym Wieży pierwszeństwa przed Egipcjanami. Natomiast twierdzenie, że Egipcjanie byli narodem czatowników na masztach, opiera się na powszechnie panującym wśród

archeologów mniemaniu, że pierwsze piramidy zbudowane zostały dla celów astronomicznych. Teorię taką osobliwie potwierdza szczególne, schodowe ukształtowanie wszystkich czterech boków owych budowli; po tych to schodach tamtejsi astronomowie, ogromnie wysoko zadzierając nogi, zwykli byli wydostawać się na wierzchołek i stamtąd obwoływać nowe gwiazdy, podobnie jak posterunki na masztach nowoczesnego statku wydają okrzyk na widok żagla czy wieloryba, który się właśnie ukazał.

W świętym Szymonie Słupniku, sławnym chrześcijańskim eremicie z dawnych czasów — który zbudował sobie na pustyni wysoką, kamienną kolumnę i przepędził na jej szczycie całą ostatnią część swego żywota wciągając na górę strawę z ziemi za pomocą liny — mamy wybitny przykład nieustraszonego czatownika, który nie dał się ruszyć ze swego miejsca ani mgle, ani mrozom, deszczom, gradom czy śniegowi, ale do ostatka walecznie stawiając czoło wszystkim przeciwnościom, dosłownie zginął na posterunku.

Ze współczesnych obserwatorów mamy jedynie rzeszę nieożywioną; zwykłych ludzi z kamienia, żelaza czy brązu, którzy, chociaż potrafią przetrzymać najgorszą nawałnicę, nie posiadają jednak żadnych kwalifikacji, jeśli idzie o oznajmianie krzykiem, że spostrzegli coś niezwykłego. Na przykład taki Napoleon stoi sobie z założonymi rękami na szczycie kolumny Vendóme, na jakieś sto pięćdziesiąt stóp w powietrzu, nie dbając już teraz wcale o to, kto rządzi pokładem na dole: Ludwik Filip czy Ludwik Blanc, czy sam Ludwik Diabeł. Wielki Waszyngton również stoi wysoko w górze, na swym wyniosłym grotmaszcie w Baltimore, a jego kolumna, na podobieństwo jednego ze słupów Herkulesa, znaczy ów punkt ludzkiej wielkości, poza który wyjdzie niewielu śmiertelnych. Także i admirał Nelson, na kabestanie ze spiżu, widnieje na swym maszcie wśród Trafalgar Square i nawet wówczas, gdy jest najzupełniej przesłonięty londyńskim dymem, ma się przekonanie, iż musi tam być ukryty bohater, jako że nie ma dymu bez ognia. Lecz ani wielki Waszyngton, ani Napoleon, ani

Nelson nie odpowiedzą na żadne zawołanie z dołu, choćby ich nie wiedzieć jak gorąco wzywano, aby radami swymi dopomogli oszalałym pokładom, na które z góry spoglądają; nie odpowiedzą, mimo że, jak należy przypuszczać, duchy ich przenikają przez gęstą mgławicę przyszłości i potrafią rozeznać, jakich to mielizn i jakich raf wystrzegać się należy.

Niewłaściwym mogłoby się zdawać łączenie pod jakimkolwiek względem czatowników lądowych z morskimi, ale że tak w istocie nie jest, tego jasno dowodzi pewien fakt, za który przyjmuje odpowiedzialność Obed Macy, jedyny historyk Nantucket. Otóż ten zacny Obed opowiada nam, że w zaraniu wielorybnictwa, zanim jeszcze okręty poczęły regularnie ruszać w pościg za zwierzyną, mieszkańcy owej wyspy ustawiali wzdłuż wybrzeża morskiego wysokie drągi, na które obserwatorzy wydostawali się po przybitych deszczułkach, trochę tak, jak drób wyłazi na grzędę w kurniku. Kilka lat temu ten sam system przyjęli nowozelandzcy wielorybnicy z Zatoki, którzy rozpoznawszy zwierzynę dawali znać przygotowanym i obsadzonym przez ludzi łodziom, znajdującym się w pobliżu plaży. Zwyczaj ten jednak wyszedł już teraz z użycia, powróćmy więc do jedynego właściwego posterunku na maszcie, a mianowicie do tego, który czuwa na morskim żaglowcu wielorybniczym.

Wszystkie trzy maszty są obsadzone od wschodu do zachodu słońca; marynarze mają na nich ustaloną kolejkę (podobnie jak przy sterze) i luzu ją jeden drugiego co dwie godziny. Służba na maszcie jest niezwykle przyjemna w niezmąconą podzwrotnikową pogodę: mało powiedzieć — dla człowieka skłonnego do marzeń i rozmyślań jest wręcz rozkoszna. Stoi się tam, sto stóp ponad cichym pokładem, sunąc po głębinie, jak gdyby maszty były gigantycznymi szczudłami, podczas gdy w dole i między naszymi stopami przepływają najogromniejsze morskie potwory, tak właśnie, jak ongiś okręty płynęły między stopami słynnego kolosa ze starożytnego Rodos. Człowiek tam stoi zagubiony wśród nieskończonych roztoczy morskich, w spokoju nie zakłóconym niczym prócz szumu fal. Odrętwiały

okręt sunie leniwie, dmucha senny passat — wszystko pogrąża człowieka w rozmarzeniu. W tym podzwrotnikowym życiu wielorybniczym najczęściej otacza was jakaś wzniosła martwota; nie otrzymujecie żadnych wiadomości, nie czytacie gazet, nie pogrążają was w zbędnym podnieceniu nadzwyczajne wydania dzienników, które przynoszą wstrząsające relacje o różnych banałach, nie słyszycie o żadnych domowych kłopotach, bankructwach dłużników, spadku akcji; nigdy wam nie zakłóca spokoju myśl o tym, co będziecie jedli na obiad — bowiem wszystkie wasze posiłki na trzy lata i więcej są składnie załadowane w beczułki, a jadłospis pozostaje niezmienny.

Suma rozmaitych godzin, jakie się spędza na szczycie masztu jednego z owych południowych żaglowców wielorybniczych w ciągu długiej, trzy- czy czteroletniej wyprawy, częstokroć by dała w wyniku kilka pełnych miesięcy. Należy też wielce ubolewać nad tym, że miejsce, któremu poświęca się tak znaczną cząstkę całości ludzkiego żywota, jest tak rozpaczliwie obrane ze wszystkiego, co by mogło przypominać przytulną mieszkalność lub też było zdolne zrodzić w człowieku uczucie wygodnej zaciszności, takiej, jaka się wiąże z łóżkiem, hamakiem, katafalkiem, budką wartownika, kazalnicą, karetą czy jakimkolwiek z tych małych a przytulnych urządzeń, w których ludzie znajdują chwilowe odosobnienie. Najczęściej zwykłym punktem zaczepienia jest szczyt bramstengi, gdzie się stoi na dwóch cienkich, równoległych drążkach (niemal wyłącznie właściwych żaglowcom wielorybniczym) zwanych salingiem bramstengi. Początkujący, kolebany przez morze, czuje się tu mniej więcej równie przytulnie, jak gdyby stał na rogach byka. W zimna można oczywiście zabrać ze sobą na górę własny dom pod postacią płaszcza wachtowego, ale, właściwie mówiąc, najgrubszy płaszcz wachtowy nie jest bardziej domem niźli nagie ciało; albowiem jak dusza przyklejona jest do wnętrza swego cielesnego tabernakulum i nie może się w nim swobodnie poruszać ani go opuścić nie narażając się na zgubę (wzorem nieświadomego wędrowca

przemierzającego w zimie Alpy), tak i płaszcz wachtowy jest nie tyle domem, co zwykłą osłoną, dodatkową skórą, która was okrywa. Nie można umieścić we własnym ciele półki ani komody; nie sposób też przemienić płaszcz wachtowy w wygodną izdebkę.

W związku z tym wszystkim należy wielce ubolewać, że maszty żaglowca, wielorybniczego z Mórz Południowych nie są zaopatrzone w te godne pozazdroszczenia małe namiociki czy ambony, zwane „bocianimi gniazdami", które na okrętach polujących w pobliżu Grenlandii chronią obserwatorów od niełaskawej pogody mroźnych mórz. W miłej do czytania przy kominku relacji kapitana Sleeta, zatytułowanej *Wyprawa między góry lodowe — w poszukiwaniu wala grenlandzkiego, jako też dla ponownego odkrycia utraconych islandzkich kolonii w starej Grenlandii* — w tym wspaniałym tomie wszyscy, którzy stali na masztach, znajdą uroczo szczegółowe sprawozdanie o świeżo wówczas wynalezionym „bocianim gnieździe" na „Lodowcu", które to miano nosił zacny okręt kapitana Sleeta. Kapitan nazwał je „bocianim gniazdem Sleet" ku czci samego siebie, jako że był pierwszym jego wynalazcą i tym, który je opatentował. Wolny od wszelkiej fałszywej skromności, uważał, że jeśli nadajemy własne nazwisko swoim własnym dzieciom (ponieważ my, ojcowie, jesteśmy ich właściwymi wynalazcami i patentującymi), to również Winniśmy oznaczać naszym imieniem każdy inny aparat, jaki możemy spłodzić.

Z kształtu bocianie gniazdo Sleeta przypomina nieco dużą baryłkę czy fajkę; jest jednak otwarte od góry i zaopatrzone w ruchomą osłonę boczną, która chroni głowę od wiatru podczas ostrej dmy. Ponieważ gniazdo to jest umieszczone na szczycie masztu, można się więc na nie wydostać przez małą klapę w dnie. Od strony rufy znajduje się tam wygodne siedzenie mające pod spodem szafeczkę na parasole, szaliki i płaszcze. Z przodu jest skórzana siatka, w której można umieścić tubę do mówienia, fajkę, lunetę oraz inne marynarskie przybory. Kapitan Sleet opowiada, że kiedy sam we własnej osobie stawał na posterunku w tymże swoim bocianim gnieździe, zawsze miał

pod ręką strzelbę (również umieszczoną w siatce) wraz z rożkiem prochu i nabojami w celu pukania do zabłąkanych narwali lub wędrownych morskich jednorożców, od których roją się tameczne wody; do ryb tych nie można bowiem skutecznie strzelać z pokładu, a to z uwagi na opór, jaki stawia woda — natomiast strzelanie do nich prosto z góry to rzecz zgoła inna. Dla kapitana Sleeta szczegółowy opis najdrobniejszych udogodnień jego bocianiego gniazda był, rzecz jasna, najmilszym zajęciem. Choć jednak tak się nad wieloma z tych rzeczy rozwodzi, chociaż częstuje nas wielce naukowym sprawozdaniem o swoich eksperymentach w tymże gnieździe, jak na przykład opisem małego kompasu, przechowywanego tam w celu przeciwdziałania błędom wynikającym z tego, co się zowie „przyciąganiem miejscowym" magnesów wszystkich busoli — które to błędy należy przypisać sąsiedztwu w płaszczyźnie poziomej żelaza w deskach okrętu (a w przypadku „Lodowca" może także faktowi, że między jego załogą znajdowało się tylu zbankrutowanych kowali) — choć więc, jak mówię, kapitan jest bardzo dyskretny i naukowo usposobiony w tej materii, jednakże, mimo wszystkich swoich uczonych „dewiacji busoli", „obserwacji azymutu na kompasie" tudzież „przybliżonych odchyleń", wie on bardzo dobrze, że nie był na tyle pogrążony w głębokich, magnetycznych medytacjach, żeby od czasu do czasu nie odczuć przyciągania, jakie nań wywierała owa dobrze wypełniona buteleczka, tak miło wtulona tuż pod ręką w kącik jego bocianiego gniazda. Aczkolwiek na ogół wielce podziwiam, a nawet wielbię dzielnego, zacnego i uczonego kapitana, wszelako mam mu bardzo za złe, że tak ze szczętem zlekceważył tę buteleczkę zważywszy, jak wierną musiała mu być przyjaciółką i pokrzepicielką wówczas, gdy w rękawicach na dłoniach i kapturze na głowie studiował matematykę wysoko, w tym ptasim gnieździe, o kilka stajań od bieguna.

Choć jednak my, łowcy południowi, nie bywamy na górze tak przytulnie zakwaterowani jak kapitan Sleet i jego grenlandzcy marynarze, przecie tę ujemną stronę w znacznej mierze

równoważy krańcowo odmienna pogoda panująca na owych urzekających morzach, po których na ogół pływamy. Ja, na przykład, zazwyczaj bez pośpiechu wdrapywałem się na olinowanie, odpoczywając na złączu steng, aby sobie uciąć pogawędkę z Queequegiem czy kimkolwiek innym, kto się tam znalazł po służbie; następnie wchodziłem jeszcze nieco wyżej i niedbale przerzuciwszy nogę przez bramreję posyłałem wstępne spojrzenie na wodne rozłogi i dopiero wtedy wspinałem się do mego ostatecznego miejsca przeznaczenia.

Niech mi będzie wolno wyjawić tu otwarcie i szczerze się przyznać, że kiepsko pełniłem straż. W chwili gdy problem wszechświata kołatał się we mnie, gdy pozostałem sam na sam z sobą na tak zapładniającej myśli wysokości — czyliż mogłem sumiennie wykonywać swój obowiązek przestrzegania ustalonego na wszystkich wielorybniczych żaglowcach nakazu: „Mieć oko na nawietrzną i krzyczeć za każdym razem"?

Pozwólcie, bym was gorąco przestrzegł na tym miejscu, właściciele okrętów z Nantucket! Strzeżcie się przyjmowania do swego rzemiosła, wymagającego takiej czujności, jakiegokolwiek młodzieńca o ściągłej twarzy i zapadniętych oczach, skłonnego do niewczesnych rozmyślań, młodzieńca, który się zgłasza na okręt z *Fedonem* miast Bowditcha w ręku. Strzeżcie się takiego, powtarzam; wasze wieloryby trzeba wypatrzeć, zanim się je ubije, a ten młody zapadłooki płatończyk zakreśli dziesięciokrotny szlak wokoło świata, a nie wzbogaci was o jedną kwartę olbrotu. Przestrogi te nie są bynajmniej niepotrzebne. W dzisiejszych czasach wielorybnictwo dostarcza przytułku wielu romantycznym, melancholijnym młodym ludziom, co zniechęceni do nękających trosk tej ziemi szukają wzruszeń w smole i tłuszczu wielorybim. Childe Harold nieraz wdrapuje się na maszt jakiegoś nieszczęsnego, zawiedzionego okrętu wielorybniczego i wybucha posępnymi słowy:

Tocz się, tocz granatowy, wielki oceanie!
Tysiące łowców tłuszczu próżno tutaj krążą!

Bardzo często kapitanowie owych statków winią takich roztargnionych, młodych filozofów i czynią im wyrzuty, że nie czują dostatecznego „zainteresowania" dla wyprawy, robiąc ukryte aluzje, iż są oni tak beznadziejnie pozbawieni wszelakiej uczciwej ambicji, że w głębi duszy woleliby raczej nie oglądać wielorybów, niż się z nimi spotkać. Wszystko jednak na próżno; owi młodzi platończycy mają świadomość, iż wzrok ich jest niedoskonały; są krótkowidzami — jakiż więc pożytek z nadwerężania sobie nerwu wzrokowego? Lornetkę teatralną zostawili w domu.

„No cóż, ty małpoludzie? — powiedział pewien harpunnik do jednego z tych młodzieńców. — Już prawie trzy lata krążymy po morzu, a tyś jeszcze nie wypatrzył ani jednego wieloryba. Jak tylko wleziesz na górę, zaraz się okazuje, że wielorybów jest skąpo niczym zębów u kury."

Może tak i jest — a może były ich całe stada na dalekim horyzoncie; wszelako stopiony rytm fal i myśli ukołysał tego roztargnionego młodzieńca wtrącając go w tak opiumową apatię, pełną czczych, nieświadomych marzeń, że na koniec zatraca on swoją osobowość, bierze mistyczny ocean rozciągnięty u swoich stóp za widomy obraz głębokiej, błękitnej, bezdennej duszy, przenikającej ludzkość i przyrodę, a każda dziwna, półwidzialna, nieuchwytna, piękna rzecz, która mu się wymyka, każda ledwie dostrzegalna, wznosząca się płetwa jakiegoś nierozpoznawalnego kształtu zdaje mu się być wcieleniem tych niepochwytnych myśli, co zaludniają duszę tylko dzięki temu, że stale przez nią przelatują. W tym zaczarowanym nastroju duch odpływa tam, skąd przybył; rozprasza się w czasie i przestrzeni tworząc nareszcie, na podobieństwo rozsianych, panteistycznych popiołów Cranmera , cząstkę każdego z wybrzeży, jak świat długi i szeroki.

Nie ma teraz w tobie innego życia, prócz tego rozkołysanego, którego ci udzieliło łagodne kolebanie okrętu, życia zapożyczonego przez ten okręt od' morza, a przez morze od niezbadanych przypływów i odpływów Boga. Ale gdy tak zawisł

nad tobą ów sen, owo marzenie, porusz tylko na cal dłonią czy stopą; wypuść uchwyt, którego się trzymasz, a już twoja osobowość powraca w przerażeniu. Nad kartezjuszowskimi wirami się unosisz.. I może któregoś południa, w najcudowniejszą pogodę, wydawszy jeden na wpół zdławiony krzyk, przelecisz poprzez to przezrocze powietrze w wiosenne morze, by nigdy już więcej nie wypłynąć. Baczcie na to dobrze, panteiści!

ROZDZIAŁ XXXVI
MOSTEK KAPITAŃSKI

(Wchodzi Ahab; potem wszyscy)

W niedługi czas po wydarzeniu z fajką, pewnego poranka zaraz po śniadaniu, Ahab, jak to miał we zwyczaju, wyszedł na pokład po schodkach z kajuty. Większość kapitanów zwykle przechadza się tam o tej godzinie, podobnie jak ziemianie po tymże posiłku wychodzą na mały spacer do ogrodu.

Wkrótce dało się słyszeć miarowe stąpanie kościanej nogi Ahaba, gdy przemierzał tam i na powrót swój zwykły szlak po deskach, które tak się już wzwyczaiły do kroków kapitana, że wszędzie były poszczerbione, niby geologiczne skamienieliny, osobliwym piętnem jego chodu. Gdybyście zaś uważnie popatrzyli na poorane bruzdami i karbami jego czoło, to i tam dostrzeglibyście jeszcze dziwniejsze ślady stóp — tropy jego jedynej, bezsennej, wiecznie kroczącej myśli.

Ale tym razem owe bruzdy zdawały się głębsze, podobnie jak jego krok nerwowy pozostawił tego ranka wyraźniejsze ślady. Ahab tak bardzo był przepełniony jakąś swoją myślą, że za każdym jednostajnym nawrotem, jaki czynił to z grotmasztu, to u naktuza, można było niemal dostrzec, jak owa myśl zawraca w nim wraz z nim samym, jak kroczy, gdy on stąpa, opanowawszy go tak zupełnie, iż zdawała się niemal być wewnętrznym kształtem każdego zewnętrznego poruszenia.

— Widzisz go, Fiask? — szepnął Stubb. — Kurczę, które w nim siedzi, już dziobie w skorupę. Zaraz też i wyskoczy.

Mijały godziny; Ahab to zamykał się w kajucie, to znowu przemierzał pokład z tą samą napiętą żarliwością w twarzy.

Zbliżył się wieczór. Nagle Ahab zatrzymał się opodal burty, wetknął kościaną nogę w wywiercony tam otwór, chwycił się jedną ręką za wantę i rozkazał Starbuckowi, by wszystkich zgromadził na rufie.

Słucham, kapitanie? — wyrzekł oficer zdumiony rozkazem, rzadko albo nigdy nie wydawanym na pokładzie, z wyjątkiem jakiegoś nadzwyczajnego wypadku.

— Zebrać wszystkich na rufie — powtórzył Ahab. — Wy, tam, na masztach! Schodzić na dół!

Kiedy już zgromadziła się cała załoga spoglądając nań z zaciekawieniem, choć nie bez obawy malującej się na obliczach — kapitan bowiem wyglądał po trosze jak horyzont od nawietrznej, kiedy nadciąga burza — Ahab, rzuciwszy przez burtę szybkie spojrzenie, wbił wzrok w marynarzy i nagle ruszył z miejsca: podjął na nowo swą ociężałą przechadzkę po pokładzie, jak gdyby nie było koło niego żywej duszy. Kroczył dalej z opuszczoną głową i nasuniętym na oczy kapeluszem, niepomny na zdziwione szepty ludzi, aż wreszcie Stubb ostrożnie mruknął do Fiaska, że Ahab musiał ich wezwać tutaj, aby byli świadkami marszowych wyczynów. Nie trwało to jednak długo. Kapitan przystanął nagle i zawołał:

— Co robicie, jak zobaczycie wieloryba, chłopcy?

— Dajemy znać krzykiem! — zabrzmiała spontaniczna, chóralna odpowiedź dziesiątków głosów.

— Dobrze! — huknął Ahab z dziką aprobatą w głosie, obserwując szczere podniecenie, w jakie z magnetyczną siłą pogrążyło ludzi jego nieoczekiwane pytanie.

— A co dalej?

— Spuszczamy łodzie i za nim!

— Jakie wasze hasło wtedy?

— Albo śmierć wielorybowi, albo łódź w drzazgi!

Za każdym okrzykiem twarz starego kapitana przybierała wyraz coraz dziwniejszej i zacieklejszej radości i zadowolenia; marynarze zaś poczęli spoglądać z ciekawością po sobie, jakby dziwując się, czemu tak ich wzburzyły podobnie bezsensowne na pozór pytania.

Zasłuchali się jednak znowu najgorliwiej, gdy Ahab, uczyniwszy pół obrotu na nodze tkwiącej w otworze, uchwycił się wysoko wanty, zacisnął na niej dłoń mocno, nieomal konwulsyjnie i przemówił do nich w te słowa:

— Wy wszyscy, którzyście stali na masztach, słyszeliście już przedtem, żem dawałrozkazy dotyczące białego wieloryba. Patrzcie! Widzicie tę hiszpańską uncję złota? — tu podniósł ku słońcu dużą, świecącą monetę. — To sztuka szesnastodolarowa, chłopcy. Widzicie ją? Panie Starbuck, podaj mi pan tamten młot.

Podczas gdy oficer ruszył po młot, Ahab począł bez słowa pocierać sztukę złota o poły surduta, jak gdyby chciał wzmocnić jej połysk. Nucił coś do siebie bez słów, wydając dźwięk tak przedziwnie zdławiony i niewyraźny, iż zdawał się być mechanicznym turkotem toczących się kół jego żywotności.

Odebrawszy narzędzie z rąk Starbucka, podszedł do grotmasztu trzymając w jednej ręce wzniesiony młot, drugą zaś ukazując wszystkim złoto; następnie donośnym głosem zawołał:

— Ktokolwiek z was wypatrzy mi białogłowego wieloryba z pomarszczonym czołem i krzywą szczęką, ktokolwiek z was wypatrzy białogłowego wieloryba z trzema dziurami przebitymi od sterbortu opodal ogona — uważajcie! — ktokolwiek z was wypatrzy takiego właśnie białego wieloryba, ten dostanie tę uncję złota, chłopcy!

— Hura! Hura! — ryknęli marynarze, którzy powiewając zydwestkami powitali okrzykiem chwilę przybijania złotej monety do masztu.

— Wieloryb jest biały, powtarzam — podjął znowu Ahab odrzucając młot. — Biały wieloryb. Wypatrujcie za nim ślepia; patrzcie bystro, gdzie się pokaże biała woda. Jeśli ujrzycie choć odrobinę piany, krzyczcie!

Przez cały ten czas Tasztego, Daggoo i Queequeg przysłuchiwali się z jeszcze żywszym zaciekawieniem i zdumieniem niż reszta, a na wzmiankę o pomarszczonym czole i krzywej szczęce drgnęli, jakby każdy z osobna tknięty został jakimś szczególnym wspomnieniem.

— Kapitanie — ozwał się Tasztego — ów biały wieloryb to chyba ten sam, którego niektórzy nazywają Moby Dick.

— Moby Dick? — krzyknął Ahab. — Znasz więc białego wieloryba, Tasz?

— Czy on nie trzepie trochę dziwnie ogonem, zanim pójdzie pod wodę? — zapytał po namyśle Gay-Header.

— A czy wyrzuca taką dziwną fontannę — dorzucił Daggoo — bardzo puszystą nawet jak na kaszalota i ogromnie bystrą, tak, kapitanie?

— A mieć on jeden, dwa, trzy — o, dużo bardzo żelazo w jego skóra, kapitan? — zawołał Queequeg bezładnie. — Cały skręt w skręt, jak ten… ten — zająknął się szukając słowa i okręcając w kółko dłoń, jak gdyby odkorkowywał butelkę — jak ten, ten…

— Korkociąg! — wrzasnął Ahab. — Tak, Queequegu, harpuny tkwią w nim poskręcane i pokrzywione. Tak, Daggoo, wyrzuca on słup pary wielki jak snop pszenicy, biały jak stos naszej wełny nantucketańskiej po wielkiej dorocznej strzyży owiec. Tak, Tasztego, strzepuje on ogonem jak pęknięty kliwer w czasie szkwału. Do czarta! Ludzie, toście wy widzieli Moby Dicka! Moby Dick! Moby Dick!

—Kapitanie — ozwał się Starbuck, który wraz ze Stubbem i Fiaskiem przypatrywał się swemu przełożonemu ze wzrastającym zdumieniem, ale wreszcie tknięty snadź został myślą, rozjaśniającą mu nieco całą tajemnicę. — Kapitanie, i ja słyszałem o Moby Dicku, ale to chyba nie on zabrał panu nogę?

— Kto ci to powiedział? — huknął Ahab, a przystanąwszy ciągnął: — Tak, Starbuck, tak, mili moi, to Moby Dick urwał mi maszt, to Moby Dick dał mi ten martwy kikut, na którym teraz stoję. Tak, tak — zawołał ze straszliwym, donośnym, zwierzęcym łkaniem, podobnym do głosu ugodzonego w serce łosia. — Tak, to ten przeklęty biały wieloryb mnie okaleczył i na zawsze uczynił ze mnie nieszczęsnego, zdechłego niedołęgę. — Wyrzucił w górę obie ręce i jak klątwę straszliwą wykrzyknął: — Zaprawdę, będę go ścigał poza Przylądek Dobrej Nadziei i wokół Hornu, i za norweski Malström, i między płomienie zatracenia, zanim go poniecham. I po to właśnie zaciągnęliście

się na ten okręt! By ścigać tego białego wieloryba po obu stronach ziemi, po wszystkich krańcach świata,póki nie tryśnie czarną posoką i nie wypłynie brzuchem na wierzch! Cóż powiadacie, chłopcy? Weźmiecie się do tego? Wyglądacie mi na odważnych!

— Tak, tak! — zawrzasnęli harpunnicy i marynarze podbiegając bliżej do wzburzonego kapitana. — Bystro wypatrywać białego wieloryba! Ostra lanca na Moby Dicka!

— Niech wam Bóg da zdrowie — Ahab zdawał się pół-szlochać, pół-krzyczeć. — Niech wam Bóg da zdrowie, chłopaki. Stewardzie! Ściągnij dużą miarkę grogu. Ale skądże to taka wydłużona mina, panie Starbuck. Zali nie chcesz ścigać białego wieloryba? Alboż brak ci odwagi na Moby Dicka?

— Starczy mi odwagi na spotkanie z jego krzywą szczęką, nawet na spotkanie z paszczą samej śmierci, kapitanie, jeśli to wyniknie z rzemiosła, które uprawiamy, ale znalazłem się tu po to, by polować na wieloryby, a nie żeby dopełniać zemsty mego dowódcy. Ileż to baryłek oleju dostarczy ci twoja pomsta, nawet jeżeli ją wywrzesz, kapitanie? Niewiele ci ona przyniesie na naszym nantucketańskim rynku.

— Rynek nantucketański! Ba! Ale podejdź no bliżej, Starbuck, z tobą trzeba mówić prościej. Człowieku, gdyby pieniądz miał być miernikiem, zaś rachmistrze oszacowaliby całe to swoje wielkie biuro, czyli tę ziemię, opasując ją gwinejami po trzy na cal, to i tak, pozwól sobie powiedzieć, zemsta moja miałaby dla mnie znacznie większą wartość *tutaj!*

— Wali się w piersi — szepnął Stubb. — A to znowu na co? Wydaje mi się, że dźwięk ten rozbrzmiewa potężnie, lecz pusto.

— Zemsta nad tępą bestią — zawołał Starbuck — która cię ugodziła po prostu przez najbardziej ślepy instynkt! Szaleństwo! Kapitanie Ahab, odczuwać wściekłość na niemy przedmiot to chyba bluźnierstwo.

— Posłuchaj więc dalej, człecze małoduszny. Wszelkie widzialne przedmioty są jedynie papierowymi maskami. Ale w każdym wydarzeniu — w żywotnym akcie, w czynie niewątpliwym — jakowaś rzecz nie znana, a przecie rozumna

ukazuje kształt swego oblicza spoza nierozumnej maski. Jeśli człek chce ugodzić, niech godzi poprzez maskę! Jakże to więzień może się na zewnątrz wydostać, jeśli nie przebije się przez mur? Dla mnie ten biały wieloryb jest murem, co tkwi nade mną. Czasem już myślę, że nic poza nim nie ma. Ale i tego dość. Dręczy mnie, przytłacza mnie. Widzę w nim moc urągliwą, wspartą przez niedocieczoną złośliwość. Owa rzecz niepojęta jest właśnie tym, czego głównie nienawidzę: i czy biały wieloryb jest sługą, czyli też samym pryncypałem, wywrę na nim tę nienawiść. Nie gadaj mi o bluźmierstwie, człowieku. Uderzyłbym słońce, gdyby mnie znieważyło. Bo jeśliby mogło to uczynić, tedy i ja mógłbym, zrobić swoje, jako że zawsze istnieje tu coś w rodzaju sprawiedliwej gry, ponieważ zawiść panuje nad wszystkim stworzeniem. Ale nawet ta gra sprawiedliwa nie jest mi panią, człowieku. Któż jest nade mną? Prawda nie zna granic. Odwróć swe oczy! Bardziej nieznośnym niźli spojrzenie wroga jest wzrok głupca! O, właśnie; czerwieniejesz i bledniesz; płomień mój roztopił cię w żar gniewu. Ale posłuchaj, Starbuck; co się powie w gorącości, to nie ma znaczenia. Bywają ludzie, których gorące słowa niewielką są zniewagą. Nie chciałem cię rozsierdzić. Zapomnij o tym. Popatrz! Spójrz na naszych ludzi, na te pogańskie policzki, śniade i cętkowane — te żywe, oddychające obrazy malowane słońcem. Te pogańskie pantery na nic nie baczą, niczego nie czczą, a żyją nie szukając, nie dając żadnych racji dla płomiennego życia, które w nich krąży. Załoga, człowiecze, załoga! Czyż nie jest ona po stronie Ahaba w tej sprawie wieloryba? Spójrz na Stubba! Śmieje się! A tamten Chilijczyk! Aż parska na samą myśl o tym. Nie możesz się ostać, Starbuck, jak jedyne, samotne, skołatane drzewko wśród powszechnego huraganu. A o cóż tu idzie? Zastanów się. Trzeba tylko pomóc upolować rybę. Nie dziwota to dla Starbucka. Cóż więcej? Najlepsza lanca z całego Nantucket nie cofnie się chyba przed jednymi nędznymi, łowami, w chwili gdy każdy prosty majtek chwyci za brus? Ach, ogarnia cię zmieszanie — widzę to! Porywa cię nurt! Przemów, przemów, przecie!

Tak, a więc milczenie twoje mówi za ciebie! *(na stronie)* Coś tchnęło przez moje rozdęte nozdrza, a on przejął to w swe płuca. Już Starbuck jest mój. Nie może mi teraz stawić oporu, nie uciekając się do buntu.

— Boże, miej mnie w swojej opiece i nas wszystkich! — szepnął z cicha Starbuck.

Ale w swej radości z zaczarowanego, milczącego przyzwolenia oficera Ahab nie dosłyszał tego wieszczego wezwania ani cichego śmiechu, jaki doleciał z ładowni, ani „wróżebnego drżenia wiatru pośród lin, ani głuchego plaśnięcia żagli o maszty, gdy na chwilę zapadły się ich łona. Bo oto znowu spuszczone oczy Starbucka zapłonęły upartym życiem, ucichł podziemny chichot, wiatr począł dąć na nowo, żagle się wypełniły, statek wznosił się i opadał jak przedtem. Ach wy, upomnienia i przestrogi! Czemuż nie pozostajecie, gdyście już przybyły? Choć raczej jesteście przepowiedniami niż przestrogami, o cienie! Nie tyle nawet przepowiedniami z zewnątrz, ile sprawdzaniem się rzeczy, które już uprzednio stawały się we wnętrzu duszy. Albowiem choćby niewiele było spraw wewnętrznych, które by na nas przymus wywierały, jednak najgłębsze potrzeby naszego jestestwa pchają nas ciągle naprzód.

— Miarka! Miarka! — zakrzyknął Ahab.

Podano mu napełniony po brzegi dzban cynowy; obrócił się ku harpunnikom i kazał im chwycić oręż. Następnie uszykował ich przed sobą nie opodal kabestanu, z harpunami w dłoniach, podczas gdy trzej oficerowie stanęli u jego boku dzierżąc lance, a reszta załogi utworzyła wokół nich krąg. Ahab stał chwilę, badawczo się wpatrując w każdego ze swych ludzi. Ich dzikie oczy spotkały się z jego oczami, podobnie jak krwią nabiegłe źrenice stepowych wilków spotykają się z okiem przywódcy, nim skoczy on na ich czele tropem bawołu — niestety, jednak po to tylko, by wpaść w ukryte sidła Indianina.

— Napij się i podaj dalej! — zawołał Ahab wręczając ciężki, napełniony dzban najbliższemu z marynarzy. — Teraz pije tylko załoga. Niech dzban krąży, niech krąży! Krótko

pociągajcie, a łykajcie długo, chłopcy; to pali jak kopyto szatana. Właśnie, właśnie — wybornie idzie. Wśrubowuje się w was, wgryza się w oko, kąsa jak wąż. Dobra! Dzban niemal wysączony. Tamtędy poszedł, a tędy przychodzi. Dajcie go mnie — już pusty! Ludzie, jesteście jak przemijające lata. Tyle szczodrego życia przelało się w was i znikło. Napełnij znowu dzban, stewardzie!

Słuchajcie teraz, junacy. Otom was uszykował wokół kabestanu. Wy zaś, oficerowie, stańcie tu obok mnie na skrzydle z lancami, a wy, harpunnicy, tam, z waszymi grotami. Wy zaś, krzepcy majtkowie, otoczcie mnie, abym mógł wskrzesić szlachetny obyczaj moich ojców — rybaków, którzy mnie poprzedzili. Ludzie, zobaczycie — co to, chłopcze? Jużeś powrócił? Zły szeląg szybciej nie wraca… Podaj mi dzban. Otóż i znowu przelewa ci się to naczynie, jakbyś był sługą świętego Wita… Precz, dreszczu!

Zbliżcie się, oficerowie. Skrzyżujcie przede mną wasze lance! Dobrze! A ja niech dotknę ich ośrodka. — Z tymi słowy pochwycił wyciągniętą ręką trzy pochylone, rozchodzące się drzewce w środkowym punkcie skrzyżowania i nagle nerwowo je szarpnął, przez cały czas w napięciu przesuwając wzrok ze Starbucka na Stubba, a z niego na Fiaska. Zdawało się, że jakąś niewiadomą, wewnętrzną wolą chce w nich zapalić to samo płomienne wzburzenie, które nagromadzone było w butelce lejdejskiej jego własnej, magnetycznej żywotności. Trzej oficerowie aż się skulili pod jego wszechmocnym, upartym i mistycznym wejrzeniem. Stubb i Fiask odwrócili głowy; Starbuck spuścił swe uczciwe oczy.

— Daremnie! — zawołał Ahab. — Ale może to i lepiej. Bowiem gdybyście wszyscy trzej choć raz jeden przyjęli w siebie pełen ładunek mojej mocy, wtedy może mój własny elektryczny prąd wygasłby we mnie. A może zabiłby was na miejscu. Może być też, że go wam nie potrzeba. Opuśćcie lance! A teraz, oficerowie, mianuję was trzema podczaszymi tych moich trzech pogańskich kuzynów — owych trzech najgodniejszych szlachciców i panów, moich walecznych

harpunników. Gardzicie tym zadaniem? Wtedy gdy sam wielki papież umywa stopy żebrakom używając swej tiary miast dzbana? O, moi mili kardynałowie! Własna wasza łaskawość skłoni was do tego. Nie rozkazuję wam; sami tego pragniecie. Przetnijcie rzemienie, harpunnicy, i wyciągnijcie drzewce!

W milczeniu usłuchawszy rozkazu, trzej harpunnicy stali teraz z odczepionymi żeleźcami harpunów, długości około trzech stóp, wyciągając je ku Ahabowi, zadziorami do góry.

— Nie draśnijcie mnie tą ostrą stalą! Przekręćcie groty, weźcie je z drugiej strony! Cóż to, nie wiecie, gdzie mają koniec jak pucharek? Unieście w górę tuleje! O, właśnie. A teraz wy, podczaszowie, podejdźcie. Weźcie żeleźca, trzymajcie, gdy je będę napełniał! — Następnie, z wolna przechodząc od jednego oficera do drugiego, począł napełniać po brzeg tuleje ognistym płynem z dzbana.

— A teraz stawajcie — trzech na trzech. Wręczcie im mordercze roztruchany! Wręczcie je wy, którzyście się stali członkami nierozerwalnej ligi. Ha, Starbuck! Oto i czyn dopełniony! Słońce, które udzieli mu swego zatwierdzenia, już czeka, by na nas spłynąć. Pijcie, harpunnicy! Pijcie i przysięgajcie, wy, którzy jesteście załogą na dziobie śmiercionośnej łodzi! Śmierć Moby Diekowi! Niech sam Bóg ściga nas wszystkich, jeśli nie zaszczujemy Moby Dicka na śmierć!

Podnieśli w górę długie, kolczaste, stalowe puchary i w takt krzyków i złorzeczeń na białego wieloryba jednocześnie je wychylili z bulgotem. Starbuck zbladł, odwrócił się i zadrżał. Raz jeszcze — i ostatni — na nowo napełniony dzban obiegł załogę, którą ogarnęło zapamiętanie. Wreszcie Ahab skinął wolną ręką i wszyscy się rozproszyli, on zaś powrócił do swojej kajuty.

ROZDZIAŁ XXXVII
ZACHÓD SŁOŃCA

(Kajuta; Ahab siedzi samotny u okien rufowych i wygląda na morze)

Pozostawiani za sobą biały, mętny wart; blade wody, jeszcze bledsze oblicza, gdziekolwiek popłynę. Zazdrosne bałwany wzdymają się z boków, by szlak mój pochłonąć; niech tam — ale pierwej przejdę.

— Tam, u wiecznie pełnych krawędzi puchara, ciepłe fale rumienią się jak wino. Złociste czoło pogrąża się w błękicie. Ten nurek — słońce, z wolna zanurzając się od czasu południa, teraz idzie na dno, a dusza moja w górę się wznosi! Nuży ją nieskończona wyniosłość. Czyliżby korona, którą noszę; za ciężką mi była, owa Żelazna Korona Lombardii? A przecie polśniewa niejednym klejnotem. Ja, jej nosiciel, nie dojrzę jej dalekich błysków, czuję tylko niejasno, że ją mam na sobie, a to oślepia i oszałamia. Jest ona z żelaza — to bowiem — nie ze złota. I jest pęknięta — to czuję: krawędź wyszczerbiona orze mi czoło, mózg mój zdaje się bić o twardy metal. Tak, czaszka ma jest stalowa. Taka, co nie potrzebuje hełmu nawet w najbardziej mózgobójczej walce!

Sucha gorączka na moim czole? O, był czas, kiedy wschód słońca szlachetnie mnie pobudzał, a zachód koił. Już teraz tak nie jest. To cudne światło mnie nie oświeca. Wszelkie piękno staje mi się udręką, skoro nigdy nie potrafię nim się cieszyć. Obdarzony wysokim rozeznaniem, pozbawiony jestem niskiej mocy radości. Jam przeklęty, najprzewrotniej i najzłośliwiej —

przeklęty wpośród raju! Dobranoc — dobranoc *(Skinąwszy dłonią odchodzi od okna).*

— Nie tak ciężkie to było zadanie. Myślałem, że znajdę choć jednego opornego, ale moje kółko zębate pasuje do wszystkich ich różnorakich trybów i wszystkie się obracają. Czy też, jeśli wolicie, stają wszyscy przede mną jak szereg kopczyków prochu, ja zaś jestem dla nich lontem. Ale, o dolo! Aby innych podpalić, lont sam spłonąć musi! Pragnąłem tego, na com się ważył, a czego zapragnąłem, to spełnię. Uważają mnie za szaleńca — Starbuck tak myśli. Ale ja jestem demonem, jestem szaleństwem oszalałym! Tym dzikim szaleństwem, co uspokaja się tylko po to, żeby móc pojąć samo siebie. Proroctwo brzmiało, że członki moje będą rozszarpane — i proszę: oto straciłem nogę. Teraz ja prorokuję, że rozszarpię ciało tego, kto mnie rozszarpał. Będę więc prorokiem i wykonawcą w jednej osobie, to znaczy czymś więcej, niż kiedykolwiek byliście wy, wy wielcy bogowie. Drwię z was i szydzę, wy, gracze w krykieta, wy, pięściarze, wy, głusi Burke'owie i ślepi Bendigowie! Nie powiem wam, tak jak uczniacy mawiają do starszych od siebie prześladowców: „Weź sobie kogoś swojego własnego wzrostu, a mnie nie bij!" Nie, wyście mnie powalili, lecz otom powstał znowu.

Wyście zaś zbiegli i ukryli się. Wychodźcie ze swego schronienia! Nie mam długiej strzelby, by was dosięgnąć. Pójdźcie, pozdrawia was Ahab! Pójdźcie i popróbujcie, czy potraficie mi umknąć. Umknąć? Nie możecie tego uczynić, bobyście musieli umykać przed sobą. Tu was mam! Umknąć mi? Ścieżka do mego wytkniętego celu wyłożona jest żelaznymi szynami, po których dusza moja pomknie bez odchyleń. Poprzez niezgłębione rozpadliny, przez zbójeckie górskie ostępy, popod łożyskami potoków mknę nieomylnie! Nic mi nie jest przeszkodą, nic nie jest skrzywieniem na żelaznej drodze!

ROZDZIAŁ XXXVIII
ZMIERZCH

(U grotmasztu; Starbuck stoi oparty on plecami)

Dusza moja znalazła więcej niż równą sobie — jest pokonana — i to przez szaleńca! Cóż to za ból nieznośny widzieć, że zdrowe zmysły musiały *złożyć* broń na takim polu walki! Ale wwiercił się we mnie głęboko i wysadził w powietrze cały mój rozsądek. Sądzę, że pojmuję jego nikczemny cel, a przecie czuję, że muszę mu dopomóc. Czy chcę, czy nie chcę, jakaś rzecz nienazwana związała mnie z nim i pociąga za sobą liną, na którą nie mam noża. Straszliwy człek! „Któż jest nade mną!" — wykrzykuje. Tak! Byłby demokratą wobec wszystkich tych, co są wyżej od niego, ale patrzcie tylko, jak rządzi tymi, co się niżej znajdują! O, jasno postrzegam nędzne swoje zadanie: słuchać z buntem w duszy, a co gorsza, nienawidzić z nutką litości! Albowiem w oczach jego wyczytałem jakieś ponure cierpienie, które by mnie strawiło, gdybym go sam doświadczał. Ale jest nadzieja. Czas robi swoje. Nienawistny wieloryb może swobodnie pływać po całym krągłym, wodnym świecie, jak maleńka złota rybka po szklanej kuli swojego akwarium. Bóg może pokrzyżować zamiary Ahaba, które są Niebu zniewagą. Rzekłbym sobie: w górę serce! — gdyby nie to, że ciężkie ono jak ołów. Ale zegar mój stanął. Nie mam klucza, by znowu podnieść serce, które jest jego wszechrządzącą wagą.

(Wybuch wrzawy biesiadnej z forkasztelu)

— O, Boże! Płynąć z tak barbarzyńską załogą, po której ledwie znać, że zrodziła się z matki człowieczej! Pomiot, który wydało gdzieś rekinowe morze! Biały wieloryb jest im Gorgoną. Posłuchajmy. Cóż to za orgia piekielna! Odgłos jej dolatuje od dziobu. A zważcie tylko, co za cisza niezmącona na rufie! Myślę, że to jest obraz życia. Przede mną radosny, bojowy, roześmiany dziób pruje roziskrzone wesołe morze, ale tylko po to, by ciągnąć za sobą mrocznego Ahaba, który gnębi się w swej rufowej kajucie zbudowanej ponad martwą wodą wartu, ścigany przez wilcze pochlusty. Na wskroś mnie przenika to przeciągłe wycie! Spokój, hulacy, zaciągnijcie wachtę! O, życie! Oto nadeszła taka godzina, gdy dusza legła zmiażdżona, przytwierdzona do świadomości — jak dziki, bezpański stwór szukający żeru… O, życie! Oto teraz poczułem drzemiącą w tobie potworność! Ale ona mną nie jest! Istnieje poza mną, ja zaś mając w sobie łagodne poczucie człowieczeństwa, popróbuję jeszcze zwalczyć cię, ty ponury upiorze przyszłości! Stójcie przy mnie, podtrzymujcie mnie, umacniajcie, o dobre moce!

ROZDZIAŁ XXXIX
PIERWSZA WACHTA NOCNA NA MASZCIE

(Stubb sam; naprawia bras)

Ha, ha, ha, ha! Hem — trzeba odchrząknąć! Myślałem o tym w kółko od tamtej pory i to: „Ha, ha" jest ostateczną konkluzją. Czemu tak? Bo śmiech jest najmądrzejszą, najłatwiejszą odpowiedzią na wszystko, co niesamowite; i niech się stanie, co chce, zawsze przecie zostaje jedna pociecha, a tą niezawodną pociechą jest myśl, że wszystko tak było przeznaczone. Nie dosłyszałem całej tej jego gadaniny ze Starbuckiem, ale w moim skromnym mniemaniu Starbuck wyglądał wtedy po trosze tak jak ja owego wieczoru. Ale też go splantował nasz Wielki Mogoł! Połapałem się w tym: wiedziałem, o co idzie; gdybym posiadał ten dar, mógłbym to snadnie wyprorokować — kiedym bowiem tylko rzucił okiem na jego łeb, jużem to odczuł. No cóż, Stubb, mądry Stubb — taki mam tytuł — cóż stąd, Stubb? Oto i padlina. Nie mam pojęcia, co się może przydarzyć, ale niech będzie, co chce, ja przyjmę to z uśmiechem. Jakieś krotochwilne licho czai się we wszystkich okropnościach! Wesoło mi! Hop, la, la! Cóż tam teraz porabia w domu moja słodka, soczysta brzoskwinka? Czy wypłakuje sobie oczy? Raczej wydaje przyjęcie na cześć nowo przybyłych harpunników, wesoła jak bandera fregaty — a ja też jestem wesoły! Hop, la, la! Och!

Napijemy się dzisiaj z sercem ochoczym Do miłości, radości bez miary, Z sercem rześkim, jak rześko pieni się trunek, Zanim usta wypróżnią puchary.

— Pyszna zwrotka! Któż to woła? Pan Starbuck? Już idę! *(na stronie)* Jest moim przełożonym, ale o ile się nie mylę, ma także i swoich. Tak jest, już kończę — idę!

ROZDZIAŁ XL
PÓŁNOC, FORKASZTEL

(Harpunnicy i marynarze)

(Fokżagiel idzie w górą odsłaniając marynarzy z wachty, stojących, wałęsających się, podpartych i leżących w najrozmaitszych pozach. Wszyscy śpiewają chórem)

Żegnajcie mi, hiszpańskie donny! Żegnajcie mi, Hiszpanii damy! Kapitan nasz rozkazał...

PIERWSZY MARYNARZ Z NANTUCKET

Hej, chłopaki, nie roztkliwiajcie się! To źle robi na trawienie! Weźcie sobie wzmacniający środek! No, razem! *(Śpiewa, a za nim wszyscy)*

Kapitan nasz stał na pokładzie,
Przyglądał się mieliznom,
Czy gdzie w lunecie wieloryby
Fontanną nie wybryzną.

Dajże, chłopcy, hej, do łodzi!
Będziemy bestię solić!
Musimy zdobyć dziś jednego!
Uwaga, hej, powoli!

Wesoło, moi chłopcy, pewnie, celnie, śmiało
Rzucajcie harpun ostry w wieloryba ciało!

GŁOS OFICERA Z MOSTKU KAPITAŃSKIEGO

Wy tam, na forkasztelu! Zadzwonić osiem razy!

DRUGI MARYNARZ Z NANTUCKET

Dość, chór! Ociem razy zadzwonić, słyszałeś, dzwonniku? Uderz w dzwon osiem razy, ty, Pip, czarnuchu jeden! Ja zawezwę wachtę. Mam gębę w sam raz do tego — gębę jak beka. O, tak! *(wtyka głowę w otwór luku)* Wachta, ahoy! Dzwonią osiem razy! Wyłazić!

MARYNARZ HOLENDERSKI

Ale dziś chrapią, bracie; noc na to jak ulał! To ma do siebie wino naszego starego Mogoła; jednych równie oszałamia, jak drugich podnieca. My śpiewamy, a oni śpią — ale! — leżą tam jak kłody. Zabierz się do nich! Masz, weź tę miedzianą pompę i huknij przez nią. Każ im przestać śnić o dziewuchach. Powiedz, że już czas zmartwychwstania; niech dadzą ostatniego całusa i na sąd! O, to to! Tak trzeba! Tobie się gardło nie popsowało od amsterdamskiego masła!

MARYNARZ FRANCUSKI

Cyt, chłopcy! Zatańczmy sobie jeszcze ze dwa dżigi, zanim zarzucimy kotwicę pod kołdrą. Co wy na to? Już nadchodzi zmiana. Wszyscy na nogi! Pip, słuchajże, mały! Dalej, wal w bębenek!

pip

(markotny i, *śpiący)*

Nie wiem, gdzie się podział.

MARYNARZ FRANCUSKI

Więc wal się po brzuchu i strzyż uszami. Chłopcy, dżiga, powiadam! Niech nam będzie wesoło, hura! Bodaj was, nie chcecie tańczyć? Stawajcie gęsiego i w galop, a z przytupem! Dalej go! Noga, noga!

MARYNARZ ISLANDZKI

Kiepska tu u was posadzka, brachu; na mój gust zbytnio się ugina. Ja przywykłem do podłóg lodowych. Przykro mi, że was oblewam zimną wodą, ale cóż począć?

MARYNARZ MALTAŃSKI

I ja też; gdzie macie dziewczęta? Tylko wariat może się wziąć prawą ręką za lewą i powiedzieć sobie: jak się masz! Tancerek! Ja muszę mieć tancerki!

MARYNARZ SYCYLIJSKI

A tak! Dziewczęta i trochę murawy — a wtedy poskaczę z wami; ba, nawet się przemienię w konika polnego!

MARYNARZ Z LONG ISLAND

No no, mruki, dość nas tu jeszcze! Kujcie żelazo, póki gorące, to wam powiadam. Wkrótce już wszystkie nogi poskłada się do spichrza. A, oto nadchodzi muzyka; no, teraz!

MARYNARZ Z AZORÓW (*ukazuje się we włazie i rzuca na górę bębenek)*

Masz, Pip, a tu są uchwyty od kołowrota. Wyłaź! No, chłopcy!

(Niektórzy tańczą w takt bębenka; inni schodzą pod pokład, pozostali śpią lub leżą wśród zwojów lin. Rozlegają sią liczne przekleństwa)

MARYNARZ Z AZORÓW *(tańcząc)*

Hejże, Pip! dzwonniku! Bij go, rżnij go, tnij go, ryj go! Hej, chłopaku, niech iskry lecą; niech ci brzękadła od bębenka poodpadają!

pip

Brzękadła, powiadacie? Właśnie drugie odlatuje — już odpadło, tak walę!

MARYNARZ CHIŃSKI

Więc brzękaj zębami i wal dalej — zrób z siebie pagodę!

MARYNARZ FRANCUSKI

Hejże ha! Trzymaj obręcz, Pip, żebym mógł przeskoczyć! Pękajcie, żagle!

TASZTEGO *(spokojnie paląc fajkę)*

I to jest biały człowiek; i on to nazywa zabawą! Ha, szkoda na to mojego potu.

STARY MARYNARZ Z WYSPY MAN

Ciekaw jestem, czy te wesołe chłopaki zastanowiły *się,* na czym tańczą. „Zatańczę na twoim grobie" — to przecie najgorsze złorzeczenie dziewek nocnych, którym wiatr wieje w oczy na rogach ulic. O, Chryste! Pomyśleć o tych zielono omszałych okrętach na dnie i o zielonych czerepach załóg! No cóż, świat ten jest, zdaje się, piłką, jak twierdzą uczeni, więc całkiem to słuszne, by na nim jak piłka poskakać. Tańczcie dalej, chłopaki, młodziście przecie. Ja też niegdyś byłem młody.

TRZECI MARYNARZ Z NANTUCKET

Alem się spracował, uff! To gorsze niż pchać się za wielorybami w czasie sztilu! Daj nam pociągnąć z fajki, Tasz.

(Przestają tańczyć i zbierają się w grupy. Tymczasem niebo ciemnieje — zrywa się wiatr)

MARYNARZ Z INDII WSCHODNICH

Na Brahmę, chłopcy! Wkrótce trzeba będzie zwinąć żagle. Wezbrany Ganges z nieba rodem nadchodzi z wiatrem! Ukazałeś swe czarne czoło, o, Sziwo!

MARYNARZ MALTAŃSKI *(leży i* potrząsa czapką)

To fale o śnieżnych czapkach tańczą teraz dżiga. Wkrótce potrząsną grzywami. Ach, gdyby tak wszystkie fale były dziewczętami, dopieroż bym chętnie utonął i pohulał z nimi dalej! Nie ma na ziemi nic słodszego — samo niebo się temu nie równa — nad szybkie przelotne spojrzenie na te gorące, w tańcu wezbrane piersi, kiedy ramiona kryją, jak altana, dojrzałe, pełne grona!

MARYNARZ SYCYLIJSKI *(wyciąga się)*

Nie mów mi o tym! Słuchaj, chłopie — te splątane, gibkie ciała — giętkie ruchy — lękliwe, trzepoczące! Muskają się usta, serca, uda! Nieprzerwanie stykają się i rozchodzą… A zważ, że ich nie dosięgniesz, gdyż inaczej przyszedłby przesyt. Co, poganinie? *(trąca go łokciem)*

MARYNARZ Z TAHITI *(leży na macie)*

Bądź pozdrowiona, święta nagości naszych tanecznie — HiwaHiwa! Ach, tajemnicza Tahiti o palmach wysokich! Spoczywam jeszcze na twojej macie, ale miękka ziemia spod niej się wymknęła! Widziałem, jak cię pleciono w puszczy, mato moja! Zielona byłaś tego pierwszego dnia, gdym cię stamtąd przyniósł; a oto teraz leżysz zdarta i zeschnięta. O, biada — ani ty, ani ja nie możemy znieść tej zmiany! Alboż to możliwe, skoro nas przeniesiono pod to niebo? Czyliż słyszę huk potoków z ostrych szczytów Pirohitee spadających po skałach i zatapiających wioski? Dma! Dma! Trzeba unieść grzbiet i wyjść jej na spotkanie!

(zrywa się na równe nogi)

MARYNARZ PORTUGALSKI

Jakże to morze toczy się i łomocze o kadłub! Zabierać się do refowania żagli, kochasie! Wichry właśnie krzyżują miecze; zaraz na nas kupą uderzą.

MARYNARZ DUŃSKI

Trzeszcz, trzeszcz, stary okręcie! Póki trzeszczysz, poty zdzierżysz! Pięknie! Ten nasz oficer twardo się trzyma. Nie ma on większego stracha, niźli wyspiarski fort na Kattegacie wzniesiony tam, by chłostać Bałtyk gromowymi działami, na których sól morska osiada!

CZWARTY MARYNARZ Z NANTUCKET

Takie ma już rozkazy, pamiętajcie o tym. Słyszałem, jak stary Ahab przykazywał mu, że zawsze winien ubić szkwał, coś tak jak się rozbija trąbę powietrzną strzałem z pistoletu — strzelić okrętem prosto w środek!

MARYNARZ ANGIELSKI
Do licha! Ale ten stary to byczy jegomość! Musimy mu upolować jego wieloryba!

WSZYSCY
Tak! Tak!

STARY MARYNARZ Z WYSPY MAN
Jakże drżą te trzy sosny! Sosna to drzewo, któremu żyć najtrudniej, jeśli się je przeniesie na inną glebę, a tu nie ma żadnej prócz gliny tej przeklętej załogi. Spokojnie, sternicy, spokojnie! W taką pogodę dzielne serca pękają na lądzie, a kadłuby okrętów trzaskają na morzu. Nasz kapitan nosi na sobie swoje znamię, a popatrzcie, chłopcy: na niebie inne się pokazuje — piorunowe, widzicie, zaś wokół czerń jak smoła!

DAGGOO
Cóż stąd! Kto się lęka czerni, ten lęka się mnie! Jam z niej zrobiony!
MARYNARZ HISZPAŃSKI *(na stronie)*
Chce mnie rozdrażnić. Ach! Żre stara niechęć *(podchodzi bliżej)* Tak, harpunniku, rasa twoja jest niewątpliwie ciemną stroną rodzaju ludzkiego. I to ciemną jak szatan. Bez urazy.

DAGGOO *(ponuro)*
Bez urazy.

MARYNARZ Z ST. JAGO
Ten Hiszpan jest szalony albo się spił. Ale to nie może być, chyba żeby w tym jednym przypadku woda ognista starego Mogoła działała z niejakim opóźnieniem.

PIĄTY MARYNARZ Z NANTUCKET
Cóżem to widział? Błyskawicę? Tak.

MARYNARZ HISZPAŃSKI
Nie, to Daggoo pokazał zęby.

DAGGOO *(rzuca się ku niemu)*
Połknij swoje własne, ty kukło! Biała skóra, biała wątroba!

MARYNARZ HISZPAŃSKI *(rusza na niego)*
Chętnie ci nóż wsadzę! Duże cielsko, mały rozum!

WSZYSCY
Bójka! Bójka! Bójka!

TASZTEGO *(zaciąga się)*
Burda na dole, burda w górze — bogowie i ludzie to na równi awanturnicy! Uff!
MARYNARZ Z BELFASTU
Bójka! Bójka, do czarta! Najświętsza Panienko, bójka! I ja z wami!

MARYNARZ ANGIELSKI
Fair playl Wytrącić nóż Hiszpanowi! Utworzyć koło, zrobić miejsce do walki!

STARY MARYNARZ Z WYSPY MAN
Już gotowe. Tam — ten kolisty horyzont. Na tymi boisku Kain ugodził Abla. Piękne dzieło, sprawiedliwe! Nie? Czemuś więc, Panie, stworzył to boisko?

GŁOS OFICERA Z MOSTKA KAPITAŃSKIEGO
Do lin! Zwinąć bramżagle! Refować topsle!

WSZYSCY
Szkwał! Szkwał! Do dzieła, wesołki! *(rozbiegają się)*

PIP *(skulony pod bratszpilem)*

Wesołki? Niech. Bóg ma takich w swojej opiece! Trach! Poszła lina od kliwru! Bęc, brzdęk! Boże! Dajże nura dalej, Pip, bo leci bombramreja! To gorzej, niż być w lesie wśród zawiei w ostatni dzień roku! Komu by się teraz chciało łazić na kasztany? A oni lezą tam przecie i przeklinają wszyscy, a ja tu siedzę. Piękne mają perspektywy! Już są na drodze do nieba. Trzymajcie się! Do pioruna, co za szkwał! Ale te chłopy są jeszcze gorsze — to takie białe szkwały. Białe szkwały? Biały wieloryb, brr, brr! Słyszałem tu ich pogwarki, a ten biały wieloryb — brr! Gadali o nim teraz — dopiero tego wieczoru — aż się cały trzęsę jak mój bębenek. Ten stary wąż kazał im zaprzysiąc, że go pochwycą! O, ty wielki biały Boże, któryś jest tam w górze, gdzieś w tej ciemności, zmiłuj się nad małym czarnym chłopcem, który tu siedzi na dole; zachowaj go od wszystkich ludzi, co nie mają trzewi, żeby czuć lęk!

ROZDZIAŁ XLI
MOBY DICK

Ja, Izmael, należałem do tej załogi; i moje krzyki wzbijały się w górę wraz z ich krzykami, moja przysięga stopiła się z ich przysięgą, a krzyczałem donośniej i przysięgałem z większym zapamiętaniem i zawziętością od innych, bo lęk miałem w duszy. Tkwiło we mnie jakieś nieokiełznane, tajemne współczucie; zdawało się, że nienasycona żądza zemsty Ahaba owładnęła i mną. Chciwym uchem słuchałem opowieści o morderczym potworze, któremu ja i wszyscy inni poprzysięgliśmy gwałt i pomstę.

Już od jakiegoś czasu, choć tylko z przerwami, ów samotny, pojedynczy biały wieloryb nawiedzał te dzikie morza uczęszczane głównie przez łowców kaszalotów. Nie wszyscy oni jednak wiedzieli o jego istnieniu; stosunkowo niewielu oglądało go z pełną świadomością, znikoma zaś w istocie była liczba tych, którzy jak dotąd wydali mu z rozmysłu właściwą walkę. Takie bowiem czynniki, jak wielka ilość statków wielorybniczych, bezładne ich rozproszenie po całym wodnym obszarze, fakt, że wiele z tych statków zapędzało się w swych awanturniczych poszukiwaniach aż po tak odludne szerokości geograficzne, że w ciągu całej dwunastomiesięcznej lub dłuższej podróży rzadko kiedy albo wcale nie miały okazji napotkania choćby jednego wieścionośnego żagla jakiegokolwiek rodzaju; dalej niezwykła długotrwałość każdej poszczególnej wyprawy, nieregularne pory wypływania z macierzystego portu — to wszystko wraz z innymi jeszcze, pośrednimi i bezpośrednimi okolicznościami, przez długi czas przeszkadzało rozprzestrzenieniu się wśród całej flotylli wielorybniczej, jak

świat długi i szeroki, szczegółowych wiadomości określających dokładniej Moby Dicka. Nie sposób było wątpić, że kilka statków doniosło o napotkaniu w takim a takim czasie, na takim a takim południku, kaszalota niepospolitego ogromu i złośliwości, który wyrządziwszy wielkie szkody napastnikom, umknął im bez śladu; w mniemaniu niektórych godziło się przypuszczać, że ów właśnie wieloryb musiał być nikim innym, jak Moby Dickiem. Ponieważ jednak w wielorybnictwie zaznaczyły się ostatnio przeróżne i wcale nierzadkie przykłady wielkiej drapieżności, przebiegłości i złośliwości atakowanego potwora, więc ci, którzy przypadkowo i nieświadomie stanęli do walki z Moby Dickiem, byli zapewne skłonni przypisywać postrach, jaki szerzył, raczej niebezpieczeństwom łowów na kaszaloty w ogóle niż temu poszczególnemu wielorybowi. W ten sani sposób traktowano dotychczas owo katastrofalne spotkanie Ahaba z kaszalotem.

Jeśli zaś idzie o tych, którzy zasłyszawszy uprzednio o białym wielorybie, przypadkowo nań natrafili, to z początku niemal każdy spuszczał za nim łódź równie śmiało i nieustraszenie jak za każdym innym wielorybem tegoż gatunku. Ale po jakimś czasie stwierdzono, że z owych ataków wynikają takie nieszczęścia — nie ograniczające się do wykręconych napięstków i kostek, połamanych kończyn czy też jątrzących amputacji, ale fatalne do najwyższego stopnia fatalności — że te powtarzające się, zgubne, odstręczające wieści, gromadząc i piętrząc okropność wokół Moby Dicka, w wielkiej mierze wstrząsnęły męstwem licznych dzielnych łowców, do których w końcu dotarła historia białego wieloryba.

Dzikie pogłoski wszelkiego rodzaju przyczyniły się też niezawodnie do wyolbrzymienia prawdziwych dziejów owych śmiertelnych spotkań i otoczenia ich jeszcze większą potwornością. Albowiem bajeczne wieści nie tylko wyrastają w sposób naturalny z żywego ciała wszelkich zdumiewających i straszliwych wydarzeń — podobnie jak obalone drzewo obrasta grzybami — ale też, w życiu morskim znacznie bardziej niż na lądzie stałym, mnożą się najdziksze pogłoski, gdziekolwiek

tylko znajdą jakiś odpowiedni fakt rzeczywisty, którego by się mogły uczepić. I tak jak morze przewyższa w tej mierze ląd stały, podobnie i wielorybnictwo, jeśli idzie o cudowność i straszliwość wieści, jakie tu czasami krążą, góruje nad wszelką inną odmianą życia morskiego. Mianowicie wielorybnicy na ogół nie tylko nie są wolni od ciemnoty i zabobonu dziedzicznie właściwego wszystkim marynarzom, ale też wchodzą w najbardziej bezpośrednią styczność ze wszystkim, co w morzu jest najpotworniej zdumiewające; nie tylko stają oko w oko z jego największymi cudównościami, ale także pierś w pierś podejmują z nimi walkę. Wielorybnik samotny na wodach tak odległych, że choćby się przepłynęło tysiąc mil i minęło tysiąc wybrzeży, nie sposób dotrzeć do jakiegokolwiek rzeźbionego kominka ani niczego, co by było gościnne pod tą częścią słońca; wielorybnik trudniąc się w takich zakątkach świata podobnym rzemiosłem, otoczony jest mocami, które sprzyjają poczęciu w jego fantazji niejednego ważkiego płodu.

Nic więc dziwnego, że ciągle potężniejąc przez sam fakt przemierzania najdzikszych wodnych obszarów, raz puszczona wieść o białym wielorybie wchłonęła nareszcie w siebie wszelakie niezdrowe pogłoski, na wpół uformowane, embrionalne aluzje o nadprzyrodzonych mocach, które to rzeczy w końcu nadały Moby Dickowi nową. straszliwość, nie wywodzącą się już z niczego, co widomie istnieje. W wielu wypadkach rodził on takie przerażenie, iż spośród tych, którzy wyłącznie z owych wieści powzięli wiadomość o białym wielorybie, tylko nieliczni łowcy mieli ochotę stawić czoło niebezpieczeństwom, jakimi zagrażała jego paszczęka. Działały tu jednak także i inne, donioślejsze czynniki praktyczne. Nawet i dziś jeszcze nie wygasł w umysłach wszystkich wielorybników pierwotny groźny urok kaszalota, przeraźliwie wyróżniającego się spomiędzy wszelkich innych odmian Lewiatana. Po dziś dzień znajdują się między łowcami tacy, co choć dość odważni i przemyślni, gdy przyjdzie wydać bitwę wałowi grenlandzkiemu albo właściwemu, zapewne by odmówili — czy to z racji zawodowego niedoświadczenia, niedostatecznej umiejętności

czy z braku śmiałości — podjęcia rozgrywki z kaszalotem. W każdym razie są wielorybnicy — szczególnie wśród narodów uprawiających te łowy nie pod amerykańską flagą — którzy nigdy nie potykali się z kaszalotem i których wiedza o Lewiatanie ograniczona jest wyłącznie do nieszlachetnego potwora z dawna ściganego na północy. Zasiadłszy na pokrywach luków jak wokół kominka, ludzie ci chętnie przysłuchują się z dziecinnym zainteresowaniem i grozą dzikim, niesamowitym opowieściom o łowach południowych. Nigdzie więc najwyższa straszliwość olbrzymiego kaszalota nie znajdzie pełniejszego odczucia i zrozumienia niż *v.a* pokładzie tych statków, które go ścigają. tak gdyby wypróbowana obecnie rzeczywistość jego potęgi

rzuciła nań swój cień już za dawnych, legendarnych czasów — mamy niektórych pisarzy przyrodników, co jak Olassen i Po velson stwierdzają, że kaszalot jest nie tylko postrachem wszelkiego innego morskiego stworzenia, ale też odznacza się tak niewiarygodną drapieżnością, iż stale jest spragniony ludzkiej krwi. Te i tym podobne poglądy nie zanikły nawet i w tak późnej epoce, jak czasy Cuviera. Mianowicie w swej *Historii naturalnej* sam baron utrzymuje, że na widok kaszalota wszystkie ryby (z rekinami włącznie) „zdjęte są najwyższym przerażeniem" oraz że „często w pośpiechu ucieczki rozbijają się o skały z taką gwałtownością, iż śmierć natychmiast następuje". Toteż jakkolwiek powszechne doświadczenia wielorybnicze mogą prostować podobne relacje, jednak zabobonna wiara w całą ich okropność, włącznie z tą krwiożerczą wzmianką u Povelsona, odżywa w umysłach łowców w związku z różnymi kolejami ich rzemiosła.

Pod wrażeniem wieści i wróżb dotyczących Moby Dicka niemało rybaków wspominało w związku z nim dawniejsze czasy połowów kaszalotów, kiedy to doświadczonych łowców wielorybów częstokroć trudno było nakłonić, aby stawiali czoło niebezpieczeństwom tego nowego, zuchwałego rodzaju wojny. Łowcy ci mianowicie zaklinali się, że choć na inne Lewiatany można polować z nadzieją powodzenia, jednak ścigać i godzić

lancą w takie zjawisko jak kaszalot nie jest w mocy człowieka śmiertelnego. Że ważyć się na to, znaczyłoby nieuchronnie i szybko pogrążyć się w wieczność. Istnieją pewne wartościowe dokumenty, z których można zaczerpnąć wiadomości na ten temat.

Znaleźli się jednak ludzie, którzy mimo to gotowi byli ruszyć w pościg za Moby Dickiem; a jeszcze większa liczba takich, którzy zasłyszawszy coś o nim przypadkowo i niejasno, bez dokładnych szczegółów dotyczących jakiejś określonej katastrofy i bez żadnych zabobonnych dodatków, mieli dość odwagi, by nie uchodzić z pola walki.

Jednym z niezwykłych wyobrażeń, o których mówiono, że się koniec końców związały z białym wielorybem w umysłach ludzi skłonnych do przesądów, było niesamowite przekonanie, że Moby Dick jest wszechobecny, że go rzeczywiście spotykano w przeciwległych stronach świata o jednym i tym samym czasie.

Jakkolwiek tacy ludzie musieli być wielce łatwowierni, przekonanie to nie było całkowicie pozbawione wątłego, zaprawionego przesądem pozoru prawdopodobieństwa. Albowiem jak tajemnice prądów morskich nie zostały nigdy wyświetlone nawet przez najbardziej uczone badania, tak też i tajemne obyczaje kaszalota, w chwili gdy znajdzie się pod powierzchnią wód, pozostają w znacznej mierze nie znane jego prześladowcom i od czasu do czasu rodzą najosobliwsze i najbardziej sprzeczne domysły; zwłaszcza co do sekretnych sposobów, jakich zwierz używa, by, zanurzywszy się na znaczną głębokość, przenieść się z tak olbrzymią szybkością w najbardziej oddalone miejsca.

Jest rzeczą dobrze znaną zarówno amerykańskim, jak angielskim wielorybnikom, a opartą na miarodajnej relacji spisanej przed laty przez Scoresby'ego, że na dalekiej północy Oceanu Spokojnego upolowano wieloryby, w których ciałach znaleziono zadziory harpunów rzuconych na morzach grenlandzkich. Trudno też zaprzeczyć, iż w niektórych z tych przypadków stwierdzono, że przeciąg czasu dzielący takie dwa

ataki nie przekraczał kilku dni. Stąd wniosek, który wyciągają pewni wielorybnicy, iż szlak północno-zachodni, tak długo będący problemem dla człowieka, nigdy nie stanowił zagadnienia dla wieloryba. Tak więc w rzeczywistych, kicywych doświadczeniach żywych ludzi, dziwom opowiadanym w dawnych czasach o górze Strello znajdującej się w głębi lądu w Portugalii (mówiono, iż w pobliżu jej wierzchołka istnieje jezioro, na którego powierzchnię wypływają wraki okrętów) lub jeszcze dziwniejszej historii źródła Aretuzy opodal Syrakuz (którego wody, jak sądzono, przenikają tam z Ziemi Świętej podziemnym korytarzem) — owym bajecznym opowieściom niemal w zupełności dorównały rzeczywiste przeżycia wielorybnika.

Trudno więc się dziwić, że zmuszeni do poufałego obcowania z podobnymi fenomenami oraz świadomi tego, że po wielokrotnych, nieustraszonych atakach biały wieloryb uchodził przecież z życiem, niektórzy z wielorybników, pogrążywszy się jeszcze bardziej w zabobonie, oświadczali, iż Moby Dick jest nie tylko wszechobecny, ale i nieśmiertelny (jako że nieśmiertelność jest po prostu wszechobecnością w czasie); że choćby w bokach jego tkwiły całe gaje oszczepów, on jednak odpłynie bez szwanku; że choćby nawet kiedyś sprawiono, by trysnął gęstą posoką, widok taki byłby tylko upiornym mamidłem, gdyż nieskazitelna fontanna wieloryba dałaby się znowu ujrzeć wśród nieskrwawionych odmętów o setki mil od owego miejsca.

Ale nawet odarta z tych cech nadprzyrodzonych sama doczesna budowa oraz bezsporny charakter potwora wystarczały, by pobudzić imaginację z niezwyczajną siłą. Mianowicie wyróżniał go spośród innych kaszalotów nie tyle jego niepospolity ogrom, co — jak to już na innym miejscu wspomniano — osobliwe, śnieżne, pomarszczone czoło tudzież wysoki, piramidalny biały garb. Były to najwybitniejsze rysy Moby Dicka, cechy, po których nawet na niezmierzonych, nie oznaczonych na mapie morzach mogli go z daleka rozpoznać ci, co się z nim już zaznajomili.

Resztę cielska miał tak pręgowaną, nakrapianą i jak marmur znaczoną tą samą całunową barwą, że na koniec pozyskał wyróżniające miano białego wieloryba, miano, które całkowicie uzasadniał przejmujący widok, kiedy w samo południe sunął poprzez szafirowe morze pozostawiając za sobą mleczny szlak obfitej piany, wszystek mieniący się złocistymi lśnieniami.

Jednakże nie tyle jego niezwykła wielkość czy szczególna barwa, czy nawet zniekształcona dolna szczęka nadawała temu wielorybowi przyrodzoną straszliwość, co owa bezprzykładna, przemyślana złośliwość, którą według dokładnych relacji stale i ustawicznie wykazywał w swoich atakach. Jego zdradzieckie odwroty wzniecały może nawet większe przerażenie niż cokolwiek innego. Mianowicie wiadomo o nim było, że w ucieczce, płynąc przed swymi tryumfującymi prześladowcami i wykazując wszelkie widome objawy popłochu, niejednokrotnie nagle zawracał i rzuciwszy się na nich albo roztrzaskiwał im łodzie w drzazgi, albo też ścigał przerażonych ludzi aż do statku.

W pogoni za nim wydarzyło się już dotychczas kilka fatalnych wypadków. Aczkolwiek jednak podobne klęski, choć mało się o nich mówi na lądzie, nie są bynajmniej niezwykłe w wielorybnictwie, przecie białego wieloryba w większości przypadków cechowała tak piekielna premedytacja w okrucieństwie, że każdą ranę czy śmierć, jaką spowodował, trudno było uważać za zadaną przez moc nierozumną.

Osądźcie więc, do jakiego stopnia płomiennej, obłędnej furii doprowadzone były umysły co zacieklej szych łowców, kiedy pośród odłamków roztrzaskanych łodzi, wśród tonących szczątków rozdartych towarzyszy, wypływali z białej piany okrutnego gniewu wieloryba na rozpaczliwe pogodne światło słoneczne, które zsyłało na nich swój uśmiech jak w dzień zaręczyn czy urodzin. Niegdyś pewien kapitan widząc wokół siebie trzy łodzie roztrzaskane przez wieloryba a ludzi i wiosła wirujące pośród odmętów, porwał nóż z dzioba rozbitej łodzi i rzucił się ku wielorybowi, jak zapaśnik z Arkansas na swojego wroga, usiłując na oślep dosięgnąć sześciocalowym ostrzem

eczycia ukrytego w wielorybie na sążeń głęboko. Kapitanem tym był Ahab. I wtedy to, zagarnąwszy nagle pod nim swą sierpowatą dolną szczęką, Moby Dick skosił nogę Ahaba jak żeniec źdźbła trawy na łące. Żaden Turek w turbanie, żaden najemnik wenecki czy malajski nie potrafiłby go porazić z bardziej widomą przewrotnością. Trudno więc było wątpić, że od czasu owego tak fatalnego spotkania Ahab żywił dziką żądzę zemsty nad wielorybem, tym zacieklejszą, że z właściwą sobie obłędną chorobliwością utożsamił na koniec ze swym wrogiem nie tylko całą swoją cielesną niedolę, ale też wszystkie umysłowe i duchowe rozpacze. Biały wieloryb płynął przed nim jak myśl prześladowcza będąca wcieleniem wszystkich owych złych mocy, które zżerają niektórych ludzi głębokich, dopóki nie pozostawią ich przy życiu z połową płuc i serca. Owej nieuchwytnej, złej siły, która istniała od początku, o której nawet nowocześni chrześcijanie mniemają, iż panowaniem swoim obejmuje pół świata, której pod postacią posągu szatana starodawni ofici Wschodu cześć oddawali — siły tej Ahab nie czcił na klęczkach jak oni, ale przenosząc w szale jej ideę na znienawidzonego białego wieloryba, miotał się na nią, okaleczony. Wszystko, co najbardziej dręczy i doprowadza do szaleństwa, wszystko, co wstrząsa posadami rzeczy, wszelka prawda z utajonym w niej złem, wszystko, od czego pękają muskuły i drętwieje mózg, wszelkie przewrotne demonizmy żywota i myśli, wszystko zło — były dla opętanego Ahaba widomie uosobione i dostępne dla jego ciosu w Moby Dicku. Na garbie białego wieloryba spiętrzył sumę wszystkiej powszechnej złości i nienawiści odczuwanej przez rodzaj ludzki od czasów Adama, a potem, jak gdyby własna jego pierś była kartaczownicą, rzucił we wroga pocisk swego gorejącego serca.

Nie jest prawdopodobne, żeby ta monomania powstała w nim natychmiast, dokładnie w chwili jego cielesnego okaleczenia. Wówczas gdy rzucił się na potwora z nożem w ręku, dał po prostu upust nagłej, namiętnej, fizycznej wściekłości, a kiedy otrzymał cios, który go rozszarpał, najprawdopodobniej odczuł tylko dręczące rozdarcie ciała, ale nic ponad to. Kiedy natomiast

zmussony po owym starciu do zawrócenia z drogi leżał przez długie dnie, tygodnie i miesiące wyciągnięty na hamaku pospołu ze swą udręką, płynąc wpośród zimy wokół posępnego, dzikiego patagońskiego przylądka — wtedy to jego poszarpane ciało i rozrąbana dusza poczęły krwawić w siebie nawzajem, i tak przenikając jedno w drugie, uczyniły zeń szaleńca. Że to dopiero wtedy, w czasie powrotnej podróży po owej walce, opanowała go ostatecznie myśl prześladowcza — wydaje się niemal pewne na podstawie faktu, iż w drodze od czasu do czasu dostawał napadów szału i choć pozbawiony nogi, miał przecie w swej egipskiej piersi tyle ukrytej siły witalnej, spotęgowanej jeszcze przez szaleństwo, że jego oficerowie zmuszeni byli wiązać go krzepko wtedy właśnie, gdy tak płynął szałem ogarnięty. Odziany w kaftan bezpieczeństwa kołysał się na swym hamaku w takt wściekłych kolebań nawałnic. Kiedy zaś dotarłszy w znośniejsze regiony okręt rozwinął wszystkie żagle i sunął poprzez pogodne zwrotniki, a według wszelkich pozorów można było mniemać, iż delirium Ahaba pozostało gdzieś w tyle wraz z chwiejbami Przylądka Horn, nawet wtedy gdy wyszedł ze swej ciemnej nory na błogosławione światło i powietrze, gdy ukazał stanowcze, opanowane, choć blade oblicze i począł znowu wydawać spokojne rozkazy, a oficerowie dziękowali już Bogu, że odbieżał go ów obłęd okrutny — nawet wtedy szaleństwo Ahaba trwało utajone w głębi jego jestestwa. Obłęd ludzki bywa czasami przebiegły i jak kot podstępny. Kiedy już sądzicie, że zniknął, on tylko może się przeobraził w jakąś jeszcze bardziej utajoną formę. Całkowity obłęd, jaki ogarnął Ahaba, nie ustąpił, ale pogłębił się i przyczaił, niby nieokiełznany Hudson, owa szlachetna rzeka północy, kiedy przepływa spiętrzona, ale bezdenna, poprzez górskie gardziele. Jednakże podobnie jak przez zdławienie tej manii prześladowczej Ahab nie uronił ani cząstki swego potężnego szaleństwa, tak też i w owym potężnym szaleństwie nie stracił ani krzty swego wielkiego przyrodzonego rozumu. Ta niegdyś żywa siła stała się obecnie żywym narzędziem. Jeżeli podobna, żeby ostała się tak szumna przenośnia, to powiedzieć by można,

iż szczególne szaleństwo Ahaba szturmowało jego ogólny rozsądek, zdobywało go, by następnie skierować cały skoncentrowany ogień jego dział na swój własny, obłędny cel; tak że Ahab, jak najdalszy od utracenia swej siły, skupiał na tej jedynej sprawie po tysiąckroć więcej mocy, niż to kiedykolwiek dotychczas przy zdrowych zmysłach uczynił w jakimś rozsądnym celu.

To już wiele, lecz większa, mroczniejsza, głębsza część duszy Ahaba pozostaje nie wyjawiona. Próżno jednak uprzystępniać rzeczy najgłębsze, a każda prawda jest głęboka. Schodząc daleko w dół z samego środka owego wieżowego Hotel de Cluny, w którym się teraz znajdujemy, opuśćmy go bez względu na to, jak wielki jest i wspaniały — pójdźmy, o szlachetne i smutne dusze, ku owym rozległym salom rzymskich Termów, gdzie głęboko popod fantastycznymi basztami wzniesionymi na skorupie człowieczego świata tkwią korzenie jego wielkości, wszystka jego omszała, straszliwa treść — jak starożytna rzeźba zagrzebana pod ziemią na strzaskanym tronie! Tak to wielcy bogowie szydzą *z* owego uwięzionego króla o tronie strzaskanym, on zaś na kształt kariatydy trwa cierpliwie, podtrzymując swym martwym czołem spiętrzone architrawy wieków. Zejdźcie tam, dumne, smutne dusze! Zapytajcie owego dumnego, smutnego monarchy! Oto konterfekt rodzinny! Zaiste, on właśnie począł was, młodzi królewscy wygnańcy, i tylko ten wasz ponury praszczur przekaże wam odwieczną, państwową tajemnicę.

Owóż w głębi serca Ahab miał tego przebłyski, a mianowicie myślał: wszystkie środki, jakich używam, są zdrowe, zaś pobudki moje i cel — szalone. Pozbawiony jednak mocy zniweczenia, odmienienia czy uniknięcia tego faktu, wiedział również, że od dawna taił go przed ludźmi; czynił to właściwie i nadal. Jednakże owo tajenie było jedynie uchwytne dla jego postrzegania, nie zaś zależne od zdecydowanej woli. Niemniej udawało mu się ukrywać to tak dobrze, że kiedy swą kościaną nogą stąpnął wreszcie na ląd, nikomu z nantucketańczyków nie przyszło nawet do głowy, że Ahab doświadcza czegoś więcej

poza naturalną, dopiekającą do żywego boleścią z powodu okrutnego wypadku, jaki mu się przydarzył.

Relację o niewątpliwym napadzie szału, jakiemu uległ na morzu, także ogólnie przypisano pokrewnym przyczynom, jak również i całą późniejszą posępność, która zawsze od tej pory, aż po dzień odpłynięcia na „Pequodzie" w obecną podróż, osiadała w zadumie na czole kapitana. Nie jest też pozbawione prawdopodobieństwa, że wyrachowani mieszkańcy owej przezornej wyspy nie tylko byli jak najdalsi od powątpiewania, ze względu na tak ponure objawy, o zdatności Ahaba do następnej wyprawy wielorybniczej, ale skłonni byli żywić przekonanie, że z tych właśnie przyczyn stał się tym bardziej zawzięty i tym więcej miał danych, by poprowadzić pościg tak wściekły i dziki, jakim są krwawe łowy na wieloryby. Zżerany wewnętrznie, okaleczony cieleśnie, z tkwiącym w nim nieubłaganym żądłem jakowejś nieuleczalnej myśli, człowiek taki, jeśliby się trafił, byłby chyba najodpowiedniejszy do rzucenia żelaza i podniesienia lancy na najstraszliwszą z bestii. Gdyby zaś sądzono, że z jakiegokolwiek powodu stał się fizycznie niezdolny do takiego dzieła, zawsze jednak uważano by go za najodpowiedniejszego do zagrzewania krzykiem swych podwładnych w czasie natarcia. Jakkolwiek tam było, pewne jest, że Ahab, zamknąwszy w sobie na wszystkie rygle i spusty obłędną tajemnicę swej niesłabnącej furii, wyruszył z rozmysłem na obecną wyprawę mając jeden jedyny, wszystko pochłaniający cel — pościg za białym wielorybem. Gdyby któremuś z jego dawnych znajomków z lądu przyszło choć na chwilę do głowy, co się naówczas kryło w Ahabie, jakżeby rychło ich przerażone, a cnotliwe dusze wyrwały okręt z rąk tak szatańskiego człowieka! Ich myśli biegły ku zyskownym wyprawom, z których profit można obliczyć w dolarach z mennicy. On pożądał zuchwałej, nieokiełznanej, nadprzyrodzonej pomsty.

Tak więc ów siwowłosy, bezbożny kapitan z przekleństwem ścigał po świecie hiobowego wieloryba na czele załogi składającej się ze zbieraniny renegatów, rozbitków i

ludożerców, moralnie osłabionych przez nieporadność prostej, pozbawionej oparcia cnoty czy prawości Starbucka, niezwruszoną pogodę, obojętność i lekkomyślność Stubba oraz wszechogarniającą przeciętność Fiaska. Taka załoga, z takimi oficerami, zdawała się być specjalnie dobrana i skompletowana przez jakąś piekielną fatalność, żeby dopomóc Ahabowi w jego monomaniackiej zemście. Jak się to stało, że ludzie ci dali tak szczodry odzew na furię kapitana, jaki zły czar dusze ich opętał, że chwilami nienawiść Ahaba zdawała się być również i ich nienawiścią, a biały wieloryb równie ich jak i jego nieubłaganym wrogiem — jak do tego doszło, czym stał się dla nich biały potwór, czemu w nieświadomym pojęciu tych ludzi, jakimś mglistym nieodgadnionym sposobem wydał się on wielkim, sunącym demonem mórz życia — wyjaśnić to wszystko, znaczyłoby wniknąć głębiej, niż to uczynić może Izmael. Czyliż ktoś potrafi rozpoznać po ciągle przesuwającym się stłumionym odgłosie kilofa, dokąd wiedzie sztolnia pracującego w każdym z nas podziemnego górnika? Któż nie odczuwa nieprzezwyciężonego trudu ramienia? Jakież czółno holowane przez wojenną fregatę potrafi ustać w miejscu? Jeśli o mnie idzie, to dałem się ponieść chwili i okolicznościom, ale choć cały pałałem pragnieniem spotkania wieloryba, nie mogłem w nim dojrzeć niczego prócz śmiertelnego zła.

ROZDZIAŁ XLII
BIAŁOŚĆ WIELORYBA

Wspomniano już, czym biały wieloryb był dla Ahaba; natomiast jak dotąd nie powiedziano, czym niekiedy stawał się on dla mnie.

Oprócz owych bardziej oczywistych rozważań na temat Moby Dicka, które tylko chwilami obudzić mogły w czyjejś duszy pewne zaniepokojenie, istniała jeszcze inna myśl albo raczej związana z nim niejasna i niewymowna groza, która czasem swoim natężeniem przeważała całkowicie nad wszystkim innym. Była ona wszelako tak tajemnicza i niemożliwa do odmalowania słowami, że nieomal tracę nadzieję ujęcia jej w jakąś zrozumianą formę. Tym, co najbardziej mnie przerażało, była białość owego wieloryba. Jakże jednak mogę się spodziewać, że potrafię to tutaj wytłumaczyć! A przecie wytłumaczyć to muszę tak czy owak, gdyż inaczej wszystkie te rozdziały pójdą na marne.

W wielu zwykłych, naturalnych przedmiotach białość podnosi i uświetnia ich krasę, niejako udzielając im jakowychś szczególnych własnych zalet — dotyczy to na przykład marmurów, kamelii i pereł; różne ludy w ten czy inny sposób uznały, że barwa ta odznacza się pewnym monarszym dostojeństwem; nawet wspaniali, barbarzyńscy królowie Pegu umieścili tytuł „Władcy Białych Słoni" przed wszystkimi innymi, górnolotnymi atrybutami swej władzy; współcześni królowie Syjamu rozwinęli tego samego śnieżnobiałego czworonoga na swym królewskim sztandarze; na fladze hanowerskiej widnieje jedynie sylwetka śnieżnego rumaka; wielkie imperium Austrii, cezarowy spadkobierca przepotężnej Komy, przyjęło jako kolor

monarszy tę samą cesarską barwę. Prócz tego biel zawsze oznaczała radość, jako że u Rzymian białym kamieniem znaczyło się, dzień wesoły; w innych doczesnych czuciach i symbolach kolor ten stał się godłem wielu wzruszających i szlachetnych spraw — niewinności oblubienic czy dobrotliwości starców. U czerwonoskórych Ameryki nadanie białej opaski *wampum* było oznaką najwyższego zaszczytu; w licznych krajach białość symbolizuje majestat sprawiedliwości w gronostajach sędziów i przyczynia się do codziennej wspaniałości królów i królowych, których pojazdy ciągnione są przez mlecznobiałe rumaki. Nawet w najwyższych misteriach najdostojniejszych religii biel uczyniona została symbolem boskiej nieskazitelności i mocy; perscy czciciele ognia uważali biały pióropusz płomienia za coś, co mieli najświętszego na ołtarzu; w mitologii greckiej sam wielki Zeus wcielił się w śnieżnobiałego byka; dla szlachetnych Irokezów czyniona w środku zimy ofiara z poświęconego Białego Psa była bezwzględnie najświętszą ceremonią całej ich religii, ile że owo niepokalane, wierne zwierzę uważali za najczystszego posłańca, jakiego mogli wyprawić do Wielkiego Ducha z dorocznymi zapewnieniami o swej wierności. Bezpośrednio z łacińskiego wyrazu, który oznacza „biały", wszyscy kapłani chrześcijańscy wzięli nazwę jednej z części swych szat sakralnych, a mianowicie alby, czyli tuniki noszonej pod ornatem; wpośród uroczystych ceremonii rzymskiej wiary biel szczególnie jest używana przy obchodzeniu uroczystości Męki Pańskiej; w wizji św. Jana białe suknie dane są zbawionym, a dwudziestu czterech starców staje przybranych w biel przed wielkim białym tronem, na którym zasiada Najwyższy, jako śnieg biały. A jednak mimo wszelkich nagromadzonych powyżej skojarzeń ze wszystkim, co słodkie, godne i wzniosłe, jakaś rzecz nieuchwytna kryje się w samym rdzeniu istoty owej barwy, coś, co wznieca w duszy więcej lęku niż owa czerwień, która przeraża we krwi.

To właśnie ta nieuchwytna cecha powoduje, że myśl o białości, jeśli jej odjąć wszelkie łagodniejsze skojarzenia i

powiązać ją z jakimkolwiek przedmiotem strasznym samym w sobie, potęguje ową straszliwość do ostatnich granic. Weźcie na przykład białego niedźwiedzia podbiegunowego albo białego podzwrotnikowego rekina; cóż, jeśli nie ich gładka, śnieżna białość, czyni z nich owe nadprzyrodzone potwory? To owa biel upiorna nadaje łagodność tak ohydną, bardziej nawet obmierzłą niż straszną, niemej drapieżności ich wyglądu, tak iż żaden najzacieklejszy tygrys w swej heraldycznej sukni nie potrafi podobnie zachwiać męstwem, jak białoszaty niedźwiedź czy rekin.

Pomyślcie o albatrosie; skądże się biorą te obłoki nadprzyrodzonego podziwu i bladego lęku, w które spowita owa biała zjawa żegluje w wyobraźni wszystkich ludzi? To nie Coleridge był pierwszym, który rzucił ten czar, ale wielka, niepochlebcza wybranka Boga — Natura.

Najsłynniejszą spośród naszych zachodnich kronik i indiańskich tradycji jest legenda o Białym Kumaku Prerii, wspaniałym, mlecznobiałym koniu o wielkich oczach, małej głowie i szerokiej piersi, odznaczającym się godnością tysiąca monarchów w swym wyniosłym i dumnym stąpaniu. Był on obieralnym Kserksesem olbrzymich stad dzikich koni, których pastwiska ograniczone były naówczas jedynie przez Góry Skaliste i Alleghańskie. Na czele swych hord płomiennych przebiegał te obszary w kierunku zachodnim, podobny owej wybranej gwieździe, która każdego wieczoru przewodzi zastępom światła. Połyskliwa kaskada jego grzywy, wygięta kometa jego ogona przystrajały go bardziej olśniewająco niż złote i srebrne hafty. Najwspanialsza, archanielska to była zjawa owego nieugiętego świata Zachodu, która w oczach starych traperów i myśliwców wskrzeszała chwałę tamtych pradawnych czasów, kiedy to Adam stąpał po ziemi majestatyczny jak bóstwo, szerokopierśny i nieulękły jak ten rumak mocarny. Czy koń ów kroczył między swymi adiutantami i marszałkami w straży przedniej niezliczonych kohort, które nie kończącą się rzeką zalały stepy wielkie jak Ohio, czy też wśród kręgu swoich poddanych, jak okiem sięgnąć

skubiących trawę na horyzoncie, dokonywał w galopie ich przeglądu z rozgrzanymi nozdrzami czerwieniejącymi poprzez jego chłodną mleczność — w jakiejkolwiek się ukazał postaci, zawsze był dla najmężniejszych nawet Indian przedmiotem kornej czci i lęku. Z tego, co mówi legenda o tym koniu szlachetnym, nie sposób wątpić, że właśnie głównie jego uduchowiona biel nadawała mu boskość i że ta boskość miała w sobie coś, co nakazywało cześć, ale też jednocześnie przejmowało jakąś niewypowiedzianą bojaźnią.

Również i pod zgoła innymi postaciami natura nie omieszkała wpisać między swe najmniej uchwytne, a jednak złośliwe czynniki tego najwyższego atrybutu grozy. Żelaznoręki duch Mórz Południowych nazwany został od swego śnieżnego oblicza Białym Szkwałem. Także i w niektórych przykładach historycznych sztuka ludzkiej złości nie pominęła tak potężnego sprzymierzeńca. Jak okrutnie spotęgowane jest wrażenie owego fragmentu z Proissarta , kiedy zamaskowani swoim śnieżnym symbolem owi straceńcy — Białe Kaptury z Gandawy — mordują starostę na placu targowym!

Również w innych rzeczach ogólne dziedziczne doświadczenie rasy ludzkiej nie omieszkało dać świadectwa nadnaturalności owej barwy. Nie sposób wątpić, że jedyną widomą cechą człowieka nieżywego, która przeraża najbardziej, jest okrywająca go marmurowa bladość, jakby bladość ta była zarówno oznaką lęku na tamtym świecie jak i doczesnego przerażenia tu, na ziemi. Z tej to bladości umarłych zapożyczamy znamienną barwę całunu, w który ich spowijamy. Nawet w naszych zabobonach nie omieszkaliśmy zarzucić tego samego śnieżnego płaszcza na upiory; wszelkie widma unoszą się bowiem w mlecznobiałej mgle. Zaiste, skoro ogarnia nas ów lęk, dodajmy jeszcze, iż nawet sam król straszliwości, uosobiony przez ewangelistę, dosiada bladego rumaka.

Dlatego też, choćby w innym nastroju człowiek do woli nadawał symbol białości wszystkiemu, cokolwiek jest wielkie i nadobne, nikt przecie nie może zaprzeczyć, że kolor ów w

swym najgłębszym, idealnym znaczeniu wywołuje w duszy szczególne zjawiska.

Choć jednak sprawa ta została już bezspornie ustalona, jakże może ją wytłumaczyć człowiek śmiertelny? Zanalizowanie jej wydaje się niemożliwe. Czy zatem możemy, przez zacytowanie pewnych przykładów, z których wynika, że ta cecha białości {chociaż w danej chwili całkowicie albo w znacznej mierze pozbawiona wszelkich bezpośrednich skojarzeń mogących jej nadać coś przerażającego) działa na nas tym samym, choć nieco zmienionym urokiem — czy możemy mieć nadzieję, że w ten sposób natrafimy na jakiś przypadkowy trop, który nas doprowadzi do ukrytej, a poszukiwanej przez nas przyczyny?

Popróbujmy. Wszelako w podobnej materii subtelność odwołuje się do subtelności; bez wyobraźni nikt nie jest w stanie podążać za innymi w owe regiony. I choć bez wątpienia przynajmniej niektóre z fantastycznych wyobrażeń, jakie tu mamy przedstawić, były udziałem wielu ludzi, jednakże może naówczas tylko nieliczni zdawali sobie z nich w pełni sprawę i dlatego mogą nie być w stanie przypomnieć ich sobie obecnie.

Czemuż to dla człowieka o samorodnej fantazji, który przypadkiem jest słabo obeznany ze szczególnym charakterem owego dnia, samo wspomnienie Zielonych świątek nasuwa wyobraźni długie, posępne, milczące procesje pielgrzymów, kroczących z wolna ze spuszczonymi głowami okrytymi kapturem barwy świeżego śniegu? Dlaczego dla nieoczytanego, niezepsutego protestanta ze środkowych stanów Ameryki przypadkowa wzmianka o Białym Zakonniku czy Białej Mniszce wywołuje w duszy obraz takiego właśnie bezokiego posągu? A co sprawia — oprócz tradycji zamczyska królów,i wojowników, której to tradycji brak by było dostatecznej po temu mocy — co sprawia, że londyńska Biała Baszta przemawia o tyle silniej do wyobraźni nieobytego w świecie Amerykanina niż owe inne wyniosłe budowle, jej sąsiadki: Baszta Boczna, czy nawet Krwawa? A te jeszcze wynioślejsze baszty, Białe Góry z New Hampshire? Czemu w pewnym nastroju na sam dźwięk ich nazwy spływa na duszę owa gigantyczna groza, podczas gdy

myśl o Błękitnych Turniach z Wirginii pełna jest łagodnego, uperlonego rosą, dalekiego rozmarzenia? Albo dlaczego, bez względu na długość i szerokość geograficzną, nazwa Morza Białego wywiera na fantazję wpływ tak widmowy, podczas gdy miano: Morze Żółte kołysze nas doczesnymi myślami o spędzanych na falach długich, łagodnych popołudniach połyskliwych jak laka, po których następuje najjaskrawszy, a jednak senny zachód słońca? Albo też, żeby wybrać przykład całkiem nieistotny, przemawiający wyłącznie do fantazji, czemu to, gdy się czyta stare baśnie Europy środkowej, ów „wysoki biały człowiek" z borów Harcu, którego niezmienna bladość sunie przez zieleń kniej — czemu owo widmo straszniejsze jest od wszystkich wrzaskliwych skrzatów z gór Blocksburg?

A Lima? Toć przecie nie wspomnienie jej katedroburczych trzęsień ziemi ani groza jej rozszalałych mórz, ani bezłzawość oschłego nieba, z którego nigdy nie spada deszcz — nie widok rozległego pola jej walących się wieżyc, rozbitych sklepień i pochowanych krzyżów (podobnych do przekrzywionych rej zakotwiczonej flotylli), nie podmiejskie aleje domków, których ściany leżą jedne na drugich jak rozsypana talia kart — nie tylko te wszystkie rzeczy czynią z nie znającej łez Limy najdziwniejsze, najsmutniejsze miasto, jakie oglądać można. Albowiem Lima przywdziała biały welon i w tej bieli jej nieszczęścia tkwi groza najwyższa. Stara jak Pizzaro, białość owa utrzymuje ruiny miasta w stanie wiecznej świeżości, nie dopuszcza wesołej zieleni zupełnego rozpadu, rozpościera nad potrzaskanymi murami obronnymi drętwą bladość paraliżu, który sam stanowi o swoim kalectwie.

Wiem, że w rozumieniu ogółu owo zjawisko białości nie jest uznawane za najgłówniejszy czynnik potęgujący straszliwość rzeczy i tak już przerażających; dla umysłu pozbawionego imaginacji nie ma nic okropnego w takich zjawiskach, których groza polega dla kogo innego wyłącznie na tym jednym fenomenie — szczególnie jeśli przejawia się on pod postacią w jakikolwiek sposób zbliżoną do milczenia albo powszechności.

Za pomocą przykładów, jakie niżej podaję, da się może wyjaśnić, co rozumiem przez te dwa stwierdzenia.

Po pierwsze: jeśli marynarz zbliżający się do wybrzeży obcego lądu dosłyszy nocą ryk fal uderzających o skały, zaraz poczyna bacznie się rozglądać i doświadcza akurat tyle obawy, ile trzeba, aby wyostrzyć wszystkie jego zmysły; ale niech tylko .wywołany z hamaku w dokładnie takich samych okolicznościach ujrzy, iż jego okręt sunie o północy przez morze o tak mlecznej białości jakby z dookolnych cyplów lądu podpłynęły zewsząd czeredy kudłatych białych niedźwiedzi — natenczas marynarz ów odczuje niemy, zabobonny strach; całunowe widmo zbielałych wód staje się dlań równie okropne jak prawdziwy upiór; daremnie ołów sondy upewnia go, że jeszcze tu zgruntować nie sposób; serce i ster nie mogą dłużej zdzierżyć — człowiek ów nie spocznie, póki znowu nie ujrzy pod sobą błękitnej toni. Wszelako gdzież znajdzie się taki marynarz, który wam powie: „Panie, to nie tyle strach przed ukrytymi rafami, co lęk przed tą ohydną białością tak mnie wzburzył."

Po drugie: dla tubylca, Indianina z Peru, stały widok Andów okrytych czaprakiem śniegu nie ma w sobie nic przerażającego, z wyjątkiem może zwyczajnych wyobrażeń o wieczystej, zamarzłej pustce, jaka panuje na tak olbrzymich wysokościach oraz naturalnych myśli o tym, jak strasznie byłoby zagubić się wśród tej nieludzkiej samotności. Coś bardzo podobnego dzieje się z mieszkańcem kniej zachodu, który ze stosunkową obojętnością spogląda na nieprzemierzoną prerię okrytą nawianym śniegiem, bez śladu drzewa czy gałązki, która by przełamała niewzruszone zaklęcie bieli. Inaczej się rzecz ma z żeglarzem oglądającym scenerię mórz Antarktydy, gdzie czasem, dzięki jakowejś szatańskiej magii potęg mrozu i powietrza, widzi on, drżący półrozbitek, nie tęczę mówiącą o nadziei i pocieszeniu w niedoli, ale coś, co się wydaje bezbrzeżnym cmentarzyskiem chichoczącym doń swymi smukłymi pomnikami i potrzaskanymi krzyżami z lodu.

Powiecie jednak może, iż ten śnieżnobiały rozdział o białości jest tylko białą flagą, którą wywieszono nad słabą duszą; ulegasz hipochondrii, Izmaelu.

A wytłumaczcie mi, dlaczego to młody, krzepki źrebiec zrodzony gdzieś wśród cichej doliny Vermontu, żyjący z dala od wszelkich zwierząt drapieżnych, ledwie w najsłoneczniejszy dzień potrząsnąć za nim świeżo ściągniętą skórą bawołu — tak że jej nawet nie może ujrzeć, a tylko czuje jej dziki, zwierzęcy odór — czemu źrebiec ów drgnie, parsknie i z rozszerzoną źrenicą pocznie bić w ziemię kopytami w szaleństwie przestrachu? Nie tkwią w nim żadne wspomnienia o ciosach rogów dzikich bestii wśród jego zielonych, północnych pól macierzystych, tak że owa woń dziwna, którą czuje, nie może mu przypominać niczego, co by się kojarzyło z poznanym dawniej niebezpieczeństwem; cóż bowiem on, źrebiec nowoangielski, może wiedzieć o czarnych bizonach dalekiego Oregonu?

Nic — ale oto tutaj widzicie nawet w niemym zwierzęciu obraz instynktownej wiedzy o demonizmie świata. Choć oddalony o tysiące mil od Oregonu, przecie kiedy zwietrzy ów dziki odór, stają mu przed oczami szarpiące i bodące stada bizonów — równie żywo, jak opuszczonemu dzikiemu koniowi stepowemu, którego może w tej samej chwili w pył wtratowały.

Tak też i stłumione pochlusty mlecznego morza, zimny szelest nawisów lodowych, posępne przewalanie się po stepach miecionego wiatrem śniegu —to wszystko dla mnie, Izmaelu, jest tym samym, co potrząśnięcie skórą bawołu dla przerażonego źrebca.

Chociaż nikt nie wie, gdzie się znajdują te rzeczy nie nazwane, o których mówi nam ów znak tajemny, jednak dla mnie, podobnie jak dla tego konia, pewne jest, że gdzieś one istnieć muszą. Mimo że w wielu ze swych postaci ten widzialny świat zdaje się być stworzony w miłości, jednakże strefy niewidzialne poczęte zostały w lęku.

Ale jeszcześmy nie rozwiązali zagadki czarodziejstwa białości; jeszcześmy się nie dowiedzieli, czemu pociąga ona

duszę z taką siłą — a co dziwniejsze i bardziej niezwykłe — dlaczego, jak widzieliśmy, jest ona najbardziej znaczącym symbolem rzeczy ducha, zaiste samą szatą bóstwa chrześcijan, a jednocześnie może być najpotężniejszym czynnikiem we wszystkim, co najbardziej ród ludzki przeraża.

Czy jest tak dlatego, że przez swą nieskończoność ukazuje ona zarys bezdennej pustki i ogromu wszechświata i w ten sposób zadaje nam cios w plecy myślą o unicestwieniu, kiedy spoglądamy na białe głębiny Mlecznej Drogi? Czy dlatego, że białość w samej swej istocie jest nie tyle barwą, co widomym brakiem barwy, a jednocześnie konkretem wszelkich barw —. czy to z tej przyczyny w rozległym krajobrazie śniegów tkwi tak milcząca, a pełna znaczenia pustka — bezbarwny, wielokolorowy ateizm, przed którym się wzdragamy? Kiedy zaś rozważymy tę inną teorię filozofów natury, mówiącą, iż wszystkie inne ziemskie kolory — wszelkie imponujące czy śliczne ozdoby — słodkie odcienie nieba i boru o zachodzie, pozłocisty aksamit motyli, motyle policzki młodych dziewcząt — że wszystkie one są jeno subtelnym oszustwem, nie przyrodzonym materii, a tylko położonym na nią z zewnątrz, tak że cała ubóstwiana natura maluje się zupełnie jak nierządnica, której powaby nie pokrywają niczego prócz wewnętrznego truchła; kiedy pójdziemy dalej jeszcze i rozważymy, że ów mistyczny kosmetyk, który wytwarza wszelką barwę w przyrodzie — wielki pierwiastek światła — pozostaje sam w sobie na wieki biały lub bezbarwny i że działając bezpośrednio na materię dotknąłby wszelkich przedmiotów, nawet róż i tulipanów, swą własną, martwą barwą — zważywszy to wszystko, widzimy, iż bezwładny wszechświat leży przed nami na podobieństwo człowieka trędowatego. Jak uparci podróżni, co w Laponii nie chcą nałożyć na oczy kolorowych i wszystko barwiących szkieł, tak nieszczęsny, któremu brak wiary, wpatruje się aż do ślepoty w wszechpotężny, biały całun, który spowija wszystko, co widać wokoło. A wszelkich tych rzeczy symbolem był wieloryb-albinos. Czyż więc dziwicie się zaciekłej pogoni?

ROZDZIAŁ XLIII
SŁUCHAJCIE!

— Cyt! Słyszałeś ten szelest, Cabaco?

Było to w czasie środkowej wachty — księżyc świecił pięknie; marynarze stali sznurem ciągnącym się od jednej z beczek ze słodką wodą na śródokręciu aż do wielkiej kadzi przy burcie rufowej. W ten sposób podawali sobie kolejno wiadra, aby napełnić kadź. Jako że większość ich znajdowała się w uświęconym obrębie mostka kapitańskiego, pilnie więc baczyli, by nie gadać ani nie szurać nogami. Wiadra przechodziły z rąk do rąk w najgłębszej ciszy, którą od czasu do czasu przerywał tylko trzepot żagla i równy szum nieprzerwanie sunącego w przód kilu.

Właśnie wpośród tej ciszy Archy, jeden z marynarzy, zajmujący w szeregu miejsce opodal luku rufowego, szepnął swojemu sąsiadowi, metysowi, powyższe słowa.

— Cyt! Słyszałeś ten szelest, Cabaco?

— Bierzże wiadro, Archy! O jaki szelest ci idzie?

— O, znowu! Tam pod pokrywą luku… nie słyszałeś? Kaszlnięcie… to brzmiało całkiem jak kaszel.

— Do diabła z kaszlem! Dawaj to powracające wiadro!

— Znowu! Tak jest! A teraz to zupełnie tak, jakby kilku śpiących przewracało się z boku na bok!

— *Caramba!* Dajże już spokój, kamracie! To te trzy rozmoczone suchary, któreś zjadł na wieczerzę, kołaczą ci się po brzuchu — nic innego. Uważaj na wiadro!

— Gadaj sobie, co chcesz, bracie, a ja mam dobre uszy.

— O, tak! To ty przecie jesteś tym, co na pełnym morzu, o pięćdziesiąt mil od Nantucket dosłyszał brzęk drutów starej

kwakierki! Ty to potrafisz!

— Śmiej się zdrów. Zobaczymy, co się okaże. Słuchaj mnie, Cabaco — tam, w tylnej ładowni, siedzi ktoś, kogo się jeszcze nie widziało na pokładzie, a podejrzewam, że nasz Stary Mogoł wie o tym coś niecoś. Słyszałem, jak któregoś dnia w czasie wachty porannej Stubb gadał Flaskowi, iż coś w tym guście wisi w powietrzu.

— Tss… wiadro!

ROZDZIAŁ XLIV
MAPA

Gdybyście byli zeszli do kajuty za kapitanem Ahabem po szkwale, który się rozpętał owej nocy, kiedy to kapitan w sposób tak niesamowity obwieścił załodze o swoich zamiarach, ujrzelibyście, iż Ahab podszedł do szafki znajdującej się na belce poprzecznej, dobył stamtąd duży, zwinięty rulon pożółkłych map morskich i rozłożył je na stole przyśrubowanym do podłogi. Następnie widzielibyście, jak zasiadł przy nim, pilnie studiował różnorodne kreski i barwy, jakie napotykało tam jego oko, i powolnymi, ale pewnymi ruchami ołówka kreślił dodatkowe linie poprzez przestrzenie, które dotąd były puste. Od czasu do czasu zaglądał do ' leżącego opodal stosu starych dzienników okrętowych, gdzie zanotowane były pory roku oraz miejsca, w których złowiono albo widziano kaszaloty w czasie rozmaitych wypraw przedsiębranych poprzednio przez różne okręty.

Podczas gdy był tym zajęty, ciężka cynowa lampa, zawieszona na łańcuchu nad jego głową, ustawicznie kołysała się wraz z ruchem statku, nieprzerwanie rzucając ruchome blaski i smugi na zmarszczone czoło kapitana, aż się niemal zdało, że podczas gdy on sam wyznaczał linie i kursy na pomarszczonych mapach, jakiś niewidzialny ołówek również kreślił linie i kursy na głęboko żłobionej mapie jego czoła.

Ale nie tylko tej nocy Ahab w samotności swej kajuty tak ślęczał nad mapami. Dobywał ich niemal co noc; niemal co noc wycierał jakieś znaki ołówkowe, a na ich miejsce pojawiały się inne. Ahab bowiem rozłożywszy przed sobą mapy wszystkich czterech oceanów przebijał się przez labirynt prądów i wirów,

aby tym pewniej wprowadzić w czyn myśl prześladowczą swojej duszy.

Otóż komuś, kto nie zaznajomił się w całej pełni z obyczajami Lewiatanów, takie poszukiwanie jednego samotnego stworzenia po bezgranicznych oceanach tej planety może się wydać absurdalnie beznadziejnym przedsięwzięciem. Nie wydawało się nim jednak Ahabowi, znającemu kierunki wszystkich prądów i przypływów; w ten sposób bowiem potrafił obliczyć przesuwanie się żyjątek, którymi żywi się kaszalot, a przywodząc sobie na pamięć regularne, ustalone pory roku, w których najlepiej jest nam polować w różnych stronach świata, mógł dojść do rozsądnych wniosków zbliżonych niemal do pewności, co do najodpowiedniejszego dnia, w którym należy się znaleźć na tym a tym terenie, aby odszukać swoją ofiarę.

Okresowość odwiedzania przez kaszalota danych wód jest bowiem faktem tak bezspornym, iż wielu łowców uważa, że gdyby tylko zwierza ściśle obserwować i śledzić po całym świecie, gdyby starannie zestawić dzienniki okrętowe z jednej wyprawy całej wielorybniczej flotylli, wówczas okazałoby się, że wędrówki kaszalota są równie niezmienne jak wędrówki ławic śledzi czy. stad jaskółek. Z tej racji czyniono próby sporządzenia starannie opracowanych map wędrówek kaszalota.

Prócz tego, kaszaloty przenosząc się z jednego żerowiska na drugie, kierowane jakimś nieomylnym instynktem — albo powiedzmy raczej: tajemnymi informacjami udzielonymi im przez bóstwo — najczęściej płyną wzdłuż tak zwanych „żył", wybierając sobie drogę według danej linii na oceanie z tak niechybną dokładnością, że nigdy żaden okręt, opierając się na jakiejkolwiek mapie, nie szedł po swoim kursie z jedną dziesiątą równie cudownej precyzji. Chociaż w owych przypadkach kierunek obrany przez każdego poszczególnego wieloryba jest prosty jak przykładnica mierniczego i chociaż jego linia posuwania się jest ściśle ograniczona do własnego, nieuniknionego, prostego wartu, to jednak owa rzekoma „żyła", po której wówczas podobno płynie, obejmuje na ogół kilka mil

szerokości (mniej więcej — wziąwszy pod uwagę, że żyła powinna kurczyć się i rozszerzać), nigdy jednak nie przekracza pola widzenia z masztu żaglowca wielorybniczego, który ostrożnie sunie przez tę zaklętą strefę. Z tego wynika, że w odpowiedniej porze roku można z dużą pewnością poszukiwać wędrujących wielorybów wzdłuż takiego szlaku i w obrębie takiej szerokości.

Dlatego to Ahab mógł mieć nadzieję, że spotka swą ofiarę nie tylko w ustalonym czasie na dobrze znanych poszczególnych żerowiskach, ale krążąc po rozległych obszarach wodnych między tymi terenami, mógł swoją sztuką tak sobie wyznaczyć miejsce i czas na swej drodze, iż nawet tam nie był całkowicie pozbawiony możliwości spotkania.

Istniała pewna okoliczność, która na pierwszy rzut oka zdawała się wikłać jego obłędny, a jednak metodyczny plan. W rzeczywistości jednak tak chyba nie było. Choć towarzyskie kaszaloty mają swoje regularne pory odwiedzania poszczególnych terenów, jednakże na ogół nie można stąd wnosić, że stada, które nawiedziły w tym roku taką a taką szerokość czy długość geograficzną, okażą się, powiedzmy, identycznie tymi samymi, co te, które spotkało się tamże w poprzednim sezonie, mimo że istnieją poszczególne niewątpliwe przypadki, kiedy przekonujemy się, że tak było w istocie. To samo spostrzeżenie, tyle tylko, że w nieco mniejszym zakresie, odnosi się na ogół również do samotników i pustelników spośród dojrzałych, starych kaszalotów. Toteż choć Moby Dicka widziano w roku ubiegłym, przypuśćmy, na terenach Oceanu Indyjskiego zwanych Seychelle czy też w Zatoce Wulkanów u wybrzeży Japonii, nie wynika stąd jeszcze, że gdyby „Pe-quod" odwiedził obydwa te miejsca któregoś z następnych lat o tej samej porze, musiałby wówczas niechybnie go tam napotkać. To samo dotyczy także i innych terenów żeru, na których czasami się pokazywał. Wszystkie one jednak były dlań widocznie przypadkowymi popasami, oberżami na oceanie, że się tak wyrażę, a nie miejscem dłuższego pobytu.

Mówiąc więc wyżej o szansach, jakie miał Ahab na osiągnięcie swego celu, wspominano jedynie o jakichś ubocznych, przypuszczalnych, nadzwyczajnych możliwościach, które mógł mieć, zanimby dotarł do ustalonego miejsca, o ustalonym czasie, kiedy to wszelkie możliwości stają się prawdopodobieństwem, a jak marzył Ahab, każda możliwość — niemal pewnością. Ten właśnie ustalony czas i miejsce były połączone w jednym fachowym zdaniu: „Sezon Łowiecki na Równiku". Tam bowiem, o danej porze, przez kilka kolejnych lat rozpoznawano co pewien czas Moby Dicka, który zatrzymywał się chwilę na owych wodach, kiedy słońce w swym dorocznym obiegu przystawało na przewidziany moment przy którymś ze znaków zodiaku. Tam to odbywała się większość śmiertelnych spotkań z białym wielorybem, tam fale sławiły jego czyny, tam również *byto* owo miejsce tragiczne, w którym obłąkany kapitan znalazł straszliwą przyczynę swojej zemsty. Ale w ostrożnej przemyślności i niezmordowanej czujności, z jaką pchnął swą posępną duszę w ten nieubłagany pościg, Ahab nie pozwoliłby sobie wiązać wszystkich nadziei z tym jednym zasadniczym faktem, o którym wyżej była mowa, jakkolwiekby on nadziejom tym schlebiał,-a spędzające sen z powiek ślubowanie nie pozwalało mu tak ukoić poszukiwania, jakie by mógł tymczasem przedsięwziąć.

Otóż „Pequod" wypłynął z Nantucket na samym początku Sezonu Łowieckiego na Równiku. Dowódca żadną miarą nie mógł przebyć długiej drogi na południe, opłynąć Przylądka Horn i. po przemierzeniu sześćdziesięciu stopni szerokości geograficznej dotrzeć na czas do równikowych obszarów Pacyfiku, by tamże łowy rozpocząć. Dlatego musiał czekać na następny kolejny sezon. Jednakże przedwczesna pora wyruszenia „Pequoda" została, być może, prawidłowo wybrana przez Ahaba właśnie z uwagi na te wszystkie czynniki. Mianowicie miał przed sobą pusty okres trzystu sześćdziesięciu pięciu dni i nocy; odstęp czasu, który — zamiast go niecierpliwie przeczekiwać na lądzie — poświęciłby łowom, w razie gdyby przypadkiem biały wieloryb, spędzając wakacje na

morzach bardzo oddalonych od swoich okresowych żerowisk, miał wynurzyć swe pomarszczone czoło gdzieś niedaleko Zatoki Perskiej albo w Zatoce Bengalskiej czy też na Morzach Chińskich lub na jakichkolwiek innych wodach nawiedzanych przez jego plemię. Tak więc mussony, wiatry z pampasów, wichry północno-zachodnie, harmattany czy passaty — wszelkie wiatry z wyjątkiem lewantyńskich i samumu — mogły zapędzić Moby Dicka na kręty, zygzakowaty szlak, który „Pequod" zakreślał dokoła świata.

Ale nawet gdybyśmy się z tym wszystkim zgodzili, to jednak, zastanowiwszy się rozsądnie i spokojnie, czyż nie uznamy za wręcz szaloną myśl, że pojedynczy, samotny wieloryb, nawet jeżeli go się spotka na szerokim, bezmiernym oceanie, mógłby być rozpoznany przez łowcę — tak jakby ktoś chciał rozpoznać białobrodego mułłę wśród tłumnych ulic Konstantynopola! I owszem; rzecz ta jest możliwa. Albowiem nie sposób było pomylić się widząc osobliwy, śnieżnobiały łeb Moby Dicka i jego śnieżnobiały garb. „Czyż nie zakarbowałem sobie tego wieloryba — mruczał pod nosem Ahab, gdy poślęczawszy nad mapami długo w noc, powracał do swych rojeń — czyż nie zakarbowałem go sobie, miałżeby mi się wymknąć? Jego szerokie płetwy podziurawione są, poznaczone jak ucho zabłąkanej owcy!" I wtedy oszalały umysł kapitana zaczynał pędzić w pogoń bez tchu, aż przychodziło nań utrudzenie i zasłabnięcie myśli; wówczas Ahab próbował odzyskać siły na otwartym powietrzu pokładu. O, Boże! Jakież tortury udręki przechodzi ten, którego zżera jedyne, nienasycone pragnienie zemsty! Sypia z zaciśniętymi pięściami, a budzi się z krwawymi pazurami wbitymi we własne dłonie.

Często gnały Ahaba z hamaku wyczerpujące, nieznośne żywe zwidy nocne, które, pochwyciwszy jego myśli snute za dnia, niosły je dalej wśród opętania, wirując bez przerwy w rozpalonym mózgu, aż samo pulsowanie w nim życia stawało się nieznośną udręką. Kiedy zaś, jak to się czasami zdarzało, owa męka duszna wyważała jego jestestwo z posad, aż rozwierała się w nim jakby otchłań, z której wystrzelały

pióropusze płomieni i błyskawice, a potępione duchy dawały mu znak, by się z nimi połączył, kiedy to wewnętrzne piekło ziało pod jego stopami, wówczas przez wszystek okręt przenikał krzyk dziki i Ahab z gorejącymi oczyma wypadał ze swej kajuty, jak gdyby wyskakiwał z łoża, które ogarnął płomień. Rzeczy te jednak, miast być niepowściągalnymi przejawami jakiejś ukrytej słabości czy lęku przed własną decyzją, były najoczywistszymi znamionami napięcia jego siły., W takich razach szalony Ahab, przewidujący, niezaspokojony i uparty w swej pogoni za wielorybem, ten Ahab, który legł na hamaku, nie był tą samą siłą, która kazała mu zerwać sie. zeń na powrót w przerażeniu.

Siłą tą był odwieczny, żywy pierwiastek jego duszy, który oderwany na chwilę przez sen od rozumującego umysłu, używającego go kiedy indziej jako zewnętrznego narzędzia i sługi, szukał odruchowo ucieczki od palącej bliskości obłędu, z którym w danej chwili przestawał tworzyć jedność. Wszelako zważywszy, że myśl nie może istnieć bez powiązania z duszą, w wypadku Ahaba musiało dziać się tak, iż skoro człowiek ten podporządkował wszystkie swe myśli i wyobrażenia jednemu najwyższemu celowi, ten cel dzięki prostemu uporowi woli stawał się wbrew bogom i szatanom czymś w rodzaju samozwańczego, od niczego niezależnego bytu. Cel ten mógł wieść dalej swe ponure życie, mógł płonąć, podczas gdy ogólna żywotność człowieka, z którą był złączony, zdjęta przerażeniem uciekała od tego nieproszonego, nieprawego płodu. Dlatego też udręczony duch, promieniejący z oczu tego kogoś, kto zdawał się być Ahabem, w chwili gdy ów wypadał z kajuty, był w tym momencie pustką, bezkształtną, somnambuliczną istotą, promieniem światła, żywego, oczywiście, ale światła, które nic nie umiało ubarwić, było przeto pustką samą w sobie. Niechaj Bóg ma cię w swej pieczy, kapitanie; myśli twoje stworzyły w tobie istotę żywą — zaś na sercu tego, kogo myśl napięta czyni Prometeuszem, żeruje po wsze czasy sęp, a sęp ten jest tą właśnie istotą, którą on sam *w* sobie tworzy.

ROZDZIAŁ XLV
AFFIDAVIT

Poprzedni rozdział w swej pierwszej części należy do najważniejszych z całego tomu, jeśli idzie o to wszystko, co w książce niniejszej jest opowieścią, a także ponieważ pośrednio mówi o kilku wielce interesujących i osobliwych szczegółach dotyczących obyczajów kaszalotów. Jednakże główny temat tego rozdziału wymaga, żeby go dalej i dokładniej rozwinąć, a to w tym celu, by umożliwić właściwe jego zrozumienie i, co więcej, przezwyciężyć wszelkie niedowierzanie co do rzetelnej prawdziwości głównych punktów całej sprawy, wzbudzane w niektórych umysłach przez głęboką nieznajomość tematu.

Nie dbam o to, by wykonać tę część mego zadania w sposób metodyczny; zadowolnię się jedynie wywołaniem żądanego wrażenia przez oderwane cytowanie faktów znanych mi jako wielorybnikowi z praktyki albo ze źródeł pewnych; z tych zaś cytat, jak sądzę, wniosek, do którego dążę, sam wypłynie w sposób naturalny.

Po pierwsze: ja osobiście znam trzy przypadki, kiedy wieloryb zbiegł bez śladu z wbitym harpunem, a po pewnym odstępie czasu (trzyletnim, w jednym z przypadków) ugodzony został tą samą ręką i ubity, a wtedy wydobyto z cielska owe dwa żeleźca, oba znaczone tą samą osobistą cyfrą. W przypadku, kiedy to trzy lata — a jak sądzę, nawet nieco więcej — upłynęły między dwoma rzutami harpunów, człowiek, który je cisnął, wyruszył statkiem handlowym na wyprawę do Afryki, tam wysiadł na ląd, przyłączył się do ekspedycji odkrywczej, przeniknął głęboko do wnętrza kraju, gdzie przez okres niemal dwóch lat podróżował, nieraz narażony na niebezpieczeństwo

ze strony węży, dzikich krajowców, tygrysów, trujących wyziewów oraz na wszystkie inne zwykłe przygody związane z wędrówką w sercu nieznanych krain. Tymczasem wieloryb, którego ugodził, musiał również odbywać swoje podróże; niewątpliwie po trzykroć opłynął kulę ziemską ocierając się o wszystkie wybrzeża Afryki, ale jednak na próżno. Ten sam człowiek i ten sam wieloryb znowu-natknęli się na siebie, a wtenczas jeden pokonał drugiego. Jak powiadam, sam znałem trzy podobne przypadki, to znaczy w dwóch z nich widziałem, jak ugodzono wieloryba, a po drugim ataku wydobyto z nieżywej ryby oba żelaza z wyrzezanymi na nich odnośnymi znakami. W tamtym trzyletnim wypadku tak się przydarzyło, że znajdowałem się w łodzi oba razy — za pierwszym i za ostatnim, a tym drugim razem wyraźnie rozpoznałem pod okiem wieloryba szczególnego rodzaju wielkie znamię, które zauważyłem przed trzema laty. Mówię tu o trzech latach, ale jestem niemal pewny, że trwało to dłużej. Oto więc trzy przykłady, o których prawdziwości osobiście się przekonałem; słyszałem jednak o wielu innych od osób, co do których prawdomówności w danej materii nie ma powodu wysuwać jakichkolwiek zarzutów.

Po wtóre: poławiaczom kaszalotów dobrze to wiadomo, jakkolwiek nieświadomi są tego ludzie żyjący na lądzie, że istnieje kilka pamiętnych historycznych przykładów, iż danego wieloryba powszechnie na oceanie rozpoznawano w znacznych odstępach czasu oraz w odległych od siebie miejscach. Przyczyną faktu, że go sobie w ten sposób zakonotowano, nie były wyłącznie i w pierwszym rzędzie jakieś jego fizyczne właściwości, odmienne niż u innych wielorybów, jakkolwiek bowiem osobliwy może być w tej mierze który bądź z nich, rychło kładzie się koniec owym osobliwościom przez ubicie go i przetopienie na osobliwie wartościowy olej. Nie; przyczyna była tu następująca: na skutek zgubnych doświadczeń połowów otaczał takiego wieloryba straszliwy urok niebezpieczeństwa, podobnie jak Rinalda Rinaldini, tak że większość rybaków, rozpoznawszy go, zadowalała się po prostu dotknięciem dłonią

swych zydwestek, kiedy go wypatrzyli z wolna sunącego mimo przez toń morską; nie usiłowali natomiast nawiązywać z nim bardziej poufałej znajomości. Podobnie i na lądzie niektórzy hołysze, znając przypadkowo popędliwego, a możnego człeka, spotkawszy go na ulicy składają mu z dala nie natrętny ukłon, gdyby bowiem narzucali się owemu znajomemu, mogliby krótko i węzłowato oberwać szturchańca za zbytnią dufność w siebie.

Ale każdy z tych słynnych wielorybów nie tylko się cieszył ogromną indywidualną sławą — mało powiedzieć: rozgłosem sięgającym jak ocean długi i szeroki; nie tylko był słynny za życia, a teraz, po zgonie, zyskał nieśmiertelność w historiach opowiadanych o nim na forkasztelu, ale jeszcze dopuszczony został do wszelkich praw, przywilejów i zaszczytów związanych z wielkim imieniem — miał bowiem imię równie potężne jak Cezar czy Kambyzes. Czyż nie tak to było, o Timor Tomie, ty przesławny Lewiatanie o ciele znaczonym bliznami jak góra lodowa, któryś tak długo czatował we wschodnich cieśninach tegoż imienia, ty, którego fontannę częstokroć oberwowano z palmowych plaż Ombaju? Czy nie tak było, Jacku Nowozelandzki, ty postrachu wszystkich żeglarzy, którzy krzyżowali swe szlaki w pobliżu Tattoo Lant? Czy nie podobnie działo się z tobą, o Morquanie, królu Japonii, którego wydmuch wyniosły przybierał czasem, jak powiadają, pozór śnieżnobiałego krzyża widnego na tle nieba? Czy nie tak było, Don Miguelu, wielorybie chilijski, znaczony jak stary żółw tajemniczymi hieroglifami na grzbiecie! Oto, mówiąc prostymi słowy, cztery wieloryby równie dobrze znane badaczom cetologii jak Mariusz czy Sulla uczonym klasykom.

Ale to jeszcze nie wszystko. Jacka Nowozelandzkiego czy Don Miguela, które kilkakroć poczyniły ogromne spustoszenie wśród łodzi należących do rozmaitych okrętów, poczęto poszukiwać, systematycznie tropić, ścigać i na koniec oba wieloryby zginęły z ręki dzielnych kapitanów, którzy podnieśli kotwicę mając na widoku ten właśnie cel, podobnie jak za dawnych czasów kapitan Butler przedzierając się przez puszczę Narragansett

żywił zamiar pojmania owego słynnego, okrutnego krajowca Annawona, czołowego bojownika Filipa, króla Indian.

Nie wiem, gdzie mógłbym znaleźć lepsze miejsce niż tutaj, żeby wspomnieć o kilku innych rzeczach, które wydają mi się dużej wagi, jako że w drukowanej formie utwierdzić mogą pod każdym względem wiarogodność całej historii białego wieloryba, a w szczególności samej katastrofy. Chodzi tu bowiem o jeden z tych zniechęcających przypadków, kiedy to prawda wymaga w całej pełni równego uzasadnienia, jak błąd. Ludzie lądu odznaczają się mianowicie taką nieświadomością niektórych najoczywistszych, najbardziej namacalnych cudów świata, że bez jakiejś wzmianki o prostych faktach, historycznych czy innych, dotyczących wielorybnictwa, mogliby się naigrawać z Moby Dicka jako z potwornej bajki, a co jeszcze gorsze i obrzydliwsze, uważać go za ohydną, nieznośną alegorię.

Po pierwsze: mimo że większość ludzi posiada jakieś mgliste przebłyski pojęcia o niebezpieczeństwach wielkiego rybołówstwa; przecie nie mają oni niczego w rodzaju ustalonego, żywego wyobrażenia o tychże niebezpieczeństwach oraz o częstotliwości, z jaką się ponawiają. Jedną z przyczyn jest tu, być może, fakt, że ani jedna na pięćdziesiąt rzeczywistych katastrof oraz gwałtownych zgonów w czasie połowów nie staje się w kraju przedmiotem publicznej wzmianki, bez względu na to, jak przemijająca i rychło zapomniana miałaby być taka wzmianka. Albož sądzicie, że imię owego nieszczęśnika, który może w tej właśnie chwili oplatany liną wielorybniczą u wybrzeży Nowej Gwinei ciągniony jest na dno morza przez nurkującego Lewiatana — albož sądzicie, że imię tego nieszczęśnika ukaże się w nekrologach gazet, które będziecie jutro czytać przy śniadaniu? Nie, ponieważ poczta kursuje bardzo nieregularnie między tym miejscem a Nową Gwineą. I po prawdzie, czyście też kiedykolwiek słyszeli coś, co by można nazwać rzetelnymi wiadomościami bezpośrednio czy pośrednio nadesłanymi z Nowej Gwinei? A przecież oświadczam wam, że w czasie jednej tylko podróży, jaką odbyłem po Pacyfiku,

przeprowadziliśmy rozmowy między innymi także i z trzydziestoma rozmaitymi statkami, z których każdemu wieloryb zabił człowieka, niektórym z nich kilku ludzi, trzy zaś straciły po pełnej załodze łodzi. Na miłość boską, oszczędzajcie lamp i świeczek! Nie wypalacie ani galona oleju, który by nie kosztował przynajmniej jednej kropli ludzkiej krwi.

Po drugie: ludzie na lądzie mają jakieś nieokreślone pojęcie, że wieloryb jest ogromnym stworzeniem o ogromnej sile; zawsze jednak stwierdzałem, że kiedym opowiadał o jakichś określonych przykładach owego podwójnego ogromu, oni znacząco winszowali mi mojej krotochwiłności, podczas gdy klnę się na mą duszę, że nie bardziej mi wówczas postała w głowie krotochwilność niż Mojżeszowi, kiedy spisywał historię plag egipskich.

Na szczęście jednak ten szczególny punkt, do którego tu zmierzam, da się ustalić na podstawie świadectwa całkowicie niezależnego od mojego własnego. Rzecz sprowadza się do tego: w niektórych razach kaszalot jest dość silny, świadomy i przemyślnie złośliwy, aby z bezpośrednim rozmysłem roztrzaskać, całkowicie zniszczyć i zatopić spory statek; a co więcej, zdarzało się już, że kaszalot to czynił.

Po pierwsze: w roku 1820 statek „Essex" z Nantucket krążył pod dowództwem kapitana Pollarda po Oceanie Spokojnym. Pewnego dnia dojrzano fontanny wydechów, spuszczono łodzie i rzucono się w pogoń za stadem kaszalotów. W ciągu krótkiego czasu zraniono już kilka wielorybów, kiedy nagle bardzo duży kaszalot wymknął się łodziom, wyrwał ze stada i puścił prosto na statek. Grzmotnąwszy czołem w kadłub wybił w nim taką dziurę, że w ciągu „mniej niż dziesięciu minut" statek osiadł i przewrócił się na bok. Od tej pory nie ujrzano już z niego ani jednej ocalałej deski. Po najsroższych przejściach część załogi dotarła na łodziach do lądu. Powróciwszy na koniec do domu, kapitan Pollard raz jeszcze wyruszył na Pacyfik jako dowódca innego statku, ale i tym razem bogowie rozbili go na niewiadomych rafach i odmętach; po raz drugi utracił ze szczętem statek i bezzwłocznie odżegnawszy się od morza,

nigdy go już więcej nie kusił. W chwili obecnej kapitan Pollard przebywa w Nantucket. Widziałem się z Owenem Chace, który był pierwszym oficerem „Essexa" podczas tej tragedii, przeczytałem jego prostą i wierną relację, rozmawiałem z jego synem, a wszystko to o kilka mil od miejsca katastrofy.

Po drugie: w roku 1807 statek „Union" również zaginął bez wieści niedaleko Azorów, w następstwie podobnego ataku; jednakże dotąd nie udało mi się natrafić na autentyczne szczegóły owej katastrofy, mimo że od czasu do czasu słyszałem przypadkowe na ten temat wzmianki z ust poławiaczy wielorybów.

Po trzecie: zdarzyło się jakieś osiemnaście czy dwadzieścia lat temu, że komodor J., naówczas dowodzący amerykańskim słupem wojennym pierwszej klasy, wieczerzał z grupą kapitanów wielorybniczych na pokładzie statku nantucketańskiego stojącego w porcie Oahu na Hawajach. Kiedy rozmowa zeszła na wieloryby, komodor uważał za stosowne wyrazić swój' sceptycyzm co do zdumiewającej siły przypisywanej im przez obecnych zawodowców. Zaprzeczył na przykład w sposób nie uznający sprzeciwu, żeby jakikolwiek wieloryb był zdolny tak ugodzić jego krzepki siup, by spowodować przeciekniecie choćby naparstka wody. Pięknie; ale coś tu jeszcze nastąpi. Otóż w kilka tygodni później komodor wyruszył na tym niepokonanym okręcie do Valparaiso. Zatrzymany został jednak w drodze przez postawnego kaszalota, który poprosił go o kilka chwil rozmowy w sprawie poufnej. Sprawa ta polegała na wymierzeniu okrętowi komodora takiego szturchańca, że dowódca uruchomiwszy wszystkie pompy podążył prościutko do najbliższego portu, by tam położyć okręt na bok i naprawić go. Nie jestem przesądny, ale uważam owo spotkanie komodora z wielorybem za opatrznościowe. Zaliż Szaweł z Tarsu nie został nawrócony z niewiary przez podobny strach? Powiadam wam: kaszalot nie znosi bzdur.

Odeślę was teraz do *Podróży* Langsdorffa w pewnej sprawie z tym związanej, szczególnie interesującej dla piszącego te słowa.

Jak wam to zapewne wiadomo, Langsdorff był przydzielony do słynnej ekspedycji odkrywczej rosyjskiego admirała Krusensterna, na początku obecnego stulecia. Kapitan Langsdorff tak rozpoczyna swój rozdział siedemnasty:

Dnia trzynastego maja okręt nasz gotów był do podróży i nazajutrz znaleźliśmy się na pełnym morzu, w drodze do Ochocka. Pogoda była bardzo piękna i czysta, wszelako zimno tak nieznośne, iż zmuszeni byliśmy zatrzymać na sobie futra. Przez kilka dni mieliśmy bardzo słaby wiatr; dopiero dziewiętnastego zerwał się od północno-zachodu ostry sztorm. Niepospolicie ogromny wieloryb, którego cielsko większe było od samego okrętu, spoczywał niemal na powierzchni wody,- nikt jednak ze znajdujących się na pokładzie nie zauważył go aż do chwili, kiedy okręt płynący pod wszystkimi żaglami już niemal nań najechał, tak iż niepodobna było zapobiec zderzeniu. Znaleźliśmy się przez to w najbardziej bezpośrednim niebezpieczeństwie, ponieważ ów zwierz gigantyczny, wyprostowawczy kark, uniósł okręt na co najmniej trzy stopy ponad wodę. Maszty zachybotały się, żagle zupełnie opadły, my zaś, którzyśmy byli na dole, wyskoczyliśmy niezwłocznie na pokład w przekonaniu, że zderzyliśmy się z jakąś skałą; miast tego ujrzeliśmy potwora odpływającego z najwyższą powagą i dostojeństwem. Kapitan D'Wolf natychmiast- puścił w ruch pompy, by sprawdzić, czy okręt nie doznał jakichś szkód od uderzenia, ale przekonaliśmy się, że na szczęście wyszedł zupełnie bez szwanku.

Owóż ten kapitan D'Wolf, o którym tu mowa jako o dowódcy wspomnianego statku, pochodzi z Nowej Anglii i po długim, pełnym niezwykłych przygód żywocie kapitana okrętu przebywa obecnie w wiosce Dorchester niedaleko Bostonu. Mam zaszczyt być jego siostrzeńcem. Wypytywałem go szczegółowo o ten fragment z Langsdorffa. Potwierdził każde słowo. Jednakże statek nie był bynajmniej wielki; był to żaglowiec rosyjski zbudowany na wybrzeżu Syberii i zakupiony

przez mojego wuja po sprzedaniu przezeń statku, na którym przypłynął z kraju.

W owej na wskroś męskiej księdze starodawnych przygód, tak , przy tym pełnej szczerych dziwów — w podróży Lionela Wafer, jednego ze starych kompanionów Dampiera — znalazłem pewien szczegół spisany w sposób tak podobny do tego, który przed chwilą cytowałem z Langsdorffa, że nie mogę się powstrzymać od zamieszczenia go tutaj jako potwierdzającego przykładu, na wypadek gdyby takowy okazał się potrzebny.

Lionel, jak się okazuje, był w drodze do „John Ferdinando", jak nazywa obecne Juan Fernandez.

Właśnie gdy tam płynęliśmy — powiada — *około godziny czwartej nad ranem, w chwili gdy znajdowaliśmy się o jakieś kilkaset mil od lądu amerykańskiego, statek nasz doznał okrutnego wstrząsu, który w takiej konsternacji ludzi naszych pogrążył, że ledwie się potrafili rozeznać, gdzie są i co myśleć należy; każdy wszelako począł się na śmierć gotować. A i po prawdzie wstrząs był tak nagły i gwałtowny, żeśmy już pewność mieli, iż okręt z rafą się zderzył; aliści kiedy osłupienie nieco przeminęło, zarzuciliśmy sondę i popróbowaliśmy zgruntować, jednakże na dno nie natrafiono. Raptowność wstrząsu sprawiła, że działa podskoczyły na łożach, a kilku ludzi wyleciało z hamaków. Kapitan Davis, który leżał z głową wspartą o działo, wyrzucony został z kabiny!*

Dalej Lionel przypisuje ten wstrząs trzęsieniu ziemi i usiłuje uzasadnić to przypuszczenie stwierdzając, że istotnie wielkie trzęsienie ziemi w tymże mniej więcej czasie wyrządziło ogromne szkody na lądzie hiszpańskim. Nie dziwiłbym się jednakże, gdyby to uderzenie w mroku tak wczesnej porannej godziny spowodowane zostało mimo wszystko przez niewidzialnego wieloryba, który grzmotnął w kadłub pionowo od spodu.

Mógłbym jeszcze wyliczyć szereg dalszych, znanych mi stąd czy zowąd przykładów olbrzymiej mocy, a czasem i złośliwości kaszalota. Wiadomo, że zdarzały się przypadki, kiedy nie tylko zapędzał atakujące łodzie z powrotem do statku, ale też ścigał i sam statek, przez długi czas nie zważając na wszystkie lance miotane z pokładu. Angielski żaglowiec „Pusie Hali" mógłby coś na ten temat powiedzieć; jeśli zaś idzie o siłę kaszalota, pozwólcie sobie oświadczyć, że bywały przypadki, kiedy w czasie ciszy morskiej liny, przytwierdzone do harpunów wbitych w pędzącego wieloryba, przeciągano na statek i tamże przymocowywano, a wieloryb holował po wodzie ogromny kadłub, zupełnie jak koń ciągnący wóz. Prócz tego często można zaobserwować, że jeśli już ugodzonemu kaszalotowi da się czas zebrać siły, wtedy działa najczęściej nie ze ślepą furią, ale z upartym, rozmyślnym zamiarem zniweczenia swych prześladowców; nie jest zaś pozbawiony wymownych wskazówek co do jego charakteru fakt, iż kiedy zwierza zaatakować, częstokroć otwiera paszczę i zatrzymuje ją w tym straszliwym rozwarciu przez kilka minut. Muszę się jednak zadowolić jeszcze jednym i ostatnim przykładem; przykładem godnym uwagi i wielce znaczącym, na podstawie którego nie omieszkacie się przekonać, że najbardziej zdumiewające wydarzenie w tej książce nie tylko potwierdzone przez oczywiste fakty z czasów obecnych, ale że owe cuda (jak wszelkie cuda) są po prostu powtórzeniem tego, co działo się przed wiekami; tak więc po raz milionowy mówimy „amen" za Salomonem. Zaprawdę, nie ma nic nowego pod słońcem.

W szóstym stuleciu po Chrystusie, za czasów, kiedy to Justynian był cesarzem, a Belizariusz wodzem, żył w Konstantynopolu pewien urzędnik sądowy imieniem Prokop. Jak to wielu ludziom wiadomo, spisał on historię swojej epoki, dzieło pod każdym względem niepospolitej wartości. Był zawsze uważany przez osoby najbardziej miarodajne za historyka niezwykle godnego zaufania, tudzież wolnego od przesady — z wyjątkiem kilku szczegółów które w żadnej mierze nie tyczą się sprawy, o jakiej mamy tu zaraz wspomnieć.

Owóż w tej swojej historii Prokop nadmienia, że w okresie jego prefektury w Konstantynopolu pojmano na sąsiedniej Propontydzie, czyli morzu Marmara, olbrzymiego potwora morskiego, który w ciągu lat z górą pięćdziesięciu co pewien czas niszczył na owych wodach okręty. Niełatwo zaprzeczyć faktowi w ten sposób zanotowanemu w tak rzeczowej historii; nie ma też żadnego powodu, żeby to czynić. Nie wspomniano tam, do jakiego dokładnie gatunku potworów ów należał. Ale jako że rozbijał okręty, a także i z innych przyczyn, musiał być wielorybem; ja zaś jestem wielce skłonny przypuszczać, iż chodziło tu o kaszalota, a zaraz powiem, dlaczego. Przez długi czas wyobrażałem sobie, że kaszalot nie był nigdy znany na Morzu Śródziemnym oraz na głębokich wodach z nim się łączących. Nawet i teraz pewien jestem, że te morza nie są, a i zapewne w tym stanie rzeczy nigdy być nie mogą miejscem, które by kaszalot pospolicie w stadach nawiedzał. Wszelako dalsze badania dostarczyły mi ostatnio dowodów, że w czasach współczesnych zdarzały się odosobnione przypadki obecności kaszalota na Morzu Śródziemnym. Wiadomo mi z dobrych źródeł, że niejaki komodor Davis z marynarki brytyjskiej odnalazł szkielet kaszalota na wybrzeżu Barbarii. A zważywszy, że okręt wojenny łacno przepływa przez Dardanele, więc i kaszalot mógł tą samą drogą przedostać się z Morza Śródziemnego na Propontydę.

O ile mogłem się dowiedzieć, nie sposób znaleźć na Propontydzie owej szczególnej substancji zwanej *britem,* a będącej karmą wieloryba właściwego. Mam jednak wszelkie powody przypuszczać, że pożywienie kaszalota — mięczaki i mątwa — czai się na dnie owego morza, jako że na powierzchni spotykano duże — choć bynajmniej nie największe — stworzenia tego właśnie rodzaju. Jeżeli więc zestawicie owe wiadomości w sposób należyty i zastanowicie się nad nimi przez chwilę, to stwierdzicie jasno, że według wszelkiego prawdopodobieństwa potworem morskim Prokopa, który to potwór przez pół wieku rozbijał okręty cesarza rzymskiego, musiał najprawdopodobniej być kaszalot.

ROZDZIAŁ XLVI
PRZYPUSZCZENIA

Choć trawiony gorejącym płomieniem swojej pasji Ahab we wszystkich myślach i czynach miał stale na widoku ostateczne pokonanie Moby Dicka; chociaż zdawało się, że jest gotów poświęcić wszelkie doczesne sprawy tej jednej namiętności — niemniej jednak musiał być z natury i wskutek długiego przyzwyczajenia zbyt przesiąknięty obyczajami zażartych wielorybników, żeby całkowicie porzucić myśl o jednoczesnym kierowaniu właściwą wyprawą. Jeśli zaś nawet rzecz się miała inaczej, to nie brakło mu innych pobudek wywierających nań znacznie większy wpływ. Może byłoby zbytnią przesadą twierdzić — nawet biorąc pod uwagę jego manię prześladowczą — że mściwość Ahaba wobec białego wieloryba mogła się rozciągnąć do pewnego stopnia na wszystkie kaszaloty i że im więcej ubił tych potworów, tym bardziej mnożył możliwości, iż każdy następny wieloryb, jakiego napotka, może się okazać tym znienawidzonym, którego ścigał. Jeżeliby jednak nawet wykluczyć podobną hipotezę, zawsze pozostawały inne dodatkowe względy, które, choć nie tak ściśle związane z gwałtownością jego naczelnej pasji, nie były bynajmniej niezdolne do kierowania jego krokami.

Aby osiągnąć swój cel, Ahab musiał używać narzędzi; a ze wszystkich narzędzi używanych pod słońcem, najbardziej skłonni do psucia się są ludzie. Ahab wiedział na przykład, że jakkolwiek magiczna była pod pewnymi względami jego władza nad Starbuckiem, nie panował jednak całkowicie nad duchem tego człowieka, tak jak zwyczajna fizyczna wyższość nie pociąga jeszcze za sobą umysłowego władztwa; bowiem dla

kogoś na wskroś uduchowionego rozum pozostaje z duchem ledwie w jakimś rodzaju cielesnego pokrewieństwa. Dopóki Ahab skierowywał swój magnes na mózg Starbucka, dopóty ciało Starbucka i jego ujarzmiona wola należały do Ahaba; a jednak kapitan wiedział, że mimo wszystko pierwszy oficer żywi w duchu wstręt do tej pogoni i gdyby tylko mógł, z radością by się z niej wyłączył, a może ją nawet udaremnił. Mogło się zdarzyć, że upłynąłby długi okres czasu, zanimby ujrzano białego wieloryba. W ciągu tego długiego okresu Starbuck zawsze by był skłonny na nowo popaść w otwarty bunt przeciw władztwu kapitana, chyba żeby podziałał nań jakiś normalny, roztropny uboczny wpływ. Mało tego; wyrafinowane szaleństwo Ahaba związane z Moby Dickiem nigdzie nie objawiało się znamienniej niż w najwyższej logice i przebiegłości w przewidywaniu faktu, że pościg winien na razie być w pewnym sensie pozbawiony owej niesamowitej, fantastycznej szatańskości, jaka go z natury rzeczy cechowała; że należy usunąć na drugi, mroczny plan wszystką straszliwość owej wyprawy (bowiem tylko nieliczni odznaczają się odwagą mogącą zdzierżyć przedłużające się rozmyślania, którym nie folguje czyn); że jego oficerowie i marynarze, trwając na długich wachtach nocnych, muszą mieć jakiś bliższy temat do rozważań niż Moby Dick. Bo choć dzika załoga przyjęła tak żarliwie i namiętnie obwieszczenie o celu poszukiwań, przecie wszyscy marynarze są mniej lub więcej kapryśni i nieobliczalni — żyją wśród zmiennej pogody i wdychają jej niestałość, jeśli zaś chce się ich zachować dla jakiegoś odległego i niepewnego celu, to choćby on w końcu obiecywał nie wiedzieć ile przeżyć i pasji, trzeba koniecznie i przede wszystkim dać im tymczasem jakieś zainteresowanie i zajęcie, które by ich utrzymało w zdrowym napięciu przed ostatecznym wysiłkiem.

Ahab nie zapominał też i o innej rzeczy. W chwilach silnych przeżyć ród ludzki gardzi wszelkimi niskimi względami; chwile takie są jednak przelotne. Ahab uważał, że trwałym, podstawowym stanem pospolitego człeka jest niskość pobudek. Choćby się przyjęło, że biały wieloryb w całej pełni rozpala

serca tej mojej dzikiej załogi, a igrając z jej dzikością wzbudza w niej nawet niejaką szlachetną błędnorycerskość, to jednak jeżeli ludzie ci z samego zamiłowania wszczynają pogoń za Moby Dickiem, muszą także otrzymać strawę dla swych bardziej pospolitych powszednich apetytów. Przecie nawet wzniośli i rycerscy krzyżowcy z dawnych czasów nie zadowalali się przebyciem dwóch tysięcy mil, by walczyć o Grób Pański, ale po drodze dopuszczali się włamań, drobnych kradzieży kieszonkowych oraz zdobywali inne przygodne pobożne korzyści. Gdyby im kazano ściśle się trzymać tylko ostatecznego romantycznego celu — wówczas wielu z nich odwróciłoby się odeń z obrzydzeniem. „Nie pozbawię tych ludzi — myślał sobie Ahab — wszelkiej nadziei na pieniądze, tak: pieniądze. Mogą obecnie gardzić kasą; ale niech tylko minie kilka miesięcy bez żadnych na nią widoków, a już ta sama drzemiąca w ich pragnieniach kasa nagle się zbuntuje i rychło zakasuje Ahaba."

Nie brakło też i innych, z ostrożności poczętych pobudek, bliżej związanych z osobą Ahaba. Był on obecnie całkiem świadom, że skoro już wyjawił — prawdopodobnie pod wpływem impulsu i może" nieco przedwcześnie — główną, choć osobistą, przyczynę wyprawy „Pequoda", czyniąc to otworzył pośrednio drogę oskarżeniu o przywłaszczenie sobie władzy, na które to oskarżenie nie było odpowiedzi. Załoga, jeśliby taka była jej wola i jeśliby była po temu zdolna, mogła teraz zupełnie bezkarnie, tak pod względem moralnym jak i prawnym, odmówić mu wszelkiego dalszego posłuszeństwa, a nawet gwałtem wydrzeć z jego rąk władzę. Ahab musiał oczywiście jak najpilniej baczyć, aby się ustrzec przed najmniejszym zarzutem uzurpacji oraz przed możliwymi konsekwencjami jego potajemnego rozpowszechniania. Obrona mogła tu polegać tylko na własnym, przemożnym mózgu, sercu i dłoni, wspartych baczną uwagą, ściśle obliczającą najdrobniejsze nawet wpływy atmosferyczne, jakim załoga mogła ulegać.

Z tych wszystkich więc przyczyn oraz z innych jeszcze, zbyt może zawiłych, aby je tu wyłuszczać, Ahab jasno dostrzegał, że

musi w znacznym stopniu okazać się nadal wiernym właściwemu, nominalnemu celowi wyprawy „Pequoda"', przestrzegać wszelkich przyjętych obyczajów, i nie tylko to, ale jeszcze przymusić się do okazywania swego dobrze znanego, namiętnego zapału do rzemiosła wielorybniczego w ogólności.

Jakkolwiek tam było, głos jego dawał się teraz często słyszeć, gdy kapitan nawoływał posterunki na wszystkich trzech masztach, napominając je, aby bystro wypatrywały i nie omieszkały meldować nawet o delfinie. Czujność ta niedługo pozostała bez nagrody.

ROZDZIAŁ XLVII
WYRABIACZ MAT

Było pochmurne, duszne popołudnie; marynarze leniwie wałęsali się po pokładach albo bezmyślnie spoglądali na ołowiane wody. Queequeg i ja spokojnie zabraliśmy się do wyplatania tak zwanej „maty mieczowej", która miała być dodatkowo przytwierdzona do naszej łodzi. Wszystko wokoło było tak ciche i przytłumione, a jednak zapowiadające jakoweś wydarzenia, a w powietrzu wisiał spokój tak zaklęty, że każdy milczący marynarz zdawał się roztapiać w swym własnym, niewidzialnym jestestwie.

Byłem pomocnikiem czy paziem Queequega przy tej pracy nad matą. Kiedy przewlekałem tam i na powrót wątek linki między długimi włóknami osnowy, używając własnej dłoni miast czółenka, Queequeg zaś, stojąc bokiem, od czasu do czasu wsuwał swój ciężki dębowy „miecz" pomiędzy włókna i spoglądając leniwie na wodę, niedbale i od niechcenia przeciągał każde z nich na swoje miejsce — jak powiadam, nad całym statkiem i morzem panowało wówczas tak dziwne rozmarzenie, przerywane tylko tępym, przelotnym szelestem „miecza", że zdało się, iż oto są Krosna Czasu, a ja jestem czółenkiem mechanicznie tkającym i tkającym Przeznaczenie. Leżały tu oto nitki osnowy poddane tylko jednej, stale powracającej, niezmiennej wibracji, ta zaś wibracja była ledwie tyle silna, by pozwolić na skrzyżowanie i przemieszanie innych nici z tamtymi. Osnowa zdawała się być Koniecznością i pomyślałem sobie, że oto własną ręką przesuwam właśnie czółenko i przez ten niezmienne nici przeplatam własny los. Natomiast „miecz" Queequega, obojętny, impulsywny, czasem

trafiający w wątek ukośnie czy krzywo, raz krzepko, raz słabło, jak się przydarzyło — przez samą tę różnicę końcowego ciosu, powodując odpowiedni kontrast w ostatecznym wyglądzie gotowej tkaniny — ów miecz dzikiego, pomyślałem, miecz ostatecznie kształtujący i formujący tak wątek jak i osnowę, ów swobodny, nieczuły miecz musi być Trafem. Tak, traf, wolna wola i konieczność — bynajmniej ze sobą nie sprzeczne — wszystkie one współdziałają przeplatając się wzajemnie. Prosta osnowa konieczności, nie dająca się odchylić od swego ostatecznego kierunku — choć każda jej kolejna wibracja do tego tylko zmierza — wolna wola, dość wolna, by przesuwać swe czółenko między danymi nićmi, i traf, choć powściągany w swych igraszkach przez proste linie konieczności, z boku zaś kierowany w swych ruchach przez wolną wolę, choć tak rządzony przez nie obie, sam także z kolei władzę przejmuje i zadaje ostatni, kształtujący cios wydarzeniom.

Właśnie byliśmy zajęci owym tkaniem, kiedy nagle drgnąłem na dźwięk tak dziwny, przeciągły, melodyjnie dziki i nieziemski, że kłębek wolnej woli wypadł mi z ręki i przystanąłem ze wzrokiem wzniesionym ku obłokom, z których głos ten opadał jak na skrzydłach. Wysoko w górze, na salingu, stał ów szalony GayHeader, Tasztego. Ciało jego było namiętnie wychylone do przodu, ręka wyciągnięta jak różdżka; z krótkimi przerwami wyrzucał z siebie nagły krzyk. Ten sam dźwięk, rzecz jasna, można było zapewne w tejże chwili słyszeć na wszystkich morzach, dolatujący z setek marsów wielorybniczych zawieszonych wysoko w powietrzu; z nielicznych jednak płuc ów stary, znany okrzyk wydobyć tak przedziwny ton jak z płuc Indianina Tasztego.

Kiedy tak unosił się nad nami, na wpół zawieszony w powietrzu, patrząc dziko i z napięciem w stronę horyzontu, można było pomyśleć, że to jakiś prorok czy wieszczek oglądający cienie Przeznaczeń i dzikimi krzykami oznajmiający o ich nadejściu.

— Tam dmucha! Tam! Tam! Tam! Dmucha! Dmucha!

— Gdzie?

— Po zawietrznej, ze dwie mile stąd. Całe stado! Natychmiast uczyniło się wielkie poruszenie.

Kaszalot dmucha tak, jak tyka zegarek — z tą samą niechybną i pewną regularnością. Po tym wielorybnicy odróżniają tę rybę od innych pokrewnych plemion.

— O, ogon! — zabrzmiał krzyk Tasztego i wieloryby zniknęły.

— Steward! Prędko! — zawołał Ahab. — Godzina! Godzina! Grubas popędził na dół, rzucił okiem na zegar i zameldował

Ahabowi czas co do minuty.

Teraz statek wyprowadzono z wiatru; począł więc łagodnie sunąć przed siebie. Ponieważ Tasztego doniósł, że wieloryby poszły pod wodę kierując się na zawietrzną, spodziewaliśmy się, że je z pewnością ponownie ujrzymy wprost przed dziobem. Tym razem bowiem owa szczególna przebiegłość, jaką czasem wykazuje kaszalot, kiedy to zanurzywszy się z łbem skierowanym w jedną stronę, potrafi jednak, ukryty pod wodą, zrobić młynka i chyżo popłynąć w przeciwnym kierunku — ten jego podstęp nie mógł w tej chwili mieć zastosowania, ponieważ nie było powodu przypuszczać, żeby ryba dostrzeżona przez Tasztega była czymkolwiek spłoszona, czy nawet w ogóle zdawała sobie sprawę, że znajdujemy się w pobliżu. Jeden z ludzi wybranych do pełnienia straży na pokładzie — to znaczy nie przydzielonych do łodzi — zluzował już Indianina na szczycie grotmasztu. Majtkowie stojący na topach fok- i bezanmasztu zeszli na dół, bębny lin umieszczono na swoich miejscach, wysunięto dźwigi, przebrasowano grotreję i wszystkie trzy łodzie zakolebały się nad wodną tonią jak trzy kępki nadmorskich traw ponad urwistym brzegiem. Zawieszeni w nich poza burtą statku marynarze uchwycili się poręczy jedną ręką, stopy zaś w oczekiwaniu wsparli o krawędzie łodzi. Podobnie wygląda długi szereg marynarzy okrętu wojennego gotowych do skoku na pokład wrażej korwety.

W tejże jednak krytycznej chwili dał się słyszeć nagły okrzyk, który oderwał wszystkie oczy od wieloryba. Każdy drgnął i wbił wzrok w ponurego Ahaba, który ukazał się otoczony pięcioma

mrocznymi zjawami, co zdawały sia id="filepos524958"> świeżo uformowane z powietrza.

ROZDZIAŁ XLVIII
PIERWSZE ŁOWY

Zjawy te — gdyż takimi się nam naówczas wydały — uwijały się po drugiej stronie pokładu, z bezszelestną chyżością rozwiązując takielunek i pasy przytrzymujące szalupę tamże zawieszoną. Łódź ową zawsze uważano za jedną z zapasowych, chociaż formalnie nazywała się kapitańską, ponieważ wisiała od sterbortu przy mostku kapitańskim. Postać, która stanęła teraz u jej dziobu, była rosła i smagła, a spomiędzy jej warg koloru stali sterczał złowrogo jeden biały ząb. Człowieka tego żałobnie przyoblekał wymięty chiński kaftan z czarnej bawełny oraz szerokie czarne hajdawery z tego samego materiału. Tę hebanowość dziwacznie koronował połyskliwy, biały, pleciony turban z warkocza żywych włosów owiniętych zwojami wokoło głowy. Towarzysze tej figury, mniej śniadzi na twarzy, odznaczali się ową żywą, tygrysio-żółtą cerą, właściwą pewnym krajowcom z Manili — rasie słynącej z jakiegoś nieuchwytnego demonizmu, a uważanej przez poniektórych poczciwych białych marynarzy za działających na morzu płatnych szpiegów tudzież tajnych konfidentów szatana, ich władcy, którego gabinet znajduje się ponoć gdzie indziej.

Podczas gdy pogrążona w zdumieniu załoga spoglądała jeszcze na tych nieznajomych, Ahab zakrzyknął do przewodniczącego im mężczyzny w białym turbanie:

— Wszystko gotowe, Fedallahu?

— Gotowe — syknął ów w odpowiedzi.

— Więc spuszczać łodzie, słyszycie? — zawołał kapitan poprzez pokład. — Spuszczać tam łodzie, powiadam!

Głos jego tak był grzmiący, że mimo osłupienia ludzie przesadzili burtę; krążki zawirowały w blokach i trzy szalupy z plaśnięciem opadły na wodę, a marynarze, zwinnie bez namysłu, z tą śmiałością nie znaną w jakimkolwiek innym zawodzie, poczęli zeskakiwać niby kozice wzdłuż sunącego kadłuba statku do łodzi miotanych w dole falami.

Ledwie, odbili od boku żaglowca, kiedy zza rufy wypłynęła czwarta łódź przybywająca od nawietrznej; u wioseł siedziało pięciu nieznajomych, Ahab zaś wyprostowany w tyle łodzi donośnym głosem nawoływał Starbucka, Stubba i Fiaska, by rozjechali się szeroko celem ogarnięcia większej przestrzeni wody. Ale załogi pozostałych szalup znowu przywarły wzrokiem do smagłego Fedallaha i jego towarzyszy, nie słuchając rozkazu.

— Kapitanie? — ozwał się Starbuck.

— Rozjechać się! — krzyknął Ahab. — Wiosłować, wszystkie cztery łodzie! A ty, Fiask, wal bardziej na zawietrzną!

— Tak jest, kapitanie! — wesoło zawołał mały Fiask zagarniając swym olbrzymim wiosłem sterowym. — Do wioseł! — krzyknął swej załodze. — Tam! Tam! Znowu! Dmucha prosto przed nami, chłopcy! Wiosłować!

— Nie zwracaj uwagi na tamtych żółtych chłopców, Archy.

— O, mniejsza o nich! — odrzekł Archy. — Wiedziałem już dawniej o tym wszystkim. Alboż ich nie słyszałem w komorze? Alboż nie gadałem o nich temu oto Cabaco? No i cóż ty na to, Cabaco? Oni jadą na gapę, panie Fiask.

— Pchajcie, pchajcie dobrze, serduszka moje złote! Wiosłujcie, dzieci! Wiosłujcie, malutcy moi! — westchnął powolnym, uspokajającym szeptem Stubb do swej załogi, spośród której paru marynarzy zdradzało jeszcze oznaki niepokoju. — Czemuż to nie łamiecie sobie grzbietów, chłopcy? Na co się gapicie? Na tych tam, w owej łodzi? Phi! To po prostu pięciu nowych towarzyszy, którzy przybyli, żeby nam dopomóc — wszystko jedno skąd — im nas więcej, tym weselej! Wiosłujcie, wiosłujcie, mniejsza o siarkę piekielną — diabły to całkiem poczciwe chłopaki. Właśnie, właśnie, teraz dobrze! O,

taki ruch wiosła wart jest tysiąc funtów! Takim można wziąć pierwszą nagrodę! Niech żyje złoty puchar olbrotu, junacy moi! Po trzykroćniech żyje, chłopcy, serduszka kochane! Spokojnie, spokojnie, nie spieszcie się — nie spieszcie! Czemuście to jeszcze wioseł nie połamali, nicponie? Gryźcie, brytany! Tak, tak, właśnie, spokojnie, spokojnie! Dobrze teraz, dobrze, długie a mocne ruchy. Wiosłować tam, wiosłować! Niechże was diabli porwą, łajdaki, oberwańcy — posnęliście czy co? Dość chrapania, śpiochy, ruszajcie się! Wiosłujcie, słyszycie? Wiosłujcie — co, nie możecie? Wiosłujcie, nie chce wam się. Czemu się nie ruszacie, do stu fur beczek? Dalej go, połamcie sobie gnaty, wiosłujcie, aż wam ślepia wylezą! Patrzajcie! — Tu wyrwał ostry nóż zza pasa. — Każdy taki syn niech dobędzie noża i wiosłuje trzymając go w zębach. O, właśnie, właśnie. Teraz wam idzie, teraz to do czegoś podobne, pieszczoszki moje. Dalej go, dalej go, kochani!

Przytoczono tu obszernie orację Stubba do załogi, ponieważ miał on osobliwy sposób przemawiania do swych ludzi w ogóle, a już w szczególności, kiedy chodziło o wpojenie im katechizmu wiosłowania. Nie należy jednak wnosić z tej próbki jego kaznodziejstwa, że kiedykolwiek popadał w prawdziwą pasję na swoje owieczki. Nie działo się tak bynajmniej i na tym polegała jego główna osobliwość. Mógł mówić swej załodze najstraszniejsze rzeczy tonem bądącym tak dziwną mieszaniną dowcipu i furii — przy czym furia wydawała się być obliczona jedynie na to, żeby stanowić przyprawę dowcipu — iż żaden wioślarz nie mógł słuchać tak niesamowitych inwokacji nie biorąc się do wiosła tak, jakby życie jego od tego zawisło, a jednak wiosłując dla samej przyjemności, jaką mu to dawało. Prócz tego Stubb przez cały czas wyglądał tak swobodnie i niedbale, tak od niechcenia manewrował swym wiosłem sterowym, a wypatrywał tak zapamiętale — czasem z otwartymi ustami — że sam widok takiego rozdziawionego dowódcy prostą siłą kontrastu działał na załogę jak zaklęcie. I wreszcie Stubb należał do tego dziwnego gatunku dowcipnisiów, których krotochwilność jest czasem tak

szczególnie dwuznaczna, że wszyscy podwładni mają się dobrze na baczności, gdy przyjdzie wykonywać jego rozkazy.

Na znak dany przez Ahaba Starbuck płynął teraz ukośnie w stronę dziobu łodzi Stubba i kiedy na mniej więcej minutę obie szalupy znalazły się blisko siebie, Stubb zawołał na oficera:

— Panie Starbuck! Ahoy tam, łódź od bakbortu! Proszę na słówko!

— Halo! — odrzucił Starbuck, który nie obrócił się ani na cal, nadal z całą powagą, choć szeptem przynaglał swą załogę odwróciwszy od Stubba kamienną twarz.

— Co pan sądzisz o tych żółtych chłopach?

— Przeszmuglowano ich jakoś na pokład, zanim statek odpłynął. Mocniej, mocniej, chłopaki — zwrócił się szeptem do załogi, a następnie znowu rzekł głośno: — Smutna sprawa, panie Stubb! (Spokojnie, spokojnie, chłopcy!) Ale mniejsza z tym, wyjdzie to na lepsze. Niech pańska załoga dobrze macha wiosłami, cokolwiek się stanie. (Nuże, chłopcy, dalej!) Całe kadzie olbrotu przed nami, panie Stubb. (Mocniej, chłopaki!) Olbrot, o olbrot tu idzie! To przynajmniej jest naszym obowiązkiem. Obowiązkiem, a wraz i korzyścią!

— No tak, no tak, takem sobie i myślał — monologował Stubb, gdy łodzie oddaliły się od siebie. — Od razu mi to przyszło do głowy, ledwom ich zobaczył na oczy. Tak, i po to właśnie łaził on tak często do tylnej ładowni, co od dawna już podejrzewał steward. Tam oni byli ukryci. Na dnie tego wszystkiego tkwi biały wieloryb. No cóż, niech będzie co chce! Nie ma rady. Dobra! Wiosłować, ludzie! Na dziś to jeszcze nie biały wieloryb! Wiosłować!

Pojawienie się tych niesamowitych nieznajomych w podobnie krytycznym momencie, jak spuszczanie łodzi z pokładu, wzbudziło nie bez racji coś w rodzaju zabobonnego zdumienia w niektórych członkach załogi, choć w pewnej mierze przygotowało ich do tego wydarzenia fantastyczne odkrycie Archy'ego, które już przedtem rozeszło się między ludźmi, jakkolwiek w gruncie rzeczy nie dawano mu wiary. Stępiło ono ostrze ich zdziwienia, tak że z uwagi na to oraz na pewny siebie

sposób, w jaki Stubb tłumaczył pojawienie się nieznajomych, ludzie porzucili na razie wszelkie zabobonne domysły. Mimo to jednak cała sprawa pozostawiała wiele miejsca na wszelakie niezwykłe domniemania co do właściwej roli, jaką od początku odgrywał mroczny Ahab w całej tej materii. Jeśli o mnie idzie, to w milczeniu wspomniałem widziane uprzednio tajemnicze cienie, które owego mglistego nantucketańskiego poranka sunęły na pokład „Pequoda", jak również enigmatyczne półsłówka tajemniczego Eliasza.

Tymczasem Ahab, będąc poza zasięgiem słuchu swoich oficerów, wysunął się najdalej na nawietrzną i nadal płynął na czele, co dowodziło, jak wspaniałą posiadał załogę. Te jego tygrysiożółte istoty zdawały się być ze stali i fiszbinu; jak pięć młotów kowalskich unosiły się i opadały regularnymi uderzeniami mocy, która coraz to popychała łódź po wodzie, niby kocioł na parowcu płynącym po Missisipi. Jeśli idzie o Fedallaha, który, jak widziano, siedział przy wiośle harpunnika, to odrzucił on precz swój czarny kaftan ukazując obnażoną pierś, a cała wystająca nad burtę część jego korpusu wyraźnie się odcinała na tle pofalowanego horyzontu wód; u drugiego końca łodzi Ahab wyrzuciwszy za siebie w powietrze jedną rękę niczym szermierz, by snadź zachować równowagę, spokojnie manewrował wiosłem sterowym tak, jak to po tysiąckroć czynił w podobnych okazjach, zanim poszarpał go biały wieloryb. Nagle ujrzano, iż wyciągnięte ramię wykonało dziwaczny gest i zatrzymało się bez ruchu, podczas gdy wszystkie pięć' wioseł uniosło się jednocześnie pionowo do góry. Łódź i załoga stanęły nieruchomo na morzu. Natychmiast trzy łodzie rozproszone w tyle zatrzymały się na swej drodze. Wieloryby po jednym zanurzyły swe cielska w błękitną toń, nie dając dzięki temu żadnych z dala widocznych oznak ruchu; jedynie Ahab, znajdując się bliżej, mógł to obserwować.

— Niech każdy patrzy po wiośle! — krzyknął Starbuck. — Ty, Queequeg, wstań!

Zwinnie wskoczywszy na trójkątną skrzynkę wystającą na dziobie łodzi, dziki stanął wyprostowany, w napięciu

spoglądając żarliwym wzrokiem ku miejscu, gdzie po raz ostatni widziano zwierzynę. Natomiast na samym tyle łodzi, gdzie także znajdowała się trójkątna platforemka na jednym poziomie z wierzchnią krawędzią burt, można było dojrzeć Starbucka, jak ze spokojem i zręcznością balansował w miarę podrzutów szarpiących jego łupiną i milcząco spoglądał w ogromne, błękitne oko morza.

Niezbyt daleko szalupa Fiaska również spoczywała na wodzie w niezmąconym spokoju; jej dowódca wylazł śmiało na czubek „pachołka", czyli czegoś z rodzaju tęgiego słupa przymocowanego do kilu i wznoszącego się na jakieś dwie stopy ponad poziom platformy rufowej. Wokół niego okręca się zwoje liny od harpuna. Wierzchołek jego nie jest większy od ludzkiej dłoni i Fiask stojąc na takiej podstawie zdawał się być uczepiony u stengi jakiegoś okrętu, który zatonął aż po gałki masztów. Ale mały „King-Post" był niewielki *P* niski, a jednocześnie pełen ogromnych i wysokich ambicji, tak że ów pachołkowy punkt widzenia żadną miarą go nie zadowalał.

— Nie widzę dalej niż trzy fale. Podnieś tam który wiosło, to na nie wlezę.

Na to Daggoo trzymając się burt obiema rękami, aby zachować równowagę, przesunął się szybko na tył łodzi, a następnie wyprostowawszy swą postać, zaofiarował mu własne wyniosłe ramiona jako piedestał.

— Równie to dobry maszt jak każdy inny. Wejdzie pan?

— A jakże, i dziękuję ci bardzo, zacny chłopie, tylko wolałbym, żebyś był o pięćdziesiąt stóp wyższy.

Wówczas gigantyczny Negr zaparł się krzepko nogami o dwie przeciwległe deski łodzi, pochylił się nieco, podstawił swą płaską dłoń pod stopę Fiaska, a następnie umieściwszy sobie jego rękę na kudłatym łbie i poprawiwszy, by oficer podskoczył, gdy on go będzie podrzucał, jednym zręcznym ruchem usadowił małego człowieczka zdrowo i cało na swych ramionach. I oto Fiask stanął tam, a wzniesione ramię Daggoo dostarczyło mu przedpiersia, na którym mógł się wesprzeć i zachować równowagę.

Dla nowicjusza osobliwy jest zawsze widok owej zdumiewającej wprawy i nieświadomej zręczności, z jaką wielorybnik potrafi zachować prostą postawę na swej łodzi, nawet jeżeli nią miotają najbardziej nieokiełznane, złośliwe i zbełtane morza. Jeszcze dziwniejsze jest widzieć go w takich okolicznościach zawrotnie uczepionego na samym czubku pachołka. Ale najciekawszy był widok małego Fiaska stojącego na olbrzymim Daggoo; bowiem wspaniały Murzyn utrzymując się w równowadze z chłodną, obojętną, swobodną i bezwiedną a barbarzyńską majestatycznością harmonijnie przechylał swoje przepyszne ciało za każdym kolebaniem morza. Na jego szerokich barach jasnowłosy Fiask zdawał się być płatkiem śniegu. Rumak wyglądał wspanialej od jeźdźca. Chociaż niezwykle żywy, hałaśliwy, pyszny mały Fiask od czasu do czasu aż tupał z niecierpliwości, jednak nie zdołał wycisnąć ani jednego dodatkowego westchnienia z okazałej piersi Murzyna. Podobnie widziałem, jak Namiętność i Próżność depcą żywą, wielkoduszną ziemię, a przecie nie zmienia ona z tej przyczyny ani biegu swych spraw, ani też pór roku.

Tymczasem Stubb, trzeci, oficer, nie zdradzał trosk tak dalekosiężnych. Wieloryby mogły całkiem zwyczajnie zanurzyć się na dłużej, a nie chwilowo znurkować z prostego przestrachu; gdyby tak było, Stubb, jak to miał w zwyczaju w podobnych przypadkach, postanowił pocieszać się przez ten bezczynny odstęp czasu swoją fajką. Wydobył ją zza wstążki kapelusza, gdzie zawsze tkwiła ukośnie zatknięta, na kształt pióra. Nabił ją i wtłocz tytoń do środka czubkiem dużego palca, ale ledwo potarł zapałkę o swą chropowatą dłoń, gdy jego harpunnik Tasztego, który stał wyprostowany, z oczami utkwionymi jak dwie nieruchome gwiazdy w zawietrzną, nagle opadł błyskawicznie na ławkę wykrzykując z frenetycznym pośpiechem:

— Siadać, siadać wszyscy i wiosłować! Tam, tam są!

Szczur lądowy nie byłby w owej chwili nic dostrzegł; ani wieloryba, ani nawet śladu jakiegokolwiek śledzia — nic, krom odrobiny zbełtanej zielonawobiałej wody oraz unoszących się

nad nią rzadkich, rozproszonych wydmuchów pary, które rozpylały się na wietrze jak mglista wodna kurzawa owiewająca rozchlustane białe bałwany. Powietrze dookoła raptem zawibrowało i zadrgało, jak wtedy gdy unosi się ponad silnie nagrzanymi płytami żelaza. Pod tą sfalowaną i skłębioną atmosferą, a także i pod cienką warstwą wody, płynęły wieloryby. Zdawało się, że owe słupki pary, jaką wydmuchiwały, dojrzane jeszcze zanim spostrzeżono jakiekolwiek inne oznaki, to zwiastujący ich przybycie kurierzy i lotni gońcy.

Wszystkie cztery łodzie rzuciły się teraz w zaciekłą pogoń za tym jedynym punktem zmąconej wody i powietrza. Niełatwo jednak było go doścignąć; mknął dalej i dalej jak wodna kipiel niesiona w dół przez bystry potok spadający z gór.

— Ciągnijcie, ciągnijcie, chłopaczki — ozwał się Starbuck najcichszym, choć najbardziej napiętym i skupionym z szeptów; przenikliwe, nieruchome spojrzenie oczu oficera, wbite wprost przed siebie poza dziób szalupy, zdawało się niemal być dwiema widzialnymi igłami nieomylnych kompasów. Niewiele jednak gadał do swej załogi, ta zaś nie odzywała się wcale. Ciszę panującą na łodzi przeszywał raptownie od czasu do czasu tylko któryś z jego osobliwych szeptów, to ostry od komendy, to znów miękki od prośby.

Jakże odmiennie zachowywał się mały, hałaśliwy „King-Post"!

— Wrzeszczcie, mówcie coś, kochasie! Ryczcie, a wiosłujcie, draby! Wepchnijcie mi łódź na ich czarne grzbiety. Zróbcie to dla mnie, a zapiszę wam moją zagrodę na Martha's Vineyard, z żoną i dziećmi włącznie. Trop w trop! Trop w trop! O, Boże, Boże, przecież chyba mi się do cna zmąci we łbie! Patrzcie!

Patrzcie na tę pianą! — Tak wykrzykując zerwał z głowy kapelusz i zdeptał go nogami, a następnie podniósł i cisnął daleko w morze; wreszcie począł miotać się i przykucać na rufie łodzi jak znarowiony źrebiec na prerii.

— Popatrzcie tylko na tego chłopa — wycedził filozoficznie Stubb, który płynął za nim w niewielkiej odległości, trzymając mechanicznie w zębach nie zapaloną, krótką fajkę. — Ten Fiask

ma bzika. Bzika? Tak, dostał bzika — to właściwe słowo — i to kompletnego. No, wesoło, wesoło, moi drodzy! Na wieczerzę jest pudding, wiecie? Musi więc być wesoło. Ciągnijcie, dzieciaczki, ciągnijcie, niemowlaki! Ale po co, u diabła, tak się śpieszycie? Łagodnie, łagodnie, a spokojnie, chłopcy. Tylko wiosłować i nie przestawać, nic więcej. Połamcie sobie karki i przegryźcie na pół te noże, co je macie w zębach — ot i wszystko. Spokojnie, czemuż się przejmujecie. Niech wam pękną płuca i wątroba!

Co natomiast mówił nieprzenikniony Ahab do swojej tygrysiej załogi — o tym lepiej tu zamilczeć, jako że żyjecie pod błogosławionym słońcem kraju Ewangelii. Jedynie rekiny niewierne - wśród mórz zuchwałych mogą nakłonić ucha na słowa, które wymawiał, kiedy z huraganem na czole, oczami płonącymi czerwienią mordu i wargami okrytymi pianą mknął za swą ofiarą.

Tymczasem wszystkie łodzie rwały naprzód. Ciągle powtarzane wyraźne aluzje Fiaska do „tego wieloryba", jak nazywał urojonego potwora, który według jego słów nieprzerwanie zagrażał dziobowi szalupy swoim ogonem — aluzje te chwilami stawały się tak żywe i jaskrawe, że pod ich wpływem ten i ów z jego ludzi rzucał przez ramię przerażone spojrzenie. To jednak było wbrew wszelkim prawidłom, jako że wioślarze winni patrzeć prosto przed siebie tudzież wsadzić sobie kij w kark; obyczaj bowiem orzeka, iż w tych krytycznych chwilach nie wolno im mieć żadnych innych organów prócz uszu i żadnych kończyn prócz ramion.

Widok to był godny dojmującego podziwu i pełen grozy! Olbrzymie bełty wszechpotężnego morza, rozkolebany, głuchy ryk fal przelewających się wzdłuż ośmiu burt na podobieństwo gigantycznych kul toczących się po bezmiernej kręgielni; krótki, napięty spazm łodzi, gdy na jedną chwilę zawisła na ostrej jak nóż krawędzi którejś z bardziej stromych fal, co niemal już zdawała się zagrażać łupinie rozcięciem na dwoje; nagłe, głębokie runięcie w wodne wąwozy i rozpadliny; zaciekły wysiłek wydźwigania się na wierzchołek najbliższej wyniosłości; ześlizgiwanie się po jego przeciwległym zboczu na

łeb, na szyję niczym sankami — to wszystko, wraz z okrzykami dowódców i harpunników, dyszeniem dygocących wioślarzy, wspaniałym widokiem białego jak kość słoniowa „Pequoda" mknącego z rozwiniętymi żaglami śladem swych łodzi na podobieństwo rozwścieczonej kwoki sunącej za swą wrzeszczącą gromadką — wszystko to było wstrząsające. Ani niedoświadczony rekrut, który, wyrwany z objęć małżonki, maszeruje w gorączkowy żar pierwszej swojej bitwy, ani duch zmareruego człowieka, napotykający na tamtym świecie pierwszego nieznajomego upiora, nie może odczuwać dziwniejszych i silniejszych emocji niż ten, kto po raz pierwszy wtargnął w zaczarowany, spieniony krąg ściganego kaszalota.

Rozpląsana biała woda, skłębiona przez pościg, stawała się teraz coraz bardziej widoczna dzięki wzrastającemu mrokowi brunatnych cieni, jakie na morze rzucały chmury. Fontanny pary nie mieszały się już ze sobą, ale pędziły na wsze strony — na lewo i prawo; snadź wieloryby rozdzielały teraz swoje szlaki. Łodzie rozproszyły się bardziej; Starbuck gonił trzy wieloryby, które mknęły wprost na zawietrzną. Rozwinęliśmy żagiel i pędziliśmy z coraz to wzmagającym się wiatrem; szalupa tak wściekle rwała poprzez wodę, że od zawietrznej ledwo nadążano robić wiosłami z dostateczną szybkością, by zapobiec wyrwaniu ich z dulek.

Wkrótce wpadliśmy w gęstniejącą, szeroką zasłonę mgły; nie można było dojrzeć ni łodzi, ni statku.

— Wiosłujcie, ludzie — mruknął Starbuck naciągając dalej do tyłu płótno żagla. — Jeszcze czas ubić rybę, zanim szkwał nadejdzie. O, znowu piana! Nuże! Walmy!

Zaraz potem dwa okrzyki, następujące szybko po sobie na lewo i prawo od nas, dały nam znać, że inne łodzie są tuż; ledwie jednak krzyki te usłyszano, Starbuck wyrzucił z siebie szybki jak błyskawica, przenikliwy szept: — Wstań! — i Queequeg z harpunem w ręku zerwał się na równe nogi.

Choć żaden z wioślarzy nie był zwrócony twarzą ku śmiertelnemu niebezpieczeństwu, które znalazło się teraz tak blisko przed łodzią, jednak skierowawszy oczy na napięte

oblicze siedzącego na rufie oficera, poznali, że groźna chwila nadeszła; dosłyszeli również potężne, chluszczące odgłosy, jak gdyby pięćdziesiąt słoni tarzało się w legowiskach. Łódź tymczasem rwała poprzez mgłę, fale zaś kłębiły się i syczały wokoło jak wzniesione łby rozwścieczonych węży.

— To jego garb! Tu, tu! Daj mu! — szepnął Starbuck.

Krótki, świszczący dźwięk runął z szalupy; było to żelazo wyrzucone przez Queequega. Teraz w jeden wstrząs stopiło się niewidzialne pchnięcie od tyłu oraz uderzenie dziobem jakby o jakąś rafę; żagiel zapadł się i trzasnął, tuż obok wystrzelił strumień gorącej pary, coś przetoczyło się i przewaliło pod nami na podobieństwo trzęsienia ziemi. Cała załoga bez tchu w piersiach ciśnięta została na łeb, na szyję w białą gęstą pianę szkwału. Wszystko skłębiło się razem: szkwał, wieloryb i harpun, potwór umknął, ledwie draśnięty żelazem.

Choć wodą do cna zalana, łódź nie poniosła jednak niemal żadnego szwanku. Płynąc wokoło niej pochwytaliśmy unoszące się na wodzie wiosła i wrzuciwszy je przez burtę, wwaliliśmy się na swoje miejsca. Przykucnęliśmy tam po kolana w wodzie, która pokrywała każdą deskę i szpantę, tak że patrząc z góry, mieliśmy wrażenie, iż z dna oceanu wyrosła pod nami koralowa barka.

Wicher przeszedł w wycie; bałwany zderzały się ze sobą tarczami, szkwał ryczał, rozszczepiał się i trzaskał wokoło nas jak biały pożar prerii, na której płonęliśmy ogniem nie strawieni, nieśmiertelni w paszczęce śmierci. Daremnie wzywaliśmy krzykiem inne łodzie; z równym skutkiem można by nawoływać przez komin rozżarzone węgle w płonącym palenisku, co wzywać szalupy wśród tej nawałnicy. Tymczasem pędzące tumany, bryzgi i mgła ciemniały od mroku zapadającej nocy; nie sposób było dojrzeć ni śladu statku. Wezbrane morze udaremniło wszelkie próby opróżnienia łodzi z wody. Wiosła stały się bezużyteczne jako środek napędowy; pełniły teraz tylko funkcje ratownicze. Odciąwszy rzemienie nieprzemakalnej baryłki z zapałkami, Starbuck po wielu daremnych wysiłkach zdołał zaświecić latarnię i

przytwierdziwszy ją do kawałka żerdzi podał Queequegowi niby chorążemu porzuconych nadziei. Ten siadł więc wznosząc ową idiotyczną świeczkę w samym sercu wszechwładnego opuszczenia. Tkwił tam znak i symbol człowieka pozbawionego wiary, beznadziejnie podtrzymującego nadzieję wpośród rozpaczy.

Mokrzy; zlani wodą i dygocący z zimna, nie mając już żadnych widoków na pojawienie się statku czy łodzi, podnieśliśmy oczy, gdy przyszedł brzask. Mgła nadal rozciągała się ponad morzem, pusta latarnia leżała strzaskana na dnie szalupy. Nagle Queequeg zerwał się przykładając złożoną dłoń do ucha. Usłyszeliśmy słabe skrzypienie jakby lin i rej, dotąd zagłuszone nawałnicą. Odgłos zbliżał się coraz bardziej; gęsta mgła rozwarła się przed olbrzymim, niewyraźnym kształtem. Przerażeni skoczyliśmy wszyscy w morze, gdy wreszcie zamajaczył nad nami statek sunący prosto na nas z odległości nie większej niż jego długość.

Unosząc się na falach ujrzeliśmy opuszczoną łódź, jak przez chwilę miotała się i przewalała pod dziobem żaglowca na podobieństwo drzazgi rzuconej w otchłań wodospadu, po czym olbrzymi kadłub przetoczył się 'nad nią i zniknęła nam z oczu do chwili, gdy wypłynęła kotłując się za rufą. Znowu popłynęliśmy po nią, rzuciły nas o jej kadłub bałwany, aż wreszcie wyłowieni zostaliśmy i szczęśliwie wciągnięci na pokład „Pequoda". Okazało się, że inne łodzie, zanim przybliżył się szkwał, porzuciły pogoń i powróciły na czas do statku. „Pequod" uznał nas za straconych, krążył jeszcze wszelako,- na wypadek gdyby miał natrafić na jakiś znak naszej zagłady — wiosło czy drzewce lancy.

ROZDZIAŁ XLIX
HIENA

Bywają pewne osobliwe momenty i okazje w tej dziwnej, zawiłej sprawie, którą nazywamy życiem, kiedy to człowiek bierze cały ten wszechświat za jeden ogromny dobry żart, choć bardzo niejasno rozeznaje jego dowcip i więcej niż podejrzewa, że kawał ów zrobiono nie czyim innym kosztem, jak jego własnym. Jednakowoż nic go nie zniechęca i nic nie wydaje się warte dyskusji. Przełyka on wszelkie wydarzenia, wszystkie przesądy, wierzenia i przekonania, wszelkie rzeczy ciężkie, widzialne czy niewidzialne, bez względu na to, jak by były chropawe — niczym struś o potężnym żołądku, pochłaniający kule i skałki od karabinów. Jeśli zaś idzie o drobne trudności i troski, perspektywy nagłych klęsk, zagrożenie ciała czy życia, to one wszystkie, wraz z samą śmiercią zdają mu się być jedynie kpiarskimi, poczciwymi szturchańcami, wesołymi kułakami wymierzonymi w bok przez niewidzialnego i nieznanego starego żartownisia. Ta dziwaczna odmiana kapryśnego nastroju, o jakiej tu mówią, przychodzi na człowieka tylko w dobie jakiejś nadzwyczajnej turbacji; nawiedza go wówczas właśnie, kiedy jest w nastroju poważnym, tak że to, co ledwie przed chwilą mogło mu się wydawać rzeczą niezwykle doniosłą, teraz przybiera pozór zwyczajnego żartu. Nie ma nic lepszego od niebezpieczeństw wielorybnictwa dla wyhodowania w człowieku tego gatunku beztroskiej, jowialnej, desperackiej filozofii i z nią to właśnie patrzałem teraz na całą wyprawę „Pequoda" i na jej cel — ogromnego białego wieloryba.

— Queequegu — odezwałem się, kiedy wciągnięty jako ostatni na pokład otrząsałem się w swojej kurcie, by strzepnąć z siebie wodę.. — Queequegu, mój zacny przyjacielu, czy tego rodzaju rzeczy często się zdarzają? — Niezbyt przejęty, choć przemoczony do nitki tak jak i ja, dał mi do zrozumienia, że w istocie podobne rzeczy zdarzają się często.

— Panie Stubb — zwróciłem się do owego znakomitego osobnika, który zapięty w nieprzemakalną kurtę spokojnie teraz pykał na deszczu z fajeczki. — Panie Stubb, zdaje mi się, żem słyszał z pańskich ust, iż nasz pierwszy oficer, pan Starbuck, jest bezwzględnie najostrożniejszym i najuważniejszym ze wszystkich wielorybników, jakich pan kiedykolwiek spotkałeś. Przypuszczam zatem, że płynięcie z rozwiniętym żaglem w czasie mgły i szkwału prosto na gnającego wieloryba jest szczytem wielorybniczej roztropności?

— Pewnie. Ja osobiście spuszczałem łódź za wielorybem z przeciekającego statku, w czasie burzy za Przylądkiem Horn.

— Panie Fiask — rzekłem zwracając się do małego „KingPosta", który stał w pobliżu — jesteś pan doświadczony w tej mierze, ja zaś nie. Może zechcesz mi pan powiedzieć, czy jest niezmiennym prawem tego rybołówstwa, żeby wioślarz wyłamywał sobie grzbiet pchając się plecami w paszczę śmierci?

— Nie mógłbyś tego krócej ująć? — odparł Fiask. — Oczywiście, takie jest prawo. Chciałbym widzieś załogę łodzi odgarniającą wodę za wielorybem twarzą do przodu. Ha, ha! Dopieroż by wieloryb zezem na nich patrzał, no!

Miałem tu więc rozsądne oświadczenie trzech bezstronnych świadków na temat całej wyprawy. Zważywszy przeto, że szkwały tudzież wywracanie się w wodę dnem do góry oraz wynikające stąd biwaki na głębinie są najpospolitszymi rzeczami w tego rodzaju życiu; zważywszy, że w najbardziej krytycznym momencie natarcia na wieloryba winienem złożyć swoje życie w ręce tego, kto steruje szalupą — częstokroć osobnika, który w tej właśnie chwili, na skutek wrodzonej porywczości, niemal rozwala dno łodzi swoim opętanym

tupaniem — zważywszy, że ową właśnie katastrofę naszej własnej łodzi należy głównie przypisać faktowi, iż Starbuck gonił za swoim wielorybem niemal w samą paszczę szkwału, oraz zważywszy, że mimo to Starbuck słynął z wielkiej ostrożności w czasie łowów; zważywszy, że ja właśnie należałem do łodzi tego niepospolicie ostrożnego Starbucka, i na koniec zważywszy, że zostałem uwikłany w tak szatański pościg za białym wielorybem — pomyślałem, że lepiej będzie zejść na dół i sporządzić krótki szkic własnego testamentu.

— Queequegu — powiedziałem. — Chodź no ze mną. Będziesz moim doradcą prawnym, wykonawcą testamentu oraz legatariuszem.

Może się to wydać dziwne, że ze wszystkich ludzi właśnie marynarze klecą ostatnie wole i testamenty; nie ma wszelako na świecie osobników bardziej lubujących się w tego rodzaju rozrywce. To już po raz czwarty w moim życiu morskim robiłem tę samą rzecz. Kiedy tym razem ceremonia została zakończona, poczułem, że mi znacznie lżej; kamień spadł mi z serca. Prócz tego, wszystkie dnie, jakie bym teraz przeżył, będą równie cenne, jak te, które przeżywał Łazarz po wskrzeszeniu, stanowiąc dodatkowy czysty zysk tylu i tylu miesięcy czy też tygodni, zależnie od tego, jak się zdarzy. Przeżyłem samego siebie; śmierć moja i pogrzeb zamknięte były w mojej skrzyni. Rozejrzałem się wokoło spokojnie i z zadowoleniem jak cichy duch o czystym sumieniu, zasiadający za kratami przytulnego grobu rodzinnego. „No więc — pomyślałem sobie bezwiednie zakasując rękawy od kaftana — trzeba przygotować się na chłodny i opanowany skok w śmierć i unicestwienie, a niech to wszyscy diabli!"

ROZDZIAŁ L
ZAŁOGA I ŁÓDŹ AHABA. FEDALLAH

— Kto by to pomyślał, Fiask! — zawołał Stubb. — Gdybym tak ja miał jedną nogę, nie znalazłbyś mnie w łodzi, chyba po to, żebym zaszpuntował dziurę drewnianym paluchem. Wspaniały jest ten stary!

— Bynajmniej nie uważam, żeby w tym było coś tak bardzo dziwnego — odparł Fiask. — Gdyby miał nogę odciętą u biodra, a, toby było co innego. To by go obezwładniało. Ale ma przecie jedną całą nogę i niezłą część drugiej, sam wiesz.

— Wcale tego nie wiem, mój mały. Jeszczem nigdy nie widział, żeby klękał.

Między ludźmi świadomymi spraw wielorybniczych często się dyskutuje, czy słuszne jest, by kapitan narażał swoje życie na rzeczywiste niebezpieczeństwa pogoni, zważywszy, jak zasadnicze ma ono znaczenie dla powodzenia wyprawy. Tak właśnie wojownicy Tamerlana nieraz ze łzami w oczach rozprawiali nad tym, czy bezcenne życie wodza winno być poniesione w gąszcz bitwy.

Jeśli jednak idzie o Ahaba, to zagadnienie owo przybierało zgoła inne oblicze. Zważywszy, nawet człowiek o dwóch nogach jest jedynie bardzo ułomną istotą w chwili wszelkiego niebezpieczeństwa, zważywszy, że pościg za wielorybem odbywa się zawsze wśród wielkich i niezwykłych trudności, że właściwie każdy poszczególny moment przynosi jakieś niebezpieczeństwo — czy jest w tych warunkach roztropne, by

jakikolwiek kaleka wsiadał do łodzi w czasie łowów? Na ogół współwłaściciele „Pequoda" musieli wyraźnie uważać, że nie.

Ahab dobrze wiedział, że jego przyjaciele w kraju nie przywiązaliby wagi do tego, czy zajmie on miejsce w łodzi podczas stosunkowo nieszkodliwych przygód polowania po to, żeby być bliżej rozgrywających się wydarzeń i móc osobiście wydawać rozkazy. Wiedział jednak równie dobrze, że właścicielom „Pe-quoda" nigdy w głowie nie postał tak wspaniałomyślny pomysł, żeby naprawdę przydzielić mu łódź jako rzeczywistemu dowódcy w czasie łowów — a już zwłaszcza, żeby go wyposażyć w pięciu dodatkowych ludzi jako załogę tejże łodzi. Dlatego to nie poprosił ich o tę załogę ani też w żadnej formie nie napomknął o swoich pragnieniach w tej mierze. Poczynił jednak pewne własne, prywatne kroki w owej sprawie. Aż do chwili rozpowszechnienia się wieści o odkryciu Cabaka marynarze nie bardzo się tego domyślali. Oczywiście, wiele zainteresowania i ciekawości wzbudziły w swoim czasie takie fakty jak to, że kiedy odpłynięto nieco od portu, a cała załoga ukończyła już zwykłe zajęcia związane z przygotowywaniem szalup wielorybniczych do służby, widywano od czasu do czasu Ahaba sporządzającego własnymi rękami dulki dla łodzi, którą uważano za jedną z zapasowych, a nawet pieczołowicie strugającego małe drewniane haczyki, które umieszcza się nad wyżłobieniem na dziobie w chwili, gdy lina od harpuna z łodzi wylatuje. Zaobserwowano u niego to wszystko, a zwłaszcza troskliwość, z jaką kazał umieścić w szalupie dodatkowe dno, jak gdyby po to, by lepiej mogła wytrzymać ostry nacisk jego kościanej nogi; nie uszła też uwagi staranność, jaką wykazywał, jeśli idzie o dokładne dopasowanie deski udowej, czyli „listwy niezdarów", jak ją czasem nazywają, to znaczy poziomego drewna w dziobie łodzi, służącego do wspierania o nie kolana przy ciskaniu harpunem lub godzenia lancą w wieloryba; zauważono, jak często stawał w owej łodzi, umieściwszy swoje jedyne kolano w półkolistym zagłębieniu deski, i ciesielskim dłutem wyżłabiał ją nieco w jednym miejscu, a wygładzał w drugim. Niemal wszyscy przypuszczali jednak,

że ta szczególna staranność przygotowań Ahaba musi mieć jedynie na celu ostateczny pościg za Moby Dickiem, kapitan bowiem wyjawił już naówczas swój zamiar osobistego upolowania owego zabójczego potwora. Takowe domniemania nie dopuszczały jednak w żadnym razie najmniejszych podejrzeń co do załogi, jaka miała być do owej łodzi przydzielona.

Obecnie resztki zdumienia wywołanego przez podwładne kapitanowi upiory rychło się rozwiały, jako że na statku wielorybniczym wszelkie dziwy szybko bledną. Poza tym owych nawodnych banitów, jakimi są wielorybnicze żaglowce, zaludniają od czasu do czasu tak niepojęte wyrzutki przedziwnych nacji, przybyłe z niewiadomych zakątków i nor tej ziemi, a same statki częstokroć zbierają tak osobliwych rozbitków, których znajdują na pełnym morzu podrzucanych przez fale na deskach, szczątkach okrętów, wiosłach, łodziach wielorybniczych, czółnach, rozbitych dżonkach japońskich i na czym tam jeszcze — że sam Belzebub mógłby wdrapać się po kadłubie i zejść do kajuty na pogawędkę z kapitanem nie budząc bynajmniej niepohamowanego podniecenia na forkasztelu.

Jakkolwiek tam było, pewne jest przecie, że podczas gdy podwładne fantomy rychło znalazły sobie miejsce wśród załogi, choć nadal zachowywały swą odrębność, to jednak ów Fedallah w turbanie z włosów pozostał do końca nieprzeniknioną tajemnicą. Skąd przybył na tak obyczajny świat jak nasz, co za niepojęte więzy łączyły go — jak się rychło okazało — z osobliwymi losami Ahaba i to tak dalece, że miał na kapitana jakiś nieokreślony wpływ — Bóg wie, może nawet nad nim władzę — tego wszystkiego nikt nie mógł odgadnąć, ale też nie sposób było zachować obojętność w stosunku do Fedallaha. Był on istotą, jaką cywilizowani, spokojni ludzie w umiarkowanych strefach widują jedynie w snach, a i to niewyraźnie; istotą, której podobne od czasu do czasu snują się wśród nie znających zmian społeczności azjatyckich, zwłaszcza na orientalnych wyspach, położonych na wschód od kontynentu — w owych

odosobnionych, pradawnych, niezmiennych krainach, które nawet w tych nowożytnych czasach nadal zachowują wiele z duchowej pierwotności przedwiecznych pokoleń tej ziemi, kiedy to pamięć o pierwszym człowieku była jeszcze żywym wspomnieniem, a wszyscy jego , potomkowie nie wiedząc, skąd pochodził, spoglądali jeden na drugiego jak prawdziwe widma, zapytując słońca i księżyca o przyczynę i cel swojego stworzenia; kiedy to, jak mówi Genesis, aniołowię doprawdy obcowali z córkami człowieczymi, a według słów niekanonicznych rabinów, szatani równiea id="filepos562711"> oddawali się doczesnym miłostkom.

ROZDZIAŁ LI
FONTANNA–WIDMO

Mijały dni i tygodnie; biały „Pequod" z wolna popychany wiatrem przesunął się łagodnie poprzez cztery odrębne tereny łowieckie: w pobliżu Azorów, koło Przylądka Zielonego, po tak zwanym Plata, czyli opodal ujścia Rio de la Plata oraz przez Carrol Ground, nie oznaczony na mapie obszar wodny położony na południe od Sw. Heleny.

Pewnej cichej księżycowej nocy, kiedyśmy właśnie sunęli po tych ostatnich wodach, kiedy fale toczyły się wokoło jak srebrzyste zwoje, a w ich łagodnej, rozlewnej kipieli było jakieś srebrne milczenie, choć nie samotność — takiej to cichej nocy, daleko przed białymi bryzgami u dziobu, dostrzeżono srebrzystą fontannę. Zapalona promieniami księżyca wyglądała niebiańsko; zdała się być jakowymś pierzastym i połyskliwym bożkiem powstającym z morza. Pierwszy okrzyknął ją Fedallah. Miał on bowiem we zwyczaju wdrapywać się owych księżycowych nocy na top grotmasztu i stamtąd wypatrywać tak skwapliwie, jak gdyby to był dzień. A przecie choć nocą można było dostrzec całe stada wielorybów, ani jeden na stu wielorybników nie zaryzykowałby pogoni. Możecie więc sobie wyobrazić, z jaką emocją marynarze spoglądali na tego starego człowieka Wschodu, uczepionego tam w górze o tak niezwykłej godzinie; turban jego i księżyc stały się towarzyszami na nieboskłonie. Kiedy wszelako przez kilka kolejnych nocy spędził tam pewien ustalony czas nie wydawszy ni dźwięku, kiedy po owym milczeniu usłyszano jego niesamowity głos oznajmujący srebrzystą, księżycową fontannę — każdy leżący marynarz zerwał się na równe nogi, jak gdyby jakiś

uskrzydlony duch spłynął na olinowanie i rzucał zew załodze śmiertelników: — Tam dmucha! — Nie zadrżeliby mocniej, gdyby nawet zabrzmiały trąby na Sąd Ostateczny, a przecie nie odczuwali lęku; raczej przyjemność. Choć bowiem godzina była niezwykła, jednak krzyk takie wywarł wrażenie, tak dziko był podniecający, że niemal każdy na statku instynktownie zapragnął spuszczenia łodzi.

Przemierzywszy pokład szybkimi, gwałtownymi kroki, Ahab nakazał rozwinąć bramżagle, bombramżagle oraz wszystkie tak zwane „wrony". Najlepszy marynarz na statku otrzymał rozkaz ujęcia steru. Wówczas, z posterunkami na każdym maszcie, „Pequod" rozpiął wszystkie żagle i pomknął z wiatrem. Kiedy przedziwna, wydźwigająca wzwyż siła bryzy dmuchającej od rufy wydęła tyle żagli, zdało się, że lekki, unoszący się pod stopami pokład jest niby powietrze. Statek skoczył przed siebie, jak gdyby borykały się w nim dwie przeciwne moce — jedna nakazująca mu wznieść się prosto do nieba, druga zaś — sunąć ukośnie ku jakiemuś horyzontalnemu celowi. Gdybyście zaś śledzili tej nocy oblicze Ahaba, przyszłoby wam na myśl, że i w nim także dwie różne rzeczy wiodą ze sobą walkę. Podczas gdy krok jego jedynej żywej nogi rozlegał się żywym echem po pokładzie, każdy stuk tej drugiej, umarłej, był jak. trzask wieka trumny. Ten stary człek stąpał po życiu i śmierci. Ale choć statek pędził tak chyżo, choć wszystkie oczy miotały na kształt strzał żarliwe spojrzenia, jednak srebrzystego tryśnięcia nie ujrzano już tej nocy. Każdy marynarz przysięgał się, że widział je raz tylko, nie więcej.

Zapomniano już niemal o owej nocnej fontannie, kiedy oto w kilka dni później oznajmiono ją znowu o tej samej cichej godzinie; znowu ją wszyscy ujrzeli i znowu zniknęła, jakby jej nigdy nie było, właśnie w chwili, gdy rozwijano żagle, by ją doścignąć. I tak sobie z nami poczynała noc po nocy, aż wreszcie, jeśli zwracano na nią uwagę, to chyba tylko po to, żeby się jej dziwować. Owa samotna fontanna, tryskająca tajemniczo w jasną poświatę księżyca lub gwiazd, znikająca znowu na całą dobę czy dwie albo trzy, a jednak najwyraźniej

za każdym następnym razem posuwająca się coraz dalej i dalej w naszej awangardzie, zdawała się wabić nas nieustannie.

Toteż nie brakło marynarzy, którzy pod wpływem odwiecznych przesądów, właściwych ich plemieniu, a także pewnej nadnaturalności, jaka pod wieloma względami cechowała „Pequoda", zaklinali się, że kiedykolwiek i gdziekolwiek dojrzy się ów niepochwytny słup pary, bez względu na to, w jak różnym czasie i pod jak odmienną szerokością i długością geograficzną — zawsze wyrzuca go jeden i ten sam wieloryb, a jest nim Moby Dick. Przez pewien czas panowało również uczucie niesamowitego lęku przed owym wymykającym się zjawiskiem, co jakby wciągało nas zdradziecko dalej i dalej w tym celu, żeby potwór mógł wreszcie obrócić się na nas i rozszarpać na najodleglejszych i najdzikszych morzach.

Te chwilowe obawy, tak niejasne, choć tak straszliwe, czerpały moc przedziwną z kontrastującej z nimi łagodności pogody, w której ci i owi upatrywali szatańskie zaklęcie czyhające pod jej błękitną słodyczą, gdyśmy całymi dniami przemierzali morza tak senne, samotniczo spokojne, że cały przestwór, wzdrygając się przed naszym mściwym dziełem, zdawał się usuwać z siebie wszelkie życie na szlaku naszego dziobu-urny.

Wreszcie jednak, kiedy obróciliśmy się na wschód, zadęły wokoło wichry od Przylądka i poczęliśmy się wznosić i opadać na długich zmąconych falach, które tam się toczą. Gdy „Pequod" o białozębnych burtach ostro się skłonił wichrowi i w szaleństwie począł bóść ciemne odmęty, kiedy jak ulewa opiłków srebra runęły przez burty bryzgi pian — wówczas odbiegła precz cała ta pustka i posępna martwota, a na jej miejsce zjawiły się obrazy jeszcze straszliwsze.

Przed samym dziobem dziwne kształty miotały się tam i sam w wodzie, a tuż za rufą leciały tajemnicze kormorany. I co ranka można było ujrzeć szeregi tych ptaków uczepionych u naszych sztagów; mimo żeśmy na nie hukali, przywierały na długi czas do lin, jak gdyby sądząc, że nasz żaglowiec jest

jakowymś opustoszałym statkiem błądzącym po morzu i skazanym na opuszczenie, a przeto wyborną grzędą dla ich bezdomnej rzeszy. Wzdymało się czarne morze i kolebało niezmordowanie, jak gdyby jego potężne' przypływy i odpływy były sumieniem; jakby wielką duszę świata dręczyły wyrzuty za grzech i cierpienie, które tak długo rodziła.

Przylądkiem Dobrej Nadziei ciebie nazywają? Raczej Przylądkiem Udręczeń — Cape Tormentoto, jak brzmiała twoja stara nazwa! Długo zwodzeni przez perfidną ciszę, która nas dotychczas nie opuszczała, znaleźliśmy się ciśnięci na to udręczone morze, gdzie dusze potępione zamieniane zostają w ryby czy ptaki i skazane na wieczne pływanie bez nadziei zawinięcia do przystani lub też na przemierzanie czarnego przestworu pozbawionego horyzontu. Mimo to można było od czasu do czasu dostrzec samotny słup pary wodnej, spokojny, śnieżnobiały i niezmienny, zawsze kierujący ku niebu swoją pierzastą fontannę, ustawicznie dający nam znaki, by za nim podążać.

Podczas tej nawałnicy żywiołów Ahab, choć sprawował teraz niemal nieprzerwanie komendę na schlustanym, niebezpiecznym pokładzie, zachowywał ponurą rezerwę i rzadziej niż kiedykolwiek zwracał się do swych oficerów. Jeśli w tak burzliwym czasie wszystko na pokładzie i w górze jest już zabezpieczone, nie pozostaje nic innego, jak tylko biernie oczekiwać końca sztormu. Kapitan i jego załoga stają się wówczas właśnie fatalistami. Tak więc i Ahab, wetknąwszy kościaną nogę w przeznaczony na to otwór, krzepko uchwyciwszy się want jedną ręką, potrafił stać całymi godzinami, wypatrując wprost ku nawietrznej, podczas gdy od czasu do czasu jakaś zawierucha śniegu czy mokrych krup już prawie zwierała mu lodem powieki. Tymczasem załoga, spędzona z przedniej części statku przez groźne bałwany, które z hukiem przewalały się przez dziób, stała szeregiem wzdłuż burt śródokręcia; aby się lepiej zabezpieczyć przed szorującymi falami, każdy marynarz opasał się rodzajem pętli przytwierdzonej od relingów i kołysał się w niej jak w

poluźnionym pasie. Niewiele mówiono i milczący żaglowiec, jakby obsadzony malowanymi marynarzami z wosku, dzień po dniu sunął poprzez bystre szaleństwo i igraszki szatańskich fal.

Nocą panowała ta sama niemota ludzi w obliczu ryku oceanu; w milczeniu wsuwali się w pętle marynarze, bez słowa Ahab stawiał czoło wichrowi. Nawet gdy strudzona przyroda zdawała się żądać spoczynku, on go nie szukał w swym hamaku. Starbuck nigdy nie mógł zapomnieć widoku starego, gdy zszedłszy którejś nocy do kajuty, by sprawdzić barometr, zastał kapitana wyprostowanego, siedzącego z zamkniętymi oczami na swym krześle przyśrubowanym do podłogi, podczas gdy deszcz i topniejący śnieg nawałnicy, z której niedawno wrócił, ciągle jeszcze powoli skapywały z nie zdjętego kapelusza i kurty. Obok, na stole, leżała nie rozwinięta jedna z tych map przypływów i prądów morskich, o której wyżej była mowa. Latarnia kołysała się w twardo zaciśniętej dłoni kapitana. Choć ciało było wyprostowane, głowa opadła mu do tyłu, tak że zawarte oczy skierowane były w stronę „gaduły" kołyszącego się u belki pułapu.

„Straszliwy kapitanie! — pomyślał wzdrygnąwszy się Starbuck — śpisz w czasie tego sztormu, a przecie uparcie wypatrujesz swego celu!"

ROZDZIAŁ LII
„ALBATROS"

Na południowy wschód od Przylądka, poza dalekimi Krozetami, dobrym terenem dla łowców wielorybów właściwych, zamajaczył przed nami statek; był to „Goney" (albatros). Gdy z wolna zbliżał się do nas, mogłem ze swej wyniosłej grzędy na topie fokmasztu dobrze się przypatrzeć temu widokowi tak interesującemu dla nowicjusza w dalekomorskim rybołówstwie — statkowi wielorybniczemu na morzu, statkowi, który już dawno temu opuścił swój kraj.

Jak gdyby fale były malarzami, „Goney" pobielał niby szkielet morsa wywleczony na brzeg. Upiorna ta zjawa była po bokach znaczona długimi smugami czerwonawej rdzy, a wszystkie reje, maszty i liny przypominały gęste konary drzew omszałe od szronu. Rozwinięte miał tylko dolne żagle. Przedziwny był widok długobrodych marynarzy stojących na jego trzech masztach. Zdawało się, że owi ludzie są przybrani w skóry zwierząt, tak bardzo podarte i połatane było ich odzienie, ktÂy zre przetrzymało niemal cztery lata podróży. Stojąc na żelaznych obręczach przybitych do' masztów kołysali się i chwiali ponad bezdenną głębiną. Kiedy żaglowiec wolno przesuwał się blisko rufy „Pequoda", nas sześciu zawieszonych w powietrzu znalazło się tak blisko siebie, że niemal mogliśmy przeskoczyć z masztów jednego statku na maszty drugiego; jednakże ci smętni rybacy wprawdzie rzucali nam życzliwe spojrzenia, gdyśmy się mijali, ale nie wyrzekli ani słowa, choć z dołu rozbrzmiało pozdrowienie z mostku kapitańskiego.

— Statek, ahoy! Widzieliście białego wieloryba?

Ale kiedy kapitan „Goneya", przechylony przez zbielałą burtę, właśnie podnosił do ust tubę, ta wypadła mu z rąk w morze, a ponieważ zerwał się znowu porywisty wiatr, próżne były wysiłki żeglarza, by dać się nam słyszeć bez jej pomocy. Tymczasem statek jego ciągle zwiększał odległość, jaka nas dzieliła. Marynarze „Pequoda" na różne milczące sposoby dawali po sobie poznać, że nie uszedł ich uwagi ów złowróżbny wypadek, jaki się wydarzył, ledwie po raz pierwszy wspomniano innemu statkowi o białym wielorybie. Ahab tymczasem zatrzymał się chwilę; zdawało się, że chętnie by spuścił łódź, by wejść na pokład „Goneya", gdyby mu tego nie wzbraniał groźny wicher. Poznawszy już z samego wyglądu, że osobliwy statek pochodzi z Nantucket i że niebawem do kraju powróci, Ahab, korzystając z tego, że wiatr dął od niego ku tamtemu, porwał znowu za tubę i donośnym głosem zakrzyknął:

— Ahoy, tam! Tu „Pequod" idący dookoła świata! Powiedzcie, żeby wszystkie listy adresowano w przyszłości na Ocean Spokojny! A jeśli nie wrócę do domu od dziś za trzy lata, niech adresują do...

W tym momencie szlaki obu żaglowców już się przecięły i natychmiast ławice drobnych, niewinnych rybek, które od kilku dni spokojnie płynęły u naszego boku, w myśl swego osobliwego zwyczaju mignęły precz, aż się zdało, że płetwy dygocą im z przerażenia, i ustawiły się u dziobu i rufy „Goneya". Mimo to Ahab w trakcie swych ciągłych podróży musiał nieraz zaobserwować podobne zjawisko, przecież dla człowieka opanowanego manią prześladowczą najdrobniejsze błahostki brzemienne bywają w nieobliczalne znaczenie.

— Odpływacie ode mnie, co? — szepnął spoglądając w wodę. Niewiele mówiły te słowa, ale w głosie brzmiało więcej głębokiego, bezradnego smutku, niż go stary obłąkaniec kiedykolwiek dotąd po sobie pokazał. Obrócił się jednak ku sternikowi, który dotychczas utrzymywał statek na wietrze, by zmniejszyć jego szybkość, i zakrzyknął swym dawnym, lwim głosem: Ster na burtę! Dalej naokoło świata!

Naokoło świata! Jest coś w tych słowach, co może wzbudzić uczucie dumy; wszelako dokądże wiedzie taka podróż? Wiedzie ona poprzez niezliczone niebezpieczeństwa właśnie do tego samego punktu, z któregośmy wyruszyli; tam gdzie ci, których w bezpieczności pozostawiliśmy za sobą, byli i tak przez cały czas pierwsi przed nami.

Gdyby ten świat był nieskończoną równiną, po której żeglując ku wschodowi moglibyśmy stale docierać do nowych miejsc lub też odkrywać widoki rozkoszniejsze i dziwniejsze od wszystkich Cyklad czy Wysp Salomona — wówczas podróż taka pełna by była obietnic. Ale w pogoni za owymi tajemnicami, które nam się śnią, w dręczącym pościgu za upiornym demonem, który w tej czy innej dobie płynie przed każdym sercem człowieczym, goniąc tak po tym naszym krągłym globie, można się albo dostać w jaa id="filepos577210">owe labirynty, albo zatonąć po drodze.

ROZDZIAŁ LIII
GAM

Rzekomą przyczyną, dla której Ahab nie udał się na pokład spotkanego przez nas statku, był fakt, że wiatr i morze zwiastowały sztorm. Ale nawet gdyby tak nie było, Ahab nie uczyniłby tego, co zresztą można było wnosić z jego późniejszego zachowania się w podobnych okazjach — jeśliby przy powitaniu otrzymał, odpowiedź przeczącą na zadane przez siebie pytanie. Jak się bowiem wreszcie okazało, nie dbało obcowanie choćby przez pięć minut z jakimś nieznajomym kapitanem, chyba że ten mógł mu udzielić tej czy innej informacji, której poszukiwaniem Ahab był pochłonięty. Wszystko to jednak mogłoby tu być niewłaściwie ocenione, gdyby się nie rzekło słowa o szczególnych obyczajach statków wielorybniczych w wypadku spotkania się na obcych morzach, a w szczególności na wspólnym terenie łowieckim.

Jeżeli dwaj nieznajomi, którzy się mijają na Sosnowym Ugorze w stanie Nowy Jork lub też na podobnie pustynnej równinie Salisbury w Anglii, spotkawszy się przypadkiem wśród tak niegościnnej dziczy, za nic w świecie nie pominą wzajemnego ukłonu oraz zatrzymania się w celu wymiany nowin, a może nawet zasiądą na chwilę, by wypocząć pospołu — to o ileż jest naturalniejsze, że na nieprzemierzonych Sosnowych Ugorach i równinach salisburyjskich morza dwa statki wielorybnicze natrafiwszy na siebie u krańców świata, poza samotnymi Wyspami Fanninga czy dalekim King's Mills, nie tylko w takich okolicznościach wymienią pozdrowienia, ale wejdą w jeszcze bliższy, bardziej przyjazny i bezpośredni kontakt. Tym bardziej zaś oczywiste się to wydaje, jeśli idzie o

statki pochodzące z tego samego portu, których kapitanowie, oficerowie oraz niektórzy marynarze znają się osobiście i przeto mają do obgadania wiele domowych, drogich sercu spraw.

Statek, który w świat wyrusza, ma zapewne na pokładzie listy dla tego, co już z dawna jest w kraju nieobecny; w każdym razie może mu z pewnością przekazać gazety datowane o rok czy dwa później niż ostatnia, jaka się znalazła w jego zbrukanych i wyświechtanych palcami dokumentach. W zamian za to otrzyma on najświeższe wiadomości z terenów łowieckich, na jakie się udaje — rzecz posiadająca dlań najwyższą wagę. A w pewnym stopniu wszystko to odnosi się także i do statków wielorybniczych krzyżujących swe szlaki na tym samym terenie, choćby oba równie dawno temu kraj swój opuściły, jeden z nich bowiem mógł otrzymać listy przekazane przez jakiś trzeci statek znajdujący się już teraz daleko, niektóre zaś z tych listów mogą być przeznaczone dla ludzi płynących na właśnie napotkanym żaglowcu. Prócz tego można wymienić wiadomości wielorybnicze i przeprowadzić miłą pogawędkę. Statki takie spotykają się bowiem nie tylko z całą sympatią marynarzy, ale również mają do czynienia ze szczególnymi, pokrewnymi zainteresowaniami wynikającymi ze wspólnego rzemiosła i wspólnie dzielonych prywacji i niebezpieczeństw.

Różnica kraju macierzystego nie stanowi tu żadnej istotnej przeszkody, przynajmniej o ile obie strony mówią jednym językiem, jak to się dzieje w przypadku Amerykanów czy Anglików. Chociaż znowu z uwagi na niewielką liczbę angielskich statków wielorybniczych spotkania takie niezbyt się często zdarzają, a o ile do nich dochodzi, to łacno wkrada się tu pewien brak swobody; gdyż jeśli idzie o Anglika, to raczej zachowuje on rezerwę, a taki Jankes nie gustuje w czymś podobnym u kogokolwiek poza samym sobą. Prócz tego wielorybnicy angielscy czasem przybierają pozę jakiejś metropolitalnej wyższości w stosunku do amerykańskich, uważając długiego, chudego nantucketańczyka wraz z jego niezrozumiałymi prowincjonalizmami za coś w rodzaju

morskiego wieśniaka. Trudno by jednak orzec, na czym w istocie polega owa wyższość wielorybnika angielskiego, zważywszy, że Jankesi zabijają łącznie więcej wielorybów w ciągu jednego dnia niż wszyscy Anglicy razem wzięci w ciągu lat dziesięciu.. Jest to jednak nieszkodliwa, drobna słabostka angielskich poławiaczy, którą nantucketańczyk niezbyt sobie bierze do serca; najprawdopodobniej dlatego, iż sam ma niejedną słabostkę.

Tak więc widzimy, że ze wszystkich poszczególnych statków żeglujących po morzach, wielorybnicze mają najwięcej powodów, żeby ze sobą obcować, co też i czynią. Natomiast niektóre statki handlowe krzyżujące swe szlaki na środku Atlantyku, często przejdą obok siebie bez jednego choćby słowa pozdrowienia, mijając się jak para elegantów na Broadwayu, a może też w tym czasie dają upust wzajemnym wymyślnym, krytycznym uwagom na temat swego olinowania. Jeśli idzie o okręty wojenne, to o ile się przypadkiem na morzu spotkają, muszą najpierw odprawić taki korowód niemądrych pokłonów, szastań i opuszczań bander, że nie sposób w tym wszystkim dostrzec jakiejś prawdziwej, serdecznej życzliwości i miłości braterskiej. Co się tyczy spotkania statków wiozących niewolników, no to te śpieszą się tak nadzwyczajnie, że uciekają od siebie, jak się da najrychlej. Zaś co do piratów, to o ile się zdarzy, że spotkają się z sobą te ich skrzyżowane piszczele, wówczas pierwszy okrzyk brzmi: „Ile czaszek?" — tak jak wielorybnicy wołają: „Ile baryłek?" A gdy już otrzymają odpowiedź na to pytanie, piraci sterują precz od siebie, albowiem z obu stron spotykają się tu piekielne łotry, nie lubią więc zbytnio przyglądać się swym łotrowskim podobiznom.

Popatrzcie jednak tylko na zbożnego, uczciwego, prostego, gościnnego, towarzyskiego, beztroskiego wielorybnika! Cóż czyni statek wielorybniczy, jeśli spotka swego kompana w jakąś przyzwoitą pogodę? Odprawia z nim *gam*, rzecz tak zupełnie nie znaną wszystkim innym marynarzom, że w ogóle nigdy nie słyszeli tego słowa; a jeśliby je przypadkiem zasłyszeli, to tylko uśmiechną się drwiąco i powtórzą jakieś dowcipy o

„dmuchaczach" i „pitraszeniu oleju" czystym podobne piękne wykrzykniki. Trudno by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego to wszyscy marynarze floty handlowej i wojennej, jak również wszyscy piraci oraz marynarze ze statków niewolniczych żywią takie lekceważenie do statku wielorybniczego. Chciałbym wiedzieć, czy w przypadku takich, powiedzmy, piratów, zawód ich ma w sobie coś szczególnie chwalebnego. Czasem w istocie kończy się on niepospolitym wywyższeniem, ale tylko na szubienicy. A gdy człowiek zostanie w tak osobliwy sposób wywyższony, to brak mu odpowiednich podstaw na tak znacznej wysokości. Stąd wniosek, że jeśli pirat chełpi się swoją ogromną wyższością nad wielorybnikiem, to brak mu solidnej podstawy, na której by się mógł oprzeć.

Ale cóż to takiego jest ów *gam?* Moglibyście sobie zetrzeć palec wskazujący wodząc nim tam i sam po szpaltach słowników, a nigdy na ów wyraz nie natraficie. Dr Johnson nigdy nie osiągnął takiej erudycji; wyrazu tego nie zawiera również i arka Noego Webstera. Niemniej jednak to właśnie wyraziste słowo od lat wielu jest w stałym użyciu u jakichś piętnastu tysięcy rodowitych Jankesów. Wymaga ono z pewnością definicji i winno zostać włączone do leksykonu. Z uwagi na to pozwólcie mi je określić w sposób uczony.

GAM — rzeczownik — *towarzyskie spotkanie, zasadniczo na terenie łowieckim, dwóch (albo więcej) statków wielorybniczych, w czasie którego po wymianie powitań składają sobie wzajemnie wizyty załogi szalup; obaj kapitanowie pozostają przez ten czas na pokładzie jednego ze statków, zaś obaj pierwsi oficerowie na pokładzie drugiego.*

Istnieje jeszcze jeden drobiazg odnoszący się do *gamowania,* o którym nie wolno tu zapominać. Wszelkie profesje mają swoje własne, drobne osobliwości; dotyczy to również i wielorybnictwa. Na okręcie pirackim czy wojennym, czy też przewożącym niewolników, jeżeli wiezie się dokądkolwiek kapitana w jego łodzi, to zawsze zasiada on w tyle, na wygodnym siedzeniu, czasem wymoszczonym poduszkami, i często osobiście steruje za pomocą ładniutkiego, małego

ozdobnego rumpla przybranego wesołymi wstążkami i sznureczkami. Natomiast szalupa wielorybnicza nie ma na rufie siedzenia ni żadnej tego rodzaju sofy; nie ma też i rumpla. Źle by się działo, gdyby kapitanów wielorybniczych turlano po morzu na rolkach, niczym cierpiących na podagrę dostojników miejskich w fotelach dla kalek. Co zaś się tyczy rumpla, to łódź wielorybnicza nie dopuszcza podobnej zniewieściałości i dlatego właśnie, ponieważ przy *gamie* pełna załoga szalupy musi opuścić statek, a wśród niej znajduje się sternik albo harpunnik, on to wówczas kieruje łodzią, a kapitan, nie mając miejsca siedzącego, odwożony jest na wizytę w postawie stojącej niby sosna. Często teżmożna zauważyć, iż świadom faktu, że skierowane są nań wszystkie oczy całego widzialnego świata, spoglądające z burt obu statków, ów stojący kapitan zdaje sobie jasno sprawę z wagi, jaką dlań ma zachowanie własnej godności przez utrzymanie się na nogach. Nie jest to bynajmniej sprawa prosta, ponieważ z tyłu ogromne, sterczące wiosło sterowe wali go od czasu do czasu w krzyże, podczas gdy drugie wiosło odwzajemnia się poszturchiwaniem w kolana od przodu. Kapitan jest więc w ten sposób zaklinowany od przodu i tyłu i może poruszać się tylko na boki stojąc na rozkraczonych nogach; jednakże raptowny, gwałtowny wstrząs łodzi może go bardzo łacno obalić, jako że długość fundamentów jest niczym bez ich odpowiedniej szerokości. Utwórzcie tylko kąt rozwarty z dwóch palików, a nie potraficie ich utrzymać w pozycji stojącej. Prócz tego nie uchodziłoby nigdy temu rozkraczonemu kapitanowi, wystawionemu wprost na spojrzenia utkwionych w niego oczu świata, nie uchodziłoby mu nigdy, powtarzam, pokazać, że pomaga sobie choć krzynę w zachowaniu równowagi przytrzymując się ręką czego bądź; zaiste, na znak pełnego, sprężystego panowania nad sobą trzyma on zazwyczaj ręce w kieszeniach spodni; być może jednak, iż z uwagi na to, że dłonie ma na ogół bardzo wielkie i ciężkie, wkłada je tam jako balast. Mimo to zdarzały się wypadki, poświadczone jako autentyczne, że w niezwykle krytycznej chwili, powiedzmy w

czasie nagłego szkwału, kapitan chwytał się czupryny najbliższego wioślarza i trzymał się jej jak rzep psiego ogona.

ROZDZIAŁ LIV
HISTORIA „TOWN–HO"

(Tak jak ją opowiedziano w Złotej Gospodzie)

Przylądek Dobrej Nadziei i całe wodne obszary wokół niego bardzo przypominają jakieś znane skrzyżowanie wielkich gościńców, na którym spotyka się więcej podróżnych niż gdziekolwiek indziej.

Niedługo po rozmowie z „Goneyem" natrafiliśmy na inny dążący do domu statek wielorybniczy, a mianowicie „Town-Ho", Załoga jego składała się niemal wyłącznie z Polinezyjczyków. W czasie krótkiego *gamu,* jaki nastąpił, statek udzielił nam ważnych wiadomości o Moby Dicku. U niektórych niebywale się wzmogło ogólne zainteresowanie białym wielorybem, a to dzięki pewnej okoliczności z dziejów „Town-Ho", która w jakiś mroczny sposób łączyła z wielorybem zdumiewający, odwrócony objaw jednego z tak zwanych sądów bożych, jakie podobno czasami dosięgają niektórych ludzi. Ta ostatnia okoliczność, tworząca wraz z towarzyszącymi jej dodatkami to, co można by nazwać tajemną częścią tragedii, którą tu mamy opowiedzieć, nigdy nie dotarła do uszu kapitana Ahaba ani jego oficerów. Ta bowiem tajemna część historii była nie znana samemu kapitanowi „Town-Ho". Stanowiła ona prywatną własność trzech skonfederowaaych białych marynarzy tego statku, z których jeden przekazał ją podobno Tasztegowi zaklinając go na wszystkie świętości, by zachował sekret. Ale następnej nocy Tasztego począł gadać przez sen i wyjawił w ten sposób tak znaczną część tajemnicy, że kiedy go zbudzono, nie mógł już ukryć reszty. Niemniej jednak rzecz ta wywarła tak

potężny wpływ na tych marynarzy „Pequoda", którzy się w pełni z nią zaznajomili, ci zaś kierowali się w tej sprawie tak osobliwą, powiedzmy, delikatnością, iż zachowali między sobą tajemnicę, która nigdy nie przesiąknęła poza grotmaszt „Pequoda". Przejdę teraz do trwałego uwiecznienia tej historii, we właściwych miejscach przeplatając wszelako ową mroczną nicią tę formę, w jakiej całą historię opowiedziano publicznie na pokładzie „Pequoda".

Dla własnej przyjemności zachowam tutaj styl, jakim niegdyś, w wilię pewnego święta, opowiedziałem ją w Limie kilku moim hiszpańskim przyjaciołom, którzy rozsiedli się wokoło paląc cygara na krytej grubo złoconą dachówką werandzie Złotej Gospody. Z tych wytwornych kawalerów dwaj młodzieńcy, don Pedro i don Sebastian, żyli ze mną na bliższej stopie; stąd też i pytania, jakie od czasu do czasu wtrącali, uzyskując na nie wówczas należytą odpowiedź.

„Na jakieś dwa lata przed powzięciem przeze mnie pierwszej wiadomości o wypadkach, które właśnie zamierzam wam, panowie, opowiedzieć, «Town-Ho», statek wielorybniczy z Nantucket, krążył po tym waszym Pacyfiku ledwie o kilka dni drogi na wschód od ścian tej tu poczciwej Złotej Gospody. Znajdował się gdzieś na północ od równika. Pewnego ranka, gdy codziennym zwyczajem uruchomiono pompy, zauważono, że statek nabiera więcej wody do komór niż zwykle. Sądzono, że przebiła go ryba-miecz, panowie. Ale kapitan dla jakichś niezwykłych przyczyn uważał, że w owych stronach czeka go niebywałe szczęście i dlatego wielce był niechętny myśli o ich opuszczeniu; ponieważ zaś nie uważano wcale tego przecieku za niebezpieczny, choć po prawdzie nie sposób było odnaleźć otwór, mimo że przeszukano komory tak głęboko, jak tylko się dało przy raczej wzburzonym morzu — statek krążył więc dalej, a marynarze pracowali przy pompach ze znacznymi przerwami. Oczekiwane szczęście nie nadeszło jednak; mijały dnie i nie tylko nadal nie wykryto, skąd pochodziło przeciekanie, ale jeszcze wzrosło ono wyraźnie — i to do tego stopnia, że nieco już zaniepokojony kapitan rozwinąwszy

wszystkie żagle wypatrywał pośród wysp najbliższego portu, aby tam przyciągnąć swój statek i uszkodzenie naprawić.

Aczkolwiek statek miał przed sobą dość długą podróż, kapitan bynajmniej się nie obawiał, że mu zatonie po drodze, jeżeli tylko będzie sprzyjało najzwyklejsze szczęście; pompy miał bowiem znakomite, a jego trzydziestu sześciu ludzi, zmieniając się przy nich od czasu do czasu, mogło z łatwością usuwać wodę, nawet gdyby otwór był jeszcze dwukrotnie większy. W istocie, zważywszy, że w ciągu prawie całej podróży towarzyszyły mu wielce pomyślne wiatry, -«Town-Ho»- byłby niemal z pewnością dotarł do portu całkiem bezpiecznie i bez najmniejszej katastrofy, gdyby nie brutalna przemoc pierwszego oficera, vineyardczyka Radneya, oraz sprowokowana przezeń zaciekła zemsta owego Straceńca Steelkilta, mieszkańca pojezierza z Buffalo."

— Mieszkaniec pojezierza! Buffalo! Powiedz pan, proszę, co to jest mieszkaniec pojezierza tudzież gdzie leży Buffalo? — zapytał don Sebastian podnosząc się na swojej bujającej macie z trawy.

„Na wschodnim brzegu naszego jeziora Erie, don Sebastianie: ale błagam pana o cierpliwość — może jeszcze niebawem usłyszysz coś więcej na ten temat. Otóż, panowie, w samym sercu naszej Ameryki, zamkniętym zewsząd przez ląd, człowiek ów wychował się na brygach o czworokątnych żeglach, na trójmasztowcach niemal równie dużych i krzepkich jak którykolwiek z tych, co płyną z waszego starego Callao do dalekiej Manili; wychowały go owe dzikie, korsarskie przeżycia, które się powszechnie wiążą z pełnym oceanem. Albowiem ów połączony zespół tych naszych słodkich mórz — Erie i Ontario, Jeziora Hurońskiego, Górnego i Michiganu — ma iście oceaniczny ogrom, wiele najszlachetniejszych cech oceanu oraz podobną różnorodność pobrzeżnych ras i klimatów. Na jeziorach tych istnieją całe archipelagi romantycznych wysp, zupełnie jak na wodach polinezyjskich; na znacznej części ich obszarów pobrzeżnych zamieszkują dwa wielkie odmienne narody, podobnie jak na wybrzeżach Atlantyku. Przez te jeziora

wiedzie długa droga wodna do licznych naszych osiedli rozsypanych wokół ich brzegów a zamieszkałych przez kolonistów ze wschodu; tu i ówdzie spoglądają na nie surowo baterie, a z urwistej, kozicy godnej skarpy — działa wyniosłego frontu Mackinaw.

Słyszały te jeziora gwałtowne grzmoty nawodnych zwycięstw; czasami oddawały swe plaże dzikim barbarzyńcom, których czerwono pomalowane oblicza gorzały w skórzanych wigwamach; całymi milami obrzeżone są prastarym, dziewiczym borem, w którym śmigłe sosny stoją niby zwarte szeregi królów na gotyckich tablicach genealogicznych; też same knieje kryją w sobie dzikie, iście afrykańskie, drapieżne bestie oraz jedwabiste zwierzęta, których futra, wywożone za granicę, dostarczają szat tatarskim carom. W taflach tych wód przeglądają się brukowane ulice takich stolic jak Buffalo i Cleveland, a także wiosek Winnebagów; pływa tam zarówno statek handlowy o pełnym ożaglowaniu, jak uzbrojony krążownik państwowy, parowiec lub czółno z buczyny; miecie po nich. borealny wiatr łamiący maszty — równie okrutny jak którykolwiek z tych, które chłostają słoną falą; jeziora te wiedzą, co to rozbicie okrętu, albowiem z dala od lądu, choć wewnątrz niego, zatopiły już nocą niejeden żaglowiec wraz z całą wrzeszczącą załogą. Tak więc, panowie, acz ów Steelkilt był człowiekiem lądu, przecie zrodził się na dzikim oceanie i przez ten dziki ocean wychowany został; był zatem nie mniej zuchwałym marynarzem od innych. Radney zaś, mimo że w dzieciństwie legiwał na samotnej nantucketańskiej plaży, aby się pieścić swym ojczystym morzem, a w późniejszym życiu przez długi czas przemierzał nasz surowy Atlantyk i wasz zadumany Pacyfik, był jednak równie mściwy i zadzierzysty jak ów marynarz z kniej, świeżo przybyły z krainy kordelasów o rękojeściach z rogu. A przecie ów nantucketańczyk był człowiekiem o pewnych poczciwych cechach, tamten zaś z pojezierza — marynarzem, który, choć diabeł wcielony, mógł być przez długi czas trzymany w posłuszeństwie i nie wadzić nikomu — gdyby go traktowano z nieugiętą stanowczością,

miarkowaną jedynie przez tę zwykłą przyzwoitość, co w innym uznaje człowieka i jest dobrym prawem najnędzniejszego z niewolników. W każdym razie takim się dotąd okazywał; jednakże Radney był z góry skazany i tknięty obłędem, Steelkilt zaś — no, ale sami usłyszycie, panowie.

Nie później niż w dwa, najdalej trzy dni od chwili, gdy «Town-Ho» obrócił dziób w stronę owego wyspiarskiego portu, zauważono, iż przeciek znowu wzrasta, ale tylko o tyle, że wymagało to godziny czy więcej codziennej pracy przy pompach. Trzeba panom wiedzieć, że na oceanie tak statecznym i ucywilizowanym, jak na przykład nasz Atlantyk, niektórzy szyprowie nie uznają pompowania przez całą drogę, chociaż gdyby przypadkiem którejś sennej nocy oficer pełniący służbę na pokładzie zapomniał o swoich obowiązkach w tej mierze, najprawdopodobniej ani on sam, ani jego towarzysze już nigdy by sobie o nich nie przypomnieli, a to z tej przyczyny, że cała załoga poszłaby łagodnie na dno.-Także i na odludnych, dzikich morzach daleko na zachód od was, panowie, nie jest bynajmniej czymś niezwykłym, jeżeli marynarze zgodnym chórem szczękają rękojeściami pomp nawet przez czas dość długiej podróży, zwłaszcza o ile szlak wiedzie wzdłuż jako tako dostępnego wybrzeża lub też, jeśli istnieje możność dotarcia do jakiegoś innego rozsądnego schronienia. Dopiero kiedy przeciekający statek znajdzie się w którejś prawdziwie odległej części owych wód, w takich regionach, gdzie ani śladu lądu — wtedy kapitan zaczyna odczuwać pewien niepokój.

Coś zupełnie podobnego wydarzyło się z «Town-Ho» gdy więc znowu stwierdzono, że woda przecieka coraz bardziej, kilku ludzi, z załogi okazało niejaki frasunek, szczególnie zaś Radney, pierwszy oficer. Rozkazał na nowo naciągnąć szkoty, dobrze napiąć górne żagle i starannie nastawić je do wiatru. Owóż ten Radney był, jak się zdaje, równie mało tchórzliwy i tak samo nieskłonny do jakichś nerwowych obaw o własną osobę jak pierwszy lepszy nieulękły i nierozumny zwierz lądowy czy morski, jakiego możecie sobie wyimaginować. Dlatego też, kiedy począł zdradzać taką troskę o bezpieczeństwo statku,

niektórzy z marynarzy uznali, iż dzieje się to tylko ze względu na fakt, że jest on jego współ- ' właścicielem. I kiedy owego wieczoru pracowano przy pompach, niemało chytrych dowcipów krążyło na ten temat między ludźmi, których stopy coraz to zalewała czysta jak górskie źródełko, pluszcząca woda, co wyrzucona z pomp, szorowała poprzez pokład i wylewała się równomiernie chluśnięciami przez szpejgaty od zawietrznej.

Otóż, jak to panom dobrze wiadomo, nie jest rzadkością na tym naszym konwencjonalnym świecie — wodnym czy też lądowym — że kiedy ktoś przewodzący innym ludziom stwierdzi, iż jeden z nich góruje nad nim w sposób oczywisty wspaniałą męską urodą — wówczas w tym przełożonym natychmiast się rodzi niezwyciężona niechęć i rozgoryczenie wobec tego podwładnego; gdyby się tylko nadarzyła sposobność, chętnie by obalił i starł na proch tę dumną wieżę przemieniając ją w garść pyłu. Nie wiem, proszę panów, czy słuszne jest to moje przypuszczenie, ale w każdym razie Steelkilt był rosłym, szlachetnym stworzeniem o rzymskiej głowie i bujnej brodzie, złocistej jak chwasty kapy okrywającej parskającego rumaka waszego ostatniego wicekróla. Miał taki rozum, serce i duszę, że mógłby dzięki nim stać się Karolem Wielkim, gdyby się był urodził jako syn ojca tego monarchy. Natomiast pierwszy oficer, Radney, był szpetny jak muł i równie twardy, uparty a złośliwy. Nie kochał Steelkilta i Steelkilt o tym wiedział.

Kiedy Steelkilt wraz z resztą towarzyszy mozolił się przy pompach, spostrzegł, że zbliża się ku niemu oficer; udał jednak, że go nie dostrzega, i nadal bez obawy sypał wesołymi docinkami.

— Tak, tak, chłopaki, tęgo tu przecieka. Podstaw tam który bańkę, to pokosztujemy. Na Boga, warto to butelkować! Wiecie co, cały udział starego Radneya będzie zmarnowany! Najlepiej by zrobił, żeby odciął-swój kawał statku i poholował go do domu. Faktem jest, chłopaki, że ryba-miecz tylko zaczęła tę robotę, później wróciła znowu z całą bandą cieśli okrętowych: rybpił, ryb-pilników i czego tam jeszcze, a teraz ta czereda

ciężko pracuje nad przecinaniem i rąbaniem dna. Zdaje się, że jeszcze poprawiają swoje dzieło. Gdyby stary Rad był tutaj teraz, tobym mu powiedział, żeby skoczył przez burtę i rozpędził je. Mógłbym mu rzec, iż diablo sobie poczynają z jego własnością. Ale to prosta, poczciwa dusza, ten Radney, no, a przystojny! Chłopcy, mówią, że resztę swego majątku wpakował w zwierciadła. Ciekawym, czy ofiarowałby takiemu biwakowi jak ja odlew swego nosa!

— Do kata! Czemu pompa stoi?! — wrzasnął Radney udając, że nie dosłyszał słów marynarza. — Brać się do niej, a żywo!

— Rozkaz! — odparł Steelkilt wesoły jak szczygiełek. — Żywo, chłopcy, żywo teraz!— I maszyna zawarczała jak pięćdziesiąt pomp strażackich; marynarze odrzucili precz czapki i niebawem dało się słyszeć owo szczególne dyszenie znamionujące najwyższe napięcie ludzkich sił żywotnych.

Odszedłszy wreszcie od pompy wraz z resztą swojego zespołu Steelkilt udał się zziajany na dziób i tam zasiadł na bratszpilu; twarz miał pokraśniałą, rozognioną, oczy krwią nabiegłe i ocierał obfity pot z czoła. Nie mam pojęcia, panowie, co za przekorny diabeł opętał Radneya, że teraz właśnie zaczepił człowieka, który był w tak rozpaczliwym stanie fizycznym; tak się jednak stało. Przemierzawszy pokład swym nieznośnie irytującym krokiem, oficer rozkazał Steelkiltowi wziąć miotłę i zamieść deski, jak również usunąć przy pomocy szufli pewne cuchnące pozostałości po wypuszczeniu na swobodę jakiegoś wieprza.

Otóż, proszę panów, zamiatanie pokładów na morzu jest częścią zajęć gospodarczych, których się regularnie dogląda co wieczora w każdej dobie z wyjątkiem szalejącej burzy; znane są wypadki zamiatania pokładów statków, które właśnie szły na dno. Taka to jest, panowie, niezłomność morskich obyczajów tudzież instynktowne rozmiłowanie marynarzy w schludności; są między nimi tacy, co niechętnie by zatonęli nie umywszy sobie wprzód twarzy. Jednakże na wszystkich statkach te sprawy miotłowe są w myśl przepisów domeną chłopców okrętowych, o ile takowi się na pokładzie znajdują. Prócz tego,

na «Town-Ho» podzielono silniejszych ludzi na grupy, które się kolejno zmieniały u pomp, a Steelkilt, jako najatletyczniejszy z marynarzy, bywał regularnie mianowany przywódcą jednej z grup i przeto powinien był być zwolniony od wszelkich błahych zajęć nie związanych z prawdziwie marynarskimi obowiązkami, ponieważ stosowano to do jego kolegów. Wspominam tu o takich szczegółach, ażebyście panowie mogli dokładnie pojąć, jak się rzeczy miały między owymi dwoma ludźmi.

Ale nie dość na tym. Było niemal oczywiste, że rozkaz o szufli miał ubóść i znieważyć Steelkilta dokładnie tak samo, jak gdyby Radney napluł mu w twarz. Ktokolwiek pływał jako majtek na statku wielorybniczym, łacno to zrozumie, a w chwili gdy oficer ów rozkaz wydawał, Steelkilt w całej pełni pojmował to wszystko i zapewne coś więcej jeszcze. Kiedy jednak siedział przez chwilę bez ruchu, patrząc spokojnie w złe oczy Radneya, dojrzał nagromadzone w nich całe stosy beczek prochu oraz lont cicho żarzący się ku nim. Instynktownie to wyczuł i wówczas owa szczególna pobłażliwość i niechęć do pobudzania jeszcze głębszej pasji w i tak już gniewnej istocie — niechęć, którą najczęściej odczuwają, o ile w ogóle bywa odczuwana, ludzie prawdziwie dzielni, choćby nawet ich coś zabolało — owo nieokreślone, nieuchwytne uczucie spłynęło na Steelkilta.

Dlatego też zwykłym głosem, tylko nieco przerywanym przez fizyczne wyczerpanie, jakiemu chwilowo ulegał, odparł, że zamiatanie pokładu nie jest jego rzeczą i że tego nie uczyni. Następnie, nic zgoła nie wspominając o szufli, wskazał Radneyowi trzech chłopców, którzy zazwyczaj zamiatali, a jako że nie byli zatrudnieni przy pompach, niemal nic przez dzień cały nie mieli do roboty. Na to Radney odpowiedział przekleństwem i w sposób najkategoryczniejszy i najobraźliwszy powtórzył swój bezwarunkowy rozkaz, a jednocześnie, porwawszy z pobliskiej beczki młot bednarski, podniósł go i ruszył na siedzącego nadal marynarza.

Rozgrzanemu i podnieconemu gorączkową pracą przy pompach, mokremu od potu Steelkiltowi, mimo całej jego

nieopisanej pobłażliwości, trudno było znieść to zachowanie oficera. Jednak dławiąc jeszcze w sobie pożar, jaki go ogarniał, trwał w milczeniu, jakby uparcie przyrośnięty do swego miejsca, aż na koniec rozwścieczony Radney potrząsnął młotem o kilka cali od jego twarzy, z furią nakazując mu, by wykonał rozkaz.

Steelkilt wstał, z wolna cofnął się za windę kotwiczną, wciąż ścigany przez dzierżącego ów groźny młot oficera, i spokojnie powtórzył, że nie ma zamiaru go usłuchać. Widząc jednakże, iż pobłażliwość nie daje najmniejszych wyników, ostrzegł tego lekkomyślnego i nieroztropnego człowieka straszliwym, nieopisanym a znaczącym gestem zaciśniętej pięści; wszystko jednak na próżno. I tak tych dwóch obeszło powoli bratszpil; wreszcie Steelkilt, uznając, że okazał tyle wyrozumiałości, na ile się mógł zdobyć, postanowił nie cofać się więcej, przystanął na klapie luku i ozwał się do oficera w te słowa:

— Panie Radney, ja pana nie usłucham. Zabierz pan ten młot albo bacz na siebie. — Ale oficer, jakby idąc za swym przeznaczeniem, postąpił jeszcze bliżej do miejsca, w którym bez ruchu tkwił Steelkilt, i potrząsnął ciężkim młotem ledwie o cal od je*go* zębów, zarazem rzucając mu nową wiązką nieznośnych złorzeczeń. Steelkilt nie cofnął się ani o tysiączną część cala, ale pchnąwszy tamtego w oczy niezłomnym puginałem swego spojrzenia, zacisnął prawą pięść, z wolna ją przeniósł za siebie i oświadczył swemu prześladowcy, że jeśli młot choć muśnie jego policzek, on, Steelkilt, zamorduje przeciwnika. Ale, proszę panów, ów głupiec był naznaczony na rzeź bogów. Natychmiast młot dotknął policzka i w następnej chwili dolna szczęka oficera wtło-czqna została od ciosu w jego czaszkę, on zaś runął na pokład tryskając juchą jak wieloryb.

Zanim wrzask doleciał do rufy, Steelkilt szarpał już za jeden ze sztagów wiodących wysoko w górę, ku miejscu, gdzie dwaj z jego kamratów stali na masztach. Obaj byli kanałowcami."

— Kanałowcami! — zawołał don Pedro. — Widzieliśmy w naszych portach siła statków wielorybniczych, aleśmy nigdy nie

słyszeli o tych waszych kanałowcach. Wybacz mi pan, kim i czym są oni?

— Kanałowcy, don Pedro, są to przewoźnicy, którzy pływają po naszym wielkim Kanale Erie. Musiał pan o nim słyszeć.

— Nie, *seńor*, tu, w tym nudnym, gorącym, gnuśnym i prastarym kraju, niewiele nam wiadomo o waszej jędrnej Północy.

— Czy tak? A zatem, don Pedro, bądź pan łaskaw napełnić mi szklankę. Wasza *chicha* jest wyśmienita. Zanim zacznę opowiadać dalej, wyjaśnię wam, kim są nasi kanałowcy, tego rodzaju informacja bowiem może rzucić uboczne światło na moją opowieść.

„Na długości trzystu sześćdziesięciu mil, poprzez całą szerokość stanu Nowy Jork, poprzez liczne i ludne miasta oraz kwitnące wioski, wskroś długich, posępnych, niezamieszkałych moczarów i bujnych, uprawnych pól nie mających sobie równych w urodzaju, obok pokojów bilardowych i gospod, przez zaklęte puszcze, na rzymskich łukach rzuconych ponad indiańskimi rzekami, na słońcu czy w cieniu, wśród serc radosnych czy zgnębionych — przez całą tę niezwykle różnorodną scenerię owych wspaniałych dziedzin Mohawków, a w szczególności obok szeregu śnieżnobiałych kaplic, których wieżyce stoją tam jak kamienie milowe — przepływa jeden nieprzerwany strumień życia iście po wenecku zepsutego, często nie uznającego żadnych praw. Oto zaiste prawdziwe Aszanti , panowie; tam żyją poganie; tam ich zawsze znajdziecie na podorędziu — pod długimi cieniami i w opiekuńczym zaciszu kościołów. Bowiem przez jakąś osobliwą fatalność, podobnie jak wasi stołeczni korsarze gromadzą się najczęściej wokół przybytków sprawiedliwości, tak i grzeszników najwięcej bywa w najbardziej uświęconych miejscach."

— Czy to nie mnich tam przechodzi? — zapytał z żartobliwym niepokojem don Pedro wyglądając na zatłoczoną piazzę.

— Na szczęście dla naszego przyjaciela z północy, inkwizycja Królowej Izabeli zanika już w Limie — zaśmiał się don Sebastian. — Mów pan dalej, *seńor*.

— Chwileczkę! Przepraszam! — zawołał ktoś z obecnych. — W imieniu nas wszystkich, mieszkańców Limy, pragnę tylko oświadczyć wam, panie marynarzu, że bynajmniej nie uszła naszej uwagi pańska delikatność wyrażająca się w tym, żeś nie podstawił naszej Limy w miejsce dalekiej Wenecji przy owym porównaniu na temat zepsucia. O, nie kłaniaj się pan i nie udawaj zdziwienia. Znasz wszakże przysłowie krążące po całym tym wybrzeżu: „Zepsuty jak Lima"! Ono tylko potwierdza to, co pan mówiłeś. Kościoły tu liczniejsze niż stoły bilardowe i stale otwarte — a jednak: „Zepsuty jak Lima"! To samo z Wenecją: byłem tam, w owym świętym mieście błogosławionego ewangelisty, św. Marka! Święty Dominiku, oczyść je! Podaj mi pan swą szklankę. Dzięki, napełniam ją znowu — a teraz mów pan dalej.

„Kanałowiec, panowie, gdyby chcieć dać bujny obraz jego rzemiosła, mógłby być wspaniałym bohaterem dramatycznym, tak ogromnym i malowniczym odznacza się zepsuciem. Całymi dniami, na podobieństwo Marka Antoniusza, unosi się gnuśnie na falach swego obrzeżonego zieloną murawą, ukwieconego Nilu, jawnie igrając ze swoją różanolicą Kleopatrą i grzejąc morelowe uda na rozsłonecznionym pokładzie. Ale cała ta zniewieściałość znika na lądzie. Strój rozbójniczy, który kanałowiec tak dumnie obnosi — zdobny w wesołe wstążki kapelusz z opuszczonym rondem — to jeden z jego zasadniczych rysów. Człowiek ów jest postrachem roześmianych niewiniątek z wiosek, przez które przepływa, a jego smagłych lic i śmiałego, zadzierzystego kroku często unikają i w miastach. Niegdyś jeden z nich oddał mi cenne usługi, gdy się włóczyłem po kanale, i za to serdeczne mu dzięki. Nie chciałbym być niewdzięczny, ale często jedną z głównych cech, które wiele wynagrodzić mogą w gwałtowniku, jest to, że tak samo nie pożałuje ramienia, by dopomóc biednemu nieznajomemu w kłopocie, jak i po to, żeby ograbić bogacza. Krótko mówiąc, panowie, jedno dobitnie wkazuje, jak bardzo dzikie jest owo życie na kanale; a mianowicie fakt, że nasze też dzikie rzemiosło wielorybnicze przejęło tak wielu jego

najzdolniejszych absolwentów, zaś rzadko która rasa człowiecza, z wyjątkiem ludzi z Sydney, otoczona jest podobną nieufnością naszych kapitanów wielorybniczych. Nie zmniejsza także osobliwości całej sprawy to, że dla wielu tysięcy naszych wiejskich chłopców i młodzieńców, którzy przyszli na świat wzdłuż jego brzegów, nowicjat na Wielkim Kanale stanowi jedynie przejście od spokojnych żniw na chrześcijańskim, żytnim łanie do zuchwałego orania wód najbardziej barbarzyńskich mórz."

— Rozumiem! Rozumiem! — wykrzyknął gwałtownie don Pedro rozlewając c*hichą* na swój srebrzysty żabot. — Nie potrzeba wojażować! Świat to jedna Lima. Myślałem, że waszej umiarkowanej Północy pokolenia ludzkie zimne są i świątobliwe jak góry! Ale słuchajmy dalej.

„Zatrzymałem się, panowie, na tym, jak Steelkilt szarpnął za sztag. Ledwie to uczynił, a już go otoczyli trzej młodsi oficerowie oraz czterej harpunnicy i pospołu obalili na pokład. Ale zsunąwszy się po linach, jak niszczące komety, obaj kanałowcy skoczyli w ciżbę usiłując wywlec z niej swego towarzysza w stronę forkasztelu. Inni marynarze przyszli im z pomocą, wskutek czego srogie powstało zamieszanie; natomiast waleczny kapitan, omijając niebezpieczeństwo, to przyskakiwał, to się cofał z oszczepem w dłoni i nawoływał oficerów, aby obili tego ohydnego łotra i powlekli go na mostek kapitański. Od czasu do czasu podbiegał tuż do przewalającego się ludzkiego kłębowiska i wsuwając w środek oszczep usiłował ugodzić nim przedmiot swojej nienawiści. Ale nikt nie mógł dać rady Steelkiltowi i jego straceńcom, którym udało się dotrzeć na pokład forkasztelu, gdzie pośpiesznie przetoczyli trzy czy cztery wielkie beczki ustawiając je w jednej linii z kabestanem i niby morscy paryżanie zamknęli się za barykadą.

— Wyłazić stamtąd, wy, piraci! — ryknął kapitan, grożąc im trzymanymi w obu dłoniach pistoletami, które mu właśnie przyniósł steward. — Wyłazić, zbóje!

Steelkilt wskoczył na barykadę i kroczył po niej tam i z powrotem urągając wszelkiemu niebezpieczeństwu, jakim mu

zagrażały .pistolety: dał też kapitanowi wyraźnie do zrozumienia, że jego, Steelkilta, śmierć byłaby sygnałem do morderczego buntu całej załogi. Lękając się w głębi serca, że może się to. okazać aż nazbyt prawdziwe, kapitan pohamował nieco swój zapał, nakazał jednak rebeliantom, by natychmiast powrócili do swych zajęć.

— Czy przyrzekasz pan, że nas nie dotkniesz, jeśli to uczynimy? — zapytał przywe zdca.

— Dalej go! Nuże! Nie daję żadnych obietnic! Do roboty! Chcecie zatopić statek obijając się w takim czasie? Dalej go! — tu znowu podniósł pistolet.

— Zatopić statek? — krzyknął Steelkilt. — A niech tonie! Żaden z nas nie zabierze się do pacy, jeśli pan nie poprzysięgniesz, iż nie podniesiesz na nas nawet jednego włókna liny. Co wy na to, chłopcy? — zwrócił się do swych kamratów. Zaciekłe wiwaty były mu odpowiedzią.

Steelkilt począł teraz patrolować po barykadzie, ciągle mając oko na kapitana i wyrzucając *z* siebie takie mniej więcej zdania: — To nie nasza wina. Myśmy tego nie chcieli, powiedziałem mu, żeby zabrał ten młot. Toż to dzieciństwo, mógł mnie już przedtem poznać. Mówiłem mu, żeby nie drażnił byka. Zdaje się, żem sobie przetrącił palec o tę jego przeklętą szczękę. Czy te tasaki są tam na forkasztelu, chłopcy? Pamiętajcie o tamtych hanszpugach, kochani. Przebóg, kapitanie, miej pan wzgląd na siebie. Rzeknij słowo, nie bądź głupcem — zapomnij pan o wszystkim. Myśmy gotowi wziąć się do roboty. Potraktuj nas pan przyzwoicie, a wszystko będzie dobrze, tylko nie damy się chłostać!

— Zabierajcie się do pracy! Nie daję żadnych obietnic. Do roboty, powtarzam!

— Słuchaj pan! — krzyknął Steelkilt wyciągając ku niemu ramię. — Jest tu nas kilku (a i ja do nich należę), co zaciągnęli się tylko na tę wyprawę. Otóż widzi pan, możemy, jak to panu dobrze wiadomo, zażądać zwolnienia, gdy tylko się spuści kotwicę. Nie chcemy więc burdy — nic na niej nie zyskamy.

Pragniemy zachować się spokojnie i gotowiśmy do pracy, tylko nie damy się chłostać.

— Brać się do roboty! — huknął kapitan.

Steelkilt rozglądał się przez chwilę, po czym rzekł: — Powiem panu coś, kapitanie. Miast pana zabijać i iść na szubienicę za tak paskudnego łajdaka, nie podniesiemy na pana ręki, jeśli pan nas nie zaatakuje. Ale nie tkniemy się niczego, dopóki pan nie przyrzeknie, że nie będziemy chłostani.

— A więc na dół, do for kasztelu! Potrzymam was tam, dopóki wam się nie odechce. Na dół!

— Zejdziemy? — krzyknął przywódca do swoich ludzi. Większość była temu przeciwna, ale na koniec, okazując mu posłuszeństwo, zeszli przed nim do swej ciemnej nory niknąc z pomrukiem niby niedźwiedzie w jaskini.

Kiedy odkryta głowa Steelkilta zrównała się z poziomem desek pokładu, kapitan przeskoczył przez barykadę wraz ze swą czeredą i szybko opuściwszy klapę zejścia przycisnął ją dłońmi, głośno wołając na stewarda, by mu przyniósł ciężką mosiężną kłódkę zamykającą schodnię kajutową. Następnie uchylił nieco klapy, wszeptał coś w szczelinę, zamknął otwór i przekręcił klucz za dziesięcioma ludźmi, pozostawiając na pokładzie mniej więcej dwudziestu, którzy dotychczas' byli neutralni

Przez całą noc wszyscy oficerowie pełnili jak najczujniej wartę na przodzie i na tyle statku, a w szczególności około włazu forkasztelowego oraz przy przednim luku ładowni; obawiano się bowiem, że buntownicy mogą wychynąć przez ten ostatni po wyłamaniu grodzi pod pokładem. Wszelako godziny ciemności upłynęły w spokoju; ci marynarze, co pozostali na stanowiskach, mozolili się ciężko przy pompach, których złowrogi brzęk i łoskot rozlegał się od czasu do czasu na statku, wśród owej posępnej nocy.

O wschodzie słońca kapitan udał się na dziób i zakołatawszy w deski pokładu wezwał więźniów do pracy; ci jednakże z krzykiem odmówili. Wówczas spuszczono im wodę do picia i wrzucono za nią kilka garści sucharów, po czym kapitan

zamknął klapę na klucz, włożył go do kieszeni i powrócił na swój mostek. Przez trzy dni powtarzało się to po dwa razy na dobę, ale czwartego ranka, gdy jak zazwyczaj wezwano uwięzionych do roboty, usłyszano jakiś niewyraźny rumor, a następnie odgłosy bójki, i nagle czterech ludzi wyrwało się z forkasztelu oświadczając, że są gotowi do pracy. Smrodliwa duchota, głodowe racje, a i być może, jakieś obawy przed ostateczną karą skłoniły ich do bezwarunkowej kapitulacji. Tym ośmielony kapitan powtórzył reszcie swoje żądania, ale Steelkilt wrzasnął na niego z dołu, dając mu groźnie do zrozumienia, by skończył ze swym bredzeniem i zabierał się, skąd przyszedł. Piątego ranka trzej dalsi buntownicy wyrwali się na powietrze z objęć, które rozpaczliwie usiłowały zatrzymać ich na dole. Pozostało tylko trzech.

— No cóż, nie lepiej iść do roboty? — zapytał kapitan z okrutnym szyderstwem.

— Zamknij nas pan na powrót! — odkrzyknął Steelkilt.

— A, proszę bardzo! — odparł kapitan i klucz zazgrzytał w kłódce.

Wówczas to, proszę panów, Steelkilt — rozwścieczony odstępstwem siedmiu niedawnych towarzyszy, dotknięty do żywego szyderczym głosem, którym się doń zwrócono, doprowadzony do szaleństwa długim pogrzebaniem w miejscu mrocznym jak same trzewia rozpaczy — zaproponował obu kanałowcom, którzy dotychczas najwyraźniej we wszystkim się z nim zgadzali, żeby wyskoczyć z tej nory przy następnym wezwaniu i uzbroiwszy się w ostre tasaki (długie, półkoliste, ciężkie narzędzia z rękojeściami u każdego końca) runąć jak szaleńcy od bukszprytu aż po burtę rufową i, jeśli się to da osiągnąć przez jakoweś szaleństwo rozpaczy — opanować statek. Oświadczył, że co do niego, to postąpi tak sam, czy tamci się doń przyłączą, czy nie. Ta noc będzie ostatnią, jaką spędzi w tej norze Projekt nie napotkał jednak sprzeciwu ze strony jego dwóch towarzyszy; zaklęli się, że są na to gotowi równie jak na jakiekolwiek inne szaleństwo; krótko mówiąc na wszystko z wyjątkiem kapitulacji.

Co więcej, każdy z nich nalegał, żeby być pierwszym, który wyskoczy na pokład, gdy chwila po temu nadejdzie. Takiemu projektowi wszakże zaciekle się sprzeciwił ich przywódca zachowując owo pierwszeństwo dla siebie, zwłaszcza że obaj jego kamraci nie chcieli sobie nawzajem ustąpić w tej mierze, a obaj na raz nie mogli być pierwsi, ponieważ na drabinie mieścił się tylko jeden człowiek. I tu właśnie, panowie, wyjdzie na jaw nikczemna gra tych niegodziwców.

Słysząc o tym szalonym projekcie swojego przywódcy każdy z nich z osobna powziął snadź w duszy ten sam oszukańczy pomysł, a mianowicie: być tym, który najwcześniej wypadnie na pokład, ażeby stać się pierwszym z trzech, choć ostatnim z dziesięciu, którzy się poddali, i w ten sposób zapewnić sobie choćby tę niewielką szansę przebaczenia, na jaką można podobnym postępkiem zasłużyć. Kiedy jednak Steelkilt oznajmił o swoim postanowieniu przewodzenia im aż do ostatka, obaj w jakiś sposób, przez tajemną alchemię łotrostwa, zmieszali razem swoje dotąd tajone oszustwa; gdy ich przywódca zapadł w drzemkę, otworzyli sobie wzajem dusze w trzech zdaniach, związali śpiącego sznurami, zakneblowali go powrozem i o północy poczęli wołać kapitana.

Sądząc, że zanosi się na mord i węsząc w ciemnościach za krwią, kapitan wraz ze wszystkimi zbrojnymi oficerami i harpunnikami rzucił się do forkasztelu. W ciągu kilku minut otworzono właz, a miotający się herszt ze związanymi rękami i nogami wyciągnięty został na powietrze przez swych przewrotnych sprzymierzeńców, którzy natychmiast poczęli sobie .przypisywać zasługę pojmania człowieka, co w pełni już dojrzał do morderstwa. Wszystkich jednak chwycono za kark i powleczono przez pokład jak zarżnięte bydlęta, po czym zawieszono ich przy sobie na olinowaniu bezanmasztu na podobieństwo trzech ćwierci mięsiwa; tam też przetrwali do rana. — Niech was kaci! — pokrzykiwał kapitan przechadzając się przed nimi tam i z powrotem. — Nawet sępy by was nie tknęły, łajdaki!

O wschodzie słońca zebrał całą załogę i oddzieliwszy tych, co się zbuntowali, od tych, którzy w buncie udziału nie wzięli, oświadczył pierwszym, że już był postanowił wszystkich ich wychłostać — pewien był w ogóle, że to uczyni — tak postąpić powinien — wymaga tego sprawiedliwość — ale na razie, zważywszy, że w porę się poddali, zadowolni się w stosunku do nich naganą, której też im w myśl tego udzielił w dosadnych słowach.

— Ale co do was, ścierwa — zwrócił się do trzech ludzi zawieszonych u olinowania — to zamierzam was posiekać do kotła! — Tu porwał linę i z całej mocy zaczął nią walić po plecach obu zdrajców, aż wreszcie przestali krzyczeć i martwo zwiesili na bok głowy, podobnie jak dwaj ukrzyżowani łotrowie na obrazach.

— Rękę sobie na was wywichnąłem — zawołał wreszcie — ale dość jeszcze liny na ciebie zostało, mójże ty zawadiako, coś nie chciał się poddać! Wyjąć mu ten knebel z pyska. Posłuchajmy, co też może powiedzieć na swoją obronę.

Wyczerpanemu buntownikowi drżały przez chwilę zdrętwiałe szczęki, następnie z bólem poruszył wkoło głową i syknął: — Powiem tyle — zapamiętaj to sobie dobrze — że jeśli mnie wychłostasz, to cię ubiję!

— Tak powiadasz? A więc popatrz, jak mnie przestraszyłeś — tu kapitan zamachnął się nań liną.

— Lepiej nie… — zasyczał marynarz.

— Owszem, muszę! — i znowu zamierzył się liną do ciosu. Wówczas Steelkilt wyszeptał coś, czego nikt nie usłyszał prócz

kapitana, który ku osłupieniu całej załogi szarpnął się w tył, przemierzył dwa czy trzy razy pokład szybkim krokiem i nagle odrzuciwszy precz linę powiedział:

— Ja tego nie zrobię — niech idzie — odciąć go, słyszycie? Ale gdy młodsi oficerowie spieszyli już, aby rozkaz wykonać,

powstrzymał, ich blady człowiek z obandażowaną głową — pierwszy oficer Radney. Od czasu otrzymania ciosu leżał na swej koi, ale tego ranka, usłyszawszy tumult na pokładzie wypełznął stamtąd i do tej chwili przyglądał się całej scenie.

Usta jego były w takim stanie, że ledwie mógł mówić; wybełkotał jednak coś w tym, że ma chęć i czuje się na siłach uczynić to, na co nie ważył się kapitan; porwał linę i podszedł do swego obezwładnionego wroga.

— Tchórzu! — syknął Steelkilt.

— Owszem, jestem tchórzem, ale ty przyjmij to ode mnie! — Oficer właśnie miał już uderzyć, kiedy drugie syknięcie powstrzymało jego wzniesione ramię. Zatrzymał się, ale już w następnej chwili uczynił to, co zapowiedział, mimo groźby Steelkilta, jakakolwiek ona była. Następnie odcięto wszystkich trzech, załoga powróciła do pracy i pompy ozwały się jak przedtem wprawione w ruch przez posępnych marynarzy.

Tuż po zapadnięciu zmierzchu, kiedy jedna z wacht powróciła już na dół, usłyszano wrzaski na forkasztelu i obaj zdrajcy drżąc ze strachu przypadli do drzwi kajuty mówiąc, że nie śmią przebywać wraz z załogą. Ani prośby, ani szturchańce, ani kopniaki nie mogły ich odpędzić, więc na własne błagania umieszczeni zostali dla bezpieczeństwa na dnie statku. Jednakże u reszty załogi nie wystąpiły już żadne oznaki buntu. Wprost przeciwnie, wydawało się, że głównie na perswazję Steelkilta postanowili zachować najzupełniejszy spokój, słuchać do ostatka wszelkich rozkazów, a gdy statek dobije do portu, opuścić go jak jeden mąż. Ale by sobie zapewnić jak najrychlejsze zakończenie podróży, wszyscy zgodzili się na jeszcze jedno — a mianowicie, żeby nie meldować o wielorybach w wypadku, gdyby je dojrzano. Bowiem mimo przecieku i wszelkich innych niebezpieczeństw »Town-Ho« nadal utrzymywał posterunki na masztach, kapitan zaś równą miał ochotę spuszczać za rybą szalupę jak tego dnia, gdy jego statek po raz pierwszy dotarł do terenów łowieckich; a Radney, pierwszy oficer, był tak samo gotów zamienić koję na łódź i mimo bandaży na ustach zadławić na śmierć żywotną gardziel wieloryba.

Ale choć Steelkilt nakłonił marynarzy do przyjęcia tak biernego sposobu postępowania, nie zdradził przecie (przynajmniej do chwili, gdy już było po wszystkim) planów

własnej, osobistej zemsty na człowieku, który go uraził aż do głębi serca. Należał do wachty Radneya, ten zaś obłąkaniec, jak gdyby wychodząc na spotkanie swojej zagładzie, już po owej ostatniej scenie nalegał wbrew wyraźnym radom kapitana, by objąć nocą dowództwo swojej wachty. Na tym fakcie tudzież na kilku innych okolicznościach Steelkilt systematycznie budował plan swojej zemsty.

Radney miał w nocy niemarynarski zwyczaj siadania na nadburciu mostku kapitańskiego i opierania ręki o krawędź łodzi tamże zawieszonej nieco powyżej kadłuba statku. Wiadomo było dobrze, że czasem drzemał w tej pozycji. Między łodzią a statkiem istniała dość znaczna szczelina, w dole zaś było morze. Steelkilt obliczył sobie czas i wykalkulował, że jego następna kolejka przy sterze przypadnie około drugiej nad ranem, trzeciego dnia od chwili, gdy został zdradzony. Wolny czas zużywał na wielce staranne splatanie czegoś w czasie wachty pod pokładem.

— Co ty tam robisz? — zapytał go jakiś marynarz.

— Jak ci się zdaje? Co ci to przypomina?

— Wygląda jak powrósło do worka, ale wydaje mi się trochę dziwne.

— Tak, trochę dziwaczne — odparł Steelkilt trzymając je przed sobą w wyciągniętej ręce — ale myślę, że się nada. Kolego, brak mi szpagatu, masz go tam trochę?

Nie było jednak szpagatu na forkasztelu.

— Więc muszęgo wziąć od starego Radneya — Steelkilt wstał, aby się udać na tył okrętu.

— Nie zamierzasz chyba prosić *jego?* — ozwał się jakiś marynarz.

— Czemuż by nie? Myślisz, że nie zrobi mi tej grzeczności, jeśli na koniec ma to się jemu przysłużyć? — Udał się do oficera, popatrzył nań spokojnie i poprosił o nieco szpagatu dla naprawienia hamaka. Otrzymał to, o co prosił, i więcej nie widziano ani szpagatu, ani powroza; wszelako następnej nocy, w chwili gdy Steelkilt upychał na hamaku swą kurtę marynarską miast poduszki, z kieszeni omal mu nie wypadła

żelazna kula ciasno spowita w sznurkową siatkę. W dwadzieścia cztery godziny później nadeszła nocna kolejka Steelkilta u steru, w bliskości człowieka, który skłonny był drzemać nad grobem wiecznie otwartym dla marynarza; nadeszła owa godzina fatalna i w wyobraźni Steelkilta, z góry sprawę przesądzającej, oficer leżał już ze zmiażdżonym czołem, rozciągnięty i sztywny jak trup.

Ale, moi panowie, głupiec uratował niedoszłego mordercę od krwawego czynu, jaki ten planował. A mimo to uzyskał on całkowitą pomstę, sam nie będąc mścicielem. Zdało się bowiem, że przez jakąś tajemną fatalność same Nieba wystąpiły, by przejąć z jego rąk potępione dzieło, którego zamierzał dokonać.

Między brzaskiem a wschodem słońca drugiego dnia, właśnie kiedy szorowano pokłady, jakiś głupawy marynarz z Teneryfy wciągając wodę przy grotwantach nagle wykrzyknął:

— Tam się kłębi, tam się kłębi! Jezu, co za wieloryb! — Był to Moby Dick."

— Moby Dick! — wykrzyknął don Sebastian. — Na świętego Dominika! Czyż wieloryby miewają chrzestne imiona, panie marynarzu? Kogóż to zowiesz Moby Dickiem?

— Bardzo białego i sławnego, zabójczego, a nieśmiertelnego potwora, don Sebastianie — ale to by była zbyt już długa historia.

— Jak to, jak to? — zawołali wszyscy młodzi Hiszpanie cisnąc się do mnie.

— Nie, panowie, nie, nie! Nie mogę teraz tego wyłuszczać. Dajcie mi nieco więcej powietrza, panowie!

— *Chicha! Chicha!* — zawołał don Pedro. — Nasz krzepki przyjaciel wygląda, jakby zasłabł. Napełnijcie mu jego próżny kielich!

— Nie trzeba, panowie, jeszcze chwila, a będę mówił dalej.

„Otóż ów człowiek z Teneryfy, ujrzawszy tak raptownie śnieżnego wieloryba w odległości pięćdziesięciu jardów od statku, zapomniał o umowie zawartej między załogą i w nagłym podnieceniu, instynktownie, mimowolnie zakrzyknął na widok potwora, którego już od niejakiego czasu widziano z trzech

milczących masztów. Teraz szał ogarnął wszystkich. — Biały wieloryb! Biały wieloryb! — wrzeszczał kapitan, wrzeszczeli oficerowie i harpunnicy, którzy, nie zastraszeni przerażającymi pogłoskami, pałali ochotą upolowania tak sławnej i cennej ryby; natomiast uparta załoga klnąc, spoglądała spode łba na straszliwe piękno olbrzymiej, mlecznej masy, która w świetle poziomych promieni słońca przesuwała się, polśniewając jak żywy opal, na tle błękitu porannego morza. Panowie, osobliwa fatalność przenika cały bieg owych wypadków, jak gdyby zaiste były one obmyślone jeszcze, zanim sam świat znalazł się na mapie. Buntownik zwykle zajmował stanowisko na dziobie łodzi Radneya, a kiedy ryba była już ugodzona harpunem, miał obowiązek siedzieć tuż przy oficerze i podczas gdy ten stawał z lancą na dziobie, on napinał albo poluźniał linę, zależnie od słów komendy. Co więcej, gdy teraz spuszczono już wszystkie cztery łodzie, oficer popłynął na przedzie, a nikt zacieklej nie ryczał z zachwytu niż Steelkilt wytężający wszystkie siły przy wiośle. Po zajadłej pogoni ich harpunnik ugodził wieloryba i Radney z lancą w ręku wyskoczył na dziób. W łodzi był on podobno "zawsze niebywale zaciekły. Teraz krzyczał poprzez bandaże, by najechać na sam grzbiet wieloryba. Z wielką ochotą jego przedni wioślarz holował go bliżej i bliżej przez oślepiające bryzgi pian, w których stapiały się w jedno obie białości, aż nagle szalupa uderzyła jakby o jakąś podwodną rafę i przechyliwszy się wyrzuciła w toń stojącego oficera. W chwili gdy upadł na śliski grzbiet wieloryba, łódź powróciła do właściwego położenia i odrzucona została przez rozkołysane fale, Radney zaś ciśnięty w morze po drugiej stronie cielska potwora. Wynurzył się pośród kipieli i na moment ujrzano go niewyraźnie, niby poprzez zasłonę, jak rozpaczliwie usiłował usunąć się z oczu Moby Dicka. Ale wieloryb zakręcił się w nagłym wirze, porwał płynącego człowieka w paszczę i rzuciwszy się wraz z nim wysoko w górę, znurkował na łeb i zniknął pod wodą.

Tymczasem Steelkilt na pierwsze uderzenie w dno łodzi rozluźnił linę, aby odsunąć się od wiru; spokojnie patrzał na to,

co się działo, zajęty własnymi myślami. Ale raptowne, straszliwe szarpnięcie w dół kazało mu szybko dobyć noża. Przeciął nim linę; wieloryb był teraz wolny. W niejakiej odległości Moby Dick wynurzył się znowu ze strzępami czerwonej, wełnianej koszuli Radneya wplątanymi między kły, które go unicestwiły. Wszystkie cztery łodzie znowu rozpoczęły pogoń, ale wieloryb wymknął im się i wreszcie zniknął całkowicie.

Po pewnym czasie »Town-Ho« dopłynął do portu — dzikiego, samotnego miejsca, gdzie nie zamieszkiwała żadna cywilizowana istota. Tam, pod przewodem Steelkilta, wszyscy prości majtkowie, z wyjątkiem pięciu czy sześciu, roztropnie zdezerterowali między palmy, a w końcu, jak się okazało, porwali duże, podwójne czółno bojowe krajowców i pożeglowali do jakiejś innej przystani.

Ponieważ załoga uszczuplona została do garstki ludzi, kapitan odwołał się do mieszkańców wyspy o pomoc w mozolnym dziele położenia statku na bok w celu usunięcia przecieku. Ale ta drobna grupka białych zmuszona była do tak niezmordowanego baczenia w dzień i w nocy na swych niebezpiecznych sprzymierzeńców, praca zaś była tak niesłychanie uciążliwa, że Medy żaglowiec był już gotów ruszać na morze, okazało się, iż marynarze są do tego stopnia osłabieni, że kapitan nie ośmielał się płynąć z nimi na tak ciężkim statku. Po naradzie z oficerami zakotwiczył go dalej od lądu, jak tylko się dało, nabił i wytoczył na dziób oba swoje działa, rozłożył na rufie muszkiety i ostrzegłszy krajowców, by nie zbliżali się do statku, jeśli im życie miłe, zabrał ze sobą jednego z ludzi i wciągnąwszy żagiel na maszt najlepszej ze swych łodzi wielorybniczych, posterował prosto z wiatrem w kierunku odległej o pięćset mil Tahiti; ażeby zebrać posiłki dla załogi.

Czwartego dnia podróży ujrzeli spore czółno, które najwidoczniej przybiło do płaskiej wysepki koralowej. Kapitan oddalił się odeń, ale tubylcza łódź ruszyła za nimi i oto wkrótce głos Steelkilta wezwał go, by się zatrzymał, gdyż w przeciwnym

razie pośle go pod wodę. Kapitan dobył pistoletu. Steelkilt, wsparłszy stopy na dziobach dwu złączonych czółen bojowych, wyśmiał go i wyszydził upewniając, że jeśli pistolet choćby szczęknie zamkiem, on pogrzebie kapitana wśród pian i odmętów.

— Czego ode mnie chcesz? — zawołał kapitan.

— Dokąd pan płynie? I po co? — zapytał Steelkilt. — Tylko bez łgarstw.

— Płynę na Tahiti po ludzi.

— Dobrze. Pozwól mi pan wejść na chwilę do twej łodzi. Przybywam w pokojowych zamiarach. — Z tymi słowy wyskoczył z czółna, podpłynął do łodzi i wdrapawszy się przez burtę, stanął twarz w twarz z kapitanem.

— Złóż pan ręce na krzyż, głowa do tyłu. A teraz powtarzaj za mną: Gdy tylko Steelkilt mnie opuści, przysięgam, że wciągnę łódź na tamtą wysepkę, gdzie pozostanę przez sześć dni. Jeślibym tego nie uczynił, niechaj mnie grom ugodzi!

— Pyszny uczeń — zaśmiał się następnie Steelkilt. — *Adios seńor!* — I skoczywszy w morze odpłynął do swoich kamratów.

Obserwował łódź, dopóki nie wjechała jak się patrzy na brzeg i póki jej nie wciągnięto aż do korzeni palm kokosowych, po czym ruszył dalej w drogę i po pewnym czasie przybył na Tahiti, która była także i jego miejscem przeznaczenia. Tam mu się poszczęściło: dwa statki miały odejść do Francji i los tak zrządził, że zabrakło im akurat tej liczby ludzi, jakiej Steelkilt przewodził. Zaciągnęli się i w ten sposób na dobre umknęli swemu dawnemu kapitanowi, na wypadek gdyby ten w ogóle zamierzał ich oddać w ręce sprawiedliwości.

W jakieś dziesięć dni po wyruszeniu statków francuskich przybyła na Tahiti łódź wielorybnicza i kapitan zmuszony został do wzięcia na służbę kilku spośród bardziej cywilizowanych krajowców, którzy byli nieco obznajmieni z morzem. Nająwszy mały tubylczy szkuner, powrócił wraz z nimi do swego statku i znalazłszy tam "wszystko w porządku, na nowo podjął swoje wędrówki.

Nikt nie wie, proszę panów, gdzie obecnie przebywa Steelkilt, ale na wyspie Nantucket wdowa po Radneyu ciągle wygląda na morze, które nie chce wydać swoich zmarłych; ustawicznie widzi w snach straszliwego białego wieloryba, co zamordował jej męża."

— Czy pan skończył? — zapytał spokojnie don Sebastian.

— Tak jest.

— A więc zaklinam pana, powiedz mi, czy zgodnie z twoim najgłębszym przekonaniem historia ta jest rzeczywiście w swej treści prawdziwa? To przecie tak niesłychanie zdumiewające? Czy pan się o niej dowiedział z niewątpliwego źródła? Zechciej mi wybaczyć, jeślim zbyt natrętny.

— Wybacz i nam wszystkim, panie marynarzu, gdyż wszyscy przyłączamy się do pytania don Sebastiana! — zakrzyknęło całe towarzystwo z nadzwyczajnym zainteresowaniem.

— Panowie, czy znajdzie się w Złotej Gospodzie egzemplarz Pisma świętego?

— Nie — odparł don Sebastian — ale znam zacnego kapłana, który mieszka w pobliżu i szybko mi go dostarczy. Już po nie idę, wszelako czyś się pan dobrze namyślił? To może się stać zbyt poważne.

— Czy byłby pan tak łaskaw, żeby przyprowadzić ze sobą także i księdza?

— Choć w Limie nie ma już teraz *auto-da-fé,* przecie lękam się, iż nasz przyjaciel marynarz narazi się arcybiskupowi — rzekł jeden z obecnych do drugiego. — Wycofajmy się nieco z tego księżycowego światła. Nie sądzę, żeby to wszystko było niezbędne.

— Wybacz mi pan, że cię gonię, don Sebastianie, ale czy mógłbym prosić, żebyś specjalnie wybrał Ewangelię największego rozmiaru, jaki znajdziesz?

— Oto ksiądz, przynosi ze sobą Ewangelię — powiedział z powagą don Sebastian powracając w towarzystwie rosłego i dostojnego męża.

— Pozwólcie, że zdejmę kapelusz. A teraz, wielebny kapłanie, podejdź bliżej do światła i trzymaj przede mną Pismo święte,

tak abym mógł go dotknąć.

— Tak mi dopomóż Bóg: na honor mój przysięgam, że historia, którą wam, panowie, opowiedziałem, jest w swej treści i głównych zarysach prawdziwa. Wiem to z pewnością. Wydarzyła się na tej naszej kuli ziemskiej. Sam stąpałem po pokładzie tego statku. Znałem jego załogę. Widziałem się i rozmawiałem ze Steelkiltem już po śmierci Radneya.

ROZDZIAŁ LV
O POTWORNYCH WIZERUNKACH WIELORYBÓW

Niebawem namaluję wam, najlepiej jak to się tylko da uczynić bez użycia płótna,- coś w rodzaju prawdziwej postaci wieloryba, w jakiej on się rzeczywiście objawia oku łowcy, kiedy całą swą potężną masą przycumowany jest do boku statku wielorybniczego, tak że można snadnie stąpnąć na jego grzbiet. Dlatego *też* warto by może było uprzednio poświęcić nieco uwagi owym osobliwym, fantastycznym jego wizerunkom, jakie po dziś dzień dufnie nadużywają dobrej wiary ludzi lądu. Czas już wyprowadzić świat z błędu w tej mierze udowadniając, że podobne obrazy wieloryba są całkowicie fałszywe.

Być może, iż pierwotnego źródła wszystkich owych malarskich bałamuctw doszukać się można wśród najstarszych rzeźb hinduskich, egipskich czy greckich. Albowiem od tych czasów pomysłowych, lecz pozbawionych skrupułów, kiedy to na marmurowych płytach świątyń, na piedestałach pomników, na tarczach, medalionach, pucharach i monetach wyobrażano delfina w łuskowej zbroi, niczym Saladyna, tudzież w hełmie na głowie na podobieństwo św. Jerzego — od owych czasów zawsze coś z tego rodzaju fantazji pokutowało nie tylko w najbardziej popularnych wizerunkach wieloryba, ale też i w licznych naukowych jego wyobrażeniach.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa najstarszy z istniejących konterfektów, który ma rzekomo przedstawiać wieloryba, można znaleźć w słynnej pagodzie-pieczarze

Elefanty, w Indiach. Bramini utrzymują, że pośród nieprzeliczonych rzeźb owej odwiecznej pagody niemal wszystkie zawody i rzemiosła, każde możliwe zajęcie ludzkie wyobrażano już na całe stulecia wcześniej, nim którekolwiek z nich istotnie stało się rzeczywistością. Nic więc dziwnego, że i nasza szlachetna profesja wielorybnicza została tam w pewnej mierze proroczo przedstawiona. Ów hinduski wieloryb, o którym była mowa, znajduje się tamże na osobnej części ściany, gdzie wyobrażone jest wcielenie Wisznu w postaci Lewiatana, co się uczenie zowie Matse Avatar. Ale chociaż owa rzeźba wyobraża półczłowieka i półwieloryba ukazując tylko ogon tego ostatniego, przecie nawet ten jego niewielki fragment jest zupełnie źle przedstawiony. Bardziej przypomina zwężający się ogon węża anacondy niż szerokie płetwy majestatycznego wielorybiego ogona.

Idźcie też do starych galerii i popatrzcie na portret tej ryby pędzla wielkiego chrześcijańskiego malarza; i temu nie lepiej się powiodło niż przedpotopowemu Hindusowi. Jest to obraz Guida przedstawiający Perseusza, który wybawia Andromedę z mocy morskiego potwora, czyli wieloryba. Skądże to Guido wziął model tak przedziwnego stworzenia? A Hogarthowi też się ani na jotę lepiej nie udało, kiedy malował tę samą scenę w swoim „Perseuszu walczącym". Olbrzymi korpus tego hogarthowskiego potwora unosi się na powierzchni morza nie zanurzony ani na cal w wodzie. Ma on na grzbiecie coś w rodzaju czapraka, a rozwartą, pełną kłów paszczękę, w którą chlustają bałwany, można by wziąć za Bramę Zdrajców prowadzącą od Tamizy wodą do wnętrza Tower. Dalej mamy prodromusowe wieloryby starego Szkota, Sibbalda, tudzież wieloryba Jonasza, tak jak go przedstawiają ryciny w starych Bibliach i drzeworyty w dawnych modlitewnikach. Cóż o nich można powiedzieć? Jeśli zaś idzie o introligatorskiego wieloryba oplecionego jak winna latorośl wokół trzonu spuszczanej kotwicy — tak jak go się widuje tłoczonego i pozłacanego na grzbietach i okładkach wielu książek, zarówno starych, jak nowych — to mamy tu wielce malowniczy, lecz

czysto baśniowy stwór naśladujący, jak sądzę, podobne figury na antycznych wazach. Choć powszechnie nazywa się go delfinem, ja jednak określę tę introligatorską rybę jako próbę pokazania wieloryba, taki tu bowiem był zamiar, kiedy ów pomysł zastosowano po raz pierwszy. Uczynił to pewien dawny włoski wydawca gdzieś około XV wieku, w dobie odrodzenia nauk, i od owych czasów aż po stosunkowo niedawny okres mniemano, że delfiny są odmianą Lewiatana.

Na winietach oraz innych ozdobach pewnych staroświeckich ksiąg spotkacie czasami wielce ciekawe motywy wielorybie, gdzie wszelkiego rodzaju fontanny, *jets d'eau,* gorące i zimne źródła jak w Saratoga czy Baden-Baden tryskają pieniście z jego niewyczerpanego mózgowia. Na karcie tytułowej pierwszej edycji *Postępu nauk* znajdziecie kilka osobliwych wielorybów.

Ale pozostawmy te niezawodowe próby i rzućmy okiem na takie obrazy Lewiatana, które uchodzą za trzeźwe, naukowe rysunki wykonane przez ludzi znających się na rzeczy. W starym zbiorze podróży Harrisa jest kilka sztychów przedstawiających wieloryby, a zaczerpniętych z jakiejś holenderskiej księgi podróżniczej A.D. 1671, zatytułowanej *Wyprawa Wielorybnicza do Szpicbergu na Okręcie „Jonasz w Wielorybie" (Mistrz Peter Peterson z Frieslandu).* Na jednym z owych sztychów wyobrażono wieloryby leżące wśród wysp lodowych na kształt ogromnych, zbitych z kloców tratw, i białe niedźwiedzie biegające po ich żywych grzbietach. Na innej rycinie popełniono olbrzymią pomyłkę przedstawiając wieloryba z pionowym ogonem.

Dalej mamy też imponujący wolumen *in quarto,* napisany przez niejakiego Colnetta, kapitana fregaty w angielskiej marynarce wojennej, zatytułowany: *Wyprawa wokół Przylądka Horn na Morza* Południowe dla *rozszerzenia połowów kaszalotów.* W książce tej znajduje się rysunek mający być „wizerunkiem Physetera, czyli Kaszalota, odrysowanym w skali z ryby u wybrzeży Meksyku w sierpniu roku 1793 ubitej i na pokład wciągniętej". Nie wątpię, że kapitan kazał sporządzić ten wiarygodny wizerunek na benefis swoich marynarzy. Żeby

wspomnieć o tylko jednym jego szczególe, niech mi będzie wolno powiedzieć, iż wieloryb ma tam oko, które przymierzone według załączonej skali do dorosłego kaszalota, przypominałoby jakieś okno wykuszowe mniej więcej pięciu stóp długości. Ach, dzielny kapitanie, czemu jeszcześ nie dodał nam Jonasza wyglądającego przez to oko!

Najsumienniejsze kompilacje z historii naturalnej sporządzane dla dobra młodocianych też nie są wolne od tych samych okropnych błędów. Spójrzcie tylko na popularne dzieło Goldsmitha: *Natura ożywiona.* W skróconym wydaniu londyńskim z 1807 roku znajdują się sztychy przedstawiające rzekomego „wieloryba" i „narwala". Nie chcę się wydać nieeleganckim, ale ten paskudny wieloryb ogromnie przypomina amputowaną maciorę, a co do narwala, to jeden rzut oka wystarczy, żeby człeka wprawić w zdumienie, iż w dziewiętnastym wieku można jakimkolwiek inteligentnym uczniom podsuwać podobnego hipogryfa jako coś prawdziwego.

A znów w 1825 roku wielki przyrodnik, Bernard Germain, hrabia de Lacépéde, opublikował naukowe, usystematyzowane dzieło o wielorybach, w którym jest kilka wizerunków rozmaitych odmian Lewiatana. Nie tylko są one wszystkie błędne, ale co się tyczy Mysticetusa, czyli wala grenlandzkiego (to znaczy właściwego), nawet Scoresby, człowiek o długoletnim doświadczeniu, jeśli idzie o ten gatunek, twierdzi, iż owa podobizna nie ma odpowiednika w naturze.

Ale uwieńczenie wszystkich tych błędów i omyłek miało przypaść w udziale uczonemu Fryderykowi Cuvier, bratu słynnego barona. W roku 1836 opublikował on *Historią naturalną wielorybów,* w której podaje coś, co nazywa wizerunkiem kaszalota. Zanim pokażecie ów obrazek któremukolwiek z nantucketańczyków, lepiej zapewnijcie sobie pośpieszny odwrót z Nantucket.

Jednym słowem, kaszalot Fryderyka Cuvier nie jest kaszalotem, ale plackiem. Oczywiście, autor nigdy nie skorzystał z możności odbycia wyprawy wielorybniczej (tacy

ludzie rzadko to czynili), nie sposób zaś domyślić się, skąd zaczerpnął wzór do tego obrazu. Może stamtąd, skąd i Desmarste, jego uczony poprzednik na tym samym polu, wziął jeden ze swych poronionych autentyków, a mianowicie z jakiegoś chińskiego rysunku. A że Chińczyki mają dryg do ołówka, o tym pouczają nas liczne osobliwe filiżanki i spodeczki.

Cóż natomiast powiedzieć o wielorybach malowanych na szyldach ulicznych wiszących ponad sklepami handlarzy oleju? Są to przeważnie wieloryby a la Ryszard III, o garbach dromaderów i wielce dzikie; spożywają na śniadanie trzy czy cztery placki z marynarzy, to znaczy łodzie wielorybnicze pełne ludzi; bezkształtne cielska tych potworów przewalają się w morzu krwi i błękitnej farby.

Ale te różnorakie błędy w przedstawianiu wieloryba nie są, bądź co bądź, tak bardzo zadziwiające. Zważcie tylko! Większość tych naukowych rysunków sporządzona została na podstawie obserwacji wyciągniętej na brzeg ryby; są one zatem mniej więcej równie dokładne, jak podobizna rozbitego okrętu z przetrąconym grzbietem mająca wiernie odtworzyć to szlachetne stworzenie w całej nienaruszonej chwale kadłuba i rej. Wprawdzie słonie pozowały do swoich portretów w całej postaci, jednakże żywy Lewiatan nigdy dotąd nie uniósł się nadobnie na falach po to, by namalowano jego konterfekt. Żywego wieloryba w całym majestacie i godności można ujrzeć na morzu jedynie wśród niezgruntowanych odmętów, albowiem kiedy płynie, jego potężne cielsko kryje się przed wzrokiem niby spuszczony na wodę wojenny okręt liniowy; jest więc rzeczą po wsze czasy niemożebną dla człowieka śmiertelnego wydobyć go z tego żywiołu i wywindować w powietrze z zachowaniem wszystkich potężnych skłębień i pofałdowań jego ciała. Nie mówiąc już o wysoce oczywistej różnicy kształtów między młodym oseskiem wielorybim a w pełni wyrośniętym, platońskim Lewiatanem, przecie nawet jeśli któryś z tych młodziaków wyciągnięty zostanie na pokład, ciało

ma tak niesamowicie wężowe, gibkie i zmienne, że sam diabeł nie umiałby pochwycić jego dokładnego zarysu.

Można by sobie jednak wyobrazić, że z nagiego szkieletu wyholowanego na brzeg wieloryba da się wyciągnąć dokładne wnioski co do jego właściwego kształtu. Bynajmniej. Jest mianowicie jedną z większych osobliwości tego Lewiatana, że szkielet daje bardzo słabe pojęcie o jego ogólnej postaci. Chociaż szkielet Jeremiarza Benthama zawieszony miast kandelabru w biblio' tece jednego z wykonawców jego testamentu daje niejakie pojęcie o masywnym, utylitariańskim starszym panu wraz ze wszystkimi innymi głównymi cechami jego osobowości, to jednak nie sposób domyślić się niczego podobnego z jakichkolwiek kości wieloryba. W istocie, jak mówi wielki Hunter, sam szkielet wieloryba pozostaje w takim stosunku do pełnych, obfitych kształtów zwierzęcia, jak owad do larwy, która tak pięknie go zaokrągla. Tę osobliwość w sposób uderzający wykazuje głowa wieloryba, jak to jeszcze zostanie nadmienione w jednej z części niniejszej książki. Przejawia się to również bardzo ciekawie w bocznej płetwie, której kościec niemal dokładnie odpowiada kościom r poki ludzkiej minus duży palec. Płetwa ta ma cztery prawidłowe kości palcowe: wskazującą, środkową, serdeczną i małą. Wszystkie one jednak są na stałe osadzone wewnątrz cielesnej powłoki podobnie jak palce ludzkie tkwiące w jakimś sztucznym okryciu. „Jakkolwiek ostro czasem sobie z nami wieloryb poczyna — powiedział któregoś dnia wesoły Stubb — nie sposób przecie twierdzić, że obchodzi się z nami bez rękawiczek."

Ze wszystkich tych przyczyn, z jakiego punktu widzenia by na to nie spojrzeć, musi się dojść do konkluzji, że wielki Lewiatan jest tą jedyną istotą na świecie, która musi po wsze czasy pozostać nie namalowana. Prawda, że jeden portret może być o wiele lepiej utrafiony od drugiego, ale żaden nie może utrafić z jakimś oardzo znacznym stopniem dokładności. Nie ma więc żadnego na świecie sposobu przekonania się, jak właściwie wygląda naprawdę wieloryb. Jedyna droga, którą można osiągnąć choćby jakie takie pojęcie o jego żywych kształtach, to

samemu ruszyć na wieloryby; ale w ten sposób człowiek naraża się na niemałe niebezpieczeństwo, że zostanie przez nie rozbity i na wiek wieków zatopiony. Dlatego to wydaje mi się, że lepiej nie bądźcie zbyt wymagający w waszej ciekawości co do tego Lewiatana.

ROZDZIAŁ LVI
O MNIEJ BŁĘDNYCH WIZERUNKACH WIELORYBÓW TUDZIEŻ O WIERNYCH OBRAZACH SCEN WIELORYBNICZYCH

W związku z potwornymi wizerunkami wielorybów mam silną pokusę, by tu omówić jeszcze potworniejsze o nich opowieści, które można znaleźć w pewnych książkach, tak dawnych jak i nowoczesnych, a w szczególności u Pliniusza, Purchassa, Hackluyta, Harrisa, Cuviera etc. Ale przejdę nad tym do porządku.

Wiadomo mi tylko o czterech szkicach opublikowanych na temat wielkiego kaszalota, których autorami są: Colnett, Huggms, Fryderyk Cuvier i Beale. W poprzednim rozdziale wspomniano już o Colnetcie i Cuvierze. Praca Hugginsa jest od nich o wiele lepsza, ale Beale jest bezwzględnie najlepszy. Wszystkie jego rysunki, przedstawiające tego wieloryba, są dobre z wyjątkiem środkowego z trzech kaszalotów wyobrażonych w różnych pozycjach na początku drugiego - rozdziału. Karta tytułowa, która przedstawia łodzie atakujące kaszalota, choć bez wątpienia obliczona na wywołanie uprzejmego sceptycyzmu w niektórych bywalcach salonów, jest w ogólnym efekcie wspaniale dokładna i pełna życia. Niektóre

rysunki kaszalotów u J. Ross Browne'a są dość poprawne w linii, ale okropnie sztychowane. To jednakże nie jest już jego winą.

Najlepsze szkice wala właściwego znajdują się u Scoresby'ego, są jednak rysowane w zbyt małej skali, żeby wywrzeć pożądane wrażenie. Zamieszcza on ledwie jedną scenę wielorybniczą, co jest ogromnym brakiem, ponieważ tylko z takich obrazków, jeśli są w ogóle dobrze wykonane, można powziąć coś zbliżonego do właściwego pojęcia o żywym wielorybie, tak jak go widują jego żywi łowcy.

Ale ogólnie biorąc, bezwarunkowo najświetniejszymi, jakie można znaleźć — choć w pewnych szczegółach nie nazbyt dokładnymi — wizerunkami wielorybów i scen wielorybniczych są dwa duże sztychy francuskie, dobrej roboty, wykonane z obrazów niejakiego Garnery. Jeden z nich przedstawia atak na kaszalota, drugi na wieloryba właściwego. Na pierwszym sztychu ukazany jest w, całym majestacie swej mocy wspaniały kaszalot, który właśnie wynurzył się pod łodzią z głębin oceanu i wynosi na grzbiecie wysoko w powietrze straszliwe szczątki potrzaskanych desek. Przód łodzi zachował się częściowo i chwieje się na grzbiecie potwora, a na dziobie widzicie wioślarza, jak przystanął tam na jedno nieuchwytne mgnienie oka, i na wpół przesłonięty wściekłym, kipiącym wydmuchem potwora, właśnie usiłuje zeskoczyć, niczym w przepaść. Cała akcja jest tu oddana znakomicie i wiernie. Do połowy opróżniony bęben linowy unosi się na spienionych falach; drzewce rozrzuconych harpunów sterczą z nich ukośnie; głowy pływających marynarzy widnieją tu i ówdzie wokół wieloryba, na twarzach maluje się różnorodny wyraz przerażenia, a z mrocznej, burzliwej dali sunie wprost na to wszystko statek. Można by znaleźć poważne błędy w anatomicznych szczegółach wieloryba, ale pomińmy to, bowiem za żadne skarby nie potrafiłbym narysować równie dobrego.

Na drugim sztychu łódź wyobrażona jest w chwili, gdy sunie wzdłuż oblepionego ślimakami kadłuba ogromnego pływającego wieloryba właściwego, który pławi w morzu swe czarne, wodorostami okryte cielsko, podobne jakiejś omszałej

turni z gór patagońskich. Jego wydmuchy są proste, bujne i czarne jak sadze; po tak obfitym dymie z komina można by wnosić, że na dole, w ogromnych jelitach musi się warzyć przednia wieczerza. Ptactwo morskie dziobie drobne kraby, skorupiaki tudzież inne morskie cukierki i łakocie, jakie wieloryb właściwy czasem nosi na swym zapowietrzonym grzbiecie. A grubowargi Lewiatan przez cały ten czas pędzi wskroś odmętów zostawiając na swym szlaku całe tony wzburzonych, białych pian, co powoduje, że wątła łódź kolebie się wśród bałwanów jak czółno, które się dostało w pobliże kół oceanicznego parowca. W ten sposób przedni plan obrazu jest jednym rozszalałym ruchem; natomiast z tyłu, przez wspaniały artystyczny kontrast wyobrażono spokojne morze, obwisłe, nie usztywnione żagle bezsilnego statku i bezwładną masę ubitego wieloryba,. tej zdobytej fortecy z flagą zwycięstwa zatkniętą w otwór wydmuchowy.

Nie wiem, kim był czy jest ów malarz Garnery. Ale głowę daję, że albo był z praktyki dobrze obznajmiony z przedmiotem, albo też wspaniale go wyuczył jakiś doświadczony wielorybnik. Francuzi są jedyni do odmalowywania akcji. Przejrzyjcie wszystkie malowidła Europy, a gdzież to na płótnie znajdziecie taką galerię bujnego, tchnącego życiem ruchu, jak w owej sali tryumfalnej w Wersalu, kędy widz przebija się bez ładu i składu przez kolejne wielkie bitwy francuskie, kędy każdy miecz zdaje się być błyskiem północnej zorzy, a zbrojni królowie i cesarze jeden po drugim przebiegają mimo, niczym szarżujące, koronowane centaury? Owe obrazy morskich bitew pędzla Garnery'ego nie są zaiste niegodne miejsca w tejże galerii.

Przyrodzona zdolność Francuzów do chwytania malowniczości rzeczy zdaje się szczególnie objawiać w ich obrazach i sztychach na tematy wielorybnicze. Nie posiadając ani dziesiątej części doświadczenia Anglików w tym rzemiośle, zaś ani jednej tysiącznej doświadczenia Amerykanów, dostarczyli przecie obu tym narodom jedynych skończonych rysunków, zdolnych w ogóle dać pojęcie o prawdziwym duchu tych łowów. W większości wypadków rysownicy angielscy i

amerykańscy kontentują się najzupełniej ukazaniem mechanicznego zarysu rzeczy, jak na przykład nic nie mówiącego profilu wieloryba, co, jeśli idzie o malowniczość efektu, jest mniej więcej równoznaczne z naszkicowaniem profilu piramidy. Nawet Scoresby, wielorybnik cieszący się zasłużoną sławą, podawszy nam sztywny portret wala grenlandzkiego w całej postaci oraz trzy czy cztery delikatne miniatury narwali i delfinów, częstuje nas serią klasycznych rycin przedstawiających haki łodziowe, tasaki i kotwice, tudzież z mikroskopową dokładnością jakiegoś Leuwenhoecka przedkłada spojrzeniom dygocącego świata dziewięćdziesiąt sześć facsimile powiększonych arktycznych kryształów śniegu. Nie zamierzam uwłaczać temu znamienitemu podróżnikowi (czczę go jako weterana), ale w sprawie tak doniosłej było z pewnością przeoczeniem, że nie zaopatrzył się dla każdego kryształu w zaprzysiężone świadectwo sporządzone w obecności jakiegoś grenlandzkiego sędziego pokoju. Oprócz tych doskonałych sztychów Garnery'ego istnieją dwie inne godne uwagi ryciny francuskie wykonane przez kogoś, kto się podpisuje „H- Durand". Jedna z nich, mimo że niecałkowicie odpowiada naszemu obecnemu tematowi, zasługuje przecie na wzmiankę z innych względów. Jest to spokojna scena rozgrywająca się o południu na wyspach Pacyfiku; francuski statek wielorybniczy, zakotwiczony wśród ciszy morskiej u wybrzeża, leniwie załadowuje na pokład słodką wodę, a poluzowane jego żagle, zarówno jak i długie liście palm stojących w głębi, zwisają w bezwietrznym powietrzu. Efekt jest bardzo piękny, jeśli się zważy, że rycina przedstawia zuchwałych rybaków w czasie jednego z nielicznych momentów iście orientalnego spoczynku. Drugi sztych, to zupełnie co innego; statek na pełnym morzu, w samym sercu lewiatańskiego życia, z wielorybem wzdłuż kadłuba (przedstawiony w trakcie oprawiania zdobyczy) przycumowany jest do potwora jak do nabrzeża, a w głębi jedna z łodzi, odpływając pośpiesznie, od tej sceny pełnej ożywienia, rusza w pogoń za wielorybami. Harpuny i lance leżą gotowe do użytku,

trzech wioślarzy właśnie ustawia maszt w otworze, a od nagłego rozkolebania bałwanów wątła łupina sterczy niemal pionowo z wody, niby koń stający dęba. Ze statku, spod kotłów, w których przetapiany jest tłuszcz wielorybi, wznosi się dym jak przed wioską pełną kuźni, a po stronie nawietrznej gromadzą się czarne, zwiastujące szkwał i deszcz chmury, jakby przynaglające rozgorączkowanych marynarzy do pośpiechu.

ROZDZIAŁ LVII
O WIELORYBACH MALOWANYCH: O WYKONYWANYCH Z ZĘBÓW, Z DRZEWA, Z BLACHY, Z KAMIENIA; O WIELORYBACH W GÓRACH I W GWIAZDACH

Na Tower-Hill, w miejscu gdzie się schodzi do doków londyńskich, widzieliście, być może, kalekiego żebraka („kotwicę", jak mówią marynarze) trzymającego przed sobą deskę, na której wymalowana jest tragiczna scena przedstawiająca moment, kiedy utracił nogę. Widnieją tam trzy wieloryby i trzy łodzie, z których jedną (zawierającą zapewne brakującą nogę w pierwotnej całości) miażdżą właśnie szczęki najbliższego wieloryba. O każdej porze w ciągu ostatnich lat dziesięciu ów człowiek, jak mi mówiono, trzymał tę tablicę i wystawiał ten kikut na spojrzenia niedowierzającej publiczności. Ale oto nadszedł czas usprawiedliwienia biedaka. Jego trzy wieloryby są najprawdziwsze, jakie kiedykolwiek wystawiono na widok publiczny, przynajmniej w Wapping, kikut zaś jest równie niewątpliwy jak kikuty drzew, które możecie znaleźć na karczowiskach zachodu. Ale choć ten biedny wielorybnik stale tkwić musi na owej okaleczonej nodze, nigdy przecie nie wygłasza przemówień agitacyjnych,

lecz stoi żałośliwie, ze spuszczonymi oczami, kontemplując własne kalectwo.

Wokół całego Pacyfiku, jak również w Nantucket, w Nowym Bedfordzie i w Sag Harbour, wszędzie natrafić można na ogromnie żywe wizerunki wielorybów i scen wielorybniczych wyryte przez samych poławiaczy na zębach kaszalotów, na fiszbinach damskich gorsetów oraz na innych podobnych artykułach skrimszanderskiej roboty — jak wielorybnicy nazywają liczne drobne, a pomysłowe przedmioty, które wymyślnie rzeźbią w owym surowcu podczas wolnych godzin na oceanie. Niektórzy z nich mają niewielkie puzderka przyborów przypominających narzędzia dentystyczne, specjalnie do tejże roboty przeznaczonych. Na ogół jednak pracują wyłącznie przy pomocy koziков i tym niemal wszechmocnym narzędziem marynarza potrafią wykonać, co wam się żywnie podoba, z dziedziny żeglarskiej fantazji.

Długie wygnanie poza świat chrześcijański i cywilizację nieuchronnie przywraca człowieka do stanu, jaki mu Bóg przeznaczył, to jest do tego, co się zowie dzikością. Prawdziwy łowca wielorybów jest równie dziki jak jakiś Irokez. Ja sam jestem dzikusem, który winny jest wiernopoddaństwo jedynie Królowi Ludożerców; a jednak w każdej chwili gotów jestem zbuntować się przeciw niemu.

Otóż jedną z osobliwych cech charakterystycznych dzikiego w zaciszu domowym jest jego zadziwiająca cierpliwość i pracowitość. Starodawna hawajska maczuga bojowa czy wiosło, w całym bogactwie i wymyślności roboty snycerskiej, to równie wielkie osiągnięcie ludzkiej wytrwałości jak łaciński ieksykon, albowiem ową przecudną zawiłość drewnianej koronki osiągnięto przy pomocy zaledwie ułomka morskiej muszli czy też zęba rekina; a kosztowało to cierpliwe lata cierpliwej pracy.

Z białym dzikusem-marynarzem dzieje się podobnie jak z dzikusem hawajskim. Z tą samą cudowną cierpliwością, takim samym pojedynczym zębem rekina, a mianowicie swoim skromnym kozikiem, wykona on wam rzeźbę w kości, może nie tak doskonałej roboty, ale równie pokrytą labiryntem rysunków

jak tarcza owego greckiego dzikusa, Achillesa; równie tchnącą barbarzyńskim duchem i pełną sugestywności jak sztychy owego znakomitego, starodawnego germańskiego dzikusa, Albrechta Dürera.

Na forkasztelach amerykańskich statków wielorybniczych można często spotkać wieloryby drewniane, czyli profile wielorybów wycięte z małych, ciemnych płytek szlachetnego drzewa z Mórz Południowych. Niektóre są wykonane z dużą drobiazgowością.

W starych domach wiejskich o spadzistych dachach można czasem oglądać mosiężne wieloryby uwieszone za ogon jako kołatki u drzwi od strony gościńca. Jeśli odźwierny jest śpiochem, wówczas najlepszy bywa taki wieloryb o łbie jak kowadło. Wszelako te kołaczące wieloryby rzadko są godne uwagi, gdy chodzi o dokładność wykonania. Na wieżycach poniektórych staroświeckich kościołów można oglądać wieloryby blaszane umieszczone tam w charakterze kurków wskazujących kierunek wiatru; znajdują się one jednak tak wysoko, a oprócz tego noszą przecie tak wyraźne piętno: „Nie dotykać", że nie sposób zbadać ich z bliska, aby rozstrzygnąć o ich wartości.

W kościastych, poszarpanych regionach tej ziemi, gdzie u stóp wysokich, spękanych turni spoczywają masy skalne rozrzucone po równinie w fantastycznych ugrupowaniach, często odkryjecie jak gdyby wizerunki skamieniałych kształtów Lewiatana, częściowo zanurzone w trawie, która w wietrzny dzień rozbija się o nie falami rozkołysanej zieleni.

A znowu w krajach górzystych, kędy podróżnika ustawicznie otaczają amfiteatralne wyniosłości, można tu i ówdzie, z jakiegoś dogodnego punktu widzenia, ujrzeć przelotnie profile wielorybów odcinające się wśród pofalowanych górskich grani. Ale aby widoki te zobaczyć, trzeba być rzetelnym wielorybnikiem; nie dość na tym: o ile się chce znów do takiego widoku powrócić, należy dla pewności pomierzyć dokładnie przecięcie długości i szerokości geograficznej punktu, z którego się pierwotnie patrzało, gdyż te obserwacje górskie bywają tak

przypadkowe, że ów poprzedni, dokładny punkt wymagać *może* pracowitego odszukiwania na nowo, podobnie jak Wyspy Salomona, które ciągle pozostają nieznane, choć niegdyś stąpał po nich Mendanya o wysokiej kryzie, zaś stary Figuera je opisywał.

A kiedy temat ów całkowicie was pochłonie, niechybnie wypatrzycie na wygwieżdżonym niebie ogromne wieloryby wraz ze ścigającymi je łodziami, podobnie jak narody Wschodu, z dawna przepełnione myślami o wojnie, widziały pośród obłoków wojska zwarte w bitwie. Tak to na północy, wokoło bieguna, ścigałem Lewiatana podążając za ruchem świetlnych punkcików, które uprzednio mi go nakreśliły. A pod rozjarzonym niebem Antarktydy wsiadłem na Argo-Navis i przyłączyłem się do pogoni za gwiezdnym Cetusem hen, poza najdalszy punkt Hydrusa czy Latającej Ryby.

Gdybym miał kotwicę fregaty miast wędzidła, a pęki harpunów jako ostrogi, chętnie bym dosiadł tego wieloryba i ruszył w skok na najwyższe nieba, żeby zobaczyć, czy owe baśniowe dziedziny wraz z ich niezliczonymi namiotami doprawdy zaległy obozem poza zasięgiem mojego śmiertelnego wzroku!